

Ewa Stec

Polowanie Perpetuę

Wydawnictwo Otwarte
Kraków 2010

DZIEŃ SZÓSTY

- Użycie prezerwatywy zawsze wiąże się z pewnym ryzykiem - mówiłam obojętnie, przypatrując się z uwagą woskowej twarzy otoczonej strąkami zmatowiałych włosów. Agonalny ból pozostawił na niej wyraźny ślad. - Przecież to tylko cienka gumka. Jeśli pęknie, konsekwencje mogą być fatalne, prawda? Trzeba sobie wszystko dobrze przemyśleć, zanim... - przerwałam. Moją uwagę zwróciły jej sztywne dłonie. Miała nienaturalnie powykęcane palce. - Taak... Ale właściwie po co ja ci to wszystko mówię? - zapytałam.

Nie odpowiedziała.

Wepchnęłam ją głębiej do szafy i starannie domknęłam drzwi. Poddawała się wszystkiemu z milczącym posłuszeństwem trupa.

DZIEŃ PIERWSZY

Kap, kap, kap... powtarzałam w myślach za deszczem. Podobno monotony dźwięk spadających kropli uspokaja.

Nie tym razem. Nic nie potrafiło zagłuszyć wściekłego ryku moich pociech. Prawą dłoń coraz mocniej zaciskałam na kierownicy. Lewą niecierpliwie luzowałam granatową apaszkę w wielkie białe grochy, która niczym pętla na szyi skazańca nieubłaganie zaciskała się coraz mocniej.

Jestem matką. Ale, na Boga, przede wszystkim jestem tylko człowiekiem!

Zmieniłam bieg i odruchowo zerknęłam w lusterko. Zobaczyłam Antka, który z obrażoną miną pokazywał Małgosi język. Potem przez fotel poczułam jego but na moich plecach i usłyszałam płaczliwe zawodzenie:

- Mamooo, jestem głodny.

Dziwne, zważywszy na to, że przed wyjazdem zjadł dwudaniowy obiad i deser.

- Zaraz będziemy u babci, syneczku - powiedziałam nadzwyczaj spokojnie.

Spokój. Jestem uosobieniem spokoju.

Antek postanowił się nie poddawać i wychyliwszy się ze swojego fotelika, chwycił mnie za lewą rękę i pociągnął tak mocno, że przy okazji cały samochód ściągnął na lewą stronę. Niewiele brakło, a służbowe auto mojego męża zostałoby odholowane na złomowisko. A my do kostnicy.

Zdecydowanym ruchem oderwałam od siebie dłoń Antka i wróciłam na właściwy pas. Potem policzyłam szybko w myślach do dziesięciu. Tylko spokój może mnie uratować.

Antek zasugerował warunki zawieszenia broni.

- Ale ja chcę do McDonalda! I dają auta do happy meala, wiesz!? O, tu jest!

Wszyscy jak na komendę odwróciliśmy głowy. Powoli, w nabożnym milczeniu minęliśmy wielki czerwono-żółty znak wszechogarniającego nas globalizmu.

- Buuu - Antek wpadł w histerię i przywarł do szyby tak mocno, że cała jego twarz musiała wyglądać jak teletubisowa grzanka. - Ja chcę do McDonalda! Chcę! Chcę!!!

- Głupi jesteś - oświadczyła nonszalancko Małgosia. - Tam ludzie robią się grubi, a ja postanowiłam zostać modelką. I muszę dbać o linię, babcia tak mówi.

- Jestem głodnyyy! - zaryczał agonicznie Antek. Kątem oka dostrzegłam, jak jego ślina z precyzją lasera wylądowała w oku Małgosi. - A ty sama jesteś głupia! Głupia!

- Dość! - przerwałam tonem nieznośnym sprzeciwu. Tylko ten ton mi jeszcze pozostał. - W naszej rodzinie nikt się nie będzie opluwał ani wyzywał!

- To czemu tata mówi, że pan Maciek jest głąbem!? - Z tyłu dobiegł mnie prowokacyjny głos Małgosi.

- Właśnie. A babcia robi: „A tfu, na psa urok”!? - dołączył wyraźnie obrażony Antek, a widząc, że obserwuję go w lusterku, demonstracyjnie opluł siedzenie.

No właśnie, dlaczego!?

Zamknęłam oczy. Tylko na ułamek sekundy, a już jakiś sfrustrowany testosteron zaczął trąbić jak opętany i ryczeć coś

przez otwarte okno. Spojrzałam na niego z politowaniem i postukałam się wymownie w czoło. W ostatniej chwili połknęłam „debilu jeden” i krztusząc się, pojechałam dalej. Jeszcze tylko trzy ulice i cały wieczór wolny.

- Jestem głodny!! - Antek przekroczył znacznie granice asertywności i wyrażał swoje niezadowolenie kopaniem w drzwi.

- Synku, już prawie jesteśmy u babci.

- Nie chcę babci, chcę McDonalda!!!

- Kochanie...

- Nie!!!

Na mojej głowie wylądował samochodzik. Szybko policzyłam do dziesięciu. Nic. Policzyłam jeszcze raz. Doszłam do ośmiu, gubiąc gdzieś po drodze szóstkę.

- Nie! Nie! Nie! Nie!!!

Siadaj na dupie, bachorze, bo zaraz mnie szlag trafi i zostaniesz sierotą! - usłyszałam w głowie ryk, ale z moich ust wydobyło się podręcznikowe:

- Kochanie, nie wolno mi przeszkadzać, kiedy prowadzę. To bardzo niebezpieczne.

Zacisnęłam obie dłonie na kierownicy i wpatrywałam się rozpaczliwie w odrapany blok. Bramy raju. Zaparkowałam tak blisko wejścia, jak to tylko było możliwe. Wyskoczyłam z samochodu. Grube krople deszczu spadły na mnie jak grad kul na pechowego żołnierza. Otworzyłam tylne drzwi auta.

- Nie wysiadam, bo sobie zmoczę włosy - oświadczyła Małgosia z zawziętą miną.

- Chcę do McDonalda!!! - zaryczał Antek i wczepił się paznokciami w siedzenie.

Kap, kap, kap...

W progu mieszkania teściowej rzuciła się na mnie jej wredna suczka o dumnie brzmiącym imieniu Księżniczka. Jak na pekińczyka przystało, miała okropnie owłosione uszy i jeszcze

okropniejszy charakter. Ewidentnie chciała mi odgryźć nogę, a słowo daję, zęby miała jak krokodyl. Wbiła je w mój nowy skórzany bucik, a teściowa stała tuż obok, w ogóle nie przejmując się zabawami swojej pupilki. Dopiero kiedy przydusiłam butem wijące się ciało, syknęła głośno i zgarnęła Księżniczkę z podłogi, oburzona.

Moja teściowa była jedną z tych osób, których nie ima się czas i związane z nim przemijanie, a jedynym problemem (dla innych!) jest ich jadowita natura. Była nadzwyczaj żywotna, choć musiała się urodzić jeszcze w epoce lodowcowej. Bo jak inaczej wytłumaczyć tkwiące w jej szarych oczach ostre odłamki lodowej góry?

- Dziecko, jak ty wyglądasz!?! Wejdz, bo się przeziębisz!

Jakież ona ma klujące spojrzenie!

- Nie, mam, jestem już spóźniona. A chcę jeszcze odwieźć samochód.

- Znowu zamierzasz pić alkohol? - zapytała surowo, rozglądając się, by sprawdzić, czy czasem dzieci nie słyszały tego strasznego słowa. Na szczęście zniknęły już w głębi mieszkania, piszcząc z radości, nie wiedzieć czemu.

Uśmiechnęłam się promiennie.

- Przecież dla matek alkohol powinien być dotowany. Niestety, jeszcze nikt na to nie wpadł i muszę sobie sama radzić - próbowałam zażartować, ale po raz kolejny przekonałam się, że teściowe poczucia humoru nie posiadają. Przynajmniej moja.

- A dlaczego? - zapytała poważnie.

- No, wie mama...

- Nie, nie wiem - przerwała mi ostro, a Księżniczka warknęła, jak zwykle solidaryzując się ze swoją panią. - Dla mnie to brzmi jak kolejna wymówka. Za moich czasów kobiety pracowały, wychowywały dzieci, gotowały dla mężów obiady, i to codziennie. - Słowo „codziennie” zaakcentowała. - I nie miały nikogo do pomocy. A jak mąż musiał patriotyczny

obowiązek spełnić i szedł na wojnę, same rodzinę utrzymywały. Niejedna rodziła, pracując w polu, a potem, już z dzieckiem na plecach, wracała dokończyć zagon. I żadna nawet nie pomyślała o pocieszaniu się alkoholem. To oznaka słabości - skwitowała z zimnym uśmiechem.

- Lampka wina od święta to chyba nie zbrodnia... - zaczęłam, ale z wyrazu jej twarzy wyczytałam, że nieważne, co powiem, i tak jestem potępiona.

- Za dobrze wam teraz - rzuciła jeszcze z wyrzutem, jakby nie słyszała, co powiedziałam.

Uśmiechnęłam się przepaszająco i spuściłam wzrok na psa. Księżniczka warknęła gniewnie, poganiając mnie do wyjścia. Te przeciągi.

- Chodź, Księżniczko ty moja, bo znowu się przeziębisz, a przecież mamy wystawę za tydzień, ty pupusiu - teściowa zaszczebotała i poprawiła suczce elegancką obrózkę. Potem przypomniała sobie o mnie, a jej spojrzenie i głos znowu stwardniały. - Naprawdę nie chcesz się choć trochę ogarnąć? - Spojrzała wymownie na moje rozmazane oczy i kałużę na wycieraczkę. Zawsze nieco odbiegałam od jej ideału synowej. No i nie miałam arystokratycznych rysów. Nie to co Księżniczka. Arystokratka w każdym calu. Z rodowodem sięgającym czasów dynastii Tang.

Pekińczyk wydal z siebie dziwny odgłos i odwrócił się do mnie tyłem, jakby uważał propozycję swojej pani za zbytek łaski. Poczułam się zdegradowana co najmniej do poziomu zdechłej myszy. Ale nie dałam się onieśmielić.

- Nie, mam. Muszę pędzić.

- Nie i nie. Ty zawsze tylko nie, na każdą moją propozycję, chociaż mówię ci, że kurs modelek dla Małgosi byłby idealny. Idź taka mokra, jak chcesz, ale żeby potem nie było, że nie mówiłam... - zawiesiła złowrogo głos, jakby przewidywała moją rychłą śmierć z powodu zbytniego nawodnienia organizmu. Po-tem zapytała jeszcze rzeczowo: - A po dzieci kiedy przyjedziesz?

Za tydzień.

- Paweł wpadnie po nie po pracy, ma tylko odebrać mój samochód z serwisu. Będzie kolo siódmej, jeśli to nie kłopot.

- Ależ skąd! To sama przyjemność. Tylko brydza musiałam odwołać. No i do fryzjerki nie pójde, ale trudno. Najważniejsze są dzieci. Ja priorytety mam...

Wróciłam do samochodu. Głośnym trzaskiem drzwi odgrodziłam się od szarego, mokrego świata pełnego wrzeszczących bachorów i złośliwych teściowych. Włączyłam radio. Nie słysząc żadnego krzyku protestu z tylnego siedzenia, uśmiechnęłam się promiennie do swojego odbicia w lusterku. Nareszcie wolny wieczór! Bez dzieci, bez facetów i bez problemów. Babskie pogaduszki doprawione dobrym winem to jedyny ratunek dla każdej sfrustrowanej matki.

I wtedy usłyszałam buczenie telefonu dobiegające z mojej torebki. Przez ułamek sekundy wahałam się, czy odebrać. Kiedy już zdecydowałam się to zrobić, gwałtownie wyszarpnęłam telefon, bojąc się podświadomie, że nie zdążę. Zdążyłam, ale przy tym wszystkim wypadły mi z rąk kluczyki, a w dodatku jakimś nieskoordynowanym ruchem nogi wkoopałam je pod siedzenie. Jedną rękę wsunęłam zatem pod fotel w celu zlokalizowania kluczyków, a drugą przycisnęłam słuchawkę do ucha.

- Halo?

- Agata! - dobiegł mnie z drugiej strony okrzyk Rafała. - Dobrze, że jesteś!

Rafał był moim jedynym bratem. Ale ja nie byłam jego jedyną siostrą. Posiadał wiele innych sióstr i braci, jako że w okresie dojrzewania postanowił wdziać sutannę. Prawdę powiedziawszy, do tej pory mu nie wybaczyłam, że pozbawił moje dzieci szansy na posiadanie kuzynów. Co było tym bardziej niewybaczalne, że mój mąż był jedynakiem.

- Też mnie to cieszy - oświadczyłam zgodnie, starając się wczougać pod siedzenie. - Co słychać?

- Potrzebuję twojej pomocy - głos w słuchawce przybrał uroczysty ton.

- Coś się stało? - zapytałam, prostując się gwałtownie, a przy okazji zaliczając uderzenie czołem o kierownicę, która w samochodzie Pawła najwyraźniej nie znajdowała się w tym samym miejscu co w moim.

- A stało się! - Rafał zabrzmiał niemalże histerycznie. - Opowiadałem ci, że organizujemy spotkania misyjne, prawda?

- Owszem - potwierdziłam podejrzliwie i masując sobie obolałe miejsce, ponowiłam próbę odnalezienia kluczyków. - I co w związku z tym?

- Widzisz! - wykrzyknął mi do ucha. - Kazali mi jutro odebrać z lotniska jedną misjonarkę z Kolumbii. Miał się nią zajmować ksiądz Eryk, ale musi skończyć referat na konferencję egzorcystów w Toruniu, wiesz, wyjeżdża pojutrze, to bardzo ważne i...

- To świetnie - przerwałam mu nieco zniecierpliwiona, i kiedy zastanawiałam się, czy moja obolała już od wyginania w poszukiwaniu kluczy ręka zdoła utrzymać kieliszek, wyczulam pod palcami znajomy kształt. - A jak ja mam ci w tym pomóc?

Z wysiłkiem zaczęłam wyciągać klucze spod fotela. Przy okazji tych palpacyjnych badań wnętrza jamy podsiedeniowej moja dłoń natrafiła na jakiś dziwny mały przedmiot, którego nijak nie potrafiłam zidentyfikować.

- Bo widzisz, pomyślałem sobie, że możesz spełnić dobry uczynek i pojechać ze mną na lotnisko. Byłoby mi dużo prościej. W końcu znasz hiszpański.

- To organizujecie spotkania misyjne i tylko tamten jeden ksiądz zna hiszpański? - próbowałam się jeszcze wymigać.

Z triumfalnym sapnięciem, cała czerwona i spocona z wysiłku wyciągnęłam klucze. A potem sięgnęłam jeszcze po tajemniczy kwadracik. Z czystej ciekawości.

- Wszyscy są wtedy zajęci - argumentował.

Chwyciłam w palce kwadracik i wyprostowałam się. Krew odpłynęła mi z twarzy, a potem uderzyła ponownie z siłą wyrzuconej przez wulkan lawy. Moje uszy płonęły. Nie wspominając nawet o sercu.

- To jak? - powoli pytanie Rafała. - Pomożesz mi?

Nie odpowiedziałam. Oniemiała wpatrywałam się w nieoczekiwane znalezisko, które brutalnie zburzyło moje *status quo*.

- To pomożesz mi czy nie? - Rafał nie przestawał mnie dręczyć, ale jego głos dobiegał gdzieś z bardzo daleka. - Agata, jesteś tam?

- Tak - otrząsnęłam się po chwili, jednak w piersiach czułam dziwny ciężar.

- Świetnie - usłyszałam w słuchawce. - To jutro dogadamy jeszcze szczegóły.

I nastąpiła cisza.

- Prezerwatywa!? Znalazłaś w samochodzie Pawła prezerwatywę!? - Nina wyglądała, jakby cierpiała na wytrzeszcz w formie zaawansowanej. - Boże... - Tym razem skryła gaiki oczne, ale dla równowagi wydeła wargi. - To takie *cliche!* Wszyscy faceci to świnię! Ale ja to już od dawna wiem. Doświadczenie życiowe. Gorzkie, lecz jakże użyteczne - mruknęła i nalała sobie kieliszek. - To napijmy się! Oby im wszystkim przyrodzenia zwiędły!

- To niemożliwe! - Weszła jej w słowo Tereska, widząc zapewne przerażenie na mojej twarzy. - Halo! Przecież to Paweł. Paweł! - podkreśliła, masując sobie obolałą mleczną pierś i popijając ciemne piwo. Na laktację.

Nina zdążyła już jednak dorobić sobie całą teorię do sytuacji.

- Może i Paweł - odparła, kiwając z przekonaniem głową, i otrzepała się po toaście. - Ale przede wszystkim facet.

Przez chwilę panowała cisza. Słysząc było tylko tykanie starego zegara. Tik-tak. Tik-tak.

- A ta gumka... była zużyta? - zapytała nagle Nina.
- Przestań - syknęła z dezaprobatą Tereska.
- No co? - Nina wzruszyła ramionami. - Jeśli była zużyta, to chyba gorzej, nie?

- Dolać, proszę - powiedziałam niepewnie, podstawiając kieliszek. W okolicy brzucha czułam dziwne uderzenia gorąca. To myśl o zdradzie tak boli. Pali żywym ogniem! Matko jedyna, a może to już menopauzalne!?

- A jakieś niepokojące oznaki zauważyłaś? - zapytała Nina z wszystkowiedzącą miną, dolewając mi do pełna.

Spojrzałam na nią podejrzliwie.

- Niepokojące oznaki? Co masz na myśli?

- No wiesz, coś w stylu: „Nie mogę dziś podrzucić dzieci do przedszkola, bo obiecałem koleżance, że ją podwiozę...”.

- Daj spokój! - Z trudem przełknęłam nalany mi płyn.

- A może zaczął później wracać do domu? - Nina nie dała za wygraną.

- Niby tak, ale wdrażają jakiś system, a on ma awansować i bardzo się stara, musi pracować po godzinach - słuchałam swojego głosu. Wydal mi się jakiś obcy. Dubbingowany.

Nina zakrztusiła się. Chyba z powodu odkrycia mojej naiwności.

- A może zaczął bardziej dbać o swój wygląd?

- Właściwie, to prezes kazał mu się ubierać bardziej elegancko, w końcu ma zostać dyrektorem poważnej firmy i członkiem zarządu, wiecie, musi się dopasować... - mój głos zaczął słabnąć. Z przerażenia.

- Jakieś ciekawe telefony?

- Nie przypominam sobie.

- Sprawdź bilingi! Nowa fryzura?

- Nie zauważyłam.

- Nie przynosi ci czasem kwiatów albo prezentów? - wtrąciła się niespodziewanie Tereska, masując sobie przy tym pierś tak szybko, że zapewne rozgrzała ją do czerwoności.

Obrzuciłam ją uważnym spojrzeniem.

- Ostatnio przyniósł mi różę - odpowiedziałam z ociąganiem, zastanawiając się absurdalnie, czy jej Franio lubi zsiadłe mleko.

- Z jakiej okazji? - zapytała dziwnie podekscytowana jakąś nagłą myślą.

- Bo... mnie kocha? - niemal udławiłam się własnym językiem.

Nina spojrzała na Tereskę i popukała się w czoło.

- Zaraz, zaraz... Prezenty? Kwiaty? Przecież po tylu latach małżeństwa dobrze, jak nie zapomni o urodzinach.

Przez głowę przemknęła mi myśl, że przecież ani razu nie zapomniał.

- No właśnie - oświadczyła triumfalnie Tereska, masując dla równowagi drugą pierś. - Więc jeśli nagle ni stąd, ni zowąd staje się miły i czarujący, obsypuje cię prezentami, to znaczy, że ma wyrzuty sumienia! Nie to, co mój Tazio. On się w ogóle nie zmienił od naszego ślubu. Jezu, jak ja go kocham!

Patrzyłam to na jedną, to na drugą, i chciało mi się krzyczeć.

- A seks...? - chciała wiedzieć Nina.

- Dość! - nie wytrzymałam. - Przecież to niemożliwe! To niemożliwe!

A jednak oczyma wyobraźni zobaczyłam nagie ramiona Pawła otaczające jakieś obce ciało i przeklęłam swoją imaginiację. Wraz z obcym ciałem.

Kiedy ujrzałam dno kieliszka, wstrząsnął mną elektryzujący dreszcz.

Tereska poklepała mnie pocieszająco po ramieniu.

- Zapytaj go - powiedziała przekonująco.

Popatrzyłam w jej mądre oczy. Ma rację. Przecież musi być jakieś logiczne wytłumaczenie.

- Powiedz mu, co znalazłaś, i...

Nie zdołałam w spokoju dosłuchać tego, co miała do powiedzenia, bo poczułam nagłe szarpnięcie i Nina jednym zdecydowanym ruchem przyciągnęła mnie do siebie. Potem zerknęła z politowaniem na Tereskę, nie puszczając mojego ramienia.

- Powiedz mu, a on ci już wytłumaczy. Jasne! - zaczęła ironizować. Po chwili uspokoiła się i rzuciła mi wyjątkowo poważne spojrzenie. - Wyprze się wszystkiego i tyle! I jeszcze zrobi ci scenę, że mu nie ufasz! A kiedy z poczuciem winy przyjmiesz jego argumenty, dalej nic nie będziesz wiedzieć. - Ponownie napełniła mój kieliszek.

Popatrzyłam na nią spod oka, gotowa wbrew ogarniającej mnie paranoi bronić swojego mężczyzny przed tak strasznym oskarżeniem. Wypiłam zawartość kieliszka.

- Ale przecież on by nie mógł...

- Oczywiście, że by nie mógł - przekonywała Tereska, starając się przeciągnąć mnie na swoją stronę. - Przecież to Paweł, mąż Agaty, ojciec dwojga dzieci, a przede wszystkim przyzwoity facet.

- Niejeden z nich jest przyzwoitym facetem - powiedziała nagle Nina. Puściła moje ramię i powoli podniosła do ust swój kieliszek. Potem z dziwnym obrzydzeniem odstawiała go z powrotem na stół, nie upiwszy ani łyka. - Możesz go ubrać, w jakie słówka chcesz. Ale każdy jeden po obnażeniu zostaje tylko gołym facetem. Z palącym przyrodzeniem. Wiem coś o tym...

W końcu Nina jak żadna inna miała prawo do tej odrobiny nieufności wobec męskiego gatunku. Po porywającym związku z jednym doktorantem, który się jej oświadczył, a po trzech miesiącach ożenił z inną. Cięża przytrafiła się akurat tamtej. Taki pech.

- A poza tym - ciągnęła - faceci, zwłaszcza ci w pewnym wieku, chcą odmiany. Tak to już jest. Mają w domu blondynkę, to chcą się przekonać, czy z szatynką jest tak samo. Mają chu-

dą, chcą bardziej krągłą. Mają białą, chcą czarną. Mają Kate Moss, chcą Beyonce. Egzotyki im się zachciewa. Na tym polega kryzys wieku średniego. Na tym, żeby spróbować czegoś nowego.

- Nie wierzę, żeby mi to zrobił - próbowałam się jeszcze bronić ostatkiem sił, ale Nina nie pozostawiła mi żadnych złudzeń.

- Kolejna, której się wydaje, że jest niezastąpiona - dobiła mnie bez litości, a widząc moją minę, postanowiła uszczęśliwić mnie dobrą radą. Nie żebym chciała, ale Nina w tym względzie była prawdziwą społecznicą. Rozdawanie dobrych rad uważała za swój obywatelski obowiązek. - Musisz być twarda i czujna jak inkwizytor. Obserwuj go! Patrz mu na ręce. Zagląjaj przez ramię. Nie ufaj za nic! Ufaj tylko sobie i temu, co widzisz. Jak ja! Ja też ufam tylko sobie! Choć po kilku głębszych to już nawet i sobie nie ufam - przyznała się nagle.

- Mam własnego męża szpiegować!? - wykrzyknęłam.

Nina spojrzała na mnie z niesmakiem.

- Od razu szpiegować... - Nie lubiła dosadnych słów. - Nie szpiegować, tylko zwracać większą uwagę na szczegóły.

Poczułam, że ogarnia mnie histeria.

- Ale z kim on mógłby mieć romans? - zaczęłam się zastanawiać zupełnie wbrew sobie. Przecież na pewno nie ma romansu. Ale gdyby jednak miał, to z kim? - Nikt mi do głowy nie przychodzi, przecież on jeździ tylko do firmy, nie łązi nigdzie, dobry mąż z niego - dodałam niemalże z rozrzewaniem. - Całymi dniami siedzi w biurze i pracuje do późna, żeby nam się lepiej żyło.

Usłyszałam śmiech. Zimny, okrutny śmiech, który zranił mnie do głębi.

- Jesteś kwintesencją naiwności, kobieto. Siedzi w pracy i tylko pracuje, co? A ty myślisz, że gdzie ci wyjątkowi faceci zdradzają swoje kobiety? I z kim?

Jej pytanie pozostało bez odpowiedzi. Przynajmniej na razie.

W domu zjawiałam się już dobrze po drugiej, nieco bardziej niż lekko zawiana. Określenie „zjawiać się” jak najbardziej do mnie pasowało. Wyglądałam jak zjawa. Taka, która wcześniej miała wyjątkowo nieciekawe życie. Taksówkarz postanowił dokopać mi tak czy owak, w końcu gorzej już być nie mogło, nie jego wina, i twierdząc, że taryfa nocna i niebezpieczny element musi wozić, zdarł ze mnie straszne pieniądze. Nawet się z nim nie kłóciłam, bo już miałam opracowany plan ukartrupienia ewentualnej konkurentki, i pozwoliłam się oskubać. Nurtowało mnie teraz tylko jedno pytanie: która to? I jakkolwiek byłaby na nie odpowiedź, zdecydowałam w ramach zemsty kupić sobie broń. Najlepiej palną.

Postanowiłam przespać się na kanapie. Nie żebym na trzeźwo wierzyła w te brednie, ale niech sobie Paweł zobaczy, że wcale nie jest fajnie, jak mnie nie ma.

Nawet nie weszłam do sypialni. Upewniając się, że dzieci śpią, wślizgnęłam się do kuchni i bezszelestnie wyciągnęłam z szafki całą paczkę krówek. W końcu krowy to zwierzęta stadne, nie mogłabym zjeść tylko jednej. Drzwiczki szafki zaskrzypiały głośno, dając mi do zrozumienia, że to, co robię, jest żałosne.

Może i żałosne, ale skuteczne.

Dopływ cukru do mózgu wspomógł gwałtownie proces myślowy. Po czwartej krówce zaczęłam się zastanawiać, czy nie lepiej jednak iść spać do małżeńskiego łóża. Bo co będzie, jeśli spodoba mu się, że mnie nie ma? Myśląc intensywnie, zjadłam następną i położyłam się na chwileczkę na kanapie, żeby rozważyć...

Okolice Medellin, Kolumbia

- *Socorro!*

Stary mężczyzna, przysypiający na osiołku, ocknął się nagle z przeświadczeniem, że właśnie słyszał wołanie o pomoc. Rozejrzał się, ale nie zauważył niczego podejrzanego. Osiołek niósł go grzecznie kamienistą ścieżką przez wzgórze na doroczny festiwal kwiatów do Medellin. Mijali właśnie zrujnowany biały dom porośnięty orchideami.

- *Que diablo?* - wymruczał mężczyzna i pociągnął nieco chichy z butelki. Potem przeżegnał się na wszelki wypadek.

I wtedy usłyszał bardzo wyraźne zawodzenia i głośny łomot dochodzący ze starej szopy przylegającej do ruin domu. Przekonany, że to odpowiedź diabła na znak krzyża, mężczyzna uderzył osiołka w zadek i zniknął za wzgórzem, zostawiając za sobą tylko siny kurz.

DZIEŃ DRUGI

Ciemny pokój. Słabe światło stojącej na biurku lampki tworzy w mroku jaśniejszy krąg. Przy biurku siedzi mężczyzna. Przyglądam się jego pochylonej sylwetce. To Paweł. Przerzuca jakieś papiery. Potem odkłada je na bok. Ściąga okulary, przeciera oczy. Biedaczek. Ciężko pracuje, żeby się nam lepiej żyło. Ale... co to? Nagle na jego twarzy pojawia się uśmiech. Ten zarezerwowany tylko dla mnie. Ale przecież mnie nie widzi. Do kogo się więc tak uśmiecha? Po chwili ze zdziwieniem dostrzegam, że z mroku bardzo powoli wysuwa się kobieta. Światło żarówki oświetla jej ciemną skórę i burzę włosów. Od razu ją rozpoznaję. Beyonce. Trochę egzotyki, a jakże! A nawet całkiem sporo. Nie mogę się ruszyć. Nie mogę odejść. Muszę patrzeć, jak Paweł wstaje i jednym zdecydowanym ruchem przyciąga ją do siebie. Potem jest już tylko gorzej. Zaczynają zdzierać z siebie ubrania. Beyonce krzyczy swoim wyćwiczonym głosem, a skale ma, trzeba przyznać, imponującą. Im mniej ma na sobie, tym wyżej krzyczy, a każdy jej krzyk wbija się w moje serce jak rzeźnicki nóż...

- Maamo! Ja chcę oglądać *Teletubisie*, a ona mi przetłącza na inny program!

Wzdrygnęłam się. Wycie Antka wdarło się w moją głowę jak wystrzał armatni.

- Mówię ci, że *Teletubisie* obrażają moją inteligencję, smarkaczu jeden!

Piskliwy głos Małgosi z wiekiem stawał się coraz wyższy. Zupełnie jak jej iloraz inteligencji, o czym - codziennie przypominała swojemu młodszemu bratu. Ze złudną pewnością, że ten nigdy jej nie dogoni.

- Smarkacz to ty jesteś! I głupia!

- Maamooo, on mnie obraża! Czy ja muszę go kochać? Jak mogliście mi to zrobić!?

- Taatooo! - głosy zniknęły gdzieś na górze przy akompaniamencie głośnego tupania.

Z trudem otworzyłam napuchnięte oczy. Która godzina? Trzecia? Piąta?

- Agata, wstawaj, ósma - usłyszałam nagle głos. Jego głos...

Serce podeszło mi do gardła wraz z nie do końca przetrawionym alkoholem. I całym stadem krówek.

Obdarowałam Pawła morderczym spojrzeniem, a potem, nie mówiąc ani słowa, zanurzyłam się w ciemnościach i, bez wątplenia, bezdrożach swojego umysłu. Egzotyki nam się zachciewa!? A tfu, na psa urok!

- No, wstawaj, śpiochu. - Poczulałam obok siebie zapach jego wody po goleniu. Szybko otworzyłam oczy. Na zdradzieckiej gębie mojego męża tkwił psotny uśmieszek. Ten zarezerwowany tylko dla mnie.

Czyżby?

Przez chwilę wpatrywałam się intensywnie w jego uśmiechnięte usta. Czy całowały inną?

Postanowiłam zniknąć i przykryłam się kocem. Zaraz potem Paweł zaczął łaskotać mnie w piętę. Wyrzywałam nogę. Dopadł drugą.

- Zostaw mnie! - Walczyłam wściekle, dusząc się wbrew sobie ze śmiechu.

Przestał.

Czy powinnam z nim porozmawiać?

Wysunęłam głowę spod koca i nagle uderzyło mnie zadowolenie widoczne na jego twarzy. Dlaczego jest taki wesół? Przecież zaraz wychodzi do pracy i znowu przez cały dzień nie będzie widział swojej ukochanej żony. Aha! Zaciśnięłam usta. Pewnie dlatego taki zadowolony!

Wpatrywałam się w niego spod oka, a on podał mi kubek i poprawił okulary.

- Zrobiłem ci kawę.

Podniosłam się i z obrażoną miną wzięłam do ręki kubek z życiodajnym płynem. Wciągnęłam do płuc intensywny aromat mojej ulubionej włoskiej kawy.

Miły jest. Czyżby wyrzuty sumienia?

Paweł usiadł tuż obok i spojrzał na mnie pobłaźliwie. A ja nagle uświadomiłam sobie, że wyglądam, delikatnie mówiąc, nieciekawie. W każdym razie na pewno nie jest to widok dla mężczyzny, który szuka pretekstu do rozstania. Lub powodu by zostać.

- Widzę, że babski wieczór się udał.

Cisza.

Jeżu! Przecież on patrzy na mnie, a ja wyglądam jak rozjechana psina. Tamta druga, kimkolwiek by była, pewnie zawsze wygląda, jakby wyszła z salonu piękności. Te drugie tak mają.

- Nawet bardzo się udał - burknęłam i odwróciłam twarz, żeby tylko nie przypatrywał mi się za bardzo.

Wprawdzie widywał mnie już w gorszym stanie, ale wtedy nie miałam żadnych wątpliwości, że mnie kocha.

- Wszystko w porządku? Jakaś milcząca jesteś...

Cisza. Słowa w mojej głowie nie układały się w żadną całość. A już w logiczną w ogóle. No bo co ja mam mu powiedzieć?

Że znalazłam w jego samochodzie prezerwatywę i wydaje mi się, że mnie zdradzał? Przecież to żałosne! Nie będę się poniżać!

Wstał i spojrzał na mnie dziwnie. Spoważniał. Czyżby się domyślał, że ja się domyślałam?

- Czy coś się stało?

Aha! Jaki podejrzliwy! Na pewno ma coś na sumieniu!

Cisza zaczynała mnie przytłaczać, ale nie miałam siły się odezwać. Zamknęłam oczy.

- Kac - stchórzyłam.

Paweł, jak to facet, zamiast pomyśleć jeszcze nad powodem smutnych oczu ukochanej żony, wydawał się w pełni usatysfakcjonowany odpowiedzią i ku mojemu świętemu oburzeniu zaczął ze smakiem pałaszować rogalik. Tak, wrażliwi inaczej są wokół nas. Wpatrywałam się w niego z niedowierzaniem, a on się uśmiechnął. Przełknął kęs i ani trochę się nie zadławił.

- Mam dwie złe wiadomości - powiedział za to. - Pierwsza to taka, że twój samochód zostaje w serwisie przez cały tydzień, bo nie dowieźli jakichś części, a mojego nie mogę ci niestety dzisiaj zostawić.

- A druga? - zapytałam ponuro.

Może: „Zgubiłem prezerwatywę, kochanie, nie znalazłaś jej przypadkiem, bo mogę jej potrzebować po pracy?”.

- Elżbietka poinformowała mnie przed chwilą, że nie da rady zająć się dzisiaj dziećmi.

- Jak to nie da rady? - zdziwiłam się, zapominając na chwilę o całej sprawie z prezerwatywą. Podniosłam się z kanapy. - Jeszcze śpi?

- Tak. I chyba dzisiaj nie wstanie. Wyjęczała przez drzwi, że ma ostry zespół napięcia przedmiesiączkowego, czy jak wy to tam nazywacie, i zamierza cierpieć w samotności. Nie wolno jej przeszkadzać.

Elżbietka była córką pierwszej żony mojego kuzyna z Podlasia, który poprosił mnie, żebym ją przygarnęła na wakacje,

bo dziewczyna chce sobie dorobić na studia, a przy dzieciakach mi pomoże w zamian za dach nad głową i wyżywienie. Byłam wniebowzięta. Wakacje są bardzo stresującym okresem dla rodziców dzieci w strasznym wieku, którym przez całe dwa miesiące odmawia się gwarantowanego konstytucyjnie prawa do nauki.

Elżbietka okazała się bardzo obrotną młodą osobą i od razu znalazła pracę na pół etatu w biurze. Jako sprzątaczką. Starłam się ją przekonać, że spokojnie mogłaby znaleźć coś lepszego, w końcu maturę ma. Wprawdzie zdana za trzecim podejściem, ale ma. Nie dała się jednak przekonać. Twierdziła, że praca sprzątaczką bardzo jej odpowiada. Bo, jak mawiała, „ona nie jest żadna umysłowa, i praca fizyczna zawsze ją satysfakcjonowała”. Tak więc realizowała swoje zamierzenia z żelazną konsekwencją doprawioną dużą dozą fantazji i elastyczności. Tuż po przyjeździe przyznała mi się otwarcie, że nie zarabia na studia. Jej chłopak wyjechał do Australii, a ona marzy, żeby do niego dołączyć. I każdy ciężko zarobiony grosz odkładała. Na operację powiększenia biustu. Kiedy, z trudem hamując zdziwienie, zapytałam, dlaczego nie zbiera na bilet lotniczy, powiedziała z wyraźną wyższością, że jak sobie sprawi odpowiedni biust, to chłopak sam jej funduje bilet, a ona upiecze dwie pieczenie na jednym ogniu. Ta to ma głowę. Powinna zostać doradcą. Najlepiej w jakiejś organizacji rządowej.

- I co ja teraz zrobię? - jęknęłam, patrząc zrozpaczona na Pawła. Nie wiedzieć czemu, rzucił mi się w oczy jego idealnie dobrany do koszuli krawat. Nowy krawat. - Obiecałam Rafałowi, że mu pomogę. Dzisiaj przylatuje z Kolumbii jakaś misjonarka, a on nie zna hiszpańskiego. Przecież dzieciaków na lotnisko nie zabiorę.

Paweł od razu się ze mną zgodził.

- Poproś moją matkę. Na pewno ci pomoże - powiedział, smarując masłem kolejny rogalik.

Westchnęłam ciężko. Na myśl o teściowej poczułam się winna wypicia alkoholu w nadmiernej ilości. Nie wspominając nawet o zjedzonych krówkach.

- Znowu? - jęknęłam.

- Nie przesadzaj. Mama może czasami jest trudna...

- Czasami? - Uniosłam brwi.

- No dobra. - Mrugnął okiem i szeroki uśmiech pojawił się na jego twarzy? - Zawsze jest trudna. I złośliwa - uprzedził moją uwagę. - Ale musisz przyznać, że poczuwa się do obowiązków babci.

- Niby tak - potwierdziłam niechętnie. - Ale dlaczego dla niej to tylko obowiązek? Zawsze mi to wypomina. A gdzie przyjemność?

Przez chwilę patrzyłam tępo przed siebie.

- Czemu nie przyszaś do łóżka? - wtrącił między dwoma kęсами Paweł. - Tęskniłem... no i zmarłem.

Spojrzałam na niego nieprzytomnie, a on się uśmiechnął.

Spodobał mi się ten uśmiech. Bo przecież uśmiecha się do mnie tak samo od momentu, kiedy się poznaliśmy. Nic się nie zmieniło. Czy tak się zachowuje niewierny mąż? Przecież patrzy na mnie tak jak zwykle. Przecież to miłość, czułość, troska...

Moje napięte mięśnie zwiotczały, a na twarzy pojawił się cień uśmiechu, bo ja już wszystko wiedziałam. A przynajmniej tak mi się wydawało.

- Wiesz co? - rzuciłam nagle w przyptywie szczęścia. Odstawiłam kubek na stół i podniosłam się z kanapy tak lekko i zwinnie, jakbym potrafiła lewitować. - Nie uwierzysz...

Moje słowa przerwał dźwięk jego komórki. Znieruchomiałam, a on przełknął rogalik i odebrał. Potem zerwał się z krzesła i oddalił się ode mnie na kilka kroków. Nadstawiłam uszu. Po dłuższej chwili usłyszałam, jak mówi dobrotliwie do słuchawki:

- Ależ, pani Dorotko, proszę się nie denerwować, zaraz przyjadę i wszystko pani wyjaśnię. Tak... - słuchał jeszcze

przez chwilę. - Nie, w niczym pani nie przeszkadza. To do zobaczenia.

Odłożył telefon.

- Co mówiłaś?

Potrząsnęłam tylko głową, porażona nagłą myślą.

- A kto to dzwonił? - zapytałam pozornie bez emocji, odwracając wzrok. Ale cała krew odpłynęła nagle z mojej twarzy.

- Pani Dorota, moja nowa asystentka. Jeszcze nie do końca sobie ze wszystkim radzi. - Spojrzał na mnie nieobecny wzrokiem. - Ale ty blada jesteś! Stanowczo za dużo wypijałaś. Muszę pędzić - rzucił, chwytając teczkę i jednym haustem wypijając kawę.

Nie spojrzał więcej na mnie, a ja poczułam się nagle, jakbym spacerowała po linie. Serce dostało dziwnych drgawek. Poderwałam się i przykleiłam do niego, w geście rozpacz. Znieruchomiał, a potem pocałował mnie w czoło.

W czoło!?

- O której wrócisz? - Nie puszczałam jego ręki.

- Nie wiem. Mam dzisiaj strasznie dużo pracy.

- Ale zdążysz na obiad?

- Lepiej nie czekajcie na mnie. Muszę wdrożyć panią Dorotę i podejrzewam, że zajmie mi to trochę czasu.

- Słucham? - oderwałam się wściekła od jego ramienia.

Czułam, jak spadam i rozbijam się na małe kawałki. A on, w ogóle nie widząc mojej wściekłości, dodał, jakby nigdy nic:

- I pamiętaj o jutrzejszej kolacji z szefem, wiesz, jakie to dla mnie ważne. Prezes ma podjąć decyzję o moim awansie w przyszłym tygodniu. Ugotuj coś specjalnego. Prezesowa jest taką snobką.

Nie słuchałam go.

- Ciągłe cię nie ma - słowa z trudem przeciskały się przez moje zaciśnięte zęby. - Zaczynam się zastanawiać, jakim cudem ty dzieciaki zdołałeś spłodzić, co?

Prowokacja się nie udała.

- A co to znaczy splotdzić? - Antek zmaterializował się tuż obok, jak zwykle w niewłaściwym momencie, i był jak najbardziej otwarty na nowe tematy.

Paweł spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem.

- Na razie - rzucił sucho i wyszedł z domu.

Trzask zamykanych drzwi zabrzmiał jak wybuch miny przeciwpancernej. Skrzywiłam się, jakbym dostała odłamkiem, i trzymając się za głowę, poczłapałam do szafki z lekarstwami.

- Mamo, a co to znaczy splotdzić? - Antek nie dawał za wygraną.

- Dowiesz się w swoim czasie - próbowałam zakończyć dyskusję, szukając jakiegoś środka przeciwbólowego.

- A kiedy będzie w swoim czasie?

- W swoim czasie, synku.

- To znaczy kiedy?

- Nie teraz.

- Maamooo!!! - rozdarła się Małgosia, a każda samogłotka była szpilką wbijaną w moją głowę. - Aaa gdzieee jeeest moojaa koooszulkaaaa w grooszkiii!?

Zaczekałam z odpowiedzią, dopóki za głosem nie zjawiła się jęgo nadąsana właścicielka.

- Nie wiem, kochanie, chyba w praniu, załóż tę z Barbie...

- No wiesz, mamo! - ton niedowierzania w głosie mojej dziesięcioletniej córki rozłożył mnie na łopatki. - Przecież ja już nie jestem dzieckiem!

Spojrzałam na nią nieprzytomnie i zdecydowałam się na podwójną dawkę paracetamolu.

- Jak to: nie? - wrywało mi się. Szybko połknęłam tabletki. - A kim?

- Młodą kobietą. Babcia tak mówi - powiedziała i dumnie wyprostowana wycofała się do swojego pokoju.

Wylałam resztki wody do zlewu, mając nadzieję, że moje dziecko dzieckiem pozostanie jeszcze przez jakiś czas. Potem

zauważyłam, że zlew wciąż jest zapchany. Ze złości zazgrzytałam zębami. Od dwóch dni proszę Pawła, żeby się tym zajął, ale najwyraźniej wdrażanie pani Dorotki jest bardzo wyczerpujące.

Kiedy wreszcie udało mi się zamknąć samej w łazience, usłyszałam odgłos dzwonka, a zaraz potem trzask zamka i zadowolone:

- Mamusiu, przyszła ciocia Nina. A ja już sięgam do zasuwki, wiesz!?

Marzenie o cudownej terapeutycznej kąpeli najwyraźniej miało się dzisiaj nie ziścić.

Nina była moją przyjaciółką jeszcze ze studiów. Razem przeszłyśmy przez piekło gramatyki historycznej i sadystycznych zajęć praktycznych. I w tym samym dniu uzyskałyśmy dyplom magistra filologii hiszpańskiej. Wtedy nasze drogi zawodowe się rozeszły. Ja, jak pan Bóg przykazał, od razu wyszłam za mąż za dobrze rokującego ekonomistę i poszłam na rękę prorodzinnej polityce rządu, rodząc Małgosię, a potem Antka. Wychowywałam dzieci, dorabiając do całkiem przyzwoitej pensji Pawła tłumaczeniami. Nina z kolei, nie mogąc darować męskiej części populacji zdradzieckich genów, w najgorszej godzinie swego życia przyrzekła nigdy nie przekazać ich dalej. Stała się kobietą używającą życia, właścicielką dobrze prosperującego biura tłumaczeń i autorytetem w dziale urody w jednym z magazynów dla pań. W dzisiejszych czasach takie jak ona określa się mianem singla profesjonalisty.

Westchnęłam głęboko. Nie reagując na wołania Antka, usiadłam na klapie sedesu i zaczęłam rozmyślać nad swoim nieszczęściem.

A mogłam wyjść za Zdzisia. Wprawdzie miałabym zezowate dzieci, ale... przecież szczęście jest zezowate.

- Agata, wyłaź! - zza drzwi dotarł do mnie głos Niny.

- Jestem zajęta! - burknęłam i pokazałam drzwiom język.

- Co robisz?

- Trzeźwieję.

Postanowiłam zignorować Ninę. Po co w ogóle przylazła? Nie miałam najmniejszej ochoty wysłuchiwać jej mądrości życiowych.

- Trzeba groźnie policzyć do trzech, wtedy wyjdzie. Ona zawsze tak robi - usłyszałam nagle ściszony głos Antka.

- Antek! - zaryczałam wściekle i otworzyłam z hukiem drzwi. Spojrzałam w dół na jego przerażone oczy i uśmiechnęłam się instynktownie.

Przecież to nie jego wina, że ma takiego ojca. I sfrustrowaną matkę.

- Kochanie, idź i weź sobie ciasteczko. Taki greczny jesteś dzisiaj.

- Naprawdę? Mogę!? Przed śniadaniem?

- Jak mówię, że możesz, to możesz - wysyczałam, starając się nie widzieć uśmiechniętej przyjaciółki, świeżej niczym letni poranek. Wolałam nie pamiętać o swoim rozmazanym makijażu.

Antek błyskawicznie zniknął w kuchni, na wypadek gdybym zmieniła zdanie, a ja chciałam zrobić to samo, tyle że w łazience, ale Nina była szybsza. Przytrzymała drzwi, a dla pewności wsadziła już do łazienki nogę obutą w jakiś niewiarygodnie piękny bucik. Pewnie od Manolo Blahnika. Przyglądałam się jej stopie, zastanawiając się, czy jak ją zmiażdżę, to wreszcie da mi spokój, czy po amputacji i tak będzie mnie nachodzić. Znając jej charakterek, skłonna byłam uwierzyć w to drugie.

- Czego? - warknęłam jak Księżniczka teściowej na widok znieawidzonego listonosza, starając się zasłonić swoją twarz topielicy wodorostami włosów. Bezskutecznie. Przy Ninie nawet rentgen wysiadał. Jej przenikliwe oczy miały siłę rezonansu magnetycznego.

- Czy ty nie wiesz, kobieto, że codziennie wieczorem zmywamy tapetę!? Nie wiesz, co to mleczko do demakijażu?

- Do de... du... czego? - zapytałam zaczepnie.

Puściłam drzwi, a potem odwróciłam się, weszłam z powrotem do łazienki i opatuliłam się moim wielkim pasiastym szlafrokiem. Nina rzecz jasna weszła tuż za mną i starannie zamknęła drzwi.

- To jedna z podstawowych zasad pielęgnacji urody - dokończyła swoim profesjonalnie przekonującym tonem, dzięki któremu niejednokrotnie uwierzytelniała różne dziwaczne rzeczy, które pojawiały się w jej tłumaczeniach konferencyjnych. - Oczyszczanie, nawilżanie i sen. Nic dziwnego, że masz wory pod oczami.

- Wory pod oczami to efekt uboczny macierzyństwa. Ale ty tego i tak nie zrozumiesz.

- A przedwczesne zmarszczki, których spokojnie można by uniknąć, używając porządnego kremu?

- Kwestia genetyczna, odczep się!

Nina przyglądała mi się przez chwilę krytycznie, po czym spoważniała.

- Kwestia genetyczna!? Co ty myślisz, że to - wskazała na siebie wymownym ruchem ręki - to z nieba spada? Samo? Nie, moja droga, na odpowiedni *image* trzeba ciężko pracować.

Rzuciłam jej mordercze spojrzenie, ale to nie zbiło jej z tropu. Jej nic nie było w stanie zbić z tropu. To na pewno jakaś wada genetyczna. Chroniczny brak wycucia.

- Wiesz, wcale mi nie pomagasz. Od razu mi gorzej! Co z ciebie za przyjaciółka!?

Nina zacisnęła zęby, a jej nieskazitelna opalenizna wyraźnie pociemniała.

- Lepsza, niż na to zastugujesz - oświadczyła zimno. Wydęła wargi i spojrzała na mnie spod oka. - Jak myślisz, dlaczego delikatnie daję ci do zrozumienia, że może czas coś ze sobą zrobić? Bo troszczę się o ciebie, kobieto! Zależy mi, żeby te twoje bachory miały pełną rodzinę i żebyś co noc własnego faceta miała w łóżku! Powtórzę: żebyś to ty go co noc miała w łóżku!

- Co ty możesz wiedzieć o małżeństwie? - prychnęłam złośliwie, smarkając w papier toaletowy. - Przecież ty nawet męża nie masz.

Nina zeszywniała. Chyba poruszyłam drażliwy temat, nad którym zbyt często rozwodziły się nadgorliwe koleżanki i złośliwe ciocie. Nie mówiąc już o zestresowanej matce. Przez chwilę myślałam, że dostanę po głowie szczotką do ubikacji albo wbije mi w serce uchwyt do papieru toaletowego, ale opanowała mordercze odruchy. Odkaslnęła, starając się przeczyścić głos, a po chwili, nie patrząc zupełnie w moją stronę, powiedziała:

- Może i nie mam, jak to... trafnie zauważyłaś, męża, ale za to wiem, dlaczego zdradzają.

Przez chwilę milczałam. Patrzyłam tępo przed siebie, całą uwagę skupiając na nowych kafelkach. Zaraz po tym, jak dotarło do mnie, że są tak beznadziejne, iż powinni wstrzymać ich sprzedaż, i że Paweł zgodzi się na te kafelki, bo już go nic nie obchodzi i chce się wyprowadzić, coś mnie tknęło.

- A skąd ty możesz o tym wiedzieć? - zapytałam ponuro.

Przez chwilę nie odpowiadała. Bezmyślnie wycierała obcas w mój puchaty chodniczek, czyszcząc go z jakichś niewidzialnych psich odchodów, a potem rzuciła mi butne spojrzenie i wyznała odważnie:

- Miałam romans z żonatym facetem.

Jej słowa zdawały się z ogromną siłą uderzać w ohydne kafelki, a potem z wielokrotnionym echem odbijały się w mojej głowie: „Miałam romans z żonatym facetem”. Niestety, pomimo tej ogromnej siły jej wyznania, kafelki pozostały nienaruszone, czego nie można było zapewne powiedzieć o mojej minie.

- No co tak na mnie patrzysz? - spieszyła się. Ale tylko na chwilę. - Nie wiedziałam, że jest żonaty. Zawsze chował obrączkę. - Nina usiadła na wannie i w milczeniu bębniła palcami po jej brzegu. Gdy skończyła bębnić, mówiła dalej: - Kiedy po miesiącu bardzo intensywnej znajomości znalazłam

w końcu obrączkę, przyznał się, że ma żonę. A potem przy sięgał, że się rozwodzi. Mówił, że ona doprowadza go ostateczności, że jak ma spełnić obowiązek małżeński, to członek mu mdleje, a po przebudzeniu błaga o kastrację.

- To dlaczego z nim nie jesteś?

Wzruszyła ramionami.

- Zmienił zdanie. Wrócił do żony, bo ją jednak kochał - powiedziała sarkastycznie. - A członkowi przeszło - dodała jeszcze, uprzedzając swoją złośliwą uwagę.

- To dlaczego zdradził?

Na twarz Niny powróciła pewność siebie. Podniosła się z wanny i strzepnęła ze spódnicy niewidzialny pyłek.

- Dlatego tu jestem, moja droga. Żeby ci to uświadomić. - Uśmiechnęła się tajemniczo, jakby posiadała wszelką mądrość tej ziemi. - Słuchaj uważnie. Dziubasek, zapytany dlaczego zdradził żonę, odpowiedział dosyć zaskakująco, że nie mógł już znieść tego całego poświęcenia, które mu serwowała na deser. Żalił się, że ona z własnej nieprzymuszonej woli poświęca się dla rodziny, a potem jeszcze mu to wypomina. Jakby to była jego wina. Mówił, że czasami to on by wolał nie zjeść obiadu albo żeby żona sobie wreszcie nową sukienkę kupiła i była zadowolona, ale nie, ona woli się poświęcać. Pierze, gotuje, sprząta, pracuje, dzieci przewija i tak w kółko. I nie pozwala sobie pomóc, bo twierdzi, że przynajmniej nie musi po nikim poprawiać. Dziubasek mówił, że stała się żywym wcieleniem Matki Polki, i to, jak by to ująć, dużego kalibru, która zapatrzona w swoją misję zapomniała o sobie. I o nim przy okazji też.

- Jasne. Biedaczek - mrukniętam, dusząc się własnym sarkazmem. - Za dobrze mu było.

- No właśnie! - wykrzyknęła Nina. - O to chyba chodzi. Pomyślałam, że w tym całym jego głupim gadaniu coś jest. My kobiety po prostu za bardzo się staramy, zapominamy o sobie, myśląc o rodzinie, o wyższych celach. A facet? Zdradza, bo ma wystarczająco dużo czasu na myślenie o głupotach.

Kobieta wszystko w domu za niego robi i staje się meblem. Przestaje być tą wyjątkową i tajemniczą, zmienia się w kogoś przewidywalnego, kogoś, kto zawsze jest i będzie na wyciągnięcie ręki. Kobietom się wydaje, że zaskarbią sobie tym lojalność mężczyzn. A ja ci mówię, że lojalność mężczyzn jest fikcją. Oni szukają fascynacji. Odmiany, którą daje im inna kobieta. Taka, która chodzi do fryzjera i kupuje sobie nowe ciuchy. Jeśli staniesz się zdobyczą, niewolnicą, oni ponownie wyruszą na polowanie.

Spojrzałam na Ninę z pewnym przestachem.

- Myślisz, że mu się znudziłam? Spowszedniałam? Myślisz, że szuka odmiany?

Popatrzyła na mnie uważnie i wzruszyła ramionami.

- Nie mnie o tym sądzić - powiedziała dyplomatycznie, a ja już wiedziałam, że takie właśnie ma zdanie na temat całej tej historii.

Potem jeszcze westchnęła ciężko, jakby ona sama straciła już co najmniej dziesięciu mężów, i dodała olśniona nagle myślą:

- Ale ja ci pomogę! Tylko trzeba szybko i skutecznie działać. Może jeszcze nie jest za późno. Na dłuższe terapie nie ma czasu. Czas jest na wagę złota. Zrobimy ci jakiś mały re-tusz, trochę pobiegasz, to ci się cera poprawi, krew będzie lepiej krążyć. Oczywiście kupimy jakieś przyzwoite kosmetyki, działają natychmiastowo. No i fryzjer, seksowne buty, jakaś joga albo taniec na relaks. Zrobisz coś wreszcie tylko dla siebie, a nie dla rodziny - zaczęła się gorączkować, aż mnie to zdziwiło. - On sam musi na nowo zobaczyć w tobie atrakcyjną kobietę, nie tylko żonę, matkę i gosposię... - Spojrzała na mnie krytycznie i dodała: - No i dieta... trzeba wypłukać toksyny, gorycz. Aha, i pamiętaj, nerwy ze stali, ani słowa, bo wszystko popsujesz, rozhisteryzowane kobiety z zapuchniętymi oczami i ciekącym nosem zawsze przegrają z tymi wiecznie uśmiechniętymi, rozsądnymi kochankami, które

rzecz jasna nigdy nie oczekują niczego w zamian. Przynajmniej do rozwodu.

- Dlaczego tak ci na tym zależy, Nina? - zapytałam zrezygnowana.

Zamyśliła się przez chwilę, a potem powiedziała łagodniej niż zwykle:

- Mam potrzebę oczyszczenia sumienia, wiesz? Choć wina leży przecież po jego stronie. Ja nikogo nie zdradziłam. To on. - Zwaliła całą winę na byłego kochanka, a potem spojrzała na mnie wyjątkowo pokornie. - Ale mimo wszystko mam moralnego kaca.

Chrząknęłam.

- Chyba nie myślisz, że będę cię żałować? - zapytałam, patrząc na nią zde gustowana.

Spuściła głowę.

- Nie - odezwała się nieco przytłumionym głosem. - Jestem głupia, naiwna gęś i tyle. Ale to już nie ma znaczenia. Jeżeli ci się uda z Pawłem, a ja choć odrobinę ci w tym pomogę, poczuję się o wiele lepiej. Słuchaj, a nie masz jakiegoś podejrzenia, co to za jedna?

Westchnęłam głęboko.

- Nie wiem, ale właśnie się dowiedziałam, że ma nową asystentkę. Może ona?

- No to musimy ją sobie obejrzeć, kochana! - Nina ożywiła się i znów była sobą. - Czekam dziś w południe pod Adasiem, tylko się nie spóźnij! Zadzwoń do Tereski. Aha, i nie mów jej o tej całej historii. Więcej by się do mnie nie odezwała. Dla niej małżeństwo to świętość. A takie jak ja powinno się potopić i jeszcze dobić kamieniami na wszelki wypadek.

- A dlaczego zakładasz, że ja się odezwę? Teraz też uważam, że takie powinno się topić. Chyba rozumiesz.

- Niby tak - zgodziła się, odsuwając na wszelki wypadek od wanny. - Ale ja jestem ci potrzebna - argumentowała. - I zrobię z ciebie modelową żonę. A Matkom Polkom podziękujemy.

Aha, i tak przy okazji - popatrzyła na mnie ze słodkim uśmiechem - bardzo cię proszę, nigdy mnie nie pytaj, czy podobają mi się twoje nowe kafelki, dobrze? Tak będzie lepiej.

Stałam w progu, patrząc we wściekle oczy teściowej, i zastanawiałam się, czy aby na pewno dobrze zrobiłam. Może jednak lepiej by było zabrać dzieciaki na lotnisko i zaryzykować jakieś utrudnienia w obsłudze naziemnej tudzież opóźnienia w lotach? Ale na to już za późno. Dzieci zniknęły w środku, pociągając za sobą Księżniczkę.

- Jestem bardzo wdzięczna - zagryzłam wargi. Po pełnej przygodzie podróży tramwajem moja wdzięczność była niezwykle szczera.

Cisza.

- To odbiorę je po południu.

Cisza.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy.

- Nie - odpowiedziała. Krótko i bez uśmiechu. Jej oczy mówiły mi jednak co innego. Z niesmakiem przyglądała się mojej wczorajszej fryzurze i podpuchniętym oczom. - Ja zawsze mam czas dla dzieci. Ja priorytety mam. Chociaż Księżniczkę do trenera miałam zabrać, bo ma wystawę w przyszłym tygodniu.

- Chyba do tresera - wyrwało mi się.

Teściowa znieruchomiała.

- Do trenera - powtórzyła powoli, przyglądając mi się uważnie. Ciarki mnie przeszły. - Nie wiesz, że ona jest inteligentniejsza od przeciętnego psa? I niejednego człowieka - dodała jeszcze, patrząc na mnie wymownie, a potem zamknęła przede mną drzwi.

Budynek lotniska był wyjątkowo zatłoczony, na co zapewne złożyły się wakacje i zaczynający się właśnie weekend. Tabuny turystów wylewały się zza barierek jak stada krów na łąki pełne soczystej trawy.

Po stronie oczekujących zwarta grupa ludzi z wyraźnym napięciem na twarzach uczestniczyła w konkursie „kto pierwszy dojrzy swoich bliskich”. Samolot z Madrytu, gdzie przesiadała się siostra Perpetua lecąca z Medellin, miał już godzinne opóźnienie. Z nudów obserwowałam dwóch mężczyzn, którzy stali sztywno poza tłumem, blisko wyjścia, i z kamiennymi minami przyglądali się tej wędrowce ludów. Jeden miał bardzo wyłupiaste oczy, drugi był wyjątkowo przystojny. Przez całą godzinę nie ruszyli się z miejsca. Nawet o centymetr. Wyglądali na agentów specjalnych, biorących udział w jakiejś policyjnej akcji.

Rafał denerwował się jak zwykle, kiedy w grę wchodziły sprawy zawodowe. Kurczowo ścisnął w dłoni wielką kartkę z napisem PERPETUA CADENA.

- To jak jest „cześć” po hiszpańsku? Pisze się *ola*, a wymawia „hola” czy odwrotnie? - zapytał kolejny raz.

- Mówiłam ci już ze dwieście razy, pisze się *hola*, czyta „ola”. Słuchaj, Rafał, moim zdaniem podchodzisz do tego wszystkiego zbyt poważnie. Przecież to nie jest żaden papież, tylko najzwyczajniejsza zakonnica - oświadczyłam, siadając ze zniecierpliwienia na podłodze. Pomiędzy nogami stojącej przede mną w rozkroku grubej kobiety w koronkowych stringach wychodzących niesmacznie z jej stanowczo za małych dżinsów miałam doskonały widok na przybywających do Krakowa pasażerów.

- Co to znaczy „zbyt poważnie”? - wściekł się Rafał. Poprawił koloratkę i starał się nie dostrzegać koronkowych sznureczków. - Zrozum, tu chodzi o wymianę słowa Bożego! O międzynarodowe, co ja mówię, międzykontynentalne „Niech będzie pochwalony”, rozumiesz!?

- Nawet nie chcę sobie wyobrazić, jak się będziesz denerwował, kiedy trzeba będzie tak międzygalaktycznie - rzuciłam niedbale.

Rafał wyszczerzył kły, ale w ostatniej chwili odpuścił. W końcu, jakkolwiek by było, wyświadczałam mu przysługę. Byłam mu potrzebna.

- Toleruję cię tylko i wyłącznie dlatego, że wiem, iż jesteś karą za grzechy młodości - powiedział zrezygnowany. - Musisz mnie zrozumieć, chodzi o to, żeby zrobić dobre wrażenie. Wiesz, jak ja bym chciał jechać do Kolumbii? Na misje... - Zapatrzył się gdzieś ponad głowami tłumu. - Dzika przyroda, słowo Boże niezepsute cywilizacją, pierwotne klimaty...

- Dzikuski z przepaskami na biodrach - palnęłam bez namysłu, obserwując różnokolorowy tłum wylewający się z korytarza. Żadnej zakonnicy nie było widać.

Rafał spojrział na mnie z politowaniem, ale nie zdążył skomentować, bo gruba kobieta stojąca przede mną cofnęła się nagle i z całym impetem swojej gigantycznej pupy runęła na mnie jak długa. Zaczęłam się dusić. Ludzie rzucili mi się na ratunek. Tylko Rafał, poprawiwszy spokojnym ruchem koloratkę, bynajmniej nie zamierzał się wysilać. W końcu spotkała mnie należna kara boska. Powoli odszedł w stronę tablicy informacyjnej i wpatrzył się w nią z takim przejęciem, jakby była ósmym cudem świata.

Kiedy wreszcie zdołano mnie podnieść, a gruba kobieta poradziła mi na drugi raz nie plątać się pod nogami, zauważyłam, że kolo Rafała pojawiła się dziewczyna ubrana w coś, co z grubsza przypominało habit. Odetchnęłam głęboko, sprawdzając, czy moje żebra są całe, poprawiłam bluzkę i podeszłam do brata. Przerażona mina Rafała była dla mnie niejakim zaskoczeniem. Przynajmniej dopóki nie przyjrzałam się z bliska stojącej obok zakonnicy. Dziewczyna, powiedzmy sobie krótko, była niezziemskiej urody. Miała twarz anioła, a kształty aniołka, ale takiego z pokazu bielizny. I odniosłam wrażenie, że pod tym kusym szarym workiem, udającym habit zakonny, taką właśnie pokazową bieliznę nosi. Przed nami stała Marilyn Monroe w wersji latino i przygryzała seksownie swoje zmystowe wargi. Wpatrywała się w kartkę, którą ścisnął Rafał.

- *El padre Rafał?* - zapytała z cudownym akcentem, przywołującym na myśl egzotyczne lądy. Potem odrzuciła do tyłu

swoje długie, lśniące kruczoczarne włosy, a świat zatrzymał się z zachwytu na ułamek sekundy. - *Buenos días, soy yo, Perpetua Cadena.*

Wpatrywaliśmy się w piękną siostrę Perpetuę z takim zdumieniem, jakby właśnie zażądała widzenia z prezydentem. Po chwili milczenia zmieszała się nieco i obciągnęła swój seksownie postrzępiony pseudohabit.

- *Perdón, estoy buscando al padre Rafał...*

Brak reakcji z naszej strony nieco ją zniechęcił. Już się odwracała, żeby odejść, kiedy wrócił mi głos.

- *Bienvenida. El es el padre Rafał. Yo soy su Hermana Agata. Mucho gusto.* - Uśmiechnęłam się i wyciągnęłam rękę w przyjacielskim odruchu.

Siostra Perpetua odetchnęła z ulgą i podała mi swoją dłoń.

Spojrzałam ponaglająco na Rafała, który zmieszał się nieco, ale chcąc sprawić dobre wrażenie, w końcu marzył o podróży do Kolumbii, wypalił:

- Ooo lala! To znaczy... chciałem powiedzieć... hola... lala, e... to znaczy ola!? - Zaczął się jąkać i spojrzał na mnie zrozpaczony. Uśmiechnęłam się ironicznie i chwyciwszy zakonnice pod ramię, pociągnęłam ją w stronę wyjścia.

Po kilku krokach Perpetua zatrzymała się jednak. Miałam wrażenie, że widok stojących przy drzwiach mężczyzn, których obserwowałam wcześniej, przypomniał jej o czymś nader istotnym. Przygryzła lekko kuszące usta, a na jej twarzy pojawiła się mina wyrażająca dziwny niepokój. Odwróciła się.

- *Un momentito, por favor* - powiedziała nagle.

Potem w milczeniu otworzyła swoją małą walizkę i wyciągnęła z niej welon zakonny, z którym bez zbędnych wyjaśnień zniknęła w toalecie.

Wymieniłam z Rafałem zdziwione spojrzenia, ale nie było nam dane porozmawiać, bo siostra Perpetua pojawiła się równie szybko, jak zniknęła. Już w welonie. Wyglądała nie mniej

pięknie, ale na pewno bardziej profesjonalnie. Okrywając twarz zwojem tkaniny, chwyciła mnie władczo za ramię i pociągnęła do wyjścia. Zaskoczona nie stawiałam oporu. Ciągnięta przez Perpetuę, odwróciłam twarz w kierunku Rafała, który jeszcze przez chwilę stał nieruchomo w miejscu, jakby ktoś posmarował mu dla żartu podeszwy butów mocnym klejem. Po chwili wziął się jednak w garść. Spojrzał w niebo i bąknąwszy coś pod nosem, chwycił walizkę siostry Perpetui i powlókł się za nami.

W samochodzie Rafała wymieniłam z siostrą Perpetuą, siedzącą z tyłu, grzecznościowe formułki. Wyjaśniłam, że mój brat zawiezie ją do klasztoru, w którym przygotowano miejsca dla misjonarek, i tam wszyscy porozmawiają sobie na temat spotkań misyjnych, bo matka przełożona zna hiszpański. Potem Rafał wybąkał jeszcze parę słów w języku, którego nie znałam i nie rozpoznałam, i podał zakonnicy małą paczkę, którą wcześniej wyciągnął ze schowka z przodu samochodu. Kazał mi tłumaczyć te swoje mamrotania. Perpetua uśmiechała się uroczo i patrzyła na niego z oczekiwaniem. Ja też. Przez chwilę panowało milczenie.

- No, przetłumacz. Powiedziałem, że to od księdza Eryka. W podziękowaniu za materiały o egzorcystach, które miała mu przywieźć - ponaglił mnie z wyrzutem.

Przetłumaczyłam. Siostra Perpetua ucieszyła się niezmiernie i od razu zapakowała paczkę do swojej dosyć ekstrawaganckiej jak na zakonnicę torebki ze skóry aligatora. Potem powiedziała, że zdobyła tyle materiałów, ile się tylko dało, ale nie było to takie proste, bo egzorcyści są bardzo skryci i nie lubią dzielić się swoimi tajemnicami. Wyraziła jeszcze nadzieję, że ksiądz Eryk znajdzie czas w tygodniu misyjnym, żeby porozmawiać, na tematy zawodowe oczywiście. Pokiwałam głową ze zrozumieniem, a ona zapytała mnie jeszcze, czym myję włosy, bo mi się tak ładnie świecą, i zapadła cisza.

Rafał zdążył już wyjechać z parkingu. Siedział spięty za kierownicą i wyglądał, jakby mu brakowało powietrza.

- Coś ty taki zestresowany? - zapytałam, kątem oka przyglądając się ponętej zakonnicy. Szukała czegoś w torebce.

- Nie tak sobie wyobrażałem służebnicę boską w Kolumbii - chrząknął, nie patrząc na mnie i nerwowo szarpnął za wajchę, wrzucając piątkę zamiast trójki. Samochód zakrztuścił się, ale dzielnie wytrzymał spięcie i posuwał się naprzód.

- Co masz na myśli?

- No wiesz... - Zerknął do tyłu i bezwiednie uśmiechnął się do Perpetui, która nie przestawała grzebać w torebce.

- Nie wiem.

Westchnął zrezygnowany, znając mój perfidny charakter.

- Myślałem, że ona będzie taka zwyczajna... Rozumiesz... taka jak inne...

- To znaczy płaska, niska i pryszczata?

Rzucił mi wzburzone spojrzenie.

- No nie, nie o to chodzi... Popatrz, jaki ona ma habit. Przecież to nie do pomyślenia w normalnym kraju.

- Widocznie na misjach mają inne standardy. Może tkanina to materiał deficytowy, wydawany jedynie na wyjazdy służbowe. - Odwróciłam się do niego podekscytowana. - Kto wie? Może na co dzień chodzą tam w habitach z liści?

Wzniósł oczy do nieba, choć dach samochodu bez wątpienia ograniczał jego widoczność.

- Ty i te twoje teorie. Nie wiem, jak Paweł z tobą wytrzyma. Myślę, że ma zaklepane miejsce w rajcu.

- Jeśli przyjmują tam cudzołożników, to na pewno - wymknęło mi się i zaraz pożałowałam swoich słów. Rafał spojrział na mnie w bezdennym zdumieniu.

- Co!? Czy tobie już zupełnie rozum odjęto?

Chcąc udowodnić swoją rację, opowiedziałam mu o znalezisku. Rafał, jak każdy facet, nie potrafił się wczuć w sytuację.

- Co ty mi tu za bzdury opowiadasz! Wiesz, jakie ja rzeczy słyszę w konfesjonale? Ludzie to prawdziwe zmartwienia mają, a nie jakieś wydumane brednie. Na pewno jest na to sensowne wytłumaczenie! - Zauważając moje powątpiewanie, dodał z wyjątkową jak na niego cierpliwością: - Słuchaj, ożenił się z tobą, jego sprawa, nie rozumiem tego, ale poza tym to fajny chłop jest. Ma swoje zasady. Nie wierzę, żeby cię zdradzał. Znowu ci się pogarsza twoje... - Postukał się wymownie w czoło. - Chyba się starzejesz - dodał złośliwie.

Przestałam się odzywać. Ksiądz od siedmiu boleści! Nie powinien być stronniczy, a jednak owo braterstwo płci, żeby nie nazwać tego inaczej, działa. A braterstwo krwi? W końcu, jakkolwiek by było, jest moim rodzonym bratem.

Wrogie milczenie przerwała nagle siostra Perpetua.

- Przepraszam... - powiedziała nie do końca wyraźnie, ale za to jak najbardziej po polsku i uśmiechnęła się do nas wyjątkowo promiennie.

Rafał o mało nie spowodował wypadku. W ostatnim momencie zahamował gwałtownie, a starsza, wydawałaby się, niedołączna kobieta w berecie, która właśnie władowała się na pasy, wyprostowała się wściekła i pogroziła mu laską. Miał szczęście, że nie rozbiła szyby.

Wymieniliśmy z bratem przerażone spojrzenia i gwałtownie odwróciliśmy się do ślicznej Kolumbijki, która widząc nasze, delikatnie mówiąc, zdumione miny, uśmiechnęła się i pokazała piękne lśniące białe zęby:

- Dziękuję...

Zamartłam.

- Miło mi bardzo...

Zaczęłam ciężko dyszeć. „Dziękuję... Miło mi, miło mi...”
że co!? Że nie uważamy jej za płaską, niską i pryszczatą!?

- Masz piękne oczy... - rzuciła nagle w stronę Rafała i zatrzepotała lasem rzęs.

Muszę przyznać, że to wcale nie pomogło nam otrząsnąć się z szoku. Rafał zbladł jeszcze bardziej. Gdyby nie to, że samochody za nim zaczęły trąbić, zmuszając go do dalszej jazdy, stałby tam chyba do końca świata. Ruszył ze straszliwym zgrzytem, nie patrząc na zakonnice, która roześmiała się srebrzyście, zadowolona z wrażenia, jakie zrobiła na nas jej znajomość polskiego, a potem przerzuciła się na hiszpański.

- Tylko te wyrażenia znam po polsku - powiedziała do mnie. - No i jeszcze „ale dupa”, ale babcia mówiła, że tak się nie powinno mówić.

Patrzyłam na nią, nadal nie mogąc dojść do siebie.

- Moja babcia była Polką - wyjaśniła. - Pamiętam tylko kilka zwrotów. Babcia zmarła dawno temu, ale zawsze chciałam odwiedzić jej ojczyznę - uśmiechnęła się. - Kto wie, może postaram się o obywatelstwo i zostanę?

- Co powiedziała? - rzucił zduszonym głosem Rafał, starając się nie spowodować żadnego wypadku.

- Przecież słyszałeś. Powiedziała, że masz ładne oczy i że jej babcia była Polką.

Przestał się odzywać.

- Przepraszam, czy nie masz przypadkiem jakichś środków na zatwardzenie? Wszystkie mi się skończyły - rzuciła jeszcze bez skrępowania.

Przełknęłam ślinę.

- Nie, nie mam - odpowiedziałam swobodnie, jakby na co dzień niewiarygodnie piękne misjonarki pytały mnie o środki na zatwardzenie.

Wyciągnęła papierosa i bez pytania zapaliła.

- Wiesz, te podróże samolotami nie wpływają na mnie korzystnie - dodała w formie wyjaśnienia, a ja zgodziłam się z nią bez zmrużenia oka.

Rafał tym razem nawet nie chciał wiedzieć, co mówiła.

- Jedź ze mną do klasztoru, błagam cię - syknął nagle przerażonym głosem. Dojeżdżaliśmy do centrum.

- Nie mogę, umówiłam się z Niną, już jestem spóźniona.
- Dobra, ale potem nie przychodź do mnie po rozgrzeszenie - syknął z groźbą w głosie i zatrzymał samochód.

Wygramoliłam się z auta. Siostra Perpetua postanowiła przejąć się na moje miejsce. Wsiadła i rozdeptała na chodniku niedopałek papierosa czarnym bucikiem na całkiem przyzwoitym obcasie. Potem usiadła na przednim siedzeniu, moszcząc się wygodnie, przez co kusy habit zrobił się nieprzyzwoicie krótki i odsłonił jej ponętne udo. Ze zdumieniem zauważyłam wytatuowany końcowy fragment napisu ... *mi religión*, zakończony znakiem nieskończoności.

Jakie to nowatorskie, pomyślałam z uznaniem. Ma wytatuowany symbol przynależności. Do końca wierna Bogu.

Rafał nerwowo poprawił koloratkę.

- To na razie - powiedziałam do niego, nie mogąc oderwać wzroku od uda zakonnicy.

Mój brat nie zamierzał się odezwać. I też nie mógł oderwać wzroku od uda Perpetui.

- *Hasta luego* - uśmiechnęła się do mnie uroczo siostra Perpetua, wydając się zadowolona z wrażenia, jakie zrobił na nas jej tatuaż. Kiedy jednak przez dłuższą chwilę nic się nie działo, odwróciła się do Rafała. - *Nos vamos?* - zapytała, a Rafał, przerzucając spojrzenie zarzynanego prosiaka na mnie, włączył silnik.

Nina czekała już zniecierpliwiona pod Adasiem. Żeby nie wysłuchiwać jej narzekań na mój brak punktualności, opowiedziałam o poznanej właśnie zakonnicy, ale to wszystko wcale nie wydało się jej dziwne.

- Kobiety bez faceta zawsze wariują - skomentowała, a potem dodała jeszcze tym swoim ironicznym tonem: - Gotowa do akcji? - Bynajmniej nie patrzyła na mnie.

W oknie wystawowym przyglądała się uważnie swojemu lewemu oku, które jej zdaniem było nieco mniejsze niż prawe.

Potem sprawdziła czystość wyjątkowo białych zębów i błyskawicznie poprawiła makijaż. Obserwując ją, zaczęłam pograżać się w rozmyśleniach na temat własnej osoby i zastanawiać, kiedy ostatni raz poprawiałam sobie makijaż na mieście. Niech pomyślę. Nigdy? Odsunęłam się nieco.

- Powiem ci, że w głębi duszy to i tak nie wierzę, żeby Paweł mnie zdradzał. To musi być jakaś pomyłka.

- Aha! Chcesz przymknąć na to oko, jak te wszystkie kobiety, które tolerują zdradę męża, by w spokoju i dostatku dożyć starości? Taki mechanizm obronny: jeśli czegoś nie widzę, to tego nie ma, co? Frajerka - zamruczała pod nosem i włożyła swoje wielkie przeciwstónczne okulary. Chanel. Z najnowszej kolekcji. Ale i tak wyglądały jak dwa przyciemniane denka od słoików.

- Dlaczego od razu szufladkujesz? - Nie spodobało mi się słowo „frajerka”. - Zrozum, jeśli się nad tym zastanowić, to nie ma żadnej racjonalnej podstawy, żeby twierdzić, że mnie zdradza - przekonywałam po raz kolejny samą siebie, bo Nina już dawno wydała wyrok.

- Oprócz prezerwatywy - rzuciła, patrząc na zegarek. - Gdzie ta Tereska? Czy ona zawsze musi się spóźniać?

- Przyznaję, prezerwatywę znalazłam, ale to wcale nie znaczy, że była jego.

- No tak. Mogła być jeszcze jego kochanki. Na miłość boską, Agata! Obudź się! - Wczepiła się nagle w moje ramię swoimi czerwonymi szponami i potrząsnęła mną mocno. - Zdradzane kobiety zawsze dowiadują się o fakcie ostatnie. Najczęściej, kiedy kochanka jest w ciąży! Wiem coś o tym. - Zazgrzytała zębami, mając zapewne w pamięci brzemienną kochankę swojego eksnarzeczonego.

Poirytowana odwróciłam wzrok i zobaczyłam Tereskę manewrującą wśród tłumu wózkiem. Widząc nas, zaczęła rozpaczliwie machać.

- Matko jedyna! - Nina schowała się za moimi plecami. Stanowczo nie była miłośniczką płaczących niemowląt. - Po co ona je wzięła?

Tereska dopadła nas, dysząc jak lokomotywa i starając się przekrzywić histeryczny płacz wydobywający się z wózka.

- Strasznie was przepraszam! Nie mogę go uspokoić, a moja niania zaniemogła!

- Też bym zaniemogła - szepnęła mi do ucha Nina, poprawiając okulary i rozglądając się nerwowo.

Tereska z gestem rozpaczycy rzuciła mi torebkę i wyciągnęła wyjące wniebogłosy niemowlę.

Przytulanie, kołysanie, a nawet delikatne duszenie nic nie dało. Nina obserwowała z niesmakiem drącego się malucha, a po chwili, zapewne zażenowana powszechną uwagą, nachyliła się do mnie i syknęła mi do ucha:

- Czemu ona mu nie każe, żeby był ciszej? Albo chociaż...

Nie dokończyła, bo najwidoczniej język jej zwiotczał z przeżenienia. Tereska, nic sobie nie robiąc z tłumów, usiadła na ławeczce przed pomnikiem wieszczą Adasia i rozkoszując się widokiem bazyliki Mariackiej, wyciągnęła na światło dzienne swoją imponującą mleczną pierś, a potem przystawiła do niej Frania. Maluch zamarł z zachwytu i zaczął ssać. Tereska w jednej chwili zaczęła emanować wewnętrznym blaskiem i spokojem, a na jej twarzy pojawił się błogi, a nawet prawdziwie błogostawiony uśmiech matki, dumnej ze swojej roli w społeczeństwie. Bazylika dodawała jej niepowtarzalnej aury świętości.

Usiadłam tuż obok niej. Patrzyłam z rozrzewnieniem na Frania, którego pełna buzia była wypisz, wymaluj buzią Tadeusza, męża Tereski.

- Jaki podobny do Tadzia.

- Tak? - zdziwiła się Tereska i spojrzała z czułością na małego, który najedzony, zasypiał słodko w ramionach mamy. - Wszyscy mówią, że wygląda dokładnie jak mój tata.

- Bo łysy i bez zębów - mruknęła Nina, przyglądając się pogrążonemu we śnie Franiowi. Spojrzała na Tereskę. Widząc wyraz jej twarzy, zreflektowała się. - Ale tak poza tym, to miły dzidziuś... O, śpi. Chowaj swoją mleczarnię, Tereska, i idziemy. Ja nie mam całego dnia. Niektórzy dzisiaj muszą wrócić do pracy.

Tereska zapakowała Frania do wózka i starając się nadażyć za Niną, której szpilki wydawały się zaopatrzone w silniczek odrzutowy najnowszej generacji, ruszyliśmy w stronę budynku, w którym pracował Paweł.

- Nina, a ty nigdy poważnie nie myślałaś o dzieciach? - zapytała Tereska.

- Jasne że myślałam i nadal myślę. Nawet dosyć często... - odparła Nina, nie oglądając się na nas. Parła do przodu w takim tempie, że dostałam zadyszki, starając się dotrzymać jej kroku. - A już szczególnie często myślę o tych wrednych bliźniakach zza ściany. Istne potwory. Spać po nocach nie mogę, tak wyją. Hasło „dzieci przynoszą szczęście” to mit wymyślony na potrzeby prokreacji. To propaganda i spisek ludzi, którzy wpadli po uszy w ten kanał wypełniony szczęściem umoczoną w gównie, i tych rządowych agentów, którzy muszą zadbać o przyszłe emerytury! - wyrzucała z siebie wściekłe ryki.

Wolałam się nie odzywać. Żeby przypadkiem nie przyznać jej racji.

- Nina, jakbyś spędziła trochę czasu z jakimś dzidziusiem, od razu by się w tobie obudził instynkt macierzyński i też byś się zdecydowała...

- Tak. Na pewno bym się zdecydowała. - Nina rzuciła Teresce spojrzenie pełne politowania. - Chyba na sterylizację. Ja was bardzo proszę, nie starajcie się mnie uszczęśliwić na siłę.

- Nina, ale dzieci nie chcesz mieć? Co z ciebie za kobieta? - wydyszała Tereska, ściskając kurczowo wózek.

Nina stanęła gwałtownie, a ja zatrzymałam się milimetry od jej karku.

- Bo ja egoistyczna suka jestem - oświadczyła zimno i roześmiała się nonszalanckim śmiechem, w którym pobrzmiewały jakieś fałszywe nuty.

Budynek, w którym mieściły się biura fabryki sprzętu medycznego Kramed, wznosił się dumnie aż do drugiego piętra - wyżej trwały od dłuższego czasu prace remontowe, a panowie robotnicy wydawali się mieć wieczną przerwę na drugie śniadanie. Po przerwie zazwyczaj jeden z nich coś tam próbował robić, ale nie bardzo mu to wychodziło pomimo szczerego dopingu ze strony reszty załogi.

W recepcji zastałyśmy pana Władka, który od lat decydował, kogo wpuścić, a kogo nie. Jego oczy, jak zwykle zresztą, utkwione były w ekranie telewizora. Oglądał kolejną powtórkę *Klanu*. Nie zwrócił na nas najmniejszej uwagi.

Nina chrząknęła, a nie doczekawszy się żadnej reakcji z jego strony, zastukała w ladę.

- Czego? - warknął pan Władek, nie odrywając wzroku od ekranu.

Nina zacisnęła pięść, chcąc znokautować bezczelnego, ale ja zakasłałam, dobrze znając gołębie serce pana Władka. Momentalnie podniósł oczy, bo rozpoznawał każdy głos. Był słuchowcem.

- A, dzień dobry, pani wicedyrektorowo! - uśmiechnął się wyszczerbionym uśmiechem i od razu znalazł się tuż obok nas. - A może powinienem powiedzieć „pani dyrektorowo”?

Byle nie pani eksdyrektorowo, pomyślałam i odwzajemniłam jego uśmiech.

- Proszę nie zapeszać. Jeszcze nic nie wiadomo. Prezes ma podjąć decyzję dopiero w przyszłym tygodniu.

- To ja w takim razie nic nie mówiłem - powiedział, a potem dostrzegł wózek Tereski i pochylił się nad dzieciątkiem. -

Ach, jaki śliczny chłopczyk! - jęknął z zachwytu i niemal cały zniknął w wózku.

Tereska rzuciła mi przerażone spojrzenie. Szarpnęłam go za rękaw.

- Panie Władku, ja muszę na chwilę skoczyć do męża.

Wyszedł z wózka i nie odrywając oczu od Frania, powiedział do mnie:

- Zaraz do niego zadzwonię.

- Nie! Ja... chcę mu niespodziankę... Mogłabym wejść na chwilę?

- Dobrze, dobrze, tylko proszę mi żadnego numeru nie wyciąć, bo wie pani, nieupoważnionym wstęp wzbroniony i mógłbym mieć problemy. - Wskazał ręką tabliczkę. - Cale szczęście, że kiedyś prezesa nakryłem z jedną taką i teraz mam większą swobodę - dodał nagle pewnym siebie tonem i znowu zaczął zachwycać się Franiem.

Nina ruchem głowy nakazała Teresce zostać, a mnie pociągnęła w stronę schodów.

Dział eksportu Kramedu znajdował się na pierwszym piętrze i oddzielony był od korytarza na w pół przeszkolonymi drzwiami chronionymi kodem dostępu, którego, jak się okazało, nie znałam. Żeby wejść, trzeba było zadzwonić. Przez chwilę stałyśmy z Niną z nosami rozpląszczonymi na szybie, starając się dostrzec coś przez oszklone drzwi. Kiedy wymyśliłam pretekst naszej wizyty i miałam wcisnąć dzwonek, zobaczyłam coś, co sprawiło, że żaden pretekst nie był mi już potrzebny.

Drzwi do biura Pawła otworzyły się i stanął w nich mój mąż we własnej osobie. Rozejrzał się szefowskim spojrzeniem, a potem przywołał do siebie jakąś wysoką blondynę. Tłumaczył jej coś z podejrzanym zapałem dobrą chwilę, a na końcu wręczył jakieś dokumenty i powiedział coś, co rozśmieszyło ją niezmiernie. Śmiejąc się, przysięgłabym wyuzdanie, blondyna obróciła się powoli, jak gdyby chcąc pokazać się nam

w pełnej krasie, zołza jedna, i podeszła do swojego biurka, obciążając po drodze mini, która ledwie okrywała jej sterczący tyłek. Widziałam, jak Paweł gapił się na nią przez chwilę, a potem zniknął za drzwiami swojego gabinetu.

- To musi być ona! Nasza Dorotka z krainy Oz - wysyczała z przejęciem Nina. - Ale lala!

- Nawet wiem, o co poprosiła czarnoksiężnika - mruknęłam złośliwie, przypatrując się jej wypukłościom, ale moje serce wykrwawiało się z żalu. Bo jak nie mieć romansu z taką lalą? Sama bym pewnie miała. Oczywiście, gdybym była facetem. Albo lesbijką. Czułam się zraniona. Paweł wydal mi się nagle jakiś obcy, a jego potencjalna zdrada dziwnie realna.

Nina zarechotała.

- No. Ten silikon musiał ją kosztować majątek.

- Prawda? - zaczęto we mnie kiełkować ziarenko nadziei. Starłam się nie pamiętać, że nadzieja jest matką głupich. Oparłam się o ścianę. - Jakoś nie chce mi się wierzyć, żeby Paweł upadł tak nisko i dostawiał się do takiej silikonowej lali.

Nina oderwała nos od szyby i popatrzyła na mnie z litością. A potem dodała słodkim głosem:

- Cycki może i ma sztuczne, ale co z tego? Sztuczne czy nie, facetowi wystarczy, że może ich dotknąć i od razu zyskują na autentyczności - brutalnie rozwiąła moje złudzenia.

Załamana, usiadłam na podłodze.

- Cukier. Potrzebuję cukru! Czekolady!

- Nie wolno ci! Teraz musisz wziąć się w garść, kochana, i doprowadzić do porządku.

Wcisnęłam się w kąt za drzwiami i zaczęłam zawodzić pieśni żałobne. I siedziałabym tak pewnie całą wieczność, gdyby nie to, że drzwi otworzyły się niespodziewanie i docisnęły mnie do ściany tak, że na policzku odbił mi się ścienny tatuaż. Jęknęłam cicho, ale mój jęk został zagłuszony przez piszczący i zwodniczo ponętny głos Niny. Drzwi nie

zamierzały mnie puścić. Podejrzewałam, że w moim zniewoleniu główną rolę odgrywa noga Niny.

- Witam, panie Grzegorzu. - Teraz zapewne nastąpiło trzepotanie rzęsami i odpowiedni wymach ramion, nadający jej kuszącym piersiom jeszcze bardziej soczysty wygląd. - Jak miło pana spotkać.

Przestałam się ruszać i nadstawiłam uszu. Chwila ciszy.

- A... dzień dobry - usłyszałam oniemiały głos Grzesia, najbliższego współpracownika i jednocześnie najlepszego przyjaciela mojego męża. - A... pani Nina, prawda? Mo... może w czymś pomóc? Przyszła pani do kogoś?

- Taak. Odwiedzałam koleżankę z administracji.

- Którą?

- Taką tam. Może mi pan pomóc, panie Grzegorzu?

- Oczywiście - jego gotowość była imponująca. - Ja zawsze jestem chętny...

- Ja wiem, i dlatego tak pana podziwiam.

- Naprawdę?

- Tak. Ale wie pan, ja chyba się zgubiłam. Mógłby mi pan pokazać drogę do wyjścia?

Chwila ciszy.

- Zejdzie pani po schodach i tam już jest wyjście. Może pani też zjechać windą. Poziom zero...

- Naprawdę? Ach, jaka ja jestem roztrzepana. - Tu na pewno czarujący i olśniewający śmiech. - Ogromnie panu dziękuję za pomoc.

- Ależ nie ma za co...

- Ależ oczywiście, że jest! W podziękowaniu zapraszam pana na drinka dziś wieczorem. A może ma pan jakieś inne plany?

- Nie, nie mam.

- Świetnie! To jesteśmy umówieni.

- Ależ absolutnie...

- Proszę nic nie mówić! Ja wiem, pan jest taki domyślny, pan od razu wiedział, że nie chodzi o żadną wdzięczność!

Bo tak naprawdę, to ja od dawna chciałam pana zaprosić na drinka! Od tego grilla u Majewskich! Tylko... - ciężkie westchnięcie - ja taka nieśmiała jestem.

- Ale...

- To zgadza się pan?

- Tak, ale...

- Świetnie! To o ósmej w Drukarni, dobrze?

- No...

- To proszę już wracać do pracy, żeby się pan ze wszystkim wyrobił. Proszę zapamiętać, że mężczyzna, który spóźnia się na spotkanie z kobietą, traci na męskości. 1 na innych rzeczach też traci - głos Niny zabrzmiał wyjątkowo stanowczo. - Do widzenia!

- Taak, oczywiście.

Usłyszałam szybki tupot. Drzwi zamknęły się, a ja z ledwością odlepiłam się od ściany i ześlizgnęłam prosto na podłogę. Potem z trudem wstałam i startam z policzków ślady farby. Spojrzałam na Ninę. Światło rozjaśniło jej wyprostowaną sylwetkę i, mogłabym przysiąc, zobaczyłam wyrastające jej z głowy małe rogi. Chwycała mnie za rękę i z diabelskim uśmiechem wyciągnęła z kąta.

- Nic się nie bój, już ja się wszystkiego dowiem! Jestem pewna, że ten Grzegorz wie o wszystkim.

- Chcesz użyć Grzesia do takich celów? To manipulacja! Jesteś okrutna!

Znałam Grzesia od lat. Był sympatycznym, bardzo nieśmiałym facetem z nieprawdopodobnie wielkimi uszami, które kojarzyły mi się z ulubioną bajką mojej najmłodszej latorośli. *Dumbo*. Taak. Choć uszy miał zasadniczo mniejsze. Słoń, oczywiście. Nina nie miała żadnych sentymentów. Widziała Grzesia tylko raz, na wspomnianym przez nią grillu w moim ogródku, i jedyne, co zapamiętała, to jego uszy.

- Ktoś musi być. Życie to nie bajka. Przecież nic mu nie zrobię, zapytam go tylko mimochodem o to i owo, spiję, dowiem

się, czego trzeba, a potem z żalem zawiadomię, że dla nas jednak nie ma przyszłości. Nie zdąży się zaangażować w jeden wieczór, nie uważasz? Wiesz, gdyby nie te uszy, tobym go nie poznała.

- Jakby się nad tym zastanowić, to może on rzeczywiście ma romans? - oświadczyłam ponuro, wpatrując się w pustą filiżankę po podwójnym espresso i przysłuchując zaskakująco nieregularnym uderzeniom swojego serca, układającym się w rytm marsza żałobnego. Na pewno mam jakąś wadę i szybko umrę. I wszyscy będą zadowoleni.

Siedziałyśmy w ogródku przy Rynku, obserwowane przez stado żebrzących gołębi. Smród ptasich odchodów w tym upale działał obezwładniająco. Słońce prażyło, nic sobie nie robiąc z mojego cmentarnego nastroju.

- Ostatnio jedyne, co robi wieczorami, to ślęczy przed komputerem. Twierdzi, że wdrażają jakiś nowy system. Może on nie chce już na mnie patrzeć, dlatego nie odrywa wzroku od monitora?

Spojrzałam ze złością na gołębie, które w ogóle nie zdając sobie sprawy z powagi ludzkich problemów, bezmyślnie pożerały rzucane im kawałki chleba. Nawet te wielkości bilardowych kul.

Milczenie przerwała Nina.

- Kobiety, spójrzcie tylko na siebie! - nie wytrzymała.

Spojrzałyśmy z Tereską po sobie. Franio zamruczał przez sen.

- I? - zapytałam, nie rozumiejąc.

Nina westchnęła ciężko i patrząc na mnie, wskazała na zaskoczoną Teresę.

- Co widzisz?

Przyjrzałam się siedzącej obok przyjaciółce.

- Tereskę? - odpowiedziałam niepewnie.

Nina wydeła wargi.

- A ty, Tereska, pewnie widzisz Agatę, co?

- Przez grzeczność nie będę zaprzeczać - mruknęła Tereska. - No mów, o co ci znowu chodzi?

Nina milczała przez chwilę, jak gdyby chciała spotęgować wrażenie, po czym zerwała się nagle.

- A wiecie, co ja widzę? Matki Polki widzę! - wrzasnęła, jakby to była najstraszniejsza obelga na świecie. A już na pewno w granicach naszej ojczyzny. Spłoszone gołębie poderwały się do lotu. - Tak świetne jesteście w roli żon i matek, że zapomnieliście, o tym, że przede wszystkim jesteście kobietami! Taka Tereska na przykład. - Nina najwyraźniej postanowiła mnie oszczędzić ze względu na ciężkie przejścia, choć nie miałam wątpliwości, że prędzej czy później o mnie też sobie przypomni. - Haruje jak wół, a od lat nie była na zakupach, bo Tadzio płótna potrzebuje! Żeby jeszcze sprzedawał za grube pieniądze te swoje portrety, ale nie! Rozdaje za darmo! Artysta! A Tereska, co? Uśmiecha się i prasuje dalej. Tadzio to pewnie i majtki ma wyprasowane, a Tereska co z tego ma? Nic! A panowie co robią? - Spojrzała krytycznie na siedzącą obok grupkę mężczyzn. Tak. Okazuje się, że oprócz Pawia na świecie żyje ich jeszcze spora liczba. - A panowie tylko siedzą i piją aperitify. I gdzie tu miejsce na prawdziwe życie?

- To zależy, jak kto pojmuje prawdziwe życie - oświadczyła obojętna na tego typu impertynencje Tereska i przytuliła Frania. - A mój Tadzio jest modelowym mężem i jak Frania uwielbia... Może jest odrobinę niezyciowy. W końcu jest artystą, ale przecież nie każdy facet musi być zaradny. Zrozum, on jest natchniony.

Nina patrzyła na nią przez chwilę z pobłażliwym uśmiechem i pokiwała głową.

- Tadzio jest natchniony, tak? Boże święty... Jak wy się dajecie wykorzystywać, kobiety!

Nagle uśmiech zamarł na jej ustach, a wzrok stwardniał.

- Ty zapomniałaś, co to znaczy być kobietą! - wykrzyknęła oskarżycielsko w stronę Tereski.

Skuliłam się na krześle, wiedząc, że za chwilę przyjdzie moja kolej.

- Tylko spójrz na siebie! Gdzie masz lusterko? - wyżywała się Nina, wskazując oskarżającym palcem na Tereskę. Ta wtuliła się we Frania, nie bardzo wiedząc, co robić. Spozrzęglszy, że Tereska ma zajęte ręce, Nina zaczęła grzebać w jej torebce, zapewne w poszukiwaniu puderniczki. Na próżno. - Zaraz... - Twarz Niny pociemniała nagle, a oczy wydały się większe niż zazwyczaj. A potem wyciągnęła z torebki smoczek. - Co to jest? - zapytała w bezgranicznym zdumieniu.

- Jak to co? Smoczek - odpowiedziała nie mniej zdumiona Tereska.

- A to?

Nina, nie pytając o pozwolenie, wysypała na stół zawartość torebki Tereski. Na stole pojawiły się chusteczki dla niemowląt, pieluszka, zapasowy kaftanik i wkładki laktacyjne.

- No... - jąkała się Tereska, rozglądając się niepewnie dokoła. - Przecież widzisz, rzeczy dla dzieci.

Nina nie odzywała się dobrą chwilę. Potem spojrzała na mnie.

- Dawaj torebkę - warknęła cicho.

Podobałam, bo wiedziałam, że nie żartuje.

Zdecydowanym ruchem wysypała na stół samochodziki, różowe gumki, batoniki i różową szminkę dla małych dziewczynek, którą z powagą pozwalałam się malować Małgosi po szkole. Telefon sklejony taśmą też tam był. I plastry z Kaczorem Donaldem. Nie mówiąc o całej masie papierków po moich ulubionych krówkach.

Oniemiała Nina wpatrywała się przez chwilę w ten bałagan na stole. Potem westchnęła ciężko i dopiła swoją wodę.

- Wiecie - odezwała się w końcu - jest takie przysłowie: pokaż mi swoją torebkę, a powiem ci, kim jesteś.

- Tak? A myślałam, że pokaż mi swoich przyjaciół, a powiem... - zaczęła Tereska, ale Nina nie pozwoliła jej dokończyć.

- Czy ja cię prosłam o komentarz? Nie! Więc pozwól mi skończyć. Co wasze torebki mówią o was?

Zagryzłam wargi. Pewnie nic dobrego.

- Że wasze dorosłe ekscytujące życie się skończyło! Przystałyście być kobietami! - grzmiała. - Stałyście się matkami, matronami, emerytowanymi kochankami! Popatrzcie na to!

Gwałtownym ruchem opróżniła swoją torebkę. Na nasze rzeczy wysypała swoje szminki, perfumy, puderniczkę, tabletki antykoncepcyjne, pieprz w sprayu i inne rzeczy przydatne prawdziwej kobiecie, których nie potrafiłabym nawet nazwać.

- To, powtarzam: to jest zawartość kobiecej torebki, a tamto - wskazała pogardliwym ruchem na nasze rzeczy - to jest kpina, moje drogie. A potem się dziwicie, że mężowie was zdradzają!

Zacisnęłam wargi i zaczęłam gwałtownie wrzucać swoje rzeczy do torebki. Nie mogłam powstrzymać łez zbierających się pod powiekami.

- Nina! - Tereska pokręciła głową i trzymając Frania jedną ręką, drugą chwyciła pocieszająco moje ramię. - Nie musisz być taką jędzą! To było zupełnie nie na miejscu!

Nina wydała z siebie odpuszczające westchnienie i wyciągnęła eleganckie chusteczki. Podała mi jedną, ale zignorowałam jej rękę i sięgnęłam po własne serwetki, używane już wcześniej kilka razy. W trosce o środowisko rzecz jasna. Wyczyściłam nos.

- Przepraszam - odezwała się do mnie pojednawczo, pakując swoją torebkę, a potem Tereski. - Nie chciałam być brutalna, ale może nadszedł czas, żeby uświadomić sobie pewne rzeczy. Życie ucieka, moje drogie. Ja spodziewam się, że dzieci i ten cały... szczęśliwy kanał są ważne, ale musicie zrozumieć, że to wy jesteście najważniejsze.

Po chwili milczenia dodała jeszcze:

- Musicie odnaleźć swoją kobiecą naturę. Bo jeśli oni na was nie patrzą, to oznacza tylko jedno... - zawiesiła złowroźbnie głos - że patrzą na inne.

Przerwał jej sygnał komórki. Przepraszyła nas elegancko i odebrała. Po chwili już profesjonalnie wyżywała się na swoim asystencie, dając nam odetchnąć.

W końcu poirytowana wyłączyła telefon i chwyciła swoją torebkę. Zauważyłam, że siedzący obok panowie przyglądają się jej z pełną aprobatą. Obciste spódniczki robią swoje. Nawet nie trzeba mieć wybujałej wyobraźni.

- Gdalcie sobie dalej - obwieściła. - Ja niestety muszę wracać do pracy, bo wyobraźcie sobie, że seksowne pośladki mojego asystenta niekoniecznie idą w parze z byстрым umysłem. Ale co ja mam z nim zrobić, jak on tak bosko porusza biodrami... - Westchnęła ciężko, bo w końcu życie łatwe nie jest. - To... ko, ko, ko, moje kurki. Dbajcie o swoje pisklęta - dodała jeszcze i odeszła, z wdziękiem uwalniając się od oplatających ją spojrzeń siedzących obok mężczyzn.

U teściowej czekała na mnie niespodzianka.

- Mama, a wiesz, że zabieramy Księżniczkę!? - wykrzyknął szczęśliwy Antek, otwierając mi drzwi.

Weszłam do środka i uśmiechnęłam się do czerwonej z przejęcia buzi mojego synka.

- Ależ skąd, kochanie, Księżniczka to piesek babci i babcia nigdy by go nam nie oddała. Na szczęście - dodałam pod nosem. To była jedyna rzecz, której byłam pewna. No i jeszcze tego, że Paweł kocha mnie miłością wieczną.

- Agata! - z kuchni dobiegł mnie nagle dramatyczny krzyk i po chwili do przedpokoju wpadła teściowa, tuląc wyraźnie zaniepokojoną Księżniczkę. Za nią weszła Małgosia, wymachując płócienną torbą z inicjałami psa. K.M. Księżniczka Majewska.

Spojrzałam zaniepokojona na teściową.

- Witaj, mamo, czy coś się stało?

- A, tak! - wysapała teściowa, połykając łzy. Wyglądała wyjątkowo ludzko. - Moja kuzynka miała wylew i muszę ją przed śmiercią odwiedzić!

- To aż tak źle?

- Nie, mogło być znacznie gorzej, ale wiesz, jak to jest...

Pokiwałam głową ze zrozumieniem. Zrobiło mi się jej żal. Strasznie się przejęła. Kiedy jednak wreszcie zobaczyłam w niej człowieczeństwo, nie wytrzymała.

- Mam u niej kilka cennych rzeczy, jeszcze jej dzieci się do tego dobiorą! Musisz się zająć Księżniczką! - Spojrzała na mnie z wielkim bólem i zaniósła płaczem: - swojego pieska muszę obcym zostawić! - Z jej oczu płynęły łzy.

Obcym!?

Dotarł do mnie właściwy powód jej żalu.

- A nie może mama jej zabrać? - zapytałam niewinnie, przyglądając się wrednej suczce, która szczyrzyła do mnie swoje kły.

Tak, stanowczo nie lubiłyśmy się z Księżniczką. Niekompatybilność charakterów zapewne.

- Na pewno będzie tęsknić! - dodałam z istnym żalem. - Biedactwo.

- Wiem! - zawyła teściowa. - Ja dlatego tak płaczę. Nie mogę jej zabrać, bo Honorata ma alergię na psy.

Och! Czemu ja na to wcześniej nie wpadłam!?

- W dodatku Księżniczka ma wystawę w przyszłym tygodniu i nie może się stresować podróżą. Musi wypoczywać. Ja wrócę najpóźniej za cztery dni.

Cztery dni!? Osłabłam.

Teściowa wróciła do konkretów.

- Już wszystko dla niej spakowałam. Jada tylko ze świeżo umytej miski, z reguły krakowską suchą - zaczęła chaotycznie wyjaśniać, starając się przekazać mi jak najwięcej. - Czasami jak ma ochotę, to daję jej szyneczki, tylko świeżutkiej, jeśli jest w lodówce dłużej niż dwa dni, może ją brzuszek boleć. Aha i jakby padało...

Ściągnęła z wieszaka malutką psią pelerynkę.

Jasne, będę psa wyprowadzać w pelerynie! Żeby sąsiedzi przestali mi mówić dzień dobry? Po moim trupie!

- A parasola nie ma? - zapytałam zrezygnowanym tonem, biorąc do ręki elegancko skrojony psi brezent.

- Dziecko, ja nie wiem, po kim ty masz to swoje poczucie humoru. Pamiętaj, jak się przeziębisz, to będzie źle. Wystawę mamy w przyszłym tygodniu - oświadczyła z groźbą w głosie teściowa, widząc zapewne wypisany na mojej twarzy opór. - Porozmawiam jeszcze z Pawełkiem - dodała złowrogo i zaczęła się żegnać ze swoją pupilką, która z podziwu godną cierpliwością znosiła niezwykle emocje targające jej ukochaną panią.

A tak, proszę, bardzo proszę porozmawiać z Pawełkiem! Może tamta będzie wyprowadzać Księżniczkę. Możemy dziełić się obowiązkami, bo przecież Pawełek jest taki zapracowany.

- I trzeba ją przenosić przez ulicę - usłyszałam jak przez mgłę. - Ona boi się samochodów.

Psa mam przez ulicę przenosić!?

- A nie może zostać u mamy, a ja tu będę przychodzić i ją wyprowadzać, i... - wymknęło mi się w przypiływie desperacji.

- Ale ty jesteś okrutna! - Przerwał mi jej oburzony głos. - Takiego małego pieska samego w domu chcesz zostawić? To z dziećmi też tak robiłaś? - Patrzyła na mnie oskarżycielsko. - A jak bandyci się włamią!? Albo pożar wybuchnie!?

- Ależ oczywiście! - skapitulowałam. - Jaka ja jestem czasami ciemna - przyznałam gorliwie.

- Tak - przytaknęła teściowa bez mrugnięcia okiem. - Na szczęście z dziećmi wszystko dobrze.

Nie byłam tego taka pewna, patrząc, jak Antek stara się wyciągnąć głowę, którą kilka sekund wcześniej wsadził pomiędzy pręty jakiegoś ogrodzenia. Szliśmy właśnie na tramwaj i podczas gdy ja zastanawiałam się, czy wyjątkowość Księżniczki przekłada się na cenę biletu tramwajowego, mój syn postanowił dobić mnie swą pomysłowością.

- Dziecko - jęknęłam, przyduszając nieco Księżniczkę. Trzymałam ją pod pachą, bo płyty chodnikowe najwidoczniej były za twarde dla jej arystokratycznych nóżek. - Po coś tam głowę wsadzał!?

- Założyłem się z Małgosią, że się zmieści - oświadczył niepewnie Antek, przekrzywiając głowę na wszystkie strony. Niestety. Utknął na dobre.

- I udało się, co? - zapytałam ironicznie, odkładając wielce niezadowoloną Księżniczkę na ziemię.

- Aha. Wygrałem gumę.

- Głupi - prychnęła usatysfakcjonowana Małgosia, siadając na murku. Wyciągnęła z ust zżutą gumę i wcisnęła Antkowi do buzi.

- Małgosia! - zawołałam oburzona i szybko wyciągnęłam gumę z ust swojego syna. O mało mnie nie pogryzł.

- Aaaa!! - zaczął krzyczeć. - Oddaj moją gumę! Uczciwie wygrałem!

Małgosia spojrzała na mnie triumfalnie, a ja, gryząc się w język, wpakowałam Antkowi gumę do buzi. Byle tylko przestał się wydzierać.

Zanościło się na dłuższy przystanek. Gorączkowo rozmyślałam, co robić, ale jedyne, co przyszło mi do głowy, to odebranie płotu i pójście do kowala. Kazałam Małgosi trzymać Księżniczkę, a sama, wściekła, zaczęłam poruszać delikatnie Antkiem, żeby jakoś uwolnić jego głowę. Starłam się nie zwracać uwagi na coraz liczniejszych gapiów, na których w takich sytuacjach można liczyć. Po chwili tłum zaczął radzić. Najpierw nieśmiało padały pojedyncze propozycje. Ale w końcu wszyscy się rozkręcili i jakby zapominając o Antku, toczyli żarliwe dyskusje na temat najlepszych lubrykantów. A dalmatyńczyk należący do jednego sympatycznego pana bardzo zainteresował się Księżniczką.

- Dość! - nie wytrzymałam w końcu i odwróciłam się do tłumy. - Proszę państwa, nie ma na co patrzeć... - zaczęłam,

ale postawny mężczyzna, ten od dalmatyńczyka, przerwał mi z uśmiechem:

- Jak to nie ma? Dawno już takiego cyrku nie widziałem.

Jak się jednak okazało, oprócz imponujących mięśni miły pan miał też, co ważniejsze, wolę pomocy.

- Proszę państwa, w czynie społecznym, pomożecie? - zapytał, mrugając do mnie okiem, i stanął po prawej stronie przerażonego nieco Antka.

- Pomożemy! - odpowiedział tłum, z dziwną jak na obecne czasy jedynomyślnością. Ludzie chyba tęsknili za latami, gdy duch w narodzie nie ginął pomimo pustek w sklepach i majątek z przydziału. Dzisiaj, choćby nie wiem jak bardzo ludzie na stanowiskach się dwoili, tamtej atmosfery poczuć się już nie da.

- To na trzy ciągniemy - wyjaśnił zadziwiająco prosty plan działania właściciel dalmatyńczyka. - Ja ciągnę za ten pręt. Może pan - wskazał na potężnego mężczyznę w czapce z daszkiem - proszę, za drugi, a państwa - rozejrzał się po gapiach - proszę do kolejki. Raz... - Każdy chwycił za pas osobę stojącą przed nim. - Dwa... - Palce zacisnęły się mocno. - Trzy! - Wszyscy zaczęli ciągnąć.

Rzuciłam się szybko i chwyciłam za pas panią od roweru, a Małgosia, nie chcąc uchodzić za obojętną na krzywdę brata, stanęła z drugiej strony. Aczkolwiek nie wysiłała się zbytnio.

Udało się! Antek wyciągnął w końcu głowę spod prętów kraty i usiadł na chodniku. Uśmiechał się głupkowato i masował sobie szyję.

Wszyscy zaczęli się ścisnąć i wiwatować, jakby byli świadkami jakiegoś cudu. W ogólnej wrzawie zdążyłam jednak zauważyć, że Księżniczka, zostawiona samopas przez Małgosię, wymyka się w towarzystwie dalmatyńczyka i znika za rogiem.

- Boże, Księżniczka! - wrzasnęłam, widząc się już z gardłem poderżniętym przez teściową. I Pawła stojącego obok mo-

jej trumny, któremu matka daje błogosławieństwo, by gził się z tą silikonową Dorotką. Mimowolnie zadrżałam.

- Jaka księżniczka? - poprzez okrzyki radości przebił się surowy głos. - Czy pani spożywała napój alkoholowy?

Przede mną stał policjant, bynajmniej nie wiwatując, tylko wachlując się swoim służbowym notesem. Jego zgrzana twarz nie wróżyła niczego dobrego. - A co to za zbiegowisko?

Dostrzegł zgięte nieco ogrodzenie i poczerwieniał jeszcze bardziej.

- Wandalizm!? Na mojej zmianie!? Czyja to sprawa!?

Ludzie zaczęli patrzeć jeden na drugiego, ale nikt nie odważył się przyznać.

- Ja wytłumaczę... - zaczęłam, wypatrując w panice Księżniczki.

Policjant skupił na mnie uwagę, co pozwoliło pomocnym obywatelom rozproszyć się po cichu, bez pożegnania, jak przystało na obcych sobie ludzi, i wszystko wróciło do normy. Po chwili zostałam sama z dziećmi. A Księżniczki nadal nie było widać.

- Nazwisko? - zaczął wpisywać coś w swój notes.

- Agata Majewska, otóż... pies mi uciekł i...

- Cisza, ja będę pouczać!

- Nie! - oświadczyłam nagle straszliwym głosem. - Pan nic nie rozumie! Ja chcę zgłosić zaginięcie psa.

- Psa? Proszę pani, czy pani sobie żarty stroi!?

- Proszę pana! Jak ja nie znajdę tego psa, to teściowa mnie zabije! Mówię poważnie - wpadłam w histerię. - Ona mnie zabije! - podkreśliłam to dramatycznym spazmem, ale zaraz uśmiechnęłam się pocieszająco do dzieci, które rzecz jasna wcale nie wyglądały na zmartwione. - Proszę natychmiast wpisać do tego pana notesu, że zaginał mi pies. Rodowodowy! Ostatnio widziany był w towarzystwie pewnego dalmatyńczyka.

Policjant oderwał długopis od notesu, a potem spojrział na mnie dziwnie.

Dzieci czekały spokojnie, a Małgosia miała wyjątkowo sympatyczny wyraz twarzy.

- Czy pani czuje się zagrożona? - zapytał poważnie, przyglądając mi się bardzo dokładnie i profesjonalnie. Nie zdążyłam odpowiedzieć, bo do rozmowy włączył się Antek.

- Tak. Babcia ją zamorduje i rzuci świniom na pożarcie - powiedział, a potem dodał złowieszczo: - Zawsze tak robi.

- Dziecko, przestań! - zdenerwowałam się.

- Przecież babcia nie ma świń - wtrąciła z powagą Małgosia.

Policjant patrzył na mnie podejrzliwie.

- Ale dziadek Edek ma - odpowiedział rzeczowo Antek.

- Kto to jest dziadek Edek? - odwróciłam się zdumiona do Antka.

- Narzeczony babci Malwiny.

- Głupi - oświadczyła Małgosia. - Przecież Księżniczka to pies babci Natalii, a nie babci Malwiny. A jeśli ktoś ma zabić mamę, to babcia Natalia.

- Ale to dziadek Edek ma świnie - zaperzył się Antek.

- Dość! - wrzasnęłam. Spojrzałam zdesperowana na policjanta, który mocno już rozbawiony przenosił wzrok z Antka na Małgosię. Kiedy spojrzał na mnie, uśmiechnęłam się i dodałam uspokajająco: - My na pewno nie mamy żadnego dziadka Edka.

- Ale ja mam - powiedział policjant i mrugnął okiem do Antka. - I mój dziadek naprawdę hoduje świnie.

- A widzisz? - Spojrzał na mnie triumfalnie Antek. - Mówiłem ci! Dziadek Edek ma świnie!

Ze zwieszoną głową szukałam Księżniczki, rozpamiętując przy tym własne nieszczęścia.

Tylko tego mi brakowało! - myślałam wściekła, zaglądając do jakiegoś kontenera na śmieci. Wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazują na to, że Paweł nastawił dzieci przeciwko

mnie. Przecież robią co mogą, żeby mieć macochę. Jeszcze parę takich numerów i umrę na coś, co tylko psychiatrzy potrafią zdiagnozować. I wszyscy będą zadowoleni.

Szczęście uśmiechnęło się jednak do mnie, choć blado, bo wracając w to samo miejsce, gdzie Antek uczciwie wygrał gumę, zobaczyłam miłego pana z dalmatyńczykiem, niosącego jakieś znajome futro. Księżniczka zaczęła się wyrywać, jakby zobaczyła swoją panią. Niemalże oszalałam ze szczęścia.

- Jak mam panu dziękować! - krzyknęłam miłemu panu do ucha i z radości przytuliłam Księżniczkę, która, o dziwo, odwzajemniła się liźnięciem. Spojrzałam na nią bezgranicznie zdumiona. Boże, czy to ten sam pies? - Jejku, jaka ona się miła zrobiła. - Spojrzałam na właściciela dalmatyńczyka. - Jaki pan ma dobry wpływ na psy.

- To nie ja, proszę szanownej pani - uśmiechnął się znacząco mężczyzna. - To Fred.

- Fred? Kim jest Fred?

- To mój pies - wyjaśnił mężczyzna, a dalmatyńczyk wyprostował się z dumą, jakby wiedział, że właśnie chwali się jego potencjał. - Bo seks, proszę szanownej pani, to każdej suce tylko na dobre wychodzi.

- Mamo! Co to jest seks? - rozdarł się Antek.

Mężczyzna uśmiechnął się do Antka, a potem spojrzał na mnie z rozbawieniem.

- Właśnie. I chciałem jeszcze panią uprzedzić, że nie biorę żadnej odpowiedzialności za ewentualne potomstwo.

Dostałam bardzo gwałtownego ataku kaszlu i szybko pożegnałam się z miłym panem i jego uczynnym psem, zastanawiając się gorączkowo, jak teściowa zareaguje na ewentualne, bynajmniej nieczystej krwi potomstwo. Łyse białe pekińczyki w wielkie czarne łaty jeszcze długo potem prześladowały mnie w snach.

Do domu dotarłam w stanie agonalnym. Elżbietka za to czuła się dużo lepiej. Chętnie zjadła swoją porcję fasolki po bretońsku ze słoika i podjadła trochę świeżej szynki Księżniczce. Suczka o mało nie rzuciła się jej do gardła. Chwilowa niepoczytalność opuściła już Księżniczkę i wyglądało na to, że wróciła do swojej dawnej wrednej natury.

Kiedy wszyscy się posilali, padłam na kanapę, zastanawiając się, jak ludzie radzą sobie z trójką dzieci. A przecież niektórzy mają ich więcej. I więcej psów. I kotów. I złotych rybek. Brr... Zadzwonił telefon. Niechętnie sięgnęłam po słuchawkę.

- Agata? - usłyszałam podniesiony głos Rafała.

- Uhm - westchnęłam i poprawiłam się na kanapie. - Co jest? Jak tam twoja nowa siostrzyczka? Dowiozłeś ją na miejsce?

- Nawet mnie nie denerwuj! - zdziwił mnie jego poirytowany głos. - Zawiozłem ją do klasztoru. Poprosiła mnie, żebym z nią poszedł do pokoju, bo chciała mi dać te materiały o egzorcystach dla Eryka. To poszedłem. A ona zamknęła za mną drzwi, potem wyciągnęła te dokumenty i rzuciła się na mnie w jakimś takim histerycznym ataku, normalnie jakby mnie chciała cnoty pozbawić!

Zakrztusiłam się własną śliną i o mało nie spadłam z kanapy.

- I co? Pozbawiła!?

- Przestań mnie denerwować! To nie jest śmieszne. Musisz mi pomóc! Musisz z nią porozmawiać!

- Ja mam z nią rozmawiać? - zdziwiłam się. - Przecież była tam chyba matka przełożona. Mówiłeś, że ona zna hiszpański. Trzeba było od razu...

W słuchawce zabulgotało.

- Zwariowałaś? - przerwał mi, wyraźnie wzburzony. - Ja chwyciłem tylko te dokumenty dla Eryka i uciekłem! A matki przełożonej nie mogę w to wciągać. Przynajmniej nie tak od razu. Zrozum, to bardzo delikatna sprawa!

- A ksiądz Eryk? Nie może z nią porozmawiać?

- Ma wyłączonej komórkę. Nawet pojechałem do niego, ale go nie ma. Pewnie pracuje nad tym referatem w jakiejś bibliotece. Tak mnie zostawić z tym wszystkim...

- No, co za drań - dopowiedziałam za Rafała, ale ten tylko prychnął.

- Tu nie ma co kogoś wyzywać, trzeba zrozumieć. On ciężko pracuje.

- Ty wszystkich rozumiesz, tylko nie mnie - oświadczyłam przekornie.

Nie był w nastroju do żartów. Odniosłam wrażenie, że sprawa z Perpetua naprawdę nim wstrząsnęła.

- Coś ty się taka niemiła zrobiła? Ja dzwonię do ciebie w ważnej sprawie, ufam ci jak własnej siostrze...

- Bo jestem twoją siostrą - przypomniałam mu na wypadek, gdyby zapomniał, ale w ogóle nie interesowało go to, co mówię. Musiałam odsunąć słuchawkę od ucha, a kiedy po kilkudziesięciu sekundach przyłożyłam ją z powrotem, dalej słyszałam niekończące się:

- ... zawierzam ci własne myśli, a ty...

- No dobra, dobra - przerwałam pojednawczo. - Już mi odpuść. To kiedy mam z nią porozmawiać?

- Jutro - jego ton zmienił się nagle z zawodzącego na konkretny. - Dzisiaj jest już za późno. Jakbyś mogła przyjść do mnie do kościoła koło drugiej, byłoby fantastycznie. Mam wtedy chwilę przerwy i moglibyśmy to załatwić.

- Masz już wszystko zaplanowane, co? - mruknęłam do słuchawki.

Z westchnieniem odłożyłam telefon i zamknęłam oczy. Przyszło mi do głowy, że powinnam teraz wziąć się w garść i przynajmniej dokończyć zaległe tłumaczenie o przemyśle wypchnych niedźwiedzi, bo wydzwaniali do mnie z sądu już od tygodnia. Jednak na samą myśl o pracy opuściły mnie wszelkie siły vitalne. Obezważniona własnym lenistwem, a wszyscy

wiemy, jak podstępne i bezlitosne potrafi ono być, słuchałam wrzasków dochodzących z kuchni. Po jakimś czasie docierały do mnie już tylko szepty. Powieki zaczęły mi ciążyć. I zobaczyłam ciemność, rozproszoną jedynie bladym światłem żarówki.

Ciemny pokój. Nad biurkiem pochyła się mój mąż. Paweł pracuje do późna, żeby nam się lepiej żyło. Biedaczek. Obserwuję go z żalem. Jest sam. Nagle słyszę szelest. Zamieram. Z mroku dobiega szczekanie psa. I nagle...

Poczułam brutalne szarpnięcie za ramię, a potem zaczęłam spadać w przepaść bez dna. Nagły ból i po wszystkim. Kiedy otworzyłam oczy, leżałam na podłodze, a nade mną stała jakaś postać, w której po dłuższej chwili rozpoznałam Ninę.

- Zaklepałam warsztaty tańca! - usłyszałam jej entuzjastyczny krzyk. Tuż za Niną zauważyłam Małgosię, która z uwielbieniem przyglądała się jej fantastycznym czerwonym trampkom. - Zbieraj się natychmiast.

- Tańca? - wyjąkałam oszołomiona, podnosząc się z podłogi i wyrzucając z głowy obraz ciemnego pokoju i Pawła. - Miała być joga.

- Nie było miejsc - produkowała się Nina, ciągnąc mnie do sypialni. - Na wszystko inne też zresztą był komplet. Już wpisałam nas na listę rezerwową na capoeirę, ale zobaczyłam ulotkę o tańcu. To chyba coś nowego, bo było sporo wolnych miejsc, chociaż to już dzisiaj.

- Dzisiaj!? - spanikowałam. - Ale ja mam tłumaczenie do zrobienia. I nie jestem przygotowana na żadne tańce.

- Znam takie jak ty, wy nigdy nie jesteście przygotowane. Na nic! - Spojrzała na Małgosię, która wpatrywała się w nią jak w obrazek. - A o siebie trzeba dbać już od najmłodszych lat, prawda kochanie?

Małgosia gorliwie pokiwała głową.

- Też tak uważam, ale mama za bardzo lubi czekoladę, żeby to zrozumieć. Ja na szczęście odziedziczyłam dobre geny

po tatusiu. Nie znoszę czekolady, babcia mówi, że od czekolady się głupieje.

- A ja lubię czekoladę. - Spod łóżka wyskoczył nagle mój syn.

Nina podskoczyła, przestraszona niespodziewanym pojawieniem się Antka.

- No właśnie - stwierdziła nonszalancko Małgosia i ignorując brata, wycofała się z pokoju.

- Zbieraj się! - krzyknęła do mnie Nina, patrząc podejrzliwie na mojego syna, który nie przejmując się jej spojrzeniem, w końcu nie z takimi paniami sobie już w życiu radził, z poważną miną zaczął przeglądać „Politykę”.

- No, nie wiem - zaczęłam się bronić. Nie miałam najmniejszej ochoty nigdzie iść. Postanowiłam ćwiczyć asertywność.

Ona jednak podeszła do mnie i postukała mnie palcem po ramieniu.

- Chcesz, żeby ci mąż znowu zaczął miłe rzeczy mówić? - zapytała podchwytliwie.

- Mąż musi mówić. - Antek wyrwał z gazety stronę z reklamą batonika i zwinął w rulonik. - Nawet jak żona wygląda jak jumbo jet. Tomaszek mówi, że inaczej żony robią się złe i wtedy jest kłopot, bo nie podają picia, jak mąż ogląda mecz. Tru tu tu - zatrąbił, a potem ostentacyjnie zjadł z pół strony.

Nina, nie wiedząc zapewne, jak postępować z dziećmi, zaczęła wołać „sio” i jakkolwiek jej sposób na Antka mógłby wzbudzić pewne kontrowersje w różnych kręgach, oczywiście wyłączywszy krąg kur domowych, osiągnęła swój cel. Antek został wypłoszony z pokoju.

- Agata, a Antek jest głodny czy po prostu lubi gazety? - zapytała jeszcze podejrzliwie. Potem, nie pozwalając mi się odezwać, westchnęła głośno i dodała z widoczną litością: - Ty to masz ciężkie życie.

Właśnie. Ja to mam ciężkie życie. Zrobiłam bardzo żałosną minę, ale nie dała się nabrać.

- Dobra, dobra. My tu gadu-gadu, a czas ucieka.

Postanowiłam działać na zwłokę.

- Co to za warsztaty? - zapytałam, nie ruszając się z miejsca. Nina od razu wyczuła mój opór.

- Idziemy! - oświadczyła z przekonaniem i zaczęła tłumaczyć: - To warsztaty terapeutyczne, relaks muzyką, dwa seanse intensywnego tańca, nie doczytałam jakiego, ale w sumie przecież wszystko jedno, chodzi o to, żeby się poruszać, cerę ożywić... - gadała, wyciągając z szafy mój dres i rzucając mi go z krytycznym spojrzeniem.

- A Grześ? - zapytałam, szamocząc się z mało elastycznym podkoszulkiem. - Przecież umówiłeś się z nim wieczorem.

- Jak się trochę spóźnię, nic mu się nie stanie - rzuciła nielitościwie. - Poczeka. Jestem tego pewna. I doceni to, że przyszedłam. Wygląda mi na takiego, który niejedną raz czekał i się nie doczekał. Przebierz się, musimy jechać.

Nie zdążyłam nawet porządnie wciągnąć na siebie spodni od dresu, a Nina już wyprowadziła mnie z sypialni. Krzyknęłam jeszcze tylko Elżbietce, że wychodzę potańczyć, i drzwi zatrzasnęły się za nami z wielkim hukiem.

Warsztaty tańca terapeutycznego odbywały się na Kazimierzu, w jakimś Centrum Rozwoju Kobiet, o którym nigdy wcześniej nie słyszałam. Już miałyśmy wchodzić, kiedy telefon Niny zaczął wyć. Po sprawdzeniu numeru zdecydowała się go odebrać.

- Mój asystent. Pewnie znowu nie może się dogadać z tymi w Madrycie. Czasami mam wrażenie, że robi to specjalnie, żeby mnie wkurzyć - mruknęła, wyracając oczami. - Wejdz pierwsza, muszę z nim porozmawiać.

Niczym się nie przejmując, otworzyła drzwi i wepchnęła mnie do środka, a sama została na korytarzu z telefonem

przy uchu. No ale to w końcu ja potrzebowałam pomocy, nie ona. Zagryzłam wargi i powoli się odwróciłam. Od razu tego pożałowałam. Na parkiecie zobaczyłam grupkę kobiet, kiwały się w rytm dziwnej muzyki, na którą składały się żałosne jęki, smutne zawodzenia, dziwne sapnięcia, a chwilami nawet całkiem głośne porykiwania. Kiedy muzyka przybierała fazę ryków, kobiety wznosiły oczy do sufitu, potrząsały rękami i wykrzykiwały coś wściekle. Moje wejście zbiegło się z fazą melancholijną. Przerwałam im trans, bo wszystkie, nie przestając jednak kołysać się w jednostajnym rytmie, oderwały wzrok od liderki, wysokiej kobiety w sari, i wlepiły we mnie niewidzące spojrzenia. Po chwili przestały zwracać na mnie uwagę. Obejrzałam się niepewnie za siebie, ale Nina została za zamkniętymi drzwiami, wygrażając pewnie swojemu asystentowi. Szłam powoli, starając się nie widzieć dziwnie natchnionych póz niektórych uczestniczek warsztatów. Podeszła do mnie liderka. Patrzyła na mnie kamiennym wzrokiem, jakby mając mi za złe, że przeszkadzam, ale już po chwili zrelektowała się i chwyciła mnie mocno za rękę. Bolało.

- Witaj - powiedziała, wpatrując się intensywnie w moje oczy.

Poczułam niepokój, bo muzyka znowu nabrała szybkości. Uśmiechnęłam się na wszelki wypadek.

- Witaj - wyjęczały pozostałe kobiety za liderką.

- Witaj - posłusznie odpowiedziałam, oglądając się rozpaczliwie na drzwi. Uścisk ręki kobiety natężył się.

- Kim jesteś? - zapytała śpiewnie.

- Agata - odpowiedziałam, też śpiewnie. Chrząknęłam i przywołałam swój głos do porządku.

- Kim jesteś? - powtórzyła, patrząc na mnie z tym samym uśmiechem.

- Agata - powtórzyłam już mniej pewnie.

- Kim jesteś? - zapytała ponownie, z tym samym uśmiechem.

- Nie wiem - skapitulowałam, modląc się, żeby Nina już przysłała.

- No właśnie! - Liderka spojrzała na mnie triumfalnie. - Nie wiesz! Dlatego tu jesteś! Ale my ci pomożemy odnaleźć siebie! Jesteś bliżej, niż myślisz.

- Bliżej czego?

- Bliżej siebie - wyjaśniła z przekonaniem.

- Tak? - zapytałam na wszelki wypadek.

- Tak! - potwierdziły chórem pozostałe uczestniczki.

- Chodź do nas! - powiedziała zachęcająco liderka.

- Chodź do nas! - wyjęczały w dziwnym transie kobiety.

- Ale ja czekam na koleżankę - próbowałam się bronić.

Na próżno. Zostałam wciągnięta w krąg i zmuszona do rozłożenia się na podłodze.

- Co cię trapi? - zapytała liderka, wznosząc ręce ku niebu.

- Co cię trapi? - wyjęczał chórek.

Zapadła cisza. Kobiety przestały poruszać się w dziwnym tańcu i wszystkie oczy skierowały się na mnie.

- Amm... - wyjęczałam. - Nie chcę o tym mówić.

- Nie chce o tym mówić - jęczał konwulsyjnie chórek.

- Musisz powiedzieć - nakłaniała terapeutycznym tonem liderka i nachyliła się nade mną. Zobaczyłam jej niepokojące oczy. I skrywaną w nich, niewypowiedzianą groźbę.

- Musisz powiedzieć! - powtórzył chórek, a liderka zaczęła zakreślać kręgi na moim czole. Bezdotykowe

- Muszę... do toalety - wykrzyknęłam nagle, odczuwając skutki napięcia i nadmiaru wody mineralnej.

- Musi do toalety - wykrzyknęły podekscytowane uczestniczki.

Nie czekając na dalsze atrakcje, odepchnęłam od siebie liderkę i rzuciłam się do ucieczki. Wpadłam na drzwi, które po krótkiej chwili udało mi się otworzyć. Za drzwiami stała Nina. Odskoczyła gwałtownie, kiedy dostała nimi po głowie.

Wypadłam na korytarz jak lis uciekający przed obławą. Tuż za mną wybiegła liderka, niczym podniecony gończy pies, który poczuł zwierzynę.

- Poczekaj! - zaintonowała jakimś dziwnym głosem i wyciągnęła w moim kierunku rękę, chcąc mnie pewnie zahipnotyzować.

- Poczekaj! - Za liderką na korytarz wypadły jedna za drugą wszystkie uczestniczki warsztatów terapeutycznych.

Nie miałam najmniejszego zamiaru ani minuty dłużej uczestniczyć w tym całym cyrku.

Nina w bezgranicznym zdumieniu opuściła rękę z telefonem i wpatrywała się w zbiegowisko, przenosząc wzrok ze mnie na liderkę, a z liderki na grupę kobiet.

- Spadamy - rzuciłam krótko i pociągnęłam ją za sobą.

- Spadają! - wrzasnął chórek.

Pomyślałam, że znowu się zacznie. Liderka przebiegła jednak tylko parę kroków, i nagle, nie wiedząc czemu, poddała się. Widocznie stwierdziła, że moje zachowanie nie rokuje zbyt dobrze na przyszłość. A może uznała, że wcale nie jestem tak blisko siebie, jak by się to mogło wydawać? Tak czy inaczej zatrzymała się gwałtownie. Jeszcze raz odwróciłam głowę, żeby się upewnić, czy nikt mnie nie goni, i zobaczyłam, jak biegnące kobiety wpadają na liderkę, przewracają się jedna po drugiej i usypują z własnych ciał wielki stos podobny do tych tworzonych na najlepszych meczach przez gwiazdy amerykańskiego futbolu.

Na wszelki wypadek nie zatrzymałam się przez całą drogę do samochodu. Na karku czułam świszczący oddech Niny. Kiedy dobiegłyśmy wreszcie na parking, spojrzałam na przyjaciółkę, dysząc straszliwie, i dostałam ataku śmiechu. O mało nie umarłam. Nina musiała siłą załadować mnie do samochodu, bo leżałam na chodniku i śmiałam się tak straszliwie, że jedna pani nawet zapytała, czy nie wezwać pogotowia. Nina z poważną miną podziękowała i oświadczyła, że ma

wszystko pod kontrolą, bo jest przyzwyczajona do moich zaburzeń. A ja, jak na osobę nieprzystosowaną społecznie przystało, pokazałam miłej pani język. Nieznajoma uśmiechnęła się do mnie uspokajająco. Potem pogratulowała jeszcze Ninie hartu ducha i odeszła.

- Wiesz, ile ja właśnie kalorii straciłam ze śmiechu? To lepsze od siłowni - wydyszałam, kiedy byłam w stanie mówić.

Nina zapaliła silnik.

- Nie ma żadnego wymigiwania się. Od jutra biegamy. Choć muszę ci powiedzieć, że od razu lepiej wyglądasz. Promieniujesz radością. Jak wrócisz do domu, to pamiętaj, cokolwiek by się działo, nie daj się zgasić. Bo przede wszystkim jesteś atrakcyjną i zadowoloną z siebie kobietą.

I byłam.

Dopóki nie przekroczyłam progu własnego domu. Powitała mnie cisza. Dzieci najwidoczniej już spały, a Elżbietki nie było widać. Za to w pokoju zobaczyłam przyklejoną do komputera sylwetkę mojego męża. Niby nic nowego, a jednak coś było nie w porządku. Księżniczka leżała sztywno na swojej poduszce, tuż obok Pawła, a jej łapy bezradnie wyciągnięte były do góry. Kiedy mnie zobaczyła, łypnęła wstrętnie okiem, a potem zaskomlała bardzo teatralnie, domagając się pocieszenia.

- Cześć - rzuciłam z wielkim zadowoleniem, nie zwracając uwagi na psa.

Mam być zadowolona, będę zadowolona. Może wszystko się jeszcze ułoży?

- Gdzie byłeś? - usłyszałam ciche burknięcie zza biurka. Moja radość wyparowała.

- Elżbietka ci nie powiedziała?

Zaczęłam bardzo spokojnie ściągać buty.

- Chcę, żebyś ty mi mówiła o takich rzeczach - powiedział zimno, cyzelując każde słowo.

Nie mogłam uwierzyć. Jak on się do mnie odnosi!?

- O takich rzeczach? - odezwałam się pojednawczo. Nie będę się denerwować. Przecież o to mu chodzi. O pretekst. Awantury domowe. A potem rozwód. - Cóż to za straszne rzeczy, kochanie?

Paweł oderwał wreszcie wzrok od monitora i zaczął się mi przyglądać. Nigdy wcześniej takiego spojrzenia u niego nie widziałam. Westchnęłam ciężko.

- Dobrze - postanowiłam rozmawiać bez negatywnych emocji. Mam być zadowolona, będę zadowolona. - Miałam ochotę na relaks, poszłam na warsztaty tańca - wyjaśniłam spokojnie, a potem uśmiechnęłam się promiennie.

Paweł wciąż był obrażony.

- Tańca - prychnął lekceważąco. - Ty i taniec? Od kiedy lubisz tańczyć?

- Od zawsze - odpowiedziałam, wzruszając ramionami i dusząc w sobie ochotę rzucenia w niego butem. - Tylko ty nigdy nie miałeś ochoty się ze mną zapisać. Postanowiłam wreszcie zacząć robić coś dla siebie.

Dopiero teraz się roześmiał. Za to ja straciłam ochotę do śmiechu. Zacisnęłam zęby.

- Czy widzisz w tym coś śmiesznego? - zapytałam, przybierając bezwiednie wrogi ton. Na pewno myśli, że jestem za stara na takie rzeczy. Albo za gruba. Albo za śmieszna. Ostatkiem siły woli zatrzymałam łzy. No tak. Tamta jest młoda, zgrabna i na pewno świetnie tańczy. Zwłaszcza jak jej ubranie ruchów nie krępuje.

- Nie - powiedział i przestał się śmiać. Jego ton zubożał. - Nie widzę w tym nic śmiesznego. Ale jeśli wychodzisz wieczorami, to zabierz chociaż komórkę, żebym w razie czego wiedział, gdzie cię szukać - powiedział, pokazując na mój telefon, który wyciągnął z leżącej na stole torebki. - Znalazłem go w twojej torbie - powiedział takim głosem, jakby zostanie telefonu było najgorszym przewinieniem w kodeksie domowym.

A co powiesz na zdradę, kochany mężu?

- Słucham? - nie wytrzymałam. Odwróciłam się do niego. Uderzył mnie wyraz jego twarzy. Nienawistny. Teraz to mnie dopiero zdenerwował. - A od kiedy to muszę ci się spowiadać ze wszystkiego, co robię!? - wysyczałam.

- Odkąd jesteś nieodpowiedzialna i zostawiasz dzieci pod opieką chorej dziewczyny.

Zapało mi dech w piersiach.

- Czy ty sugerujesz, że ja zaniedbuję dzieci, zostawiając je w ich własnym domu pod opieką Elżbietki!? - krzyknęłam trochę głośniejszym głosem, niż chciałam.

Paweł spojrzął na mnie z satysfakcją.

- Kiedy wróciłem do domu, Elżbietka leżała na dywanie, wyjąc z bólu. Małgosia chciała jej zrobić herbatę i poparzyła sobie rękę. Antek zalał kuchnię, bo chciał pomóc Małgosi poleć oparzenie wodą. Księżniczka ma biegunkę, bo Antek dał jej jakieś mrożonki, które dziwnym trafem się rozmroziły, bo ktoś wyłączył zamrażarkę z prądu. Pies, jak widzisz, wygląda, jakby przeszedł ostry trening, a straty w kuchni możesz ocenić sama. Specjalnie nie posprzątałem.

- Jakbyś normalnie sprzątał, co? - wysyczałam. Poziom mojej frustracji wzrósł do alarmujących wysokości. Byłam bardzo niezadowolona. - Od dwóch dni cię proszę, żebyś przepchał ten cholerny zlew, ale nie! Ciągłe zapominasz! Jak zwykle wszystko na mojej głowie! Najłatwiej wyjść do pracy i niczym się nie przejmować. A po powrocie wszystko czeka, obiad ugotowany, posprzątane, a dzieciom trzeba tylko poczytać do snu. Nawet nie wiesz, jak ja bym chciała czasami tak jak ty wyjść rano, zamknąć za sobą drzwi i zająć się tylko sobą!

Trzasnęłam kuchennymi drzwiami. Pod powiekami poczułam łzy. Nie pozwoliłam im wypłynąć. Zaczęłam machinalnie sprzątać. Dziwnie obojętna wyrzuciłam rozmrożone mięso i napoczętą rybę. Powycierałam podłogę. Potem po raz kolejny starałam się przepchać zlew widelcem. Bezskutecznie. Pięść

też nie pomogła. Po dłuższej chwili bezsensownej szamotaniny zrezygnowałam. Zgasiałam światło. Usiadłam przy oknie i wpatrywałam się w ciemność nocy, przetykaną światłami ulicy, a jedyną moją towarzyszką była samotność, nieproszony gość.

Okolice Medellin, Kolumbia

- Nogales! Kiedyś nakarmię tobą piranie, *gonorrea!* Czego chcesz? - warknął, wpołżąc na wielkim łożu, smagły mężczyzna o twarzy latynoskiego zbója.

Nogales już nieraz przekonał się o zbójeckiej naturze swojego *jefe*. Drżącą ręką podał mu telefon.

- Przepraszam, *jefe*, że przeszkadzam tak wczesnym popołudniem, ale sprawy się skomplikowały. Dzwonią z Krakowa.

Jefe wyciągnął rękę i przyłożył do ucha podany mu przez Nogalesa telefon.

- Carlos mówi, czego? - rzucił nieprzyjemnie do słuchawki.

Słuchał. Po chwili jego smagła twarz pociemniała. Zamachnął się i ku przerażeniu Nogalesa telefon z pluskiem wyładował w olbrzymim akwarium z piraniami. Ryby znieruchomiały w oczekiwaniu na dalsze atrakcje.

- *Idiotas!* - mruknął gniewnie Carlos.

Zerwał się z łożka. Podeszedł do okna i podniósł ciężkie zasłony. Zmrużył oczy oślepiiony blaskiem ostrego słońca, a potem odwrócił się i beznamiętnym głosem zaczął wydawać instrukcje:

- Zdobądź wszelkie informacje na temat zakonnic. Przede wszystkim adres, pod którym się miała zatrzymać w Krakowie, kontakty, znajomych, co tylko się da. Najlepsze chyba będzie jej podanie o wizę. Załatw wszystko z ambasadą. Tylko szybko.

Spojrzał na Nogalesa zimnym wzrokiem.

- I zanim wyjdiesz, podaj mi telefon.

DZIEŃ TRZECI

Ciemny pokój. Słabe światło stojącej na biurku lampki tworzy w mroku jaśniejszy krąg. Przy biurku siedzi mężczyzna. Przyglądam się jego pochylonej sylwetce. To Paweł. Przerzuca jakieś papiery. Potem odkłada je na bok. Ściąga okulary, przeciera oczy. Biedaczek. Ciężko pracuje, żeby nam się lepiej żyło. Ale... co to? Nagle na jego twarzy pojawia się uśmiech. Ten zarezerwowany tylko dla mnie. Ale przecież mnie nie widzi. Do kogo więc tak się uśmiecha? Zagryzam wargi. Już wiem. Z mroku wylania się kobieta. Powoli podchodzi do Pawła. Jakież jest moje zdziwienie, kiedy zamiast Beyonce rozpoznaję lalkowatą twarz Dorotki.

- Cześć - mówi Dorotka słodko, a jej akcent wydaje mi się dziwnie znajomy. - Nazywam się Perpetua Cadena. Jestem tylko ja. Reszta nie istnieje.

Napina ramiona, jej sukienka pęka pod naporem silikonowego biustu. Ze strzępów materiału wylania się kształtna pierś. Dorotka siada na biurku, a Paweł rzuca się na nią...

Zerwałam się gwałtownie. Spocona, odrzuciłam kołdrę i usiadłam na łóżku. Czułam w sercu straszliwy ucisk.

- Co się stało? - wymamrotał nieprzytomnie Paweł.

- Zawal mam. Na pewno - oświadczyłam grobowym głosem.

Paweł popukał się w czoło i odwrócił, mrużąc pod nosem coś, czego zapewne nie chciałam usłyszeć. Spojrzałam na niego niemalże z nienawiścią i wstałam. Byłam wykończona, ale gniew dodawał mi sił. Wyciągnęłam z szafy dres i naciągnęłam na siebie. Potem siły mnie opuściły. Ledwie dowlokłam się do kuchni. Potrzebując bezzwłocznie używki, łyknęłam zimnej kawy, która stała na stole od poprzedniego ranka. Faj. Z obrzydzeniem wypłułam wszystko do zlewu, ale przynajmniej oprzytomniałam nieco. Spłukując resztki kawy, zauważyłam ze zdumieniem, że zlew działa w końcu jak należy.

- Biedaczek, ślęczy po nocach, żeby nam się lepiej żyło - ironizowałam. - I jeszcze musi pracować jako hydraulik. Za darmo.

Przez chwilę podziwiałam jego poświęcenie, a potem usłyszałam dzwonek.

Wyszłam na zewnątrz. Rzeźkie powietrze wywołało u mnie nagły dreszcz. W dodatku z głodu mój żołądek wysysał nagromadzone w organizmie zapasy tłuszczu.

- Witaj! Jaki piękny początek dnia! - ogłuszył mnie ryk przyjaciółki.

Przetarłam oczy ze zdumienia. Świeża jak majowy poranek i odziana w modny obcisły dresik Nina skakała, wymachując rękami. Zauważyłam, że nie ma makijażu. Nawet rzęsy miała niepomalowane. Kiedy patrzyłam na nią podejrzliwie, rzuciła mi się na szyję. Uwolniłam się delikatnie z jej uścisku i spojrzałam na nią pytająco.

- Co masz taką grobową minę? - wyrzuciła z siebie cała w skowronkach.

Wzruszyłam ramionami.

- Mam dość życia. Mam ochotę kogoś zabić - przyznałam się i dodałam, że moje stosunki z Pawłem uległy gwałtownemu oziębieniu. Porównywalnemu z tym, które doprowadziło do wymarcia dinozaurów.

- Fiu, fiu! - zagwizdała radośnie Nina. - Ale numerek. To tak będziemy grać? Będzie cię wpędzał w poczucie winy, aż sama stwierdzisz, że to ty odpowiadasz za rozpad waszego związku i jego zdradę. Mądrze to sobie wykombinował. Spryciarz. Ale tego się właśnie spodziewałyśmy, prawda? - mówiła, podskakując wesoło.

- Niby tak, ale jednak nie.

- Jak go złapiemy na gorącym uczynku, to dopiero wtedy wszystko będzie trudne - Nina nie przestawała się uśmiechać, ale siliła się na współczucie. Dosyć nieudolnie.

- Ja go nie chcę złapać na gorącym uczynku...

- Ależ chcesz - przerwała mi z przekonaniem. - Tylko jeszcze o tym nie wiesz. Widok własnego faceta w objęciach innej kobiety działa stymulująco. Wywołuje w tobie reakcje, o których nie miałaś zielonego pojęcia. Motywuje do przenoszenia gór...

- Chyba do zakupu trumny.

- Trumny? Owszem, ale tylko dla niego - podpowiedziała Nina i westchnęła podejrzenie radośnie. Najwidoczniej trumny działają na niektóre osoby w sposób nieoczekiwany. - Aha, ale jeśli mówimy już o zakupach, to wygospodarowałam dla ciebie trochę czasu dziś kolo południa. Musisz zaopatrzyć się w podstawowe artykuły kobiece, kochana. *Bare basics*. Bez nich nie jesteśmy w pełni kobietami.

Jej definicja prawdziwej kobiety w ogóle mnie nie interesowała. Zastanawiał mnie natomiast jej dobry humor.

- A ty? Coś taka radosna? - zapytałam, patrząc na nią spod oka.

Odetchnęła pełną piersią.

- Bo życie jest piękne - oświadczyła z przekonaniem. - Tylko trzeba odpowiedniego momentu, by to zrozumieć.

Zaczęła biec, nie oglądając się na mnie. Przez chwilę stałam w miejscu, zastanawiając się, co robić.

- Nie wiesz, jak to się robi? Ruszaj nogami! - krzyknęła do mnie, jakby czytając w moich myślach. - Tak jak przy chodzeniu, tylko szybciej. Potem już samo pójdzie.

Przełknęłam tę złośliwość i ruszyłam powoli za nią. Moje nogi nie były do końca przekonane, czy takie tempo jest im potrzebne. Podobnie serce, które odmawiało współpracy. Kiedy mój układ wydechowy się zaciął, Nina zwolniła nieco i pozwoliła mi się dogonić. Potem, wsłuchując się w moje sapanie, pokiwała krytycznie głową.

- Ty w ogóle nie masz kondycji, dziecko.

- Położyłam się o trzeciej. Nie mogłam spać - dyszałam załóżnie, oczekując zrozumienia.

- Ja też - oświadczyła, przyspieszając kroku.

No nie, ona zawsze musi być górą! Zawsze musi mieć ostatnie słowo!

Dogoniłam ją po dłuższej chwili.

- Czemu? Na imprezie byłaś?

- Aha - odpowiedziała lakonicznie, znowu przyspieszając.

Zaintrygowana, używając siły woli, czyli jedynej siły, jaka mi jeszcze pozostała, zrównałam się z nią. Wszystkie mięśnie w moim ciele dostały niekontrolowanych drgawek.

- Z kim? - wydyszałam pytająco. Każde słowo sporo mnie kosztowało.

- Z Grzesiem - oświadczyła, uśmiechając się do siebie.

- Tak? A ja myślałam, że umówiliście się tylko na drinka. Mroczki przed oczami były bardzo wyraźne.

- No wiesz, ja chcę ci pomóc, a ty mi wymawiasz! Przecież muszę się czegoś dowiedzieć, w taki sposób, żeby on się nie domyślił, o co chodzi. To nie takie proste - oświadczyła mocno obrażona Nina. - Ty wiesz, jaki to dla mnie wysiłek?

- To czego się dowiedziałaś?

- Na razie niczego, ale może dzisiaj się dowiem.

Aż stanęłam z wrażenia. Albo dlatego że nieomal potknęłam się o własny język.

- Znowu się z nim umówiłaś? - udało mi się wysapać. I nie udławić językiem.

Nina nie zatrzymała się.

- Nie leń się, pierś do przodu i biegnijmy. Mówię biegnijmy, a nie czołgamy się - przyspieszyła gwałtownie. Zostawiła mnie daleko w tyle. - Jeszcze nic nie powiedział, bo na razie mi nie ufa. Ale dzisiaj to mi na pewno coś powie, albo nie nazywam się Nina Kotek! - usłyszałam zacięty, ale wcale nie zmęczony głos swojej najlepszej przyjaciółki.

Kiedy wróciłam, Pawła już nie było. W nawale obowiązków, jak każdy pracoholik, zapomniał, że istnieje coś takiego jak wolna sobota. Z drugiej strony, jeśli jest wolna, to można przecież zrobić z nią, co się chce. W dodatku znowu zabrał samochód. Zazwyczaj kiedy mój był w serwisie, zostawiał mi swoje służbowe auto i jeździł do pracy motocyklem, ale dzisiaj tego nie zrobił. Pewnie podwoził swój „personel”, któremu najwyraźniej znudziło się używanie transportu publicznego. Miałam poważne podejrzenia, że mógł się obawiać, iż w ścisku zbyt wielu panów chciałoby sprawdzić oryginalność dumnie wypiętych pośladków jego asystentki. A one nie były przecież dobrem publicznym.

Z ulgą zanurzyłam się w wannie, zastanawiając się po raz setny nad swoim położeniem. Jeśli Paweł mnie zdradza, powinien być miły, pomocny i starać się ukryć zainteresowanie inną kobietą miłością na pokaz. I co? Nawet miłości na pokaz nie mam. Życie jest niesprawiedliwe. A może mu nie zależy, czy jego zdrada wyjdzie na jaw, czy nie? A może on chce się rozwieść!? Przerazona perspektywą rozstania, wygramoliłam się z wanny. Wklepując w całe ciało żel przeciwbólowy,

zastanawiałam się nad logicznością mojego rozumowania. Nie doszłam do żadnego wniosku, tylko do kuchni, co było dużo łatwiejsze, choć równie bolesne.

Elżbietka siedziała przy stole ubrana w pidżamę i czytała artykuł na temat operacji plastycznych. Nawet nie wspomniała o wczorajszym wieczorze.

- Po biuście zrobię sobie korektę luków brwiowych - oświadczyła z przekonaniem, oglądając zdjęcia, które dla mnie nie wyglądały zachęcająco. - No, chyba że będę już w Australii, to wtedy przed brwiami zrobię sobie nos.

- Nos? - zdziwiłam się i zapomniałam, że się na nią gniewam. - Myślałam, że lubisz swój nos.

- Bo lubię - przyznała. - Ale mi się nierówno opala.

Zakrztusiłam się. Kiedy przestałam kaszleć, postanowiłam uważnie wy badać opinię młodego pokolenia na temat naturalności.

- A nie sądzisz, że mężczyźni lubią kobiety naturalne? - zaczęłam ostrożnie.

Elżbietka wybuchnęła śmiechem.

- Ciociu - powiedziała i spojrzała na mnie pobłaźliwie, zupełnie jak moja matka.

Nienawidzę, gdy mówi do mnie ciociu, czuję się wtedy staro.

- Ciociu - powtórzyła - w dzisiejszych czasach kobieta naturalna, to co najwyżej taka, która lubi się bzykać na łonie natury. Ciocia gazet nie czytuje? Świat idzie do przodu. W niedalekiej przyszłości większa część populacji będzie miała w sobie coś silikonowego. Albo przynajmniej złupanego. To już jest naturalne. Liczy się efekt - uśmiechnęła się do mnie promiennie. - Ale może ma ciocia rację, jeszcze się zastanowię nad tym nosem. - Wstała od stołu. - Idę się ubrać. Zostawię gazetę, może znajdzie ciocia coś dla siebie - dodała sugestywnie i zniknęła za drzwiami.

Pokazałam jej język i doczłapałam do lodówki.

- Mama, a gdzie są nożyczki? - zapytał Antek.

- W szufladzie, kochanie. Tylko jak skończysz wycinać, to proszę po sobie posprzątać.

- Dobrze - odpowiedział wyjątkowo grzecznie, a wychodząc, rzucił jeszcze: - Aha, tata kazał ci przypomnieć, że ktoś ma dziś przyjść na kolację.

No tak. Ważni goście. Prezes i jego żona snobka. Zapowiadał się fantastyczny wieczór, nie ma co. Ale zdecydowałam się przetrwać tę całą farsę, bo Paweł lada dzień miał awansować na dyrektora i najmłodszego członka zarządu. Długo i ciężko pracował na takie wyróżnienie. Czasami nawet po nocach. Przypomniał mi się mój sen i na wszelki wypadek postanowiłam pomyśleć o czymś innym.

Zrobiłam sobie kawę i posmarowałam pyszne francuskie rogaliki wysokosłodzonym dżemem. Potem rozłożyłam gazetę, którą zostawiła Elżbietka.

Przeglądając artykuł, zaczęłam się zastanawiać nad jej słowami. Czy w świecie, w którym liczy się efekt, jest jeszcze miejsce na naturalność?

- Mamo, czytasz o idealnych ciałach, a opychasz się rogalikami, przecież to bez sensu! - Tuż przede mną pojawiła się Małgosia i wpatrywała się we mnie oskarżycielskim wzrokiem.

„Boże! Ile ona ma lat? Dwadzieścia?”

- Nie czytam o idealnych ciałach, tylko o sztucznych, a to różnica - powiedziałam. Moja ręka zatrzymała się jednak nie pewnie w połowie drogi do pachnącego, świeżutkiego francuskiego rogalika. Nie wiedzieć czemu poczułam mały wyrzut sumienia. - A poza tym przecież nie jestem za gruba, prawda? - upewniłam się.

- Nie, ale powinnaś uważać na to, co jesz - oświadczyła z przekonaniem moja dziesięcioletnia córka, wyciągając z lodówki marchewkę.

Zamartłam.

- Czyli uważasz, że jestem za gruba? - wysyczałam jadowicie, przełykając ślinę, i spojrzałam na nią wzrokiem mówiącym: „Tylko powiedz, że jestem, a z lekcji baletu nici”.

- Ależ skąd - Małgosia machnęła ręką, ale potem dodała złowrogo: - Jeszcze nie.

Małgosia zawsze była bardzo inteligentnym dzieckiem.

W progu pojawił się Antek, uśmiechając się wyjątkowo słodko, co z kolei z inteligencją nie miało nic wspólnego.

- Czyli nie jestem gruba? - z niejaką ulgą szukałam jeszcze potwierdzenia u swojej mądrej córki. Niestety, wtrącił się Antek i nie przestając się uśmiechać, zadał mi cios w samo serce:

- Twój brzusek podskakuje jak galaretka.

Moja ręka puściła rogalik. Galaretka!?

- Głupi! - usłyszałam wrzask mojej córki. - Teraz mnie nie zapisze na balet, bo będzie chciała odsysanie tłuszczu!

Galaretka!?

Ga-la-ret-ka!?

Po dłuższej chwili doszłam do siebie, odłożyłam rogalik, wiedząc, że już nigdy w życiu nie spróbuję francuskiego ciasta, o galaretkę nie wspominając, uspokoiłam Małgosię, że balet aktualny, Antkowi kazałam wycinać i jakby nigdy nic poszłam do sypialni.

Spojrzałam w lustro.

Galaretka!?! Podniosłam powoli koszulkę i zaczęłam uważnie oglądać swój brzuch.

No, brzuch jest, ale - powiedzmy sobie szczerze - kto go nie ma? Może nie idealnie płaski, ale żadna przecież galaretka! Mała blizna po cesarskim cięciu, pieprzyk, który Paweł zawsze całuje jako pierwszy, seksowny dołeczek... Dobrze, przyznaję, dołeczek jest pomiędzy dwiema fałdkami, które przy podskakiwaniu podrygują troszeczkę. Podrygują jak galaretka.

Powodowana jakimś wewnętrznym impulsem, podskoczyłam nagle przed lustrem. Już nie było odwrotu. Moje

galaretowate fałdki urosły nagle do rangi narodowej katastrofy. Skąd one się tu w ogóle wzięły!? Przecież jeszcze wczoraj ich nie było. Mogłabym przysiąc, że ich nie było. Zważyłam się. Trzy kilo więcej niż zwykle. To pewnie wina przytłaczających myśli. To one tyle ważą. I na pewno odłożyły mi się w pasie.

- Nie jest tak źle, mamo, nie przejmuj się - usłyszałam nagle pocieszający głos mojej córki. Stała oparta o framugę drzwi i przyglądała mi się krytycznie. - Nie musisz sobie robić odsysania, wystarczy dieta i jogging - stwierdziła tonem eksperta i wyszła.

Opuściłam koszulkę i usiadłam na łóżku. Dieta, to jest to. Od dziś piję tylko wodę.

- Mama! - Do pokoju wpadł Antek, wymachując nożyczkami.

- Antek, schowaj nożyczki - powiedziałam rozdrażniona, zastanawiając się, czy sztuczna naturalność to coś złego. W końcu sprawia, że kobieta czuje się lepiej, a i mąż jest szczęśliwszy. A co za tym idzie, cała rodzina. Może operacje plastyczne nie są takim złym rozwiązaniem? A odsysanie tłuszczu powinno być po każdej ciąży dodawane do becikowego. I gwarantowane konstytucyjnie.

- Ale...

- Żadne „ale”. Schowaj natychmiast, bo jeszcze komuś stanie się krzywda.

W końcu silikonowa Dorotka nie jest silikonowa bez powodu. Może mężczyźni lubią silikon?

- Ale...

- Ale już! - wykrzyknęłam groźnie.

Antek obraził się i wyszedł, a ja poczułam się nagle straszliwie głodna. Tak się zwykle dzieje, kiedy postanawiamy przejść na dietę. I nic nie możemy jeść. Przed oczami zaczęły krążyć mi pączki, francuskie rogaliki, ekierki i inne kaloryczne pa-skudztwa. Brr.

Poszłam do kuchni i napiłam się wody. Nie pomogło. Wręcz zaszkodziło. Pierwotny instynkt podpowiadał mi uparcie, że muszę przecież jeść. Idąc zatem za głosem rozsądku, postanowiłam coś skosztować. Najlepiej coś zdrowego i niskokalorycznego. Tylko co to może być?

Otworzyłam lodówkę. Pierwsza wpadła mi w ręce kiełbasa. Czy kiełbasa jest zdrowa? Niskokaloryczna? Nietuczająca? Ten podły głos w mojej głowie zaczął przekonywać mnie, że jak raz zjem coś niezdrowego, nic mi się nie stanie. Ale ja już wiedziałam - ten głos to mój wróg! Bo najważniejsza w diecie nie jest walka z kaloriami, ale z tym wstrętnym wewnętrznym głosem, który ciągle namawia, by jeść nie to, co trzeba. Ale ja jestem silną kobietą i swój rozum mam!

Przyniosłam kosz na śmieci i ogarnięta euforią zmian, zaczęłam napełniać go produktami spożywczymi, pokrzykując przy tym radośnie.

- Mamo, co ci jest? - usłyszałam nad sobą głos Małgosi. Stała oparta o lodówkę i przyglądała mi się podejrzliwie.

- Od dzisiaj zaczynamy zdrowe życie! - wykrzyknęłam do niej, rozentuzjasmowana. - Słyszysz, Małgosia? Żadnych tłustych obiadów! Żadnych tuczących deserów!

- Mamo - powiedziała do mnie z westchnieniem, kiwając z dezaprobatą głową - mów do siebie, ja już od roku jem na deser marchewki. Zapomniałaś?

Spojrzałam na nią ze zdumieniem.

- Po kim ty taka mądra jesteś?

- Po babci Natalii - oświadczyła, zadzierając nos, i wyszła.

Po chwili osłupienia opróżniłam lodówkę i okazało się, że jedyną niskokaloryczną rzeczą, jaką ewentualnie mogłabym zjeść na śniadanie, był jogurt. Zaczęłam zatem spożywać. Po chwili, sprawdzając, czy Małgosia nie patrzy, dołączyłam sobie do niego trochę miodu. A potem szybko zjadłam batonik. Tylko i wyłącznie dlatego że leżał na sklepowej półce w dziale zdrowa żywność. Właśnie! Zdrowa żywność! O to przecież cho-

dziło! Postanowiłam, że przy najbliższej okazji wykupię całe pudło tej zdrowej żywności. I na wszelki wypadek nie powiem o niczym Małgosi.

- Mamo! - Do kuchni wpadł Antek. - Gdzie masz wybielacz?

- Pod zlewem! - odpowiedziałam automatycznie, nie mogąc przestać myśleć o wstrętnym, tuczącym, kalorycznym jedzeniu. Francuskie ciasto, kluski, sosy... Obrzydlistwo. Przełknęłam ślinę i mocno zawiązałam worek na śmieci. Bo kontroluję sytuację. Lody, pasztet, wybielacz... Zaraz... wybielacz? - Antek! - rozdarłam się ogarnięta nagłym podejrzeniem. - Antek, wracaj mi tu natychmiast!

Pojawił się, trzymając w ręku butelkę z wybielaczem.

- Odłóż to na miejsce! Przecież wiesz, że nie wolno ci się bawić takimi rzeczami! - powiedziałam surowo.

Odstawił butelkę niezadowolony.

- A po co ci właściwie był wybielacz? - zapytałam pojednawczo.

- Chciałem pomóc - odparł, stojąc już w drzwiach.

- Chciałeś posprzątać? - rozczuliłam się.

- Nie. Chciałem wybielić Księżniczce zęby - oświadczył obrażony, że mu nie pozwoliłam na tak chwalebny gest. - Ma wystawę w przyszłym tygodniu, pamiętasz? Ale przynajmniej zrobiłem jej modną fryzurę - powiedział i zniknął za drzwiami.

Wypuściłam z ręki worek i w ułamku sekundy znalazłam się w salonie. Na kanapie siedziała Księżniczka. Bez włosów wyglądała bardzo, bardzo, bardzo niekorzystnie.

Po wypiciu całego litra wody mineralnej uspokoiliśmy się nieco. Kiedy Elżbietka wyszła w końcu z łazienki i raczyła zejść na dół, zastała naszą trójkę siedzącą na kanapie i wpatrującą się intensywnie w Księżniczkę. Byłam już bardzo spokojna.

Naprawdę spokojna. Wytłumaczyłam sobie mianowicie, że nie wolno mi się tym za bardzo przejmować, bo Księżniczce włosy od mojego stresu nie odrosną, a mnie moje mogą zacząć wypadać. A to już byłaby większa tragedia.

Elżbietka dostała ataku śmiechu. Wybaczyłam jej tylko dlatego, że była młoda, a przede wszystkim dlatego, że nie poznała jeszcze mojej teściowej.

Kiedy wychodziłam na spotkanie z Niną, zadzwoniła moja komórka.

- Agata? - usłyszałam głos Pawła.

- Dzwonisz na moją komórkę, to kto ma być! - odwarknęłam wściekła. Okazało się, że mój spokój był tylko pozorny. Patrzyłam na Księżniczkę i czułam się zagrożona. Bo teściowa i tak mnie o wszystko obwini. Teściowe tak mają. A do tego byłam tak głodna, że mi się wszystko w środku poskręcało. To z kolei oczywiście wina Pawła. A pies należy do jego matki. Czyli też jego wina. I znowu musiałam iść do toalety. Chodziłam tam tak często, jakbym cierpiała na nietrzymanie moczu. A to wina wypijanej wody. I jego, ma się rozumieć.

- No, tak - głos w słuchawce odezwał się dopiero po chwili, zaskoczony moim wybuchem. - W takim razie przejdę prosto do sedna. Zapomniałem zabrać z domu plik teczek z dokumentami. Leżą przygotowane na biurku. Mówiłeś, że jedziesz dzisiaj do centrum. Chciałem cię prosić, żebyś podrzuciła mi je przy okazji do biura. Jeśli oczywiście nie sprawi ci to większego kłopotu...

- Dobrze - odparłam krótko. - Tylko to może trochę zająć, bo nie mam dzisiaj samochodu - wysyczałam i wyłączyłam się wściekła, nie czekając na odpowiedź z jego strony.

Od razu podeszłam do biurka, żeby czasem nie zapomnieć tych teczek.

Żeby nie miał przypadkiem kolejnego pretekstu do kłótni. Po tym jak zostałam oskarżona o zaniedbywanie dzieci,

wszystkiego mogłam się po nim spodziewać. A w dodatku - spojrzałam na Księżniczkę - ma żywy dowód na to, że zaniedbuję psa. Może jeszcze i jego zaniedbuję? Faceci są beznadziejni, pomyślałam. Jediną osobą, którą się tu zaniedbuje, jestem ja. I mam zamiar to zmienić.

Szukanie teczek nie zajęło mi wiele czasu, jako że leżały na samym wierzchu, przygotowane do zabrania. Pięć czarnych teczek. Paweł tak się spieszył do Dorotki, że zapomniał. Głowy też pewnie już nie ma. Wcisnęłam teczki do swojej torby, ale zanim wyszłam, zobaczyłam jeszcze rachunek za jego komórkę. Zagryzłam wargi. Podniosłam kopertę. Przez chwilę obracałam ją w palcach, a potem szybko odłożyłam. I błyskawicznie wybiegłam z domu, żegnana salwami śmiechu Elżbietki i wściekłym ujadaniem Księżniczki, której nowa fryzura stanowczo się nie spodobała.

Nowoczesna bryła Galerii Krakowskiej kontrastowała nieco bardziej niż przyzwoicie z tradycyjną zabudową Dworca Głównego i okolicznych kamienic. Nie zrażało to jednak rzeszy pielgrzymujących do niej zakupoholików. Nina czekała już na mnie przed głównym wejściem, wymachując swoją złotą torebką i przyciągając wzrok każdej pary męskich oczu. Damskich zresztą też. Z tą różnicą, że pierwsze wypełnione były aprobatą, a drugie nienawiścią. Z powodu tych pierwszych. Bo wszystkiemu winni są faceci i ich zdradzieckie skłonności!

- Staram się dużo pić i mało jeść, ale ciągle jestem głodna. A od tej wody co pół godziny muszę biegać do toalety - wyjęczałam na przywitanie, ale Nina tylko spojrzała na mnie pogardliwie.

- Weź się w garść, Agata. To nie jest gra dla mięczaków - powiedziała dobitnie i wyrwała mi z ręki torebkę. A potem, ignorując moje święte prawo własności, zaczęła w niej grzebać.

- Sprawdzasz, czy wzięłam karty kredytowe? - zapytałam spokojnie, obserwując ją z założonymi rękoma.

- Szukam wizytówki - odpowiedziała niezrażona, nie podnosząc oczu znad torebki.

- Nie mam wizytówki - oświadczyłam zdumiona.

- Wiem, dziecko, tobie nie jest potrzebna. Szukam swojej wizytówki.

- To sprawdź w swojej torebce.

- W mojej nie ma. Już szukałam. - Nina dalej grzebała w mojej torebce. - Ale śmieci tu masz - mruczała. - A myślałam, że zrobisz porządek po naszej wczorajszej rozmowie.

- O co ci chodzi?- rzuciłam nieco już zirytowana.

- O! Jest! - zawołała w końcu zadowolona i z zakamarków mojej torebki wyciągnęła biały kartonik. - A już się bałam, że zgubiłam!

Wyrwałam jej z ręki karteluszek. W zdumieniu przyglądałam się wizytówce ekskluzywnego hotelu. Na drugiej stronie znajdował się numer telefonu i odręczny napis: „Dziękuję za niezapomniany wieczór. Całuję. Michał”, i serduszko.

- Skąd to się wzięło w mojej torebce? - zapytałam zdumiona, oddając wizytówkę Ninie.

- Wczoraj w kawiarni musiały się nam pomieszać rzeczy z torebek. U Tereski znalazłam jeszcze swoją ulubioną szminkę, ale najwyraźniej najcenniejsza rzecz trafiła do ciebie.

- Archiwizujesz kochanków? - zapytałam złośliwie.

Nina kopnęła mnie w kostkę. Kiedy spojrzałam na nią z wyrzutem, wzruszyła ramionami.

- Chcę to podrzucić jego żonie - powiedziała niedbale, jakby mówiła o wysianiu kartki imieninowej.

- Zwariowałaś? - wyrwało mi się. - Przecież to okrutne!

- Ma prawo wiedzieć, nie sądzisz? - zapytała, patrząc na mnie spod oka.

- Nie rób tego, Nina.

- Przecież to drań! Zdradził ją - oświadczyła zimno. - Kobieta ma prawo wiedzieć.

- A tobie kto dał prawo, żeby jej powiedzieć?

- On - powiedziała z przekonaniem.
 - Ty się zemścisz, a jej cały świat się zawali.
- Nina spojrzała na mnie zdumiona.
- Uważasz, że nie powinna wiedzieć?
 - Uważam, że to on powinien jej powiedzieć.
 - Problem w tym, że on jest zbyt wielkim tchórzem, żeby to zrobić. Jak oni wszyscy - przerzuciła się na swój znie-smaczony ton, którego zwykle używała, mówiąc o mężczy-znach. - Ale on mnie jeszcze popamięta! - dodała z okrutnym uśmiechem, wachlując się wizytówką.

Zatrzymałam się przed pierwszym lepszym butikiem. Ver-sace, Dolce i inne Gabbany.

Tu na pewno znajdę coś szalowego. I wydam wystarczają-co ilość pieniędzy, żebym poczuła się lepiej, a Paweł gorzej.

Nina stanęła tuż obok mnie.

- Co ty robisz? - zapytała, jakbym chciała wejść po futro do sklepu zoologicznego.

Rozejrzałam się niepewnie dookoła.

- Hm... myślałam, że mamy iść na zakupy. *Bare basics*, sama mówiłaś.

Nina obdarowała mnie spojrzeniem pełnym politowania.

- Właśnie. *Bare basics*. Ty w ogóle nie wiesz, jak się robi zakupy - westchnęła. - I w dodatku jesteś strasznie powierzchowna - dowaliła mi.

- Ja? Ja jestem powierzchowna!? - zachnęłam się, czerwieniejąc, nie wiedzieć czemu.

Nina poprawiła włosy i rozejrzała się. Krytycznym wzrokiem zmierzyła wychodzącą właśnie z butiku klientkę.

- Kochana, popatrz tylko na nią - powiedziała nauczyciel-skim tonem i chwyciła mnie za ramię. - Czy ta kobieta jest według ciebie pociągająca?

Nie odpowiedziałam. I dobrze, bo i tak nie miałoby to żadnego znaczenia.

- Nie! Nie jest. Popatrz tylko na nią. Biust jej zwisa do kolan. Na odpowiedni stanik żal jej pieniędzy. I co z tego, że na spodniach ma napisane Versace! Zresztą, która kobieta z klasą chodzi w dresowych spodniach z napisem na tyłku? Nawet jeśli to Versace. Pewnie przyjechała taka z Londynu rodzinę odwiedzić i wydaje się jej, że nowe trendy nam tu lansuje. A ty widziałaś, jakie miała buty? - komentowała dalej Nina.

Parę kobiet zatrzymało się koło nas, w końcu darmowe lekcje stylu nie zdarzają się codziennie, i wszystkie wpatrywały się w tę w Versace, która dziwnie szybko zniknęła w tłumie. Nina kontynuowała:

- To nie jest kobieta z klasą. Ona tylko ma pieniądze. A klasy nie da się kupić. Zrozum, najważniejsza jest bielizna. Bielizna i buty. Tak. Buty są chyba nawet ważniejsze. I oczywiście dobre kosmetyki. *Bare basics* kochana, tylko dzięki nim jesteś ponętą kobietą. A nie kobietą metką. Pamiętaj: kosmetyki, bielizna i szpilki. Bo każda kobieta jest jak czyste płótno - powiedziała nagle poetycko, a zgromadzone wokół słuchaczki jęknęły zachwycone jej metaforą. - Takie płótno trzeba odpowiednio zagruntować, bo bez dobrej zaprawy żaden obraz się nie uda. Liczy się to, co masz pod spodem. Każdy facet ci to powie.

Pożegnała wzrokiem słuchające kobiety i pociągnęła mnie dalej.

- Najpierw musisz sobie kupić buty, i to nie jakieś tam buty. Tylko Buty. Przez duże B, czy raczej przez wielkie S. - Zatrzymała się przed wystawą ekskluzywnego sklepu obuwniczego. - Szpilki. To jest najważniejszy atrybut kobiecości - odkryła przede mną największą tajemnicę kobiecej siły. - Najpierw kup szpilki, a potem idź kupuj szmaty. Jestem pewna, że nawet nie spojrzysz na dres z napisem Versace na tyłku.

Wciągnęła mnie do sklepu.

Minęło dokładnie trzydzieści sekund, a przy moich nogach znalazło się dziesięć pudełek. Czarnych szpilek było z pięć par. I mogłabym przysiąc, że wszystkie były takie same.

- Nie - mruzczała Nina, oglądając buty z każdej strony. - Te są fatalne. Skóra za twarda. Te mają za niski obcas. Te! - powiedziała nagle, piejąc z zachwytem. - Przymierz!

Przymierzyłam.

- Wstań.

Wstałam.

- Przejdź kawałek. Zobaczysz, to niemal seksualna przyjemność chodzić w takich butach - mówiła rozgorączkowana, przykładając dłoń do policzków. - Piękne są. Szkoda, że już mam dwie takie pary, bo nie mogę im się oprzeć.

Zrobiłam krok. I gdyby nie uczynna sprzedawczyni rozbiłabym głową szybę wystawową.

- Trzeba nabrać trochę wprawy - powiedziała ekspedientka. - Obcas ma trzynaście centymetrów. Najlepiej niech pójdzie pani do supermarketu i tam poćwicz.

- Taak? - zdziwiłam się mimowolnie, patrząc na nią z góry. - A dlaczego do supermarketu?

- Wózki tam mają, może się pani ich trzymać - wyjaśniła, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie. - I równe powierzchnie. Najlepsze do ćwiczeń. A jeśli złamie pani nogę, zawsze można odszkodowanie dostać.

Nina stała obok i kiwała głową. No właśnie. Przecież to takie oczywiste. Nie miała żadnych wątpliwości.

- Słuchaj tej pani - powiedziała do mnie jak do niesfornego dziecka. - Jest profesjonalistką. Wie, co mówi. A buty jak? Podobają ci się?

- Tak jakby... no, faktycznie czuję się inaczej. Tak jakoś bardziej kobieco. Pewniej. - Spojrzałam wyzywająco na cały świat. - Tak. Czuję się dużo lepiej.

- Widzisz, jak buty potrafią zmienić perspektywę? Musisz je kupić! Przymierz jeszcze te beżowe. Ten kolor wydłuża nogi, a poza tym pasują do wszystkiego. Bardzo ekonomiczny zakup - przekonywała Nina.

Przymierzyłam. I w końcu kupiłam moje pierwsze szpilki. Moje trzy pierwsze pary szpilek. Rewelacyjne czarne na obcasie niczym wieża Eiffla. Beżowe, bo wydłużają nogi. I czerwone, bo każda kobieta powinna mieć czerwone szpilki. Tylko dlatego że jest kobietą.

Potem przyszła pora na ciało.

- Ten krem weźmiemy - powiedziała wielkopańsko Nina do pyzatej sprzedawczynie, która bardziej pasowałaby do piekarni niż eleganckiej perfumerii, a potem wymownie spojrzała na mój portfel. Posłusznie wyciągnęłam kartę.

- Trzysta dwadzieścia złotych się należy - rzuciła kobieta za ladą.

Odchrząknęłam i ze sztucznym uśmiechem odciągnęłam Ninę na bok. A potem powiedziałam delikatnie:

- Czyś ty oszalała!? Przecież ten krem kosztuje majątek!

- No i? - Nina najwyraźniej nie rozumiała, o co mi chodzi. - To chyba oczywiste, że krem, który ma pomóc, odpowiednio kosztuje. Tańsze też są, ale możesz je sobie co najwyżej wetrzeć w pośladki. Nie powinny zaszkodzić.

- Ale po co mi to?

- Jak to po co? Żebyśmy były takie piękne i młode jak teraz... jak ja... przez całe życie. Krem Nivea nie wystarcza, widać to po tobie. Ty jesteś dojrzałą kobietą! Ty potrzebujesz prawdziwego serum przeciwzmarszczkowego, a nie mazidła na pupę niemowlaka! A poza tym, stać cię przecież! Paweł świetnie zarabia... - zawiesiła głos i spojrzała na mnie spod oka. - W końcu pracujesz, zajmujesz się jego domem, dziećmi. Jego brudy pierzesz. Za to pensji od niego nie dostajesz. A może tamtej to on nie takie kremy kupuje? Może tamta ma swoją kartę kredytową na jego nazwisko? Ty się poświęcasz, oszczędzasz, a ona nie ma limitu na wydatki.

Zacisnęłam wargi. Nina dobrze wiedziała, jak mnie zmotywować, a jej przekonanie, że faceci niewierność mają wpisaną w geny, zaczęło mi się udzielać.

- A poza tym, jak się nad tym zastanowić - odciągnęła mnie jeszcze dalej i ściszyła nieco głos - to takie zakupy są znacznie tańsze od psychoterapii. Jakbyś poszła do terapeuty, to pieniędzy byś nie miała, zdrowia byś nie miała. Jedyne, co byś miała, to etykietkę: ta pani leczy się u psychiatry... Przecież ty oszczędzasz! No i jesteś tego warta, prawda? - dołąła i spojrzała na mnie wyczekująco.

Hm... Czy jestem tego warta? Zerknęłam na niemiłą sprzedawczynię, która lekceważąco odkładała właśnie na półkę wspomniany słoiczek.

Oczywiście że tak!

- Proszę zapakować! I do tego z tej serii... Może to! - wskazałam na jeszcze droższe mazidło, mające za zadanie sprawić, że moja skóra odmłodzi się, a już na mur-beton będzie wyglądać jędrniej niż jędrna pupa Dorotki. I to już jutro. Nie mogłam się doczekać!

Nina, jak dotąd w pełni zadowolona z zakupów, chwyciła mnie pod ramię i pociągnęła dalej. Dałam się pociągnąć.

Dotarliśmy też do sklepu z bielizną. Ledwie Nina zobaczyła szereg biustonoszy czekających na potencjalne właścicielki, od razu chwyciła mnie za biust. Bez uprzedzenia.

- Ej! - Odskokczyłam zbulwersowana. - Łapy przy sobie!

- Dobra, przestań marudzić. Coś ty taka wrażliwa? Zastanawiam się, co się stało z twoim stanikiem? Sflaczały strasznie. Masz niewłaściwy rozmiar... Nie wiesz, że jędrny, odpowiednio wyeksponowany biust to połowa sukcesu?

- Mój jest w sam raz - oświadczyłam wściekła i zauważyłam podejrzliwy wzrok sprzedawczyni, która obserwowała nas z pewnej odległości, zastanawiając się zapewne, czy nie stanowimy czasami jakiegoś zagrożenia dla moralności.

- Jak uważasz... - mruknęła krytycznie Nina - ale przynajmniej push-up sobie kup. Ja ci dobrze radzę - oświadczyła głosem nieznoszącym sprzeciwu. - Jeśli chcesz, żeby twój mąż zainteresował się tym, co masz pod bluzką, musisz mi zaufać... - przerwała nagle i wskazała przed siebie. - Agata, a to nie jest czasem twoja babcia?

- Gdzie? - przerażona spojrzałam we wskazanym kierunku.

Tuż obok kilku pokazowych egzemplarzy z kolekcji Agent Provocateur, na tyle odważnych, że starałam się nie zapuszczać w tamte rejony, stała moja babcia Malwina i przyglądała się nieco zdziwiona wystawionym tam paseczkom mającym seksownie zakrywać i odkrywać nasze atuty. Rozejrzałam się dookoła, szukając pomocy, ale pani sprzedawczyni nie wyglądała na osobę, dzięki której moje marzenia o dematerializacji mogły się spełnić.

- Może się zgubiła? - zasugerowała Nina.

Znając babcię Malwinę, było to raczej wątpliwe. Schowałam się za koszulami nocnymi.

- Dzień dobry - zawołała Nina bez konsultacji ze mną. W końcu to chyba normalne, że widząc kogoś z rodziny, podejdziemy się przywitać.

Niechętnie wyszłam z ukrycia.

Babcia obejrzała się i dostrzegłszy nas, uśmiechnęła się z wyraźną ulgą. Podeszłyśmy do niej.

- A, moje kochane, jakie szczęście, że was spotykam! Może byście mi coś poradziły!? Wiecie, oficjalnie szukam czegoś dla wnuczki, ale tak naprawdę - rozejrzała się dookoła i dokończyła konfidencjonalnym szeptem: - szukam czegoś dla siebie. Dość mam już tych białych majtek i bezkształtnych biustonoszy dla emerytek.

Szczęka mi opadła. Nie znałam babci od tej strony. I wyglądała jakoś inaczej niż zwykle. Już miałam zapytać o tajemniczego dziadka Edwarda, ale odezwała się pierwsza:

- Chciałabym coś... seksownego - wyszeptać, czym zupełnie zamknęła mi buzię. W jej ustach zabrzmiało to jakoś nie do końca właściwie. - Oglądałam te koronki, ale nie wiem... - Spojrzała na Ninę. - Ty, dziecko, wyglądasz, jakbyś wiedziała, co się nosi i co się podoba niegrzecznym chłopcom.

Niny nie trzeba było prosić. Po dziesięciu minutach babcia Malwina poczuła się usatysfakcjonowana.

- Babciu! - odzyskałam głos, dopiero gdy babcia Malwina zapłacała. - Nie masz czasem dzisiaj spotkania w klubie seniora?

Spojrzała na zegarek.

- Ojej, ale się zagapiłam! Muszę pędzić!

I już jej nie było. Nina podeszła do mnie.

- Ale masz fajną babcię - powiedziała głosem pełnym podziwu, patrząc, jak babcia Malwina znika w tłumie.

- Myślisz? - mruknęłam. - To druga żona mojego dziadka. Po domu chodzą słuchy, że dziadek zszedł z tego świata, tak jak się urodził, goluteńki. Przy niej. Atak serca podczas stosunku. Moja mama jej nie cierpi.

Ale Nina nie słuchała. Jakby przynajmniej obydwaj jej dziadkowie zeszli przy stosunku. Patrzyła na bieliznę, którą przed chwilą oglądała moja babcia, a jej mina wskazywała bardzo wyraźnie, że właśnie znalazła to, czego szukała.

- To jest chyba to, czego szukamy! - oświadczyła, biorąc do ręki wąskie skrawki bielizny.

- Na pewno nie to, czego ja szukam - oświadczyłam, przyglądając się znieśmaczona paskom w rękach Niny. - I stanowczo nie w guście Pawła.

- Co ty tam wiesz, kochana. Przecież nie każdy facet powie własnej żonie, że powinna założyć coś bardziej ekstrawaganckiego niż kuchenny fartuszek, nie sądzisz? Żona ma być porządna i cnotliwa, i jeszcze dobrze gotować. To zalety kur domowych. A taką bieliznę noszą te, do których panowie chodzą na deser... poza tym te *dessous* nawet na niedoskonałej

pupie będą wyglądać bardzo seksy. Bo wiesz, niektóre niedoskonałości naprawdę mogą być seksowne. Spójrz na J. Lo. Albo Beyonce. One doskonale wiedzą, jak z za dużego tyłu zrobić atut. I co? Ikony seksu. Tylko o pasach ściągających nikt nie wie. Żaden facet nawet nie wpadnie na to, że bożyszczce seksu nosi majtasy usztywniające pośladki.

Nie skomentowałam tego wykładu. Ale muszę przyznać, że obraz Beyonce w majtasach zasadniczo poprawił mi humor. Nawet jeśli Nina plecie trzy po trzy. I tylko dlatego kupiłam nową bieliznę. Razem z pasem do pończoch do kompletu. Na szczęście jeszcze nie muszę nosić obciskających majtek.

Potem szybko pożegnałam przyjaciółkę, która już uważała się za zbawicielkę mojego małżeństwa, i wymachując wyzywająco torbami z moimi *bare basics*, udałam się w kierunku kościoła pod wezwaniem Świętych Jana Chrzciciela i Jana Ewangelisty, w którym to kościele funkcję wikarego pełnił Rafał - mój młodszy i o wiele lepiej zapowiadający się ode mnie (o czym często przypominała mi teściowa) brat. W końcu miał szansę zostać papieżem.

Kościół był prawie pusty. Naprzeciwko ołtarza, w pozie pokutnej, klęczała sąsiadka babci Malwiny, pani Hela. Najwidoczniej znowu przeproszała Boga za swój fanatyzm. Przychodziła do Rafała dzień w dzień z nadzieją, że po znajomości ominie kolejki w czyścicu i szybciej dostanie się do rajku, a jeśli byłby z tym problem, to że przynajmniej pokuta nie będzie taka dotkliwa. Pozornie zatopiona w modlitwie pani Hela rozglądała się bacznie, obserwując każdego, kto wchodził. Udała, że mnie nie widzi.

Konfesjonał znajdował się na lewo od drzwi. Podeszłam i uśmiechnęłam się do stojącej przede mną kobiety. Jej usta nawet nie drgnęły. Ale przecież grzechy, te małe ludzkie podłości zalegające nam na sumieniach, to nic śmiesznego.

Oczyszczenie sumienia zajęło jej dziesięć minut. Potem przyszła moja kolej.

- Witaj, ojcze, zgrzeszyłam... - zaczęłam przejmującym szeptem, ale nie dane mi było skończyć. Zza kraty usłyszałam groźne warknięcie.

- Agata, dobrze wiesz, że to nie zabawa. Jeszcze nie skończyłam.

- Robisz nadgodziny?

- Ksiądz Henryk zachorował. I wrobili mnie w spowiedź - wyjaśnił. - Ale czy ty w ogóle wiesz, co się stało!?! - usłyszałam nagle zza kraty wysoki pisk.

- Uspokój się, co się stało? - zapytałam szeptem, zdumiona jego wybuchem.

- Wczorajem zadzwoniła do mnie matka przełożona i powiedziała, że ona w życiu nie spotkała tak pustej i niewdzięcznej dziewczyny. Podobno Perpetua była tak bardzo niezadowolona z warunków w klasztorze, że się wyprowadziła! Wyobrażasz sobie? Nie odpowiadał jej standard u sióstr! I się wyprowadziła!

- Też bym się wyprowadziła - oświadczyłam zgodnie z prawdą. - Znowu za bardzo się przejmujesz.

- Zrozum, ja w jakiś sposób czuję się za nią odpowiedzialny. A jak się jej coś stanie? Przecież ona nie zna polskiego, nie zna realiów - w jego głosie rozbrzmiewała prawdziwa panika.

- Sugerujesz, że misjonarkom łatwiej krzewić wiarę w dzikich krajach, niż odnaleźć się w Polsce wśród tylu chrześcijan?

- Ty nic nie rozumiesz! Muszę ją ściągnąć z powrotem. Tydzień misyjny się zaczyna.

- Awansowałaś na Anioła Stróża? - mruknęłam zaczepnie.

- Czy ty słyszysz, co ja ci się staram przekazać!?! - usłyszałam zza kraty histeryczny okrzyk.

Zamarłam. Wszelkie szepty i dźwięki w kościele ustały, a na plecach poczułam palące spojrzenia wszystkich obecnych. A ci pochowani pod podłogą zaczęli mnie podszczypywać.

Bo jak inaczej wytłumaczyć to dziwne mrowienie na całym ciele?

- No dobra, słyszę, uspokój się... - ugryzłam się w język. - Już nic nie powiem. Nie wiem, po kim ty jesteś taki drażliwy, bo na pewno nie po mamie. Po tacie też nie. Może po babci Antosi? - zaczęłam, ale słysząc groźne dźwięki dochodzące z konfesjonatu, szybko przeszłam do rzeczy: - Masz jej adres?

Rafał najwyraźniej się uspokoił i po chwili usłyszałam ciężkie westchnięcie.

- Tak. Matka przełożona mi go podała, sugerując wyraźnie, żebym się z nią rozmówił, bo jej zachowanie jest bardzo źle odbierane. Może to się spotkać z jakąś reprimendą.

- A udało ci się skontaktować z księdzem Erykiem?

- Wyobraź sobie, że dzwonił do mnie jakąś godzinę temu. Jest taki przejęty tą całą konferencją, że w ogóle nie dał mi dojść do słowa. W tym momencie tylko na materiałach o egzorcystach mu zależy. Umówiłem się z nim za piętnaście minut. Poczekaj na mnie w zakrystii. Chyba już nikt nie przyjdzie - szeptał rozgorączkowany.

Już się podnosiłam, kiedy jak na złość w drzwiach kościoła pojawiła się wycieczka emerytów. Wszyscy rzucili się w naszą stronę. Rafał wychylił się zza kraty i przerażonymi oczyma wpatrywał się w nadchodzące towarzystwo. Emerycy ustawili się w dwóch karnych szeregach po obu stronach konfesjonatu. Rafał zwiotczał i osunął się z powrotem za kratę.

- No to koniec. Zajmie mi to najbliższą godzinę. A taki jestem głodny... - usłyszałam jego jęk. - I co ja teraz zrobię? Eryk pewnie już na mnie czeka.

- Jak chcesz, mogę to załatwić. W końcu nie uśmiecha mi się na ciebie czekać - zerknęłam dyskretnie za siebie. - Wrócę za godzinę i wtedy pojedziemy do Perpetui.

- Naprawdę? Boże, dziękuję.

- To moja dobra wola, nie musisz Go we wszystko mieszać.

- Nie lubię, jak mówisz w ten sposób - usłyszałam syknięcie. Potem Rafał wychylił się dyskretnie i wcisnął mi do ręki reklamówkę z wilgotną tekturową masą.

- Co to? - zapytałam z pewnym obrzydzeniem, bo z reklamówki wydzielał się jakiś okropnie drażniący zapach.

Usłyszałam ciche chrząknięcie.

- Ziółka na koncentrację mi się wylały. Na szczęście dokumenty są w folijce.

- Ziółka? Śmierdzi jak z nocnika - westchnęłam. - No nic. Aha, zostawię u ciebie moje zakupy - oświadczyłam i nie pytając o pozwolenie, nachyliłam się nad konfesjonałem i dyskretnie wrzuciłam do środka swoje cenne torby. - Tylko się nie przegrzej - dodałam jeszcze na odchodnym i odprowadzając ciekawskimi spojrzeniami staruszków opuściłam kościół.

Z radością zanurzyłam się w ciepłe dnia. Strzepnęłam z siebie resztki chłodu i przez chwilę zastanawiałam się, co zrobić ze śmierdzącą reklamówką. Po chwili wpadłam na pewien pomysł. Wyciągnęłam z torby dwie teczki Pawła. Przełożyłam papiery z jednej do drugiej, a do opróżnionej teczki zapakowałam materiały od siostry Perpetui. Zwróciłam uwagę na szeregi podkreślonych na czerwono nazwisk i cyfr, które zapełniały strony. Dużo liczb. Mało treści. Jeśli spodziewałam się zobaczyć jakieś mocne fragmenty na temat pracy egzorcystów, to się rozczarowałam. Obojętnie zapakowałam obie teczki do torby, a śmierdzące resztki tekturowej masy wyrzuciłam do pobliskiego kosza, do którego natychmiast zleciały się stada much, żadne najświeższych nieświeżych obrzydlistw. Zastanawiając się nad składem Rafałowych ziółek na koncentrację, wyciągnęłam jeszcze telefon i zamówiłam bratu pizzę. Z dostawą do konfesjonału numer jeden.

Pod bazyliką zjawiłam się punktualnie, ale żadnego księdza nie było widać. Przechadzałam się przed głównym wejściem, obserwując grupę Japończyków zapatrzonych w kilku

mimów. Japończycy nie mogli się zdecydować, komu wrzucić pieniądze. Mimowie starali się więc jak mogli przyciągnąć ich uwagę. Rywalizacja była bardzo zaciekła. Japończyków niestety trudno było zadowolić.

Po kwadransie wypatrywania księdza, którego nigdy wcześniej nie poznałam, moją uwagę zwrócił szalenie przystojny mężczyzna w czarnej obcisłej koszulce i designersko poprzeranianych dżinsach. Jego imponujące muskuły drgały, kiedy raz po raz podnosił ze zniecierpliwieniem rękę i sprawdzał godzinę na swoim złotym zegarku. Już miałam odejść, pewna, że ksiądz Eryk najwyraźniej się nie zjawi, kiedy przechodząca nieopodal małolata pozdrowiła mężczyznę znaczącym „szczęść Boże, księżu Eryku” i z westchnieniem uwielbienia oddaliła się. Wpatrzona w księdza Eryka nie zauważyła mimów i zderzyła się z jednym z nich. Mim syknął i runął jak długi tuż pod nogi Japończyków, którzy z gardłowymi okrzykami zaczęli robić tysiące zdjęć i obrzucać przeklinającego po swojsku mima całkiem niezłą gotówką. Wygrał konkurs. Sprawczyni całego zamieszania oddaliła się szybkim krokiem.

Podbiegłam do przystojnego mężczyzny.

- Ksiądz Eryk? - zapytałam, patrząc w jego błękitne oczy. Mimowolnie uśmiechnęłam się zalotnie.

- Owszem - odparł niepewnie. Próbował skojarzyć moją twarz.

Założyłam włosy za ucho.

- Jestem siostrą księdza Rafała. Agata Majewska, miło mi - przedstawiłam się.

Matko jedyna, dlaczego taki przystojny mężczyzna został je duchownym? Przecież to nie na miejscu! George Clooney w koloratce, do czego to doszło!

- Ojej! Witam panią! A ja właśnie na księdza Rafała czekam! Miał mi podrzucić ważne materiały do artykułu. - Spojrzał na mnie, a potem zapytał dziwnie spięty: - Czy coś się stało?

- Ależ nie, nic się nie stało. To wszystko przez tych emerytów! - oświadczyłam. - Ja mam dla księdza materiały od siostry Perpetui!

Pogrzebałam w torbie i nie mogąc oderwać oczu od jego imponującej klaty, złapałam pierwszą z brzegu teczkę i podałam mu ją z uśmiechem. Ksiądz Eryk odwzajemnił mój uśmiech i nawet nie sprawdzając, co jest w teczce, przycisnął ją mocno do wspomnianej wcześniej apetycznej części ciała.

- Jest! Jak dobrze! To ich powali! - krzyknął, przecierając swoje czerwone ze zmęczenia oczy.

- Kogo powali? - zapytałam, przyglądając się jego boskiej twarzy.

- No... - zmieszał się - egzorcystów. W Toruniu - dodał, patrząc na mnie niespokojnie. - Bo my jesteśmy rycerzami światła. Walczymy z ciemną stroną mocy.

- W Toruniu - powiedziałam, mrugając okiem.

- W Toruniu też - oświadczył. - Wszędzie tam, gdzie nas potrzebują.

Potem włożył teczkę do swojej torby.

- Ależ jestem zmęczony. Całą noc pracowałem nad tym referatem - powiedział, pocierając powieki. - Muszę się napić.

- To ja zapraszam na kawę - rzuciłam od niechcenia. - I tak muszę czekać na Rafała. Spowiada.

Ksiądz Eryk spojrzał na mnie uważnie, a potem rozglądając się dookoła.

- Właściwie to czemu nie? - powiedział ostrożnie. - I tak muszę czekać na pociąg. Przynajmniej się przy pani trochę zrelaksuję. Moje życie jest takie stresujące.

- A czyje nie jest? - zapytałam, a w moich myślach pojawili się Paweł i silikonowa Dorotka. W ciemnym pokoju.

- Zatem solidaryzujemy się w bólu - pociągnął nosem ksiądz Eryk i przysięgłabym, że zobaczyłam łzy w kącikach

jego pięknych oczu. - Chodźmy może do *Vis-a-vis*, to takie uduchowione miejsce, czyż nie?

Prawdę powiedziawszy, oprócz rzeźby Piotra Skrzyneckiego nie widziałam w tym lokalu niczego uduchowionego, ale pokiwałam głową. Tak na wszelki wypadek.

Usiedliśmy przy całkiem sympatycznym stoliku. Ja zamówiłam kawę, a mój towarzysz pięćdziesiątkę.

- A wie pani, jak ja dawno nie byłem tak po prostu z kobietą. .. To znaczy na kawie nie byłem z kobietą. Gdzie indziej też zresztą nie, broń Boże! - dodał szybko, chrząkając nerwowo i rozglądając się na boki.

- Ale przecież to nic złego - próbowałam go uspokoić. Wypiłam łyk kawy i z uśmiechem poklepałam księdza Eryka po ręce. - Kobieta też człowiek - spróbowałam zażartować. - Przecież nie robi ksiądz niczego zdrożnego.

- No właśnie - wyjęczał, masując sobie rękę. - Ale kobiety w moim zawodzie przynoszą tylko nieszczęścia. Proszę nie brać tego do siebie. - Zrobił zbolatą minę i za jednym razem wychylił zawartość kieliszka.

No tak. W końcu co ze mnie za kobieta?

Popijając kawę, ponuro obserwowałam zalany słońcem Rynek, który zdawał się drgać pod butami przechodniów. Nagle moją uwagę zwrócił wysoki mężczyzna, który przechodził w niewielkiej odległości od miejsca, gdzie siedzieliśmy. Dźwięgał imponujący kosz czerwonych róż. Kwiaty najwyraźniej spodobały się jakiejś pszczole, bo mężczyzna podskakiwał i wymachiwał rękami, starając się odgonić intruza, i wpadał co rusz na jakiegoś przechodnia. W owym mężczyźnie rozpoznałam Grzesia, przyjaciela mojego męża. Nawet wydało mi się, że patrzy w moją stronę, ale mnie nie zauważył. Już miałam do niego zamachać, kiedy usłyszałam zupełnie nieoczekiwany i wyjątkowo głośny spazm wydobywający się z imponującej klaty księdza Eryka:

- Ach, pani Agato!

Spojrzałam zdumiona na towarzyszącego mi księdza, a on (po trzecim opróżnionym kieliszku) zapytał ze łzami w oczach:

- Czy może pani coś dla mnie zrobić?

- Tak? - zapytałam nieco podejrzliwie.

- Czy może mnie pani przytulić?

- Przytulić!? - wyjąkałam osłupiała. - Ale...

- Jak matka! Albo siostra! W końcu jest pani siostrą księdza Rafała, a więc trochę i moją, prawda? Przecież wszyscy jesteśmy braćmi.

- No, jeśli tak... - odpowiedziałam niepewnie, a on, nie tracąc czasu i okazji, rzucił mi się do piersi jak małe dziecko.

- Tak się źle czuję - żalił się. - Tyle mam na głowie. Jestem przemęczony!

Pogłaskałam go po włosach. Rozglądając się niepewnie na boki, próbowałam uspokoić rozchwianego emocjonalnie księdza. Na próżno. Dopiero kiedy zamówiłam mu kawę i na wszelki wypadek zapłaciłam za wszystko, oderwał się ode mnie. Włał sobie szybko w gardło wódkę, którą kelnerka niosła dla kogoś innego, i wtedy dopiero, usatysfakcjonowany, zabrał się do kawy.

Żeby przerwać krępującą ciszę, zapytałam spokojnie, jakbym nie była świadkiem i ofiarą jego wybuchu:

- A ten referat na konferencję to o czym ksiądz pisze?

Kiedy zapytałam go o sprawy zawodowe, od razu się wy-luzował. Najwyraźniej tylko kwestie egzystencjalne go prze-rażały.

- O egzorcystach kolumbijskich napisałem. Tytuł: *Nowatorskie działania kolumbijskich egzorcystów a konserwatyzm starego świata. Skuteczność versus tradycja* - wyrecytował. - Mocne, nie? Ten temat mnie fascynuje!

- A ksiądz już pracuje jako egzorcysta?

- Nie, dopiero się uczę. Złapałem bakcyła w zeszłym roku, kiedy zostałem wysłany z pracą misyjną do Kolumbii. Tam

współpracowałem z jednym egzorcystą i muszę siostrze, to znaczy pani, powiedzieć, że to było niesamowite. - Zapatrzył się przed siebie. - Oni mają zupełnie inne podejście do demonów, do pacjenta. Ale tego się nie da opisać, to trzeba zobaczyć! Jak ja im ten referat w Toruniu przedstawię, to wszyscy z krzesel pospadają - oświadczył z pewnością siebie miną.

- A ma już ksiądz jakieś sukcesy w przepędzaniu demonów?

- A tak! - wykrzyknął podekscytowany. - Nawet ostatnio udało mi się uwolnić jednego psa.

- Taak? Ja też poznałam ostatnio sposób na uzdrowienie psa - wyrwało mi się nieopatrnie.

Ksiądz Eryk zainteresował się.

- A jaki? Może podzielimy się doświadczeniami? - zapytał.

Wpatrywałam się w jego piękne oczy. Podejrzywałam, że mógłby nie zaakceptować metody dalmatyńczyka.

- Nie, to w żadnym wypadku nowatorskie nie jest - powiedziałam szybko i postanowiłam zmienić temat. - A ta siostra Perpetua to taka, jak by to powiedzieć... - zająknęłam się - taka bardzo... szczególna jest.

- Jest wyjątkowa - poświadczył i spojrzał na mnie nieprzytomnie. - Bardzo oddana sprawie. I powiem pani, że o egzorcyzmach to siostra Perpetua wie więcej niż niejeden mianowany egzorcysta z długoletnim stażem. To prawdziwy agent Boga.

- O, to na pewno - pokiwałam głową.

Tak. Niezły agent z tej Perpetui. Boski *agent prouocateur*.

Przez chwilę milczeliśmy, a potem Eryk zapytał jeszcze:

- A nie wie pani, czy Rafał przekazał siostrze Perpetui mój mały prezent?

- Tak - potwierdziłam. - I bardzo się ucieszyła.

- To dobrze - zamyślił się nagle. - Perpetua pomogła mi przy pisaniu tego artykułu. Sama jako kobieta nic nie może zrobić. To takie niesprawiedliwe - wyraźnie się zasmucił.

- Taak... A jak już ktoś złapał takiego demona, to jak się go pozbyć? - zapytałam na wszelki wypadek, gdyby trzeba było profesjonalnie wybić Pawłowi z głowy Dorotkę.

- W lżejszych przypadkach powinien pomóc psychiatra. Ale tylko o orientacji chrześcijańskiej - zaznaczył. - I charyzmatyczna grupa modlitewna. Jeśli to nie pomaga, to trzeba wytoczyć cięższe działa i zostaje tylko egzorcysta.

- Taki jak ksiądz.

- Jak już mówiłem, ja się dopiero uczę - powiedział skromnie. - Opętanie to bardzo trudny temat, wymagający wielkiej wiedzy i umiejętnej interpretacji symptomów. Ludzie opętani mogą wszystko, bo wtedy ujawnia się ciemna strona ludzkiej natury związana z agresją i popędem seksualnym, a tak łatwo jest się dać zniewolić. Wystarczy walki wschodnie albo horoskopy, zwykle *feng shui*, wie pani... - Ksiądz Eryk, już zupełnie spokojny, zaczął wykład, a ja się wyłączyłam.

Moje myśli krążyły wokół Pawła. Obsesyjnie. Pewnie jest z nią. Pewnie się teraz śmieją razem. Pewnie ze mnie. Z mojej naiwności.

- Ma pani jeszcze jakieś pytania? - W bolesne rozmyślenia wkraść się głos księdza Eryka.

- Hm... To egzorcyci nie noszą sukienek? To znaczy su-tann? Żeby nie spłoszyć demonów? - zapytałam roztargniona, dając popis swojej inteligencji.

- To nie to, pani Agatko. Wie pani, ja po prostu strasznie nie lubię się ograniczać - przyznał nagle i dopił kawę. Potem wstał i dziękując mi za wszystko, pobiegł nieco chwiejnym krokiem w kierunku dworca.

A ja, kontemplując przez chwilę słowa księdza Eryka dotyczące demonów, weszłam do bazyliki i zapaliłam wotywną świecę w intencji oczyszczenia duszy i serca Pawła z pozamałżeńskich zakusów. Po namyśle zapaliłam jeszcze drugą. Żeby tamta zbrzydła. Kimkolwiek jest.

Niechętnie szłam w stronę Kramedu, bo jednak chciałam pomimo wszelkich zawirowań w naszym związku pomóc Pawiowi i dostarczyć mu teczki, o które prosił.

Pan Władek był jak zwykle na posterunku. Oglądał kolejny odcinek *Klanu*. Zdziwił się, zobaczywszy mnie znowu.

- A to co? Kolejna niespodzianka dla męża? - zapytał, ale nie chcąc przegapić żadnej sceny kultowego serialu, machnął ręką, żebym przeszła. - Ja to nie lubię zbyt wielu takich niespodzianek. Dobrze, że moja żona o tym wie - dodał jeszcze, dając mi najwyraźniej do zrozumienia, że on na miejscu Pawła stanowczo skróciłby mi łańcuch.

Z drżeniem serca dotarłam na górę i zatrzymałam się przed przeszklonymi drzwiami. Zerknęłam nerwowo przez szybę. Silikonowej Dorotki nie było widać. Zresztą prawie nikogo nie było widać, jako że w sobotę w biurze siedziało tylko kilku pracoholików i kilku zmuszonych do pracoholizmu podwładnych, liczących każdą minutę do wyjścia. I biurowi kochankowie, ma się rozumieć. Zaczęłam się zastanawiać, do jakiej kategorii należy mój mąż, ale odrzuciłam ponure myśli. Odetchnęłam głęboko i zadzwoniłam do drzwi. Otworzyła mi pani Jadzia z kadr. Uśmiechnęła się do mnie uprzejmie, ale odniosłam wrażenie, że przygląda mi się badawczo. Czyżby wiedziała coś, czego ja nie wiem? Podeszłam do drzwi, za którymi znajdował się gabinet Pawła, i zatrzymałam się. Poczułam niepokój. Zagryzłam wargi i rozejrzałam się dyskretnie dookoła, łapiąc przy okazji kolejne badawcze spojrzenie pani Jadzi. Kiedy tylko spostrzegła mój wzrok, momentalnie zaczęła przeglądać trzymane w ręku papiery. Boże, wpadłam w paranoję!

Uniosłam rękę. Chciałam zapukać, w końcu jestem kobietą cywilizowaną, nie chamem, ale dokonałam przerażającego odkrycia. Uświadomiłam sobie, że pokój z biurkiem, który pojawia się w moim śnie, jest biurem Pawła. Po chwili namysłu postanowiłam zatem nie pukać. Nabrałam powietrza i trzymając w zaciśniętej ręce teczki, drugą ręką pchnęłam drzwi.

I stanęłam jak wryta. W pokoju, tak jak w moim śnie, znajdowało się wielkie biurko Pawła, ale właściciela nie było. Za biurkiem mojego męża siedziała za to silikonowa Dorotka i piłowała sobie paznokcie.

Na dźwięk otwieranych drzwi powoli oderwała wzrok od pilniczka i spojrzała na mnie niechętnie. Potem obciągnęła swoją białą półprzezroczystą bluzkę i poprawiła się na krześle. Zauważyłam, że jej skórzane spodnie są tylko marną imitacją skórzanych spodni.

- Nie umie pani pukać? - powiedziała z pretensją. Potem spojrzała na teczki w moich rękach. - A, pani pewnie na *interview* w sprawie pracy.

- Chyba na *interview* - wymknęło mi się bezwiednie.

Pani Dorotce opadły ramiona. Biust pozostał jednak na swoim miejscu, co upewniło mnie, że nie wymaga kolejnej interwencji chirurgicznej.

- No przecie mówię, nie? Zresztą ja tu jestem od francuskich i hiszpańskich rynków. Biegłe francuski znam - podkreśliła. - A hiszpański tylko trochę gorzej. A inter... rozmowy na sprzątaczkę prowadzone są w pokoju numer pięć. Proszę zapytać o panią Jadwigę z kadr - powiedziała i spojrzała na mnie z wyższością. Potem znowu zabrała się do piłowania paznokci. Nie miała zamiaru poświęcać mi więcej swojego cennego czasu.

Nie mogłam się ruszyć.

- Jeszcze coś? - zapytała po chwili, nie rozumiejąc, dlaczego nadal stoję w drzwiach i gapię się na nią jak na przybysza z obcej planety. Ja też tego nie rozumiałam. Chwilowe osłabienie zapewne.

Dorotka poprawiła włosy, na wszelki wypadek, a potem spojrzała na mnie wymownie.

- Pokój numer pięć jest zaraz za pokojem numer cztery - zaczęła popisywać się swoją znajomością matematyki. Liczenie do dziesięciu miała najwyraźniej w małym paluszku.

- Nie wątpię - opanowałam się. - Ja właściwie to przyszłam do pana Majewskiego.

Pani Dorotka przyjrzała mi się z wyraźnym obrzydzeniem.

- Proszę mi wierzyć, po znajomości i tak pani tego nie załatwi, zresztą tyle mają chętnych, że proszę, od wczoraj siedzą nad podaniami, a dziś przecież sobota. Tak, widzi pani, w dzisiejszych czasach CV trzeba mieć na poziomie, co najmniej maturę, dwa języki obce, proszę pani...

- Jak to? - zdziwiłam się bezwiednie. - Żeby dostać pracę sprzątaczkę?

- Oczywiście - uświadomiła mnie pani Dorotka. - A co jeśli jakiś klient zadzwoni po godzinach, a pani będzie akurat sprzątać? Pani ani be, ani me w obcym języku i czyja wtedy reputacja ucierpi, co?

- Reputacja? - zdziwiłam się chyba za bardzo, bo Dorotka postanowiła okazać mi swoją wyższość.

- A tak. Jak pani słowa nie rozumie, to trzeba sprawdzić w słowniku, ostatnio też sobie jeden kupiłam. Tylko nie pamiętam który. Bo jest kilka - zastrzegła. Potem spojrzała na mnie z góry. - Chyba wie pani, co to jest słownik, nie? A poza tym pan Pawełek na spotkaniu jest. Nikogo nie przyjmuje - dodała tonem zniechęcającym do wszelkiej dyskusji i już bez żadnych ceregieli skupiła się tylko na swojej pracy.

Cóż, jak nikogo to nikogo. Zagryzłam wargi i bez słowa wyszłam. Za drzwiami zdecydowałam, że przy pierwszej lepszej okazji na pewno ją ukatrupię.

Na portierni wręczyłam teczkę panu Władkowi.

- A czemu pani mężowi w biurze nie zostawiła? - zapytał zdziwiony.

- W końcu to miała być niespodzianka, prawda? - burknęłam nieco wyprowadzona z równowagi. - Proszę mu podrzucić, dobrze?

- Tak jest, pani prawie już dyrektorowo - powiedział ze swoim szarmanckim uśmieszkiem i podkreślił wąsa. - Zaraz

zaniosę, tylko mi się skończy odcinek. Ten serial taki życiowy jest, wie pani?

Nie wątpiłam. Na pewno bardziej życiowy od samego życia.

Rafała znalazłam w zakrystii, pochłaniał trzeci kawałek pizzy.

- Smakuje? - zapytałam ponuro.

- Nie drażnij mnie! - wybuchnął z pełnymi ustami. - Jem tylko dlatego, że jestem wyprowadzony z równowagi.

- Ty jesteś wyprowadzony z równowagi? - zapytałam poirytowana.

Przecież nie ty zastałeś prawie że pewną kochankę męża przy jego biurku i nie ty zostałeś zaliczony do grona sprzątaczek.

- Tak. Przez tamtych dwóch.

Spojrzałam na niego w zdumieniu. Teraz dopiero zauważyłam, że jego twarz płonęła, a ręce trzęsły się straszliwie. Był zdenerwowany. Jeszcze bardziej niż zwykle.

- Co się stało? - Zapomniałam na chwilę o Pawle i sili-konowej Dorocie i usadowiłam się na krześle obitym czerwonym pluszem. Ze ściany patrzył na mnie surowo Jan Chrzyciel.

Rafał niemalże w całości połknął czwarty kawałek pizzy i wreszcie przestał żuć.

- Napadły na mnie dwa typki - powiedział, spoglądając w kierunku drzwi.

Zmarszczyłam brwi, nie dowierzając.

- Ale jak to cię napadły? W konfesjonale!?

- Prawie - potwierdził i zaczął chaotycznie opowiadać: - Wyspowiadałem wszystkich emerytów, to zazwyczaj szybko idzie, bo oni praktycznie nie grzeszą, potem poczekałem jeszcze chwilę, odebrałem pizzę i siedłem do zakrystii, kiedy wyskoczyło na mnie dwóch facetów. Jeden chwycił mnie

za rękę, a drugi zatarasował przejście. Najpierw myślałem, że chcą mi odebrać pizzę, ale gdy zaproponowałem, że oddam po dobroci, jeden się strasznie wkurzył i przyłożył mi pięść do oka. Już wiedziałem, żeby o pizzy nie mówić. Potem zapytał, czy znam jakąś Perpetuę. Powiedziałem, że owszem, chyba wiem, o kogo chodzi, a oni, żebym czasem nie kłamał, bo i tak wszystko wiedzą. Więc spytałem, po co mnie w takim razie pytają, a oni na to, żebym się zamknął, bo wiedzą wszystko, ale jeszcze nie to, co by chcieli. I ja mam im to powiedzieć. Spytałem uprzejmie, czego chcą się dowiedzieć, oni że chcą usłyszeć wszystko o Perpetui, bo to ja ją odebrałem z lotniska. I żebym czasem nie zaprzeczał, bo matka przełożona tak im powiedziała. Ja mówię, że nie mam zamiaru zaprzeczać, bo owszem, Perpetuę odebrałem z lotniska i zawiozłem do klasztoru. Wtedy oni znowu zaczęli swoją śpiewkę, że tak, że oni wszystko wiedzą, ale jej tam nie ma. A matka przełożona im powiedziała, że ona nie jest żadną niańką, że to ja się zajmuję Perpetua i jak będę chciał, to im dam jej adres. To powiedziałem, co wiedziałem, podałem im adres, który mi dała matka przełożona. Potem jeden zapytał, czy Perpetua mówiła coś szczególnego. Odpowiedziałem, że nic nie wiem, bo to ty z nią rozmawiałaś, ale jeśli chcą zdobyć jakieś informacje, to najlepiej skontaktować się z księdzem Erykiem, bo on ją dobrze zna z misji z Kolumbii. Wtedy jeden się strasznie zdenerwował i zmasakrował mi ławkę w konfesjonale - Rafał przerwał, patrząc na mnie zdenerwowany. - I powiedział, że jeśli się okaże, że Perpetui pod tym adresem nie ma, to on ze mną zrobi to, co z ławką. A drugi wyszedł z telefonem. Kiedy wrócił, zaczął mnie przeproszać i powiedział, że to pomyłka.

- Naprawdę? - Zmarszczyłam brwi. - Ale to bez sensu!

- Właśnie! Tamten pierwszy też się zdziwił, ale ten drugi coś mu na ucho szepnął i już było wszystko w porządku.

- Rany! I co?

- I nic. Pożegnali się, muszę przyznać, bardzo uprzejmie i powiedzieli mi, że będą w kontakcie i chętnie wynagrodzą mi straty moralne.

Przez chwilę siedziałam nieruchomo. Rafał zajął się jedzeniem resztek pizzy.

- Czy ty to myślisz czasami? - zapytałm znienacka. Spojrzał na mnie wściekle.

- O co ci znowu chodzi? - zapytał z pełnymi ustami.

- A jak oni chcą krzywdę zrobić tej całej Perpetui? Przecież to ewidentnie nie byli misjonarze ani święci, tylko gangsterzy. Co ty filmów nie oglądasz? Normalni ludzie grzecznie pytają. Gangsterzy demolują i wywołują zamieszanie. I jeszcze nastąpiła ich na biednego Eryka.

Rafał zamarł. A potem próbując połknąć to, co miał w ustach, zadławił się. Na szczęście go odratowałam. Uderzyłam go pięścią w plecy siłą ponadprzeciętną i uratowałam. Wprawdzie czytałam, że uderzeniem w plecy można co najwyżej pogorszyć sprawę, ale człowiek, nie mając złych zamiarów, zawsze odruchowo uderza. I jakoś zawsze wbrew wszystkiemu pomaga.

- Matko jedyna, chcesz mnie zabić! - wydyszał, kiedy jego oddech wrócił do normy.

- Chciałam pomóc, ale jak się coś nie podoba, to na drugi raz nie będę próbować.

Pokazał mi język, pokaszłał jeszcze trochę, a potem wykrzyknął zdenerwowany:

- A jeśli ty ten jeden jedyny raz masz rację!? Jeśli oni zrobią jej coś złego!?

Opadł na krzesło pod świętym Janem Ewangelistą i wpastryzył się we mnie, licząc najwyraźniej na siostrzaną radę.

- Hm - zaczęłam się zastanawiać. - Eryka i tak nie zastaniemy, bo właśnie wsiada do pociągu. Jedyne, co możemy zrobić, to sprawdzić, czy z Perpetua wszystko w porządku.

- Ja wiedziałem! - oświadczy! Rafał, zrywając się z krzesła. - A nie mówiłem? Mówiłem! Ona nie zna realiów, nie wiadomo, w co się wpakowała! Czemu ja swojego instynktu nie posłuchałem!? Czemu od razu tego nie załatwiłem!? - jęknął.

- Nie ma co histeryzować, trzeba działać - odpowiedziałam przytomnie. - Jedziemy!

Zerwałam się z krzesła i pobiegłam do konfesjonatu, żeby zabrać swoje rzeczy. Po chwili wpatrywałam się w ostupieniu w moje bezcenne szpilki i kremy walające się w nieładzie po podłodze.

- Zapomniałem ci powiedzieć - usłyszałam za sobą głos Rafała. Odwróciłam się. Stał z założonymi rękami oparty o konfesjonat i przyglądał mi się z nikłym (ale złośliwym!) uśmiechem. - Dziwni panowie, zanim zrobili się mili, dokonali rewizji konfesjonatu, a przy okazji oberwałem po głowie. Za niemoralne prowadzenie.

Brama kamienicy przy ulicy Starowiślniej była niedomknięta.

- Jak myślisz, zadzwonić? - zapytał niepewnie Rafał, przypatrując się numerom na domofonie. Rozejrzałam się na wszelki wypadek, ale żadnych podejrzanych typków nie było widać.

Potrząsnęłam przecząco głową.

- Może się wystraszyć. Albo ci faceci mogą tam jeszcze być. Wejdzmy.

Weszliśmy na małe podwórze. Otoczyła nas szarość murów, ożywiona gdzieś jasnymi plamami firanek i suszących się na sznurkach kolorowych majtek i skarpetek. Nie było żywego ducha. Stare mury tłumiły hałas ulicy, włączając nas w pełną oczekiwania ciszę.

Rozglądając się podejrzliwie, zatrzymaliśmy się przed wiekowymi, solidnymi drzwiami, na których znajdowała się metalowa tabliczka z numerem dziesięć.

- To jak? Pukamy? - zapytałam Rafała. W końcu to jego zakonnica.

Nie odpowiedział. Przełknął ślinę i cicho zapukał. Tak cicho, że nawet ja miałam problemy z usłyszeniem, choć stałam tuż obok niego.

Spojrzałam na niego z politowaniem i wyciągnęłam rękę. Zapukałam energicznie, a odgłos poniósł się zwielokrotnionym echem. Kilka sekund ciszy, po czym usłyszałam delikatny szmer i odniosłam wrażenie, że jesteśmy obserwowani. Ktoś po drugiej stronie drzwi przyglądał się nam przez wizjer. Mrugnęłam porozumiewawczo do Rafała i uśmiechnęłam się przyjaźnie do wizjera.

Rafał odchrząknął.

- Sostro Perpetuo! - zaczął przemawiać. - To ja, ksiądz Rafał. Proszę otworzyć, chyba musimy porozmawiać.

Cisza. Rafał spojrzał na mnie znacząco.

- *La hermana Perpetua!* - zaczęłam tłumaczyć. - *Abra la puerta, por favor. Podríamos hablar un momentito?*

Przerwałam, bo drzwi uchyliły się nagle zapraszająco, a światło dnia wdarło się do pomieszczenia i oświetliło przedpokój wyłożony zielonym linoleum.

Spojrzałam na Rafała. Z tym swoim dżentelmeńskim uśmiezkiem przepuścił mnie przodem. Wzruszyłam ramionami i weszłam do środka. Rafał tuż za mną.

- *La hermana Perpetua?* - powtórzyłam już mniej pewnie.

1 wtedy usłyszałam, jak za moimi plecami drzwi zatrzaśkują się złowrogo, odcinając dopływ światła. Podskoczyłam i obejrzałam się gwałtownie. Rafał zastygł tuż obok. Ja także znieruchomiałam, bo przed nami, zagradzając drogę ucieczki, stał mały pokurczony staruszek, który na pewno Perpetua nie był, ale za to w drżącej dłoni trzymał rewolwer. Prawdziwy rewolwer. Znałam się na rewolwerach, bo w zamierzczłej przeszłości byłam wielką fanką Dzikiego Zachodu i pasjono-

walam się rewolwerowcami i Indianami. Tak! Staruszek na pewno trzymał autentycznego colta.

Wpatrywaliśmy się w mężczyznę z takim natężeniem, że najwyraźniej zasnął.

- Właśnie księdza potrzebuję - powiedział głosem umiarkowanego i opuścił broń. Potem nagle zaczął się cały trząść.

Przetknęłam ślinę.

- Wzywał pan księdza? - zapytał bardzo łagodnie Rafał, na wszelki wypadek nie spuszczać wzroku z rewolweru.

- Nie wzywałem - wyszeptał staruszek. - Tym bardziej jestem pod wrażeniem, że ksiądz przyszedł. Serwis się wam poprawia. Mam nadzieję, że nie bierzecie dodatkowo? - Na chwilę przestał się trząść i spojrzał na Rafała konkretnie, szukając potwierdzenia. Rafał pokręcił głową, a staruszek znów zaczął się trząść i płaczącym głosem zakomunikował: - Muszę się wypowiedzieć. Chyba w nocy dostanę zawału.

- Ale dlaczego? - zdziwił się Rafał.

- Jestem zawałowcem - tłumaczył staruszek. - Po tym wszystkim cud, że jeszcze żyję.

- Ja nic nie rozumiem - oświadczył Rafał, rozkładając ręce.

- Ja też nie - oparł go staruszek.

Rafał spojrzał na mnie błagalnie.

- A co się właściwie stało? - postanowiłam włączyć się do rozmowy. Podeszłam powoli do staruszka. - Może pan zechce przejść do pokoju i usiąść? Tak się pan trzęsie. - Podałam mu rękę, a on wdzięczny za litościwe słowo oparł się o mnie i wachlując się rewolwerem, pozwolił się zaprowadzić do pokoju. Rafał ruszył za nami. Pokój wyglądał, jakby przeszło przez niego tornado. Prawie wszystkie krzesła były połamane. Posadziłam staruszka na jedynym ocalałym i poszłam do kuchni po wodę, wypatrując po drodze jakichkolwiek znaków obecności siostry Perpetui. Niestety bez powodzenia. Kiedy wróciłam do pokoju, gospodarz opowiadał o tym, co mu się przytrafiło,

a Rafa! jak zahipnotyzowany wodził wzrokiem za rewolwerem, którym roztrzęsiony dziadek wymachiwał mu przed oczami.

- Napadli mnie przed chwilą - żalił się drżącym głosem staruszek. - We własnym domu mnie napadli! Bandyci! Wprawdzie mogłem ich postraszyć, ale broni nie zdążyłem wyciągnąć.

Podałam mu wodę. Podziękował i zaczął łapczywie pić. Przestał wymachiwać rewolwerem, co pozwoliło Rafałowi wyzwolić się z transu i zapytać całkiem przytomnym głosem:

- Czy było ich dwóch? Jeden wielki, drugi mniejszy z wyłupiastymi oczami?

Staruszek udławił się wodą.

- Właśnie. To ksiądz ich zna? - wykrztusił, rozglądając się dookoła, jakby się bał, że zaraz znowu wyskoczą gdzieś spod dywanu.

- Tak - potwierdził Rafał. - Mnie też odwiedzili. Dzwonił pan już na policję?

- Jeszcze nie - odpowiedział staruszek, ocierając pot ciekący mu z czoła. - Zaraz zadzwonię, tylko chciałem się najpierw uspokoić.

- Tak. Trzeba koniecznie na policję. A ona? - zapytałam mimochodem, poklepując dziadka uspokajająco po plecach. - Gdzie ona jest? Zabrali ją?

Znieruchomiał i spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem. Zabrałam rękę.

- Ale kto? - wyjęczał głosem męczennika. - Ja tego w ogóle nie rozumiem.

- No... Jak to kto? Siostra Perpetua. Zakonnica z Kolumbii. Wczoraj się tu wprowadziła, prawda?

- Dobry Boże! - Staruszek wzniosł oczy ku niebu, a raczej ku sufitowi. - Jaka zakonnica!? Ja o niczym nie wiem. Jestem emerytowanym stolarzem. Od pięciu lat mieszkam sam i żadne zakonnice mnie nie odwiedzają! A tamci to samo! Gdzie

Perpetua i gdzie Perpetua! I moje piękne krzesła zniszczyli. Niech jest i w samym piekle ta Perpetua, ale u mnie jej nie znajdziecie!

Kiedy czekaliśmy na policję, cały czas starając się uspokoić staruszka, zadzwonił mój telefon.

- Mama, gdzie jesteś? - usłyszałam znudzony głos Małgosi.

- Mam coś do załatwienia z wujkiem Rafałem - odpowiedziałam.

- Aha - powiedziała bez zainteresowania. Potem jej głos zdecydowanie się ożywił. - Elżbietka mówi, że Księżniczka ma chyba jakieś uczulenie, bo jej się oczy zrobiły takie czerwone. Może trzeba ją będzie uspić? Ona się na tym zna, bo miała kiedyś psa. Rottweilera. Mówiła, że raz oczy mu się zrobiły przekrwione i rzucił się na kogoś. Też go musieli uspić. A wiesz, że Antkowi też jakoś tak oczy czerwienieją? A tak w ogóle, to dzwonił tata. Mówił, żebyś od razu wstawiła do piekarnika, co masz, bo już jadą z prezesem i są strasznie głodni. Jak mu powiedziałam, że cię nie ma, to się strasznie zdenerwował.

- Jak to mnie nie ma!? - przerwałam jej szybko. - Natychmiast zadzwoń do taty i powiedz mu, że już prawie jestem w domu i wszystko mam gotowe.

Wyłączyłam się. Potem spojrzałam w przerażeniu na Rafała.

- Paweł mnie zabije! Miałam kolację przygotować! Mamy gości!

- Nie histeryzuj - odpowiedział pobłażliwym tonem. - Idź już. Ja tu zostanę i poczekam z panem na policję.

W popłochu zbierałam z ziemi swoje torby, a staruszek przyglądał mi się z wyraźnym współczuciem.

- To pani z takim draniem żyje? Za brak kolacji bije? Proszę to wziąć - powiedział uroczyście i wręczył mi rewolwer. - Nikogo z tego rewolweru pani nie postrzeli, bo jest zepsuty. Zardzewiał trochę, wie pani, zabytek, i to po prze-

ściach. Ale do straszenia jest w sam raz. No i pozwolenia pani nie potrzebuje. A jeśli pani sobie życzy, to mogę nawet iść razem z panią i postraszymy tego pani męża. Żeby panią szanował! - rozgorączkował się staruszek, odprowadzając mnie do drzwi i próbując wcisnąć mi do rąk broń.

- Muszę przyznać, że mojemu mężowi taka nauczka by się przydała, ale może jednak innym razem - rzuciłam z uśmiechem, zdecydowanie odmawiając przyjęcia prezentu.

Staruszek chwycił mnie za ramię.

- Proszę wziąć - powiedział przekonującym głosem i nie bacząc na moje protesty, wsunął mi rewolwer do torebki. - To oryginalny colt, odziedziczyłem go po pradziadku, który Dziłki Zachód zdobywał, ale stary już jestem, dzieci nie mam i tak miałem go komuś podarować. Pani na pewno zrobi z niego dobry użytek.

Na pewno. Bezwiednie pomyślałam o Pawle i silikonowej Dorotce.

Do domu dotarłam w rekordowym tempie. Na szczęście wpadłam na genialny pomysł i kazałam taksówkarzowi zatrzymać się obok budki z drobiem. Kupiłam pieczone kaczkę. Chciałam kurczaki [mam awersję do kaczek, tylko i wyłącznie dlatego że moja teściowa, kiedy zaprasza nas na obiad, zawsze przygotowuje kaczkę w polewie i trzeba wszystko zjeść, bo inaczej wpada w histerię, że nikomu nie smakuje), ale niestety zostały tylko kaczki. Wzięłam dwie. Pani w budce była tak zadowolona, że dorzuciła jeszcze gratis specjalny dip warzywny, którego zapach kojarzył mi się z zepsutym majonezem z pietruszką. Kaczki nie były może najdorzodniejsze, ale za to upieczone. Wystarczyło je podgrzać i podać. Do tego w sklepie obok dokupiłam sałatkę i ziemniaki. I całkiem przywoitą szarlotkę. Teraz tylko musiałam wszystko tak przygotować i podać, żeby wyglądało na to, że cały dzień spędziłam w kuchni. A to już wyżyny sztuki

kulinarnej. Na szczęście, nie chwając się, osiągnęłam w niej prawdziwe mistrzostwo.

Kiedy położyłam wszystko na kuchennym stole, Elżbietka zachichotała, a potem, patrząc na mnie z litością, podsunęła mi krzesło i podała szklankę wody.

- To ja lecę do pracy - powiedziała, zostawiając mnie samą z tym całym bałaganem. - I niech się ciocia tak nie denerwuje. To tylko kolacja. Co może pójść nie tak? Aha - jej wzrok padł na Księżniczkę - tego psa radzę uśpić, póki nie jest za późno - dodała złowieszczo, znikając w przedpokoju. Wyszłam za nią, żeby zamknąć drzwi, i wtedy właśnie zjawili się goście.

Najpierw próg przekroczyła prezesowa Drągalska - drobna kobieta o szlachetnych rysach, podrasowanych nieco botoxsem. Pierwsze, co rzucało się w oczy, to jej niesamowicie różowa szminka, która przy niesamowicie białych zębach wyglądała jeszcze bardziej różowo. Elegancki kostium w cętki leoparda zdradzał zamiłowanie do kocich zagrywek, szczególnie w sypialni, co tłumaczyłoby podrapane czasami ręce prezesa. Za prezesowa, schylając się w drzwiach, wkroczył dumnie sam prezes. Krople potu ściekały z jego bujnej grzywki jak z niedokręconego kranu. Prezes Drągalski był człowiekiem, który bał się tylko i wyłącznie własnej żony. Chodziły słuchy, że nie bał się nawet pana Boga, co dla wielu było oczywistym powodem, by za plecami nazywać go Belzebubem. W stosunku do pracowników był porywczy i bezwzględny jak feudalny pan, ale wobec własnej żony zachowywał się jak pańszczyźniany chłop. Był jednym z najbardziej odrzucających mężczyzn, jakich znałam, ale szykował Pawłowi awans i tylko dlatego znosiłam jego osobę.

Paweł wszedł na końcu. Unikał mojego wzroku, na jego twarzy malowała się wściekłość. Taka, co to wojny wywołuje. A potem żałobę. Od razu było widać, jakie ma priorytety. Obiad z prezesem i jego małżonką ważniejszy od dobrych relacji rodzinnych. W końcu każdy mógł zapomnieć. Tyle

niecodziennych rzeczy mam na głowie ostatnio. Powinien to zrozumieć. Przecież sam tyle niecodziennych spraw ma na głowie. A już na biurku to na pewno.

-Ależ upały nastały... Uszanowania szanownej pani... - Cmoknął mnie w dłoń prezes i zlustrował z góry na dół tak wyćwiczonym przez lata wzrokiem, że nikt, nawet jego do szaleństwa zazdrosna żona, nie zauważyła. Ale za to tak intensywnie, że nieomal poczułam dotyk żabich oczu. Wzdrygnęłam się mimowolnie i, żeby nie zdradzić swego obrzydzenia, szybko przeniosłam wzrok na prezesową.

- Witamy serdecznie, ślicznie pani wygląda. Ach, jaka piękna biżuteria! - jęknęłam z zachwytu na widok wspaniałej bransoletki, wartej majątek.

Prezesową uśmiechnęła się do męża i stając na palcach, pocałowała go czule w brodę.

- Diamenty z platyną - rzuciła niedbale, unosząc rękę, żeby wszyscy mogli dokładnie zobaczyć i zachwycić się blaskiem klejnotów. - Ten mój Czesio, taki kochany! Kupił w Londynie, jak w delegacji był...

Delegacje prezesa Drągalskiego były szeroko znane w firmie, gdyż zazwyczaj towarzyszyła mu jakaś nierozgarnięta modelka zatrudniona do reklamowania sprzętu medycznego, czy raczej własnej figury na sprzęcie medycznym. Najciekawsze pod tym względem były rzecz jasna fotele ginekologiczne. Obcisły kostium gimnastyczny modelki bardziej rzucał się w oczy niż wspomniany sprzęt, i trzeba przyznać, że katalogi Kramedu rozchodziły się jak świeże bułeczki. Z każdej takiej wyprawy prezes Drągalski przywoził prezesowej bardzo kosztowną biżuterię, która, jak niektórzy twierdzili, była nie tyle dowodem tęsknoty i miłości, ile poczucia winy.

- U Tiffany'ego. Wie pani, pani Agatko, to taki słynny...

Pokiwałam głową. Ach, jak ja bym chciała kiedyś bransoletkę od Tiffany'ego! Niekoniecznie z platyny i diamentów.

Wystarczyłoby srebro. Ale Paweł to nawet z poczucia winy by mi nie kupił.

- Ja wiem. Niestety mój mąż jest zupełnym ignorantem w tych sprawach - dodałam złośliwie, przyglądając się Pawłowi, który wyglądał wyjątkowo nieciekawie. Jego podkrążone oczy i blada twarz mówiły wiele o jego życiu pozadomowym.

Na twarzy Pawła pojawił się jadowity uśmiech.

- To zupełnie jak ty w kwestii gotowania, kochanie - odparował. - Zapraszamy państwa do salonu, Agata na pewno kupiła na mieście coś gotowego i tylko musi podgrzać.

Z oburzenia zacisnęłam wargi tak mocno, że zrobiły się purpurowe. Moja duma skwierczała na ogniu, a oliwy dolewała prezesowa, która po chwili ciszy rzuciła mi spojrzenie pełne potępienia i otworzyła swoje różowe usta.

- Jak to? To pani nie umie gotować!? - Jej bezmierne zdumienie stanęło mi kołkiem w gardle. Odkrztusiłam.

- Ależ oczywiście, że umiem, tylko dzisiaj ciężki dzień mam, a poza tym to tylko takie pół... półprodukty... - wyjąkałam, czerwona ze wstydu.

- Przynajmniej będzie zjadliwe - oświadczył z przekonaniem Paweł, a potem dodał tonem męża zachwalającego swoją doskonałą, ale wyjątkowo skromną żonę: - Agata bardzo się starała, dobrze wie, do czego jesteście państwo przyzwyczajeni.

Zabrakło mi słów. Paweł, w ogóle nie przejmując się moją miną i milczeniem, zaprosił gości do salonu, a prezesowa chwyciła mnie pod ramię, chcąc podzielić się ze mną swoją wiedzą kulinarną.

- Ależ pani Agatko, to przecież takie ważne! Każda pani domu powinna gotować, przynajmniej dla gości. Poradzę pani, że dla wyrafinowanych gości najlepiej sprawdza się kuchnia francuska. Ja na przykład, kiedy przyszli do nas w odwiedzi-

ny wiceprezydentowa Krakowa z mężem, przygotowałam takie vichyssoise, że...

Nie słyszałam jej głosu. Widziałam tylko pełne złości oblicze mojego kochanego męża i zastanawiałam się, jak do tego wszystkiego doszło. Czy to moja wina?

- Do coq au vin najlepiej...

Kryzys wieku średniego?

- A na deser podałam creme brulee, własnoręcznie przygotowany - paplała prezesową niezrażona moją obojętnością. - Żadna kupna podróbka, pani Agatko! Jak pani będzie kiedyś miała ochotę, to ja pani pokażę, jak prawdziwa pani domu, taka z klasą, powinna gotować.

Schowałam się w kuchni. Tam gdzie moje miejsce. A potem uderzyłam głową w ścianę.

- Pomóc ci? - usłyszałam złośliwy głos mojego męża.

Zignorowałam go, wypakowałam zakupy i zaczęłam ładować kaczki do żaroodpornego naczynia, żeby je podgrzać. Paweł przyglądał mi się uważnie.

- Czyżbyś ze mną nie rozmawiała? - zapytał, a jego głos był bardziej niż wyzywający.

- A od kiedy to brakuje ci rozmowy ze mną? - syknęłam, ale przerwało nam wejście prezesa.

- Przepraszam... - Wetknął głowę do kuchni.

Podskoczyłam i zasłoniłam kaczki. Zauważył. Obejrząwszy się, czy żona przypadkiem nie słyszy, uśmiechnął się wyjątkowo sympatycznie i oświadczył konspiracyjnym szeptem:

- Jak to się teraz mówi? *Yes! Yes! Yes!* Nareszcie jakaś odmiana! Wreszcie jakiś *fast food*. Już nie mogę patrzeć na te jej kremy bille i inne. 1 proszę mi ten drób jakimiś chipsami obłożyć. Może żona pozwoli mi u kogoś zjeść coś trującego. To znaczy - zreflektował się - coś normalnego. - Mrugnął okiem. - Tak w ogóle, to chciałem skorzystać z łazienki, ale nie mogę się dostać, tak jakby zablokowana...

Zmartwiałam po raz kolejny. Uświadomiłam sobie, że dziwna cisza w domu nie wróży nic dobrego. W końcu mam dwoje dzieci z niezdiagnozowanym jeszcze ADHD.

Rzuciłam Pawłowi przerażone spojrzenie.

- Już momencik, to pewnie któreś z dzieci. Paweł, nastaw piekarnik.

Ruszyłam szybko w kierunku łazienki. Zamknięta.

- Małgosia! Otwórz natychmiast! - syknęłam przez drzwi i uśmiechnęłam się nieudany uśmiechem do prezesa, który cierpliwie czekał na swoją kolej.

Cisza.

- Małgosia!!

- Ona jest u siebie w pokoju. To ja jestem i czyszczę buty - zza drzwi rozległ się niepewny głos Antka.

- Antek, mamy gości, w takich chwilach nie czyścimy butów. Otwórz natychmiast! - wysyczałam kategorycznie.

Po chwili usłyszałam delikatny odgłos przekręcanego klucza i tupot małych stóp.

Weszłam. Zobaczyłam Antka, który zdążył już z powrotem usiąść na środku łazienki i najzwyczajniej w świecie pa-stował moje adidas. Moim kremem najnowszej generacji. Za trzysta dwadzieścia złotych.

Zamurowało mnie.

- Antek, coś ty zrobił!?

- Wypastowałem ci buty do biegania, żeby ci się fajniej biegało - oświadczył zadowolony z siebie. - Cieszysz się?

- Moim kremem przeciwzmarszczkowym!?

- Bo to są twoje buty - powiedział zdziwiony, że nie podskakuję z radości.

- Przynajmniej nie będą się pani marszczyć, pani Agatko - prezes próbował być zabawny.

- Proszę, panie prezesie, łazienka do pana dyspozycji... - postanowiłam nie zaprzepaścić szansy Pawła na awans i nie dać prezesowi po głowie. Przynajmniej nie od razu.

Chwyciłam Antka mocno za rękę, zaprowadziłam go na górę i włożyłam mu do ręki konsolę. Kiedy zeszłam na dół, przez otwarte drzwi do salonu usłyszałam bardzo dystyngowaną rozmowę na temat Księżniczki. Małgosia, jak każda dobrze wychowana (przez teściową!) młoda dama, wyszła ze swojego pokoju, by się przywitać. Minęłam salon i wróciłam do kuchni. Paweł nadal miał problemy z nastawieniem właściwej temperatury piecyka - żeby upieczone kaczki nie upiekły się jeszcze raz, ale były tak chrupiące, jakby zostały przed chwilą upieczone.

Spojrzałam na niego z wyższością. To są właśnie wyżyny sztuki kulinarnej! Potem poprawiłam perfekcyjnie nakrochmalony fartuszek (w końcu jestem doskonałą kobietą domową) i postanowiłam zanieść do salonu talerz z ciastem. Może goście zapchają się kupną szarlotką i nie będą mieli ochoty na kaczkę?

Zanim weszłam do salonu, ukradkiem wychyliłam lampkę czerwonego wina. Okazało się, że słusznie, ponieważ to, co się zdarzyło, mogło mnie, gdybym się wcześniej nie „wzmocniła”, przyprawić o załamanie nerwowe.

Pierwsze, co zobaczyłam, to moja wyjściowa bluzka - czarna, prześwitująca i seksowna, odpowiednia na nocną potańcówkę z finałem łóżkowym. W moją wyjściową bluzkę ubrana była Małgosia. To może by jeszcze przeszło, gdyby nie fakt, że przez bluzkę doskonale widać było mój wyjściowy stanik i sterczące piersi, bynajmniej nie należące do mnie, które kontrastowały z drobną figurą szczupłej dziesięciolatki.

- Co tak na mnie patrzysz? - zapytała moja córka, zupełnie nie rozumiejąc mojego osłupienia.

Opanowałam nagłą chęć zapadnięcia się pod ziemię i spokojnie położyłam talerz na stole. Prezesową zakaszłała jakoś dziwnie.

- Nic, córeczko, coś ci się tylko na policzku wyrzuciło. Jakiś pryszcz chyba.

Małgosia wydała przerażony okrzyk, wypadła z salonu i jak szalona zaczęła się dobijać do drzwi łazienki, nadal zajętej przez prezesa.

- Antek! Otwieraj natychmiast. - Szarpała za klamkę.

- To nie Antek, tylko prezes - zza drzwi dobiegi nas dziwnie radosny głos. - I jeszcze jestem zajęty.

Zaciskając zęby, zdecydowanie odsunęłam Małgosię od drzwi i zaprowadziłam ją na górę, do jej pokoju.

- Co ty masz w moim staniku? - zapytałam spokojnie. Jestem uosobieniem spokoju.

Postanowiłam złożyć prośbę o dotację na alkohol. Dla celów zdrowotnych.

Wzruszyła ramionami.

- Ziemniaki.

Zmartwiałam.

- Daj mi je szybko! Miałam wyliczone!

Małgosia spojrzała na mnie z niesmakiem i wydając z siebie gniewne pomruki, wsadziła ręce pod stanik i oddała mi dwa okazale ziemniaki. Biustonosz sflaczał nagle.

- Twój rozmiar - oświadczyła i weszła na tóżko, po czym obrażona zapatrzyła się w sufit.

- Przebierz się natychmiast, a potem możesz z powrotem wyjść do gości - poleciłam głosem nieznoszącym sprzeciwu i wyszłam z pokoju, ściskając w ręku ziemniaki.

W kuchni Paweł zdążył już wstawić kaczki do piekarnika i polerował kieliszki. Miałam wrażenie, że spojrzał ironicznie na trzymane przeze mnie ziemniaki. Ja obrałam je z szybkością mistrza kuchni i dołożyłam do reszty czekającej na śmierć przez ugotowanie. Potem ostentacyjnie zabrałam Pawłowi sprzed nosa wypolerowane kieliszki i wyszłam do salonu.

Małgosia, ubrana już w sposób akceptowalny społecznie, siedziała wyprostowana w fotelu, czyniąc honory domu. Z rozprawieniem patrzyła, jak Księżniczka udaje miłego psa. Preze-

sowa, zachwycona suczką, postanowiła sobie kupić takiego pekińczyka. Rozlałam wino do kieliszków i przysunęłam jeden prezesowej.

- Wie pani, pani Agatko, ja się chyba właśnie do psów przekonałam - mówiła prezesową, głaszcząc Księżniczkę. Suczka mruczała z zadowoleniem i łaściła się do jej nóg. - To takie piękne psy. Tylko ten akurat chyba nie do końca czystej krwi, prawda? Wydawało mi się, że pekińczyki mają taką śliczną długą sierść.

Księżniczka nagle odskoczyła. Taka zniewaga. Ona? Miešanasiec!?

Prezesową, nieświadoma nowego śmiertelnego wroga, po sprawdzeniu czystości kieliszka umoczyła usta w winie i odstawiała szkło na miejsce.

- Pani Agatko, ja się bardzo cieszę, że pan Pawełek jest takim młodym, zaradnym człowiekiem. Na pewno awansuje - powiedziała. Potem uśmiechnęła się. - Czesio bardzo go ceni. Cała reszta jest taka przeciętna. Pan Paweł jest do prawdy wyjątkowy. Szkoda tylko, że nie potrafi dobrać sobie odpowiednich współpracowników. Ale to chyba przychodzi z doświadczeniem - dodała i poprosiła o wodę mineralną.

Machinalnie wstałam. Potem znowu usiadłam i spojrzałam na nią pytająco.

- Co pani przez to rozumie?

Na jej twarzy pojawił się wyraz zamyślenia.

- Byłam ostatnio w biurze i widziałam jego nową asystentkę... Prezentuje się jak trzeba, ale rozmawiałam z moim Czesiem i wyciągnęłam od niego, że dziewczyna żadnych kwalifikacji nie ma. Niby francuski i hiszpański zna, ale zagadnęłam ją, wie pani, po francusku, ja to francuski biegle znam, a ona nie umiała mi nawet odpowiedzieć, jak ma na imię. Dziwne, prawda?

Jej opowieść przerwał prezes, który z błogą miną pojawił się wreszcie w salonie. Za nim wszedł Paweł, niosąc kolejną butelkę wina.

- O czym tak opowiadasz, kochanie? - Prezes zdawał się być w doskonałym humorze.

Prezesowa spojrzała spod oka na Pawła, który w milczeniu grzebał w szufladzie w poszukiwaniu korkociągu.

- Zastanawiam się, dlaczego pan Pawełek zatrudnił tę nową dziewczynę.

Spojrzałam tępo na męża, który ewidentnie unikał mojego wzroku, a prezesowa ciągnęła dalej:

- Panie Pawełku, przecież ona w ogóle nie ma kwalifikacji...

- Dość! Uczepiłaś się biednej dziewczyny jak rzep psiego ogona, dajże już spokój! - przerwał nagle prezes. Rzucił jej wymowne spojrzenie i dodał już łagodniej: - To jest przywilej ludzi na stanowiskach, moja droga, że zatrudniają, kogo chcą. I skończmy ten temat. Zresztą, skąd możesz wiedzieć, kto się do czego nadaje? Przecież ty w życiu nie pracowałaś.

Prezesowa spojrzała obrażona na męża.

- Ale na ludziach się znam, a ona mi wygląda na oportunistkę, na pospolitą...

- Spokój! - powiedział prezes prezesowskim tonem, a potem zerknął na mnie i uśmiechnął się. - Bardzo oryginalne kafelki ma pani w łazience, pani Agatko - powiedział, chcąc zmienić temat. - Nigdy takich nie widziałem.

Trafił jak kulą w płuć.

- Okropne są, prawda? - usłyszałam nagle zimny głos wydobywający się z mojego gardła. - Nie mam pojęcia, dlaczego Paweł je kupił.

Mój mąż zazgrzytał zębami, ale na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Kupiłem je, bo dwa tygodnie nie mogłaś spać, tak strasznie ci się podobały, kochanie.

Słowo „kochanie” zabrzmiało jak ostrzegający ryk rozjuszonej pantery.

- Aha! A więc to moja wina? A może po prostu chciałeś mieć święty spokój, co? - wyrzuciłam z siebie zaczepnie.

Pewnie, że mi się podobały, ale najwidoczniej przechodziłam jakiś mały kryzys estetyczny, każdemu się może zdarzyć. A poza tym chyba od tego są najbliżsi, prawda? Aby pomagać w takich właśnie niestandardowych sytuacjach.

- Ale mnie się naprawdę podobają, pani Agatko - prezes próbował ratować sytuację. Na darmo. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

- Nie - powiedział do mnie Paweł, a jego oczy rozbłyły niebezpiecznie. - Chciałem, żebyś w końcu była zadowolona. Nawet kosztem mojego poczucia estetyki.

- Moją żonę też trudno zadowolić - wtrącił żartobliwie prezes, ale był jedyną osobą z całego towarzystwa, która miała na twarzy uśmiech.

Prezesowała poczerwieniała.

- Mnie jest trudno zadowolić? Mnie? - wyszczała uprzejmie, ale z wyraźną groźbą.

- To ja może przyniosę wodę - powiedziałam automatycznie i uciekłam do kuchni.

Paweł był tuż za mną.

- Agata... - zaczął pokornie, ale nie dokończył, bo okazało się, że z piekarnika wydobywają się kłęby dymu.

Rzuciłam się na ratunek kaczkom. Niestety, już nic nie było im w stanie pomóc. Brytfanka płonęła żywym ogniem, co nie było dziwne, bo Paweł ustawił piecyk na najwyższą temperaturę. I pewnie dołał benzyny, żeby kaczki się szybciej grzały.

Faceci! Wydaje im się, że wszystko potrafią.

Wyciągnęłam brytfankę z piekarnika, wrzuciłam czarne resztki do zlewu i zalałam wodą. Odwróciłam się wściekła w stronę Pawła, ale nie zdążyłam nic powiedzieć, bo moje słowa uprzedził nagły krzyk. Kobięcy. Intensywny. Przepojony bólem. Krzyk dochodził z salonu. Wymieniłam z mężem zaskoczone spojrzenia i rzuciliśmy się do drzwi. Kiedy dotarliśmy do pokoju, naszym oczom ukazał się drastyczny

widok - błady jak ściana prezes podtrzymywał bliską osunięcia się na podłogę prezesowa, a Małgosia trzymała Księżniczkę, która wściekle szczyrzyła kły.

- Co się stało!? - wykrzyknęłam w osłupieniu.

Prezes był tak przerażony, że nie mógł wydusić z siebie ani słowa.

- No, ugryzła mnie ta suka! - wrzasnęła żwawo prezesowa, widząc niemoc swojego męża, który wpatrywał się w krople krwi na jej dłoni. - Muszę szybko na pogotowie, bo się wykrwawię na śmierć. A Czesio potrzebuje lekarza. On taki wrażliwy, ten mój Czesio! Proszę go wesprzeć, bo się przewróci.

Nim skończyła mówić, prezes zwałił się na podłogę.

Dochodziła dziewiąta. Paweł nie wrócił jeszcze z pogotowia, a dzieci smacznie spały, nie przejmując się zbytnio wydarzeniami wieczora. Zupełnie tak samo jak Księżniczka, która z zadowoleniem nasyconego wampira warczała cicho przez sen. Nie wiedzieć czemu, czułam się wyjątkowo dobrze. Zdrapałam z butów resztki kremu i wklepałam je sobie w policzki. Potem przebrałam się w szlafrok, a do tego, wiedząc, że nikt mnie nie widzi, założyłam szpilki. Te beżowe. Poczuałam się bardzo pewnie. Szpilki i zmiana perspektywy - to działa! Powinni to w jakimś poradniku opisać.

Tak wyszykowana, sprzątałam po kolacji, która okazała się kompletnym niewypałem. Cieszyłam się, że nie straciłam całego dnia, przygotowując wyszukane francuskie dania, bo i tak nikt by niczego nie tknął, i to bynajmniej nie z mojej winy. Spalone kaczkę nadal wydzielaty nieprzyjemną woń, postanowiłam zatem pozbyć się ich. Zapakowałam śmierdzące resztki do plastikowego czarnego worka i wysłałam na zewnątrz. Było ciemno, tylko księżyc świecił bladym światłem. Owinęłam się szczelnie szlafrokiem, a potem ruszyłam w kierunku kubbów, które stały w zakrzewionej części ogrodu. Komary bzyczały nieznośnie. Zamachnęłam się workiem,

ale nie zabiłam żadnego owada, tylko uderzyłam się w głowę, potknęłam o jakiś wystający korzeń i bardzo widowiskowo upadłam. Obiecałam sobie, że przy najbliższej sposobności wybiorę się do supermarketu uzbrojona w moje szpilki. W końcu muszę trenować. A jeśli przewrócę się w sklepie, to na pewno zdobędę jakieś odszkodowanie. Nauka chodzenia w szpilkach na własnym podwórku pod osłoną nocy pozwoli mi zdobyć najwyżej parę siniaków.

Kiedy tak siedziałam pod krzakiem, masując sobie kolano, przy bramce zobaczyłam jakąś postać. Pomyślałam, że Paweł wrócił, a ja w szlafroku i szpilkach wyglądam jak komiczna postać z tragedii. Ale już po chwili rozpoznałam stojącą przy bramce kobietę. To była Nina. Szarpała nerwowo klamkę, usiłując dostać się do ogrodu. Bardzo cicho, nadal trzymając w rękę worek ze zwęglonym drobiem, zmieniłam kierunek i zamiast do kubła na śmieci podeszłam, czając się nieco, do bramki. Kiedy byłam już za ostatnim krzakiem, wyłoniłam się nagle z ukrycia.

- Czy mogę w czymś pomóc? - zapytałam jakby nigdy nic, ale za to bardzo grubym głosem.

Nina aż podskoczyła ze strachu i dostała palpitacji serca, czy raczej palców, którymi nerwowo zaczęła bębnić po ogrodzeniu.

- Jezu kochany! Czemu się skradasz i wyskakujesz po nocach zza krzaków na normalnych ludzi!? I jeszcze wyglądasz jak jakaś stuknięta diwa na wakacjach! Wpuść mnie szybko! - wrzasnęła.

Urażona, pokazałam jej język, ale potem nacisnęłam klamkę. Na próżno. Bramka stawiała opór.

- Chyba się zatrzasnęła. Spróbuję otworzyć domofonem - powiedziałam i odwróciłam się na pięcie.

- Nie! - usłyszałam zduszony krzyk Niny. - Nie zostawiaj mnie tu samej!

Spojrzałam na nią ze zdumieniem.

- Co się stało? - zapytałam.

Nina rozejrzała się nerwowo dookoła.

- Ktoś chce mnie zabić - wyszeptła uroczyście i z przekonaniem, a potem rzuciła mi jeszcze straszne spojrzenie.

Przez chwilę milczałam, nieprzekonana.

- Aha - zareagowałam w końcu. - A dlaczego tak myślisz?

Nina nie przestawała napierać na bramkę.

- Od południa ktoś za mną łązi - zaczęła opowiadać drżącym głosem. - Najpierw wydawało mi się, że to tylko takie wrażenie, ale potem ktoś zostawił mi za wycieraczką zakrwawioną szmatę. Jadę właśnie do Grzegorza i nie chciałabym go narażać na uszczerbek na zdrowiu, zanim się czegoś nie dowiem... Na temat Pawła oczywiście. Więc to też twój interes, żeby mu się nic nie stało. Bo tymi uszami to on niewiele wskóra. Paweł to ma przynajmniej jako takie mięśnie, więc pomyślałam sobie, że mógłby mi pomóc.

- Pawła niestety nie ma - mruknęłam cierpko, a potem zapytałam: - Ale jak on miałby ci pomóc?

- Dorwać tego, kto mnie śledzi. Na pewno tu gdzieś teraz jest... - zawiesiła złowieszczo głos.

Zaniepokoiłam się i rozejrzałam dookoła. Nie zobaczyłam jednak niczego podejrzanego.

- A jak ten ktoś wygląda? - zapytałam.

Nina wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, nie miałam jeszcze okazji go zobaczyć, ale cały czas czuję jego obecność. I nawet nie mam się czym obronić, gdyby mnie napadł, bo ukradli mi ostatnio torebkę z pieprzem w sprayu.

- Ty to bezbronna nigdy nie jesteś - próbowałam ją uspokoić, ale spojrzała tylko na mnie ze złością.

- A właśnie że jestem! - odwarknęła. - Nawet szpilek nie założyłam, tylko sandały.

- Spróbujmy może tę bramkę otworzyć. Idę do domu... - powiedziałam, nie mogąc opanować śmiechu.

- Jak możesz traktować mnie w ten sposób! Myślisz, że zwariowałam? Mówię ci, że ktoś mnie śledzi! - wykrzyknęła obrażona, cały czas napierając na bramkę, jakby od tego, czy się otworzy, zależało jej życie.

- Ja przecież nie twierdzę, że cię nie śledzi - oświadczyłam łagodnie. Trzeba być wyrozumiałym, nigdy nie wiadomo, kiedy nam się przydarzy w życiu taki mały kryzys psychiczny. - Mam po prostu nadzieję, że jeśli do tej pory nikt cię nie sprzątnął, to może zdążę otworzyć bramkę, zanim się na ciebie rzuci.

- Dobra - powiedziała urażona tym, że lekceważę grożące jej niebezpieczeństwo. - Ale jeśli coś mi się stanie, to będzie twoja wina.

- Nic ci się nie stanie... - zaczęłam mówić, lecz przerwała mi krótkim acz stanowczym:

- Daj mi szpilki.

Spojrzałam na nią rozbawiona, ale nie wyglądało na to, że żartuje. Nie pozostawało mi zatem nic innego, jak w imię przyjaźni ściągnąć z nóg szpilki. I w imię przyjaźni nie dzielić się tą historią z nikim poza psychiatrą.

Ku mojemu zdumieniu na chodniku dał się słyszeć tupot szybkich kroków i nagle z mroku wyskoczyła jakaś szczelnie owinięta czarnym szalikiem postać, która z dzikim, żeby nie powiedzieć nieludzkim piskiem ruszyła na Ninę. Dwa ciała z potężnym impetem zwały się na bramkę. Odskoczyłam. I dobrze, bo furtka pod naporem połączonych masy dwóch ciał otworzyła się bez żadnego problemu, a one zwały się tuż obok mnie na ścieżkę. Potem dziki pisk przerodził się w całkiem niecywilizowane wycie i napastnik zaczął okładać Ninę wielką torbą.

- Nina, broń się! - krzyknęłam histerycznie. Nie mając żadnej innej broni, chwyciłam kurczowo worek i ruszyłam, by jej pomóc.

Ale Nina nie potrzebowała pomocy. Zwinnie wydostała się spod napierającego na nią ciała, przytomnie wyrwała napastnikowi torbę i zaczęła go nią okładać. Na koniec usiad-

la jeszcze na nim okraciem, a polem jednym ruchem odsto- niła twarz napastnika zakrytą czarnym szalem i przyłożyła mu szpilkę do gardła. To znaczy jej - bo ku mojemu zdumieniu napastnikiem okazała się nieznana mi kobieta. Jej twarz była spocona z wysiłku i wściekłości.

- Kto to jest? - wyjąkałam, spoglądając to na Ninę, to na nieznajomą.

Nina milczała przez jakiś czas, sapiąc ciężko, a kiedy jej oddech jako tako się unormował, powiedziała zadziwiająco spokojnym jak na zaistniałą sytuację głosem:

- To Natasza.

Natasza spojrzała na mnie małymi oczkami pełnymi wiel- kich łez.

- Tak. Jestem Natasza. Bardzo mi przyjemnie - wysapała, ale zanim zdążyłam się odezwać, prychnęła nagle i krzyknę- ła: - Nie, cholera!

- Nie? - powtórzyłam zdziwiona i spojrzałam na Ninę.

Siedziała bez słowa na Nataszy i miałam wrażenie, że ob- cas mojej szpilki zaraz złamie się pod naporem jej dłoni. Na gardle Nataszy.

- Nie - z zaciśniętego gardła Nataszy wyrwał się dziki jęk nienawiści. - Wcale mi nie jest miło, ale mama nauczyła mnie grzeczności. Niestety. Bo grzeczność bardzo w życiu przeszkadza, proszę pani. Grzeczność to wróg asertywności. Ja całe życie zmagam się z tym problemem - wysyczała.

Emocje opadły razem z kurzem bojowym. Nina odrzuciła szpilki na bok i pomogła Nataszy się podnieść. Obie milczały, przypatrując się sobie nawzajem.

- Kim pani jest? - zapytałam, nie doczekawszy się żadne- go wyjaśnienia.

- Jestem żoną kochanka tej pani - odpowiedziała Natasza z niespotykaną raczej w takich sytuacjach godnością. Wyglą- dała godniej niż sama brytyjska królowa na oficjalnych bankie- tach. A skoro nie wiadomo, jak godnie wyglądałaby brytyjska

królowa po walce na szpilki stoczonej w moim ogrodzie, palma pierwszeństwa bez wątpienia należała się Nataszy.

- Kochanek Niny jest pani mężem? - wolałam się upewnić.

- Były kochanek - wtrąciła się Nina.

- Byłam mężem - oświadczyła z godnością Natasza. - Rozwodzę się! Jak on mógł mi to zrobić! Jak pani mogła się z nim puścić! Zdzira z pani! I po co mi pani te liściki przysłała, co? Żeby do końca życia była nieszczęśliwa?

Nina spojrzała na nią z urazą.

- Miała pani prawo wiedzieć - oświadczyła. - Powinna mi być pani wdzięczna.

- Ale ja nie chcę!

- Na miłość boską! - wrzasnęła Nina, a Natasza zrobiła krok do tyłu. - Weź się w garść, kobieto! Nie jest pani jedyną, którą mąż puszcza kaniem. - Wskazała na mnie palcem. - Moją koleżankę spotkało dokładnie to samo!

Pokiwiałam głową, tak na wszelki wypadek, choć nie wierzyłam przecież w niewierność Pawła.

Natasza spojrzała na mnie ze współczuciem. Rozumialiśmy się bez słów.

- I po tym wszystkim jeszcze się pani z nią przyjaźni? - Natasza rzuciła mi spojrzenie pełne dezaprobaty.

- Nie! Broń Boże! To nie tak! Nie spałam z mężem Agaty! - wrzasnęła zdegustowana Nina. - Pani Nataszo, proszę się pozbiierać. Proszę z tego wszystkiego coś dobrego dla siebie wyciągnąć.

Przez chwilę panowała cisza.

- Ma pani rację - powiedziała nagle Natasza, a na jej twarzy pojawił się drapieżny grymas. - Zabiję to ścierwo!

Tym razem to Nina odsunęła się nieco. Z ust Nataszy wyrwał się za to trudny do określenia zgrzyt. Nina odsunęła się jeszcze dalej.

Ale Natasza otrzepała tylko spodnie, spojrzała na moje szpilki leżące na chodniku i nagle, powodowana jakąś we-

wnętrzną potrzebą, zapytała zwyczajnym tonem, jakby przed chwilą pila z Niną kawę, a nie walcowała mój trawnik:

- Czy ja mogłabym sobie zabrać te szpilki?

Nina spojrzała na mnie i bez słowa, różnymi ruchami głowy i całego ciała, zmusiła mnie do wyrażenia zgody.

- Ale jaki ma pani numer stopy? - zapytałam na wszelki wypadek, zupełnie nie mając ochoty pozbywać się nowych, drogich butów.

Nina spojrzała na mnie wściekle i poderżnęła palcem gardło, wygrażając mi od najgorszych.

- Właściwi - odpowiedziała beznamiętnie Natasza.

Cóż było robić? Pokiwałam automatycznie głową, a Natasza bez zbędnych słów zabrała szpilki, zapakowała do torby, a potem opatuliwszy się porządnie wielkim żałobnym szalem, odeszła. Odprowadzając ją wzrokiem, pomyślałam, że szpilki w rękach kobiety to zabójcza broń.

Nina odetchnęła z ulgą.

- Boże! A ja myślałam, że jakiś zboczeniec za mną łązi albo jakiś psychiczny, a tu proszę...

- Przepraszam! - jej radosne szczebiotanie przerwał nagle męski głos.

Odwróciłyśmy głowy.

Z ciemności wytonił się wysoki blondyn w niebieskim dresie i skrzywił usta w grymasie, który, jak się domyśliłam, był uprzejmym uśmiechem.

- Przepraszam bardzo - kontynuował nieznajomy. - Zauważyłem, że przed chwilą rozmawiały panie z pewną kobietą w czarnym welonie. Czy to była może zakonnica?

Zamurowało nas. Obie, bez słowa, spojrzałyśmy w stronę, gdzie przed chwilą zniknęła Natasza. Mężczyzna musiał opacznie zrozumieć nasze spojrzenia, bo spiął się nagle.

- Cholera, tym razem jej się nie uda - zazgrzytał zębami, a jego oczy rozbłyły w ciemnościach jakimś nienaturalnym światłem.

Potem jego wzrok ześlizgnął się na czarny worek, który wciąż ściskałam w ręku.

- To od niej? - zapytał.

Nie odpowiedziałam, tylko przyglądałam się mężczyźnie, zastanawiając się, czy zaprzeczyć, czy potwierdzić. W końcu wariaci bywają nieobliczalni.

Nieznajomy nie czekał jednak na odpowiedź.

- Proszę mi to oddać - zażądał nagle tonem nieznośnym sprzeciwu.

Postanowiłam się zatem nie sprzeciwiać. Bez słowa oddalam worek. Chwycił go mocno i rozpułnął się w ciemnościach.

Stałyśmy jeszcze w milczeniu dosyć długą chwilę. Nina pierwsza otrząsnęła się z szoku.

- Świat to bardzo niebezpieczne miejsce, kochana - powiedziała do mnie z zadumą. - Najlepiej byłoby się wyprowadzić. Tylko dokąd? Co to się porobiło? Już nawet śmieci kradną.

Kiedy Nina odjechała, wróciłam do domu w całkiem dobrym nastroju. Postanowiłam porozmawiać z Pawłem. Od razu. Chwytałam za telefon, chcąc zadzwonić do niego i wybadać, kiedy wróci, ale niestety sygnał jego komórki dochodził z kieszeni marynarki. W tym całym popłochu zapomniał zabrać telefon. Wyciągnęłam zatem komórkę, chcąc wymazać swoje połączenie, i ze zdumieniem przyglądałam się liczbie nieodebranych połączeń. Czternaście. Czternaście nieodebranych połączeń! Ktoś musiał dzwonić, kiedy byłam na zewnątrz. Obejrzałam się za siebie, czy nikt nie patrzy, i sprawdziłam numer. Zastrzeżony. Ale za to w skrzynce ktoś zostawił dla niego wiadomość.

Hm... Odsłuchać? Pewnie nie do mnie. Ale kto wie? A nuż to jego matka czegoś potrzebuje? Może kuzynka umarła i na pogrzeb trzeba... Nie zastanawiałam się dłużej. Zadzwoniłam na pocztę głosową. Jak najbardziej chcący.

„Panie Pawełku... - usłyszałam kobiecy szept. Zamarłam i spojrzałam na telefon jak na zbrodniarza. - Dorota mówi.

Ja strasznie pana przepraszam, że dzwonię tak późno, ale normalnie katastrofa. Po naszym spotkaniu po południu, nie mogę znaleźć czarnego eee... *dessous*. - Przełknęłam ślinę. - Może pan wie, gdzie jest? Tylko nikt się nie może dowiedzieć, że zgubiłam... To by zrujnowało moją reputację, panie Pawełku, i pana też. Proszę mi pomóc, w końcu pan też jest za to wszystko odpowiedzialny! A może pan sobie zabrać?"

Spadałam w przepaść, a moje zbite serce wykrwawiało się na śmierć.

Okolice Medellin, Kolumbia

Nogales stał cierpliwie z ręcznikiem w jednej i plikiem papierów w drugiej ręce. Czekał.

Po dłuższej chwili Carlos wyskoczył z basenu i obciągnął swoje obciste kąpielówki, takie same jak te, w jakich Daniel Craig jako James Bond wychodził z morza w *Casino Royal*. Zastanawiając się, czy wygląda w nich dostatecznie *macho*, zaczął wycierać swoje muskularne ciało podanym mu przez Nogalesa ręcznikiem.

Potem rozłożył się na leżaku i wyciągnął rękę, a Nogales szybko wręczył mu papiery.

- Spotkania misyjne, co? - mruknął z ironicznym uśmiechem Carlos, przerzucając dokumenty.

Nagle znieruchomiał. Nie mógł oderwać wzroku od jednej ze stron. Nieoczekiwane odkrycie zmieniło ironiczny uśmiech w grymas prawdziwej wściekłości. Potem z jego ust wyrwało się to samo przekleństwo co zwykle, z tą różnicą, że tym razem zabrzmiało ono szczególnie źle.

- *Gonorrhea!*

Spojrzał zimno na Nogalesa.

- Zlikwidować zdrajcę. I pilnować tamtych, może się z nimi skontaktuje.

DZIEŃ CZWARTY

Ciemny pokój. Stabe światło stojącej na biurku lampki tworzy w mroku jaśniejszy krąg. Przy biurku siedzi mężczyzna. Przyglądam się jego pochylonej sylwetce. To Paweł. Przerzuca jakieś papiery. Potem odkłada je na bok. Ściąga okulary, przeciera oczy. Biedaczek. Ciężko pracuje, żeby nam się lepiej żyło. Nagle na jego twarzy pojawia się uśmiech. Ten zarezerwowany tylko dla mnie. Ale przecież mnie nie widzi. Do kogo się więc tak uśmiecha? Rozglądam się. W krąg światła wchodzi czarna skóra Dorotka ubrana tylko w seksowną bieliznę.

- Jak ci się podoba moje czarne dessous? - pyta z seksownym południowoamerykańskim akcentem i obraca się powoli, prezentując swoją idealną pupę w czarnych koronkach. - Możesz sobie je zabrać i schować. Ty mój fetyszysto, ty!

Patrzę na nich z dziwną obojętnością i wyciągam przed siebie rękę. W dłoni trzymam stary rewolwer. Mam dylemat. Nie wiem, kogo zabić najpierw.

Obudziłam się zlnana potem. Zegar wskazywał siódmą. Przez chwilę przewracałam się z boku na bok, starając się znowu zasnąć. Żeby pociągnąć za spust. Niestety, nie udało

się. Spojrzałam na leżącego obok Pawła. Nawet nie wiedziałam, o której wrócił, bo zaraz po odsłuchaniu wiadomości od silikonowej Dorotki położyłam się. I natychmiast zasnęłam - przecież starałam się tym wszystkim za bardzo nie przejmować. Choć na pewno pomogła mi butelka wina, którą z rozpaczy i ze złości opróżniłam.

Paweł leżał tak blisko mnie, że czułam ciepło jego ciała i słyszałam jego cichy, miarowy oddech. A jednocześnie był bardzo daleko; przepaść, która nagle otworzyła się między nami, wydawała się nie do przejścia. Poruszył się niespokojnie. Patrzyłam, jak delikatnie uśmiecha się przez sen, nie mając pojęcia, że go obserwuję. Był gdzieś poza czasem i przestrzenią. Wydawał się szczęśliwy. Czy był tam ze mną?

A niby po co ma być tam ze mną? - zirytowałam się nagle i usiadłam na łóżku. Mnie ma tuż obok, na wyciągnięcie ręki. A ręki i tak nie wyciąga. We śnie na pewno jest z tamtą. A tamta ma czarne *dessous*. Albo już nie.

Zagryzłam wargi, a pieczenie w przetyku nasiliło się gwałtownie. Wstałam i powlokłam się do łazienki. Kiedy Nina zapukała do drzwi, byłam już gotowa. Nina nie wyglądała tak świeżo jak wczoraj, ale była bardzo szczęśliwa.

- Próbował cię jeszcze wczoraj ktoś zabić? - zapytałam zaczepnie.

Roześmiała się radośnie, jakby nie słyszała sarkazmu w moim głosie.

- Co jest? Wyglądasz nieciekawie - zaświergotała. - Piłeś? Obdarzyłam ją upiornym spojrzeniem.

- Pewnie, że piłam - oświadczyłam butnie, wychodząc za bramkę. Pod płotem stał rower. - Ty też wyglądasz nieciekawie.

- Ja też piłam - przyznała się wyjątkowo zadowolona Nina. - I stąba jestem.

Pokazała mi język i wsiadła na rower, czym zupełnie mnie zaskoczyła.

- To jedziemy na rowerach?

- Ja jadę - oświadczyła niedbale. - Ty biegniesz.

- Jak to? - Rozejrzałam się dookoła, szukając kogoś, kto się za mną wstawi.

Niestety. Jediną osobą, która wczesnym niedzielnym raniem zdecydowała się na opuszczenie wygodnego łóżka, był jakiś facet, wyjątkowo zresztą przystojny. Opierał się o rozłożyste drzewo po drugiej stronie ulicy. Wyszedł pewnie na papierosa, bo zaciągał się do granic możliwości. Nie wyglądał jednak na zainteresowanego obroną ciemieżonych niewiast przed ciemieżącymi niewiastami.

- No, normalnie. - Nina wzruszyła ramionami. - Ja się już nabiegałam w życiu. Co zresztą widać. I docień to, że przyjechałam tak wcześnie rano w niedzielę, żeby cię wytrenować i zrobić z ciebie pociągającą kobietę. Jak ci się nie podoba, to mogę wrócić do domu - dodała obrażonym tonem.

- No dobra - powiedziałam pojednawczo. Westchnęłam wymownie i z wyrzutem spojrzałam na sterczącego po drugiej stronie ulicy faceta.

To wszystko ich wina, pomyślałam z urazą, rozpędzając się powoli. Dla nich głupiejemy. Dla nich zakładamy obciskające majtki albo wypychające biustonosze, dla nich głodzimy się i katujemy sportem. A oni co? Nic! Zacisnęłam zęby. Od dziś skupiam się tylko na sobie.

Na faceta po drugiej stronie ulicy rzuciłam jednak jeszcze jedno spojrzenie. Wydał mi się jakiś znajomy. A może po prostu był bardzo przystojny? Przystojni faceci zawsze wydają nam się znajomi, jakbyśmy podświadomie szukały pretekstu, żeby zagadać.

Nina w mgnieniu oka była przy mnie, a potem starała się jechać tuż obok. Nie było łatwo.

- Szybciej, bo zaraz mi rower stanie. - Skrzybiała pedałami, doprowadzając mnie do szaleństwa.

- Nie mogę, bo zaraz mi serce stanie - wycharczałam, dławiąc się własnymi płucami.

Nina prychnęła i prawie spadła z roweru. Ja biegłam dalej. Zauważyłam, że równolegle ze mną, tyle że po drugiej stronie ulicy, biegnie facet z papierosem i coraz szybciej wdycha dym. Może to jakiś nowy rodzaj sportu? Ćwiczy wytrzymałość płuc. Całkiem dobrze mu szło, w przeciwieństwie do mnie. Zaczęłam się krztusić. Najwidoczniej moje płuca były już u kresu wytrzymałości. I to nie z winy dymu papierosowego, ale nadmiaru świeżego powietrza.

- Jak możesz jeszcze pić w takiej sytuacji!? - wołała za mną Nina. - Stres w połączeniu z alkoholem to najkrótsza droga na cmentarz!

Zatrzymałam się gwałtownie, a Nina wjechała na mnie. Zostawiła mi na dresie ślady opon. Z trudem utrzymałam równowagę, a potem, nic sobie nie robiąc z obecności mężczyzny, który najwyraźniej zwietrzył jakąś sensację, bo zatrzymał się i obserwował nas z dziwnym zainteresowaniem, zaczęłam mówić na tyle podniesionym głosem, na ile pozwalał mi mój rozregulowany oddech:

- Po pierwsze, stres w połączeniu ze sportem ekstremalnym, jakim jest bieganie, to pewna śmierć, a po drugie, jak ja mogłabym nie pić w takiej sytuacji!? Przecież jestem w kawałkach, rozumiesz!? Mam dość! Dzieci mnie wykańczają! Babcia dostała jakiegoś urazu pomenopauzalnego i udaje nastolatkę! Mąż najwyraźniej mnie zdradza! A według zewnętrznych standardów silikonowej Dorotki nie nadaję się nawet na sprzątaczkę!

Opadłam na ławkę, którą łaskawie podsunął mi los. Los czasami bywa łaskawy. Zwłaszcza kiedy się chce zabawić.

Nina podeszła, oparła rower o ławkę i usiadła obok mnie.

- No co ty? Co się stało?

Połykając łzy, opowiedziałam jej o wszystkim.

Fakt, że Dorotka wystąpiła mnie na *interview* na sprzątaczkę, wywołał u niej tylko atak śmiechu, ale czarne *dessous* już nie. Bo jak stwierdziła w przytomności swojego umysłu (i opierając się na swoim doświadczeniu w tym względzie),

to dowód. Kolejny po przerwy dowód na to, że Paweł przekroczył pewną granicę.

- Ale my posuniemy się dalej! Złapiemy go na gorącym uczynku! Bo wiesz, przyłapanie ukochanego *in flagranti* jest jak *katharsis*, wiem z doświadczenia - próbowała przekonać mnie do swojej oryginalnej filozofii. - Wyrzucasz wtedy z siebie całą nagromadzoną złość, negatywne emocje, które nie pozwalają ci wyjść na prostą, i od razu stajesz się lepszym człowiekiem. A poza tym, nie czarujmy się, wtedy mężczyźni z reguły trzeźwieją.

- No, nie wiem. A co Grześ powiedział?

Miałam wrażenie, że jej zaróżowione policzki jeszcze bardziej poczerwieniały.

- Umówiłam się z nim jeszcze raz. Boże, jak ja się dla ciebie poświęcam, kobieto! Docień to. Wiesz, jak się z nim trudno rozmawia na ten temat? Mam wrażenie, że nabrał wody w usta...

- To czego się dowiedziałaś?

- Niczego konkretnego, ale wydaje mi się, że coś ukrywa.

- Ukrywa coś? - Z wrażenia zachłysnęłam się nadmiarem powietrza.

Ale Nina nie miała zamiaru wdawać się w szczegóły. Wsiadła na rower i zaczęła pedałować.

- Mówię, że mi się wydaje. I nie wiem czemu, ale cię nie lubi - usłyszałam z oddali jej głos.

Nie pozostało mi nic innego, jak pobiec za nią.

Mężczyzna po drugiej stronie ulicy biegł w tym samym kierunku co my. Cały czas.

Kiedy pożegnawszy się z Niną, zziębnięta i z bólem w klatce piersiowej, dotarłam wreszcie do domu, zastałam Pawła pucującego w ogrodzie swój ukochany motocykl. Robił to średnio dwa razy w tygodniu, zupełnie jakby sprawiało mu to prawdziwą przyjemność. Faceci to bardzo dziwne istoty.

Przy nodze Pawła siedziała Księżniczka i przyglądała mi się z politowaniem. Wypięłam dumnie pierś, a język scho-
wałam z powrotem na miejsce. I zwołam kroku, licząc
podświadomie na jakąkolwiek reakcję męża na mój widok.
Niestety, nie zaszczycił mnie żadnym spojrzeniem. Patrzy-
łam przez moment, jak poleruje szmatką rurę wydechową,
a potem westchnęłam ciężko.

- Jak prezesową? - wyrwało mi się mimowolnie.

- Przeżyła - odparł krótko. I arogancko.

Na pewno nie może przestać myśleć o czarnym *dessous*
silikonowej Dorotki. Moje ciśnienie podskoczyło gwałtownie.

Przez chwilę stałam jeszcze w milczeniu, obserwując, jak
ćwicz mięśnie, i słuchałam położonego na schodach radia,
w którym jakiś wyraźnie podekscytowany męski głos opowia-
dał o kolejnym ataku „wampira na zakonnicę”. Na szczę-
ście napadnięta kobieta okazała się prawdziwą wojowniczką
i przegoniła napastnika. Głos w radiu pod niebiosa wychwalał
przytomność umysłu kobiety, która jako broni użyła butów na
obcasach. Kobieta celnie wbiła mężczyźnie obcas szpilki w gar-
dło z taką siłą, że połała się krew. Napastnik uciekł w popło-
chu. Potem ku mojemu niezmiernemu zdumieniu usłyszałam
głos Nataszy, która opowiadała reporterowi: „Panie, to pewnie
psychiczny był! Napadł na mnie z jakimś workiem! Szamotali-
śmy się i zrobiła się w tym worku dziura, wysypały się z niego
jakieś kości i zwęglone szczątki! Wie pan, co ja przeżyłam?”.
Potem reporter zapytał bardzo poważnym głosem: „A te zwę-
glone szczątki były ludzkie?”. Na co Natasza przybrała złowro-
gi ton: „Czy ludzkie, tego nie wiem, ale ptasie to na pewno
były”. Potem reporter pogratulował jeszcze Nataszy hartu du-
cha i oddał głos panu w studio, który przez chwilę komentował
zdarzenie beznamiętnym głosem: „Na razie nie wiadomo, co
to były za ptaki. Nieoficjalnie wymienia się kaczkę. Prawdopo-
dobnie wcześniej ptaki zostały rytualnie spalone. Może nawet
żywcem. Na razie szczątki trafiły do laboratorium”.

Rytualnie spalone kaczki. Też mi coś!

Spojrzałam ze złością na Pawła. To jego wina. Mógł pilnować piekarnika.

Kiedy pan w radiu przerzucił się na wiadomości ze świata, na Kolumbię, gdzie dwa dni wcześniej dokonano brawurowego włamania do Ambasady Polski w Bogocie, Paweł niespodziewanie raczył wydać z siebie glos.

- Co zrobiłaś z teczkami, które w swej łaskawości miałaś mi podrzucić?

Usłyszałam bardzo wyraźny zgrzyt zębów.

- Zostawiłam u pana Władka.

- Nie przyniósł mi. Dlaczego nie weszłaś na górę? Nie wiedziałem nawet, że przyszałaś.

- Weszłam, ale ciebie nie było.

- Trzeba było zostawić na biurku.

- Biurko było zajęte - oświadczyłam złośliwie. - Twoja nowa asystentka piłowała sobie paznokcie.

Paweł uśmiechnął się z zadowoleniem. Najwidoczniej na wspomnienie silikonowej Dorotki. Krew mnie zalała. Wpadłam do domu i trzasnęłam drzwiami.

- Lepiej wyglądasz, mamó - powiedziała nie do końca przekonująco Małgosia. - Pomóc ci się położyć czy dasz sobie radę sama?

Starając się nie zwracać uwagi na jej drwiący ton, wyprężyłam się dumnie i lekko wkroczyłam do łazienki. Zamknęłam drzwi i padłam. Dostłownie padłam na zimne kafelki. Drugi dzień aktywnych ćwiczeń jest znacznie trudniejszy niż pierwszy. Z moich płuc wydobywały się dziwne świsty. To pewnie pęcherzyki płucne popełniały samobójstwo. Nie mogłam się ruszyć. Byłam pewna, że przeciążyłam nieużywane od lat mięśnie i umrę na... na coś na pewno. Tak! Umrę i wszyscy będą zadowoleni. Czułam coraz większe zimno. Zimno...

- Mamó, a po co ci to? - jak przez lodowatą mgłę dotarł do mnie głos Antka.

Skowyt zamarł mi na ustach. Uniosłam się nieco i zmruryłam oczy, starając się zlokalizować swoje dziecko. Antek stał na ubikacji i zupełnie nie przejmując się moim terminalnym stanem, bawił się zestawem do mikrodermabrazji, który stał na środku półki tak, by jego cena była dobrze widoczna dla mojego małżonka.

- A żebym ja wiedziała, synku - westchnęłam ciężko.

Podniosłam się z trudem i zrobiłam jeden krok (jeden mały kroczek, a taki ból!) i odebrałam mu koszmarne drogie mazidło.

- To ty sobie możesz kupić coś, co nie jest ci potrzebne, a mnie nie chcesz żadnej nowej zabawki kupić!? To niesprawiedliwe!

- Bo życie niesprawiedliwe jest, synku - oświadczyłam ciężko i wyprowadziłam go z łazienki. Potem zablokowałam porządnie drzwi, posmarowałam sobie twarz śmierdzącą maśeczka i weszłam do wanny.

- Maamooo! Dzwoni ta sąsiadka babci, co wszystko wie!!! - z błędnego otępienia wyrwał mnie głos starszego dziecięcia.

- Powiedz, żeby zadzwoniła za miesiąc - odkrzyknęłam wściekła i postanowiłam nie reagować. Moje mięśnie dalej paliły żywym ogniem.

Zanurzyłam się ponownie w pianie i bezkresnej pustce myśli, z której po dłuższej chwili wydobył mnie znowu głos Małgosi:

- Powiedziała, że za miesiąc to ona zadzwoni po de... deratyzację.

Otrząsnęłam się i tknięta złym przeczuciem wyszłam z wanny. Owinęłam się ręcznikiem, uchyliłam drzwi i wzięłam słuchawkę.

- Ależ pani ma charakterek, po babce pewnie - usłyszałam syczący głos pani Heli.

- Dzień dobry, czy coś się stało? - zapytałam, ignorując jej impertynencje.

- Na pewno coś się stało - w jej głosie przebijało jakieś niezdrowe podniecenie.

- Co pani ma na myśli?

- Jak to co!? To pani własnej babki nie zna? Pewnie się doigrała! Myślę, że to paraliż albo wylew.

- Jezu kochany! - jęknęłam i wypuściłam z ręki ręcznik. - Skąd pani wie? Przyjechało pogotowie? Znalazła ją pani?

- Nie - usłyszałam zde gustowany głos. - Ale już od wieczora słyszę takie... no... jęki. A wie pani, ja wprawę mam w rozpoznawaniu, mój stary też na wylew...

- I dopiero teraz pani dzwoni!? - wykrzyknęłam oburzona.

- Wie pani, musiałam się upewnić, że to coś poważnego. Jeśli do tej pory sobie nie poradziła, to ja muszę wkroczyć, w końcu jestem chrześcijanką, chociaż pani babcia na pewno nie wylądzuje po mojej stronie raj.

Wyłączyłam się, szybko zmyłam maseczkę, założyłam, co miałam pod ręką, i wybiegłam z domu. Paweł wciąż pucował motocykl. Obrzucił mnie nieco zaskoczonym spojrzeniem. Zatrzymałam się. Z wyniosłą miną oświadczyłam, że jadę do babci i żeby zaopiekował się dziećmi. Chociaż ten jeden raz. Potem z gracją wsiadłam do jego auta i z piskiem opon ruszyłam przed siebie.

Ledwie pojawiłam się na klatce schodowej, pani Hela od razu wystawiła głowę zza drzwi swojego mieszkania.

Nic dziwnego, że ma wyłupiaste oczy i wyjątkowo duże uszy. Kwestia przystosowania do życia.

- No wreszcie, czekam i czekam!

Spojrzałam na nią spod oka.

- A na co pani czeka?

Jej wydłużona twarz przypominała mi pysk wypchanej jaszczurki, ale z jej ust wydobyło się cukierkowe:

- No, wie pani, jestem jej najbliższą sąsiadką. Troszczę się o nią.

Zduśliłam w sobie złośliwą odpowiedź i głośno zapukałam do drzwi babci.

Nic.

- Niech pani od razu otworzy - podpowiedziała uczynnie pani Hela, stojąc tuż za mną. - Na pewno ją sparaliżowało, bo od godziny jęki jakby się spotęgowały.

- Co pani mówi!? - przeraziłam się nie na żarty.

- Tak. A oprócz jęków, to jeszcze jakieś klekoty i stukoty słysząc, jakby chciała zwrócić na siebie czyjąś uwagę.

Przestraszona, drżącą ręką włożyłam klucz do zamka. Otworzyłam i szybko weszłam, zapominając o sąsiadce. Pani Hela wślizgnęła się za mną żądna sensacji.

- Babciu! - zawołałam nerwowo.

Nic.

- Babciu! - krzyknęłam głośniej.

Nic. Ze ściśniętym gardłem otworzyłam drzwi sypialni. (Na karku czułam przyspieszony oddech pani Heli). Stałam jak wryta. Zobaczyłam kołującą się pościel, a potem zapadła cisza. Słysząc było tylko tykanie zegara.

- Babciu!? - upewniłam się, podchodząc bliżej. Zastanawiałam się, kto znajduje się pod kołdrą, bo wielkością przypomina! raczej wilka, który zdążył zjeść babcię.

- Odejdź - usłyszałam zduszony głos. - Jestem zajęta.

Spojrzałam osłupiała na panią Helę. Ona odwzajemniła moje osłupiałe spojrzenie, a potem obie spojrzałyśmy na podłogę, na której w wielkim nieładzie leżały męskie i damskie części garderoby. Twarz pani Heli okryła się krwistą czerwienią.

- Malwina? - syknęła, podchodząc bliżej łóżka. - A kogo ty tam masz!?

Łóżko zaskrzypiało przeraźliwie.

Czując niewymowną ulgę, że babcia jest cała i zdrowa, i jak się okazuje, całkiem sprawna, postanowiłam wyjaśnić sprawę w gronie rodzinnym i chwyciłam sąsiadkę za ramię, próbując odciągnąć ją od łóżka.

- Jak pani widzi, babcia cieszy się dobrym zdrowiem, tak więc...

Pani Hela nie zamierzała jednak odpuścić sobie takiej okazji. Wyrwała mi się i jednym mocnym szarpnięciem odstończyła głowę babci, bynajmniej niepożartej przez wilka. Wilk leżał obok. Okazał się nim mocno podstarzały donżuan prezentujący zapadłą już nieco klatkę.

- Au! - zawyła babcia, ale na jej twarzy widać było satysfakcję.

- Aaaa! - krzyknęłam, żeby ukryć przeraźliwy śmiech, którym nie wolno mi było wybuchnąć.

- Auuuuu! - zawyła pani Hela, szokowana nagłym widokiem. - Edward!? Jak mogłeś! Ty chamie!

Jedyną osobą, która nie wydała z siebie żadnego dźwięku, był wspomniany Edward. Jego sumiaste wąsy w tym momencie przypominały rozgniecioną dżdżownicę.

- Wynocha, Hela! - wrzasnęła nagle babcia Malwina, podciągając kołdrę aż po szyję. - Czego tu szukasz, ty stara dewotko!?

- Co!?! To ja chcę cię uratować, zawiadamiam rodzinę na wszelki wypadek, a ty takim tonem? I jeszcze z Edwardem? Pod moim nosem!?

- Przyznaj się, chciałaś zobaczyć mnie na łożu śmierci. Niedoczekanie twoje!

- A tak! Już od dawna marzę, żeby ci język sparaliżowało, ty diabelskie nasienie, ty...

- Wynocha do spowiedzi!

- A pewnie! I wszystko Rafałkowi opowiem! Taką mieć w rodzinie, co za wstyd!

- Wynocha, bo ściągnę kołdrę! - ryknęła bezwstydnie babcia, a wścibska sąsiadka zakryła szybko oczy i zaczęła klepać jakieś modlitwy.

Tymczasem Edward, zmieszany zapewne dosyć niezręczną sytuacją, wyskoczył z łóżka, trzymając się rozpaczliwie za

zwiądłe przyrodzenie, szybko wbił się w ubranie i jak gdyby nigdy nic ukłonił mi się ze słowami: „Do widzenia, miło było poznać”... i uciekł.

Tuż za nim wytoczyła się pani Hela, mieniąc się jak zorza polarna i grząc jak armata w czasie największego oblężenia.

Zapadła cisza. Po dłuższej chwili, kiedy zawodzenia pani Heli ucichły, babcia wydała z siebie cichy pomruk zadowolenia i wygramoliła się spod kołdry.

- Kto to był? - zapytałam w końcu.

- Edek - powiedziała spokojnie, opatulając się szlafrokiem.

- Aha! Dziadek Edek. - Zrobiłam wszystkowiedzącą minę.

- Właśnie. Poznałam go w klubie seniora. Przystojny, nie? Hela zawsze miała na niego chrapkę, tylko cóż... Widziałaś ją. Taka święta, że nawet urodą nie grzeszy. A po co ty ją tu właściwie wpuściłaś, co? - zapytała.

- Sama się wpuściła.

Babcia zazgrzytała zębami.

- Nienawidzę baby! Jak już muszę z nią rozmawiać, to zawsze najpierw wyjmuję szczękę. Żeby jej czasem nie pogryźć - wyjaśniła, dostrzegłszy na mojej twarzy niezrozumienie. Przez chwilę ruszała szczękami, jakby chcąc rozluźnić nieco ucisk, a potem przypomniała sobie o mnie i dodała proszącym tonem: - A jeśli chodzi o Edka, to nie mów mamie. Znowu mi strzeli kazanie, że za stara jestem na romanse.

- No wiesz, babciu, masz już swoje lata. A mama tylko się martwi o ciebie.

- Ona martwi się o swoją reputację, nie o mnie - przerwała mi ostro babcia. - Już ja znam twoją matkę, Agatko. A poza tym, co to znaczy swoje lata? Czy ja mam datę ważności? Czy ja jakaś stara jestem? Ledwie sześćdziesiąt pięć skończyłam - powiedziała do mnie z błyskiem w oku. Obie dobrze wiedziałyśmy, że ma już prawie siedemdziesiąt. - Ale tak naprawdę ja mu jedynie pomagam - spuściła z tonu. - Problemy chłop ma z prostatą. A seks jest wskazany.

Widząc zapewne niedowierzanie na mojej twarzy, dodała jeszcze przekonująco:

- Ale naprawdę! Podobno seks pięć razy w tygodniu bardzo zmniejsza ryzyko zachorowań. Wiesz co, dziecko? - Zamyśliła się nagle. - Ja dalej czuję się tak, jakbym miała trzydzieści lat...

Duch najwidoczniej nie zestarzał się razem z ciałem i dokazywał tak, że ciało nie nadążało. A może to też kwestia opętania? Pani Hela na pewno nie miałyby wątpliwości.

Babcia westchnęła żałośnie.

- Żyj szybko, dziecko - powiedziała nagle, patrząc w lustro. Chwyciła rozwichrzone włosy i pomarszczoną dłonią związała je sprawnie nad karkiem. - Żyj pełnią życia, bo człowiek ani się obejrzy i staje się kimś innym. Tą starszą panią z naprzeciwiaka, która ma problemy z chodzeniem, albo tą kobietą z reklamy preparatu na pamięć. Człowiek patrzy w lustro i widzi znajomą, a jednak obcą twarz. Przez lata zdążył się już do niej przyzwyczaić, ale każda zmarszczka jest drogowskazem w stronę wieczności... - Spojrzała na mnie z dziwną miną. - Ale ty się w ogóle mną nie przejmuj, dziecko, bo ja już jestem w tym wieku, kiedy żal, że niedługo trzeba będzie zostawić wszystko i zabierać się z tego świata. A przecież ledwie co się człowiek rozpakował.

Opuściłam babcię pogrążoną w melancholijnej zadumie, ale za to w dobrym zdrowiu. I postanowiłam nie wracać do domu. Przynajmniej nie tak od razu. Zadzwoiłam do Pawła, żeby go o tym uprzedzić, ale gdy usłyszałam w telefonie jego zimny głos, zmieniłam zdanie i rozłączyłam się bez słowa. Pewnie wyczuł, że to ja. Jak on może być dla mnie taki obojętny? Po tylu latach spędzonych razem. A może właśnie po tylu latach spędzonych razem? Schowałam telefon do torebki. A niech się martwi. Może przynajmniej ta jego obojętność zamieni się w jakieś żywsze uczucie? Choćby we wściekłość. Bo wszystko jest chyba lepsze od obojętności.

Samochód zostawiłam pod blokiem babci i pomaszzerowałam w stronę Rynku, zastanawiając się po raz setny nad wydarzeniami wczorajszego wieczoru. Wprawdzie w porównaniu z egzystencjalnymi rozmyślaniami babci Malwiny majtki Dorotki nie były może najważniejsze, ale przecież z ziemskiego padołu do wieczności daleka droga, a te majtki tkwiły w mojej głowie jak kolec w stopie. Byłam pewna, że do wieczności z tym kolcem nie dokuśtykam. Musiałam go wyciągnąć. Tylko jak? Zaczęłam się zastanawiać nad egzorcystą. A potem pomyślałam, że może łatwiej byłoby Dorotkę najwyczajniej w świecie ukatrupić. Ale na taką to musiałabym mieć pewnie srebrną kulę w pistolecie. Wampirzyca jedna!

Zamyślona potknęłam się o wystającą płytkę i omal nie rozbiłam sobie kolana. Jakieś dwie małolaty ryknęły śmiechem. Spojrzałam za nimi z urazą i zobaczyłam tego samego mężczyznę, który rano biegi cały czas w tę stronę co ja. Facet mnie obserwował. Kiedy zauważył mój wzrok, przykucnął i zaczął wiązać sznurówki, co - zważywszy na fakt, że buty miał na rzepy - wydało mi się co nieco podejrzane. Potem udając, że fascynują go chmury, przeszedł na drugą stronę ulicy. Kulejąc jeszcze trochę, doszłam do Rynku. Cały czas czułam na sobie wzrok nieznanego mężczyzny, a im więcej o nim myślałam, tym bardziej wydawał mi się znajomy.

Tuż przy Rynku odwróciłam się nagle w jego kierunku, zdecydowana na konfrontację. Stał po drugiej stronie ulicy i wpatrywał się we mnie zza intensywnie czarnych okularów przeciwsłonecznych. Tak mi się przynajmniej wydawało, choć równie dobrze mógł przyglądać się idącej tuż koło mnie pięknej klaczy, która załatwiała właśnie potrzebę fizjologiczną, nic sobie nie robiąc z ciągniętej za sobą dorożki. W dorożce siedziała odświętnie ubrana rodzina z dwójką dzieci, a chłopczyk w wieku Antka zaśmiewał się do rozpuku.

- A koń robi kupę!!!

Spojrzałam na niego z sympatią, jako że był niezmiernie podobny do mojego syna, a kiedy dorożka przejechała, znowu zerknęłam w stronę mężczyzny. Już go nie było.

Poczułam nagły niepokój i nie do końca wiedząc, co ze sobą począć, usiadłam w ogródku. Zaraz podbiegła do mnie pызata kelnerka.

- Wodę mineralną proszę - powiedziałam z rezygnacją.

Kelnerka spojrzała na mnie z wyraźnym współczuciem.

- Tylko wodę? A co, odchudza się pani? Parszywa sprawa. Nawet wódki sobie nie można wypić, bo alkohol kaloryczny. Co za paranoja. A wszystko to wina tych wychudzonych modelek, wie pani?

- Tak? - zapytałam obojętnie i wystawiłam twarz do słońca. W końcu opalone ciało jest znacznie atrakcyjniejsze.

- A tak! - Kelnerka zatrzęsła się z oburzenia i zastoniła mi słońce swoim obfitym biustem. Spojrzałam na nią z rezygnacją, a ona oświadczyła z całym przekonaniem: - Wmawia się ludziom, że to, co chude, jest normalne. A nie jest! - dodała na wypadek, gdybym miała wątpliwości. - Jak ktoś jest zdrowy, to musi jeść, a jak ktoś je, to widać. A reklamy pełne są tych kościotrupów. I niby reklamują coś innego, wie pani, dla pozorów, ale tak naprawdę zasiewają w kobiecych umysłach truciznę. Niestety, z tym się nie da wygrać. Bo one są wszędzie, te chude szkapki, a tfu! - ściszyła głos i rozejrzała się po stolikach z obrzydzeniem. Potem wróciła do mnie. - A jaka to dieta?

- Nie rozumiem.

- No, bo wie pani, diety są różne. Ja to kiedyś próbowałam każdej, jakąkolwiek mi pani wymieni, każdą testowałam. I zupełnie nie było widać rezultatów. I gdyby nie te pączki, które podjadałam, jak nikt nie widział, chyba bym z głodu umarła. To co to za dieta? Jak się nazywa? Albo inaczej, co jest jej głównym składnikiem?

- Nic - odpowiedziałam niepewnie.

- Nic?

Opadła na krzesło obok mnie.

- Tego jeszcze nie próbowałam. Nie miałam odwagi. - Przyjrzała mi się z uwagą, a nawet, powiedziałabym, szacunkiem. Po chwili się zreflektowała. - Muszę jednak pani powiedzieć, że dieta nie wpływa korzystnie na nasz organizm. Niejedzenie jest wbrew naturze, a co jest wbrew naturze, to jest nienaturalne. Dlatego kobieta, która się głodzi, żeby lepiej wyglądać, tak naprawdę wygląda gorzej. Jest ciągle zła, że jest głodna, a jak powszechnie wiadomo: złość piękności szkodzi! I tylko liczy kalorie, a matematyka, wie pani, to też nic przyjemnego. Na diecie kobieta przestaje cieszyć się życiem. Mój kotuś to mi zawsze powtarza, że nie ma nic seksowniejszego od babki, która zajada się golonką. Wtedy facet ma wszystko co kocha w jednym: i jedzenie, i kobietę. Gdybym nie spotkała swojego kotusia, do dzisiaj byłabym przekonana, że wszyscy mężczyźni wolą chudzielce. A to bzdura! Wie pani, jak to mój powiada? Chłop nie pies, na kości nie poleci.

- To czy ja mogłabym dostać tę wodę? - przerwałam grzecznie, aczkolwiek stanowczo jej rozważania.

- Ależ oczywiście. - Uśmiechnęła się do mnie sympatycznie, a potem obejrzawszy się jeszcze, czy nikt nie słyszy, dodała szeptem: - Wrzucę pani do niej plasterki pomarańczy w cukrze, ale pani o niczym nie wie.

Siedziałam zamyślona przy stoliku, ciesząc się niezmiernie widokiem plasterka pomarańczy w mojej wodzie, i obserwowałam pary przy stolikach obok. Zastanawiałam się, która z nich cudzołoży. Byłam niemalże pewna, że z wyjątkiem małżeństwa Japończyków z dziećmi i trzech zbyt wesołych jak na niedzielne południe Anglików, wszystkie. A najbardziej ta ruda wysoka dziewczyna w zielonej sukience z tym pyzatyim chłopakiem o wniebowziętym spojrzeniu.

- Powróżyć? - z zamyślenia wyrwał mnie jakiś chrapliwy głos. Spojrzałam w stronę, skąd dochodził, i lekko się

przestraszyłam. Przedemną stała bowiem bardzo dziwna kobieta i przyglądała mi się uporczywie, a trzeba zaznaczyć, że spojrzenie miała wyjątkowo świdrujące. A jej nos? Z powodzeniem mógłby jej służyć do samoobrony, tak był zakrzywiony i ostry. Wydawała się starsza niż ktokolwiek, kogo znałam, a jednak poruszała się z młodzieńczą lekkością. Pewnie dlatego że na nogach miała tęczowe conversy.

- Hm... nie, dziękuję - rzuciłam z pewnym opóźnieniem, odrywając wzrok od jej trampek.

Ona jednak, biorąc zapewne moje osłupienie za wahanie, postanowiła mnie przekonać.

- Ależ proszę się nie bać - powiedziała, przypatrując mi się uważnie. - Ja nie gryzę. Jestem wróżką. I to nie byle jaką. Dyplomowaną! Spełniam wszystkie normy unijne i zapewniam całkowitą dyskrecję. Jak ksiądz. Nazywam się *Madame Klara Widząca*.

Nie widząc żadnej reakcji z mojej strony, westchnęła ciężko i przysiadła się do mojego stolika.

- Janina jestem - szepnęła konfidencjonalnym szeptem.

Rozejrzałam się niepewnie. Wróżka nie wyglądała na taką, która dałaby się spławić zwykłym, nawet bardzo stanowczym „nie”.

- A ile to będzie kosztować? - zapytałam na wszelki wypadek. Zawsze mogę powiedzieć, że nie mam tyłu pieniędzy.

Obrzuciła mnie ironicznym uśmiechem. Przez chwilę się nie odzywała, jakby zastanawiając się nad grubością mojego portfela.

- Nic to pani nie będzie kosztować - powiedziała niespodziewanie.

- Nic? - zdziwiłam się. - Jak to?

- A nic. Jak patrzę na panią, to mam takie bardzo pozytywne wibracje, wie pani? - Uśmiechnęła się, pokazując dwa złote zęby z przodu i dziurę po jednym z boku.

- Ale ja...

- Pani poda mi rękę - powiedziała nagle, przestając się uśmiechać.

- Ale...

- Pani poda rękę - powtórzyła już głośniej.

Poczułam na sobie spojrzenia siedzących obok ludzi. Po-
dałam.

Chwyciła moją rękę w swoje szponiaste palce, rozprostowa-
ła zeszywniała nie wiedzieć czemu dłoń i powiedziała,
nadal patrząc mi prosto w oczy:

- Ja pani prawdę powiem, a nie to, co pani by chciała usły-
szyć.

Zamartłam.

- Jak to? To powie mi pani to, czego nie chcę słyszeć? To
ja już wolę zapłacić.

Próbowałam wyrwać rękę, ale nie pozwoliła.

- Proszę przestać się wyrwać, wróżka prawdę powie.
A prawda, proszę pani, prawda jest bezcenna! - wyjawiała. -
Dlatego nie chcę od pani pieniędzy. Im wszystkim - ściszyła
nagle głos i rozejrzała się z politowaniem dookoła - im mówię
to, co chcą słyszeć. Że szczęście będzie, udane dzieci, przy-
stojni bruneci i śliczne blondynki. I sukces, i pieniądze. Wtedy
lepiej płacą. To mi poprawia koniunkturę. Bo ja na kryształo-
wą kulę zbieram, najnowszy optyczny model - zaznaczyła. -
Niestety, ostatnio ludzie nie chcą chodzić do wróżek. A my
wróżki tyle dobrego dla nich możemy zrobić, a ludzie nic! Co
za uparte, racjonalne stworzenia. A w rezultacie głupie! Nie
chcą słuchać!

- Aha - pokiwałam głową. Tak na wszelki wypadek.

- No, ale od pani nie chcę pieniędzy. Ja widzę, że panią
coś trapi.

- Niby tak - powiedziałam ostrożnie. - A skąd pani wie?

- Ja wiele rzeczy wiem, proszę pani. - Roześmiała się chrap-
liwie i postukała w moją dłoń swoim zakrzywionym palcem. -
Ja tu zaraz na pewno same pozytywne rzeczy zobaczę.

Spojrzała.

- Tak? A co niby pani widzi? - zainteresowałam się nagle.
- Podwójne drzwi widzę - powiedziała, marszcząc czoło.
- Podwójne? - zdziwiłam się.
- Tak. I w dodatku czerwone - dodała jeszcze słabym głosem. - Ale, nie. To akurat nie jest pozytywne.

Nagle straciła humor.

- Proszę się nie przejmować - powiedziałam, wznosząc ramionami. - Wątpię, czy to istotne.
- I szafę widzę - przerwała mi zrezygnowana.
- O! To na pewno jest pozytywne, prawda? - próbowałam ją pocieszyć.
- Nie - ucięła krótko.

Potem wymamrotała jeszcze parę niezrozumiałych słów i spojrzała na mnie nieprzytomnie. I bardzo niepokojąco.

- Następny pechowiec - rzuciła nagle z urazą w głosie. - Dość was mam! Musiałam zarazić się od kota. Bo mój kot to pechowców przyciąga. Co za rok, proszę pani, co za rok! Same trupy! A czy ja wyglądam na kogoś z wydziału kryminalnego? - Spojrzała na mnie z wyrzutem. - Pani do mnie więcej nie przychodzi!

- To pani do mnie podeszła. Proszę mi natychmiast powiedzieć coś optymistycznego! - jęknęłam, ogarnięta niepokojem.

Wróżka spojrzała na mnie bez uśmiechu. Jej oczy miały nieobecny wyraz.

- Ja prawdę mówię, a nie coś optymistycznego. Jak pani chce coś optymistycznego, to proszę sobie iść do baru chińskiego i poprosić o ciasteczko z wróżbą. - Widząc moją minę, postanowiła mi jednak coś doradzić. - Jedno pani powiem. Do fryzjera pani pójdzie. Dzisiaj - powiedziała tonem nieznośnym sprzeciwu.

Mimowolnie dotknęłam swoich włosów.

- Dzisiaj? Ale dziś niedziela.

- Natychmiast. - Wstała i rozejrzała się dookoła podejrzliwie. - Idę już, kota muszę nakarmić. - Obserwowałam ją z niepokojem, jak mówiła jeszcze, patrząc w jakiś nieokreślony punkt na horyzoncie: - Dlaczego to mnie się zawsze zdarza? I po co ja prawdę chcę ludziom mówić? A powtarzała mi mama, żebym trzymała język za zębami, nawet jak wiem. Ale nie, ja zawsze z tym swoim altruizmem wyjadę. Za dobra jestem! - oświadczyła z przekonaniem, szukając swojego potwierdzenia.

Pokiwałam szybko głową, a ona jakby nigdy nic wsadziła palce do mojej szklanki i wyciągnęła plasterek pomarańczy, który trzymałam na koniec. Wsadziła go sobie w usta, odwróciła się i po chwili zniknęła mi z oczu wchłonięta przez różnobarwny tłum.

Odsunęłam szklankę. Siedziałam jeszcze przez chwilę, nie wiedząc, co zrobić, zła o ten zabrany plasterek jak pozbawiony deseru Antek.

- Jaki masz śliczny kolor włosów. Kocham twoje włosy - usłyszałam nagle pyzatego chłopca mówiącego do swojej rudowłosej partnerki. Ona wtuliła się w niego jak dziecko w wielkiego pluszowego misia.

Gwałtownie wstałam.

Idę do fryzjera. Natychmiast. Ta wróżka to ma głowę. Przecież to oczywiste! Faceci od czasu do czasu potrzebują zmian. A może Paweł też ma ochotę na rudą? W końcu rude znane są ze swojego temperamentu w łóżku.

Zapłaciłam w pośpiechu za wodę i pobiegłam w kierunku salonu fryzjerskiego. Prawdę mówiąc, biegałam w kółko, aż salon sam mi się napatoczył. Zamknięty. Dwa kolejne również. W końcu znalazłam otwarty.

- Zamknięte. Niedziela - poinformowała mnie jakaś wytapirowana jędza w czarnym fartuszk. W buzi miała gumę balonową. Wiem, bo co trzy sekundy dmuchała balonik tak wielki, że pękając, przyklejał się jej do grzywki.

Rozejrzałam się po salonie. Trzy klientki były obsługiwane, a czwarta płaciła za usługę.

- Ale... przecież otwarte.

- Zamknięte. Dzisiaj obsługujemy tylko wcześniej umówione klientki - oświadczyła, patrząc na mnie wyzywająco.

- Ale ja muszę! - powiedziałam błagalnym tonem. - Inaczej mąż mnie zostawi dla innej!

- Nie panią pierwszą - stwierdziła i pokazała mi drzwi.

W kolejnym otwartym zakładzie nie dałam się spławić.

- Zamknięte - rzuciła sucho młoda fryzjerka. Nie miała gumy balonowej, tylko plasterek antynikotynowy.

- Jestem... umówiona - oświadczyłam z pewną siebie miną.

- A, to co innego. - Uśmiechnęła się bezpłciowo. - Na którą?

- Na trzynastą.

- Pani Marlena? - potwierdziła jeszcze fryzjerka, patrząc na mnie znad zeszytu.

- Może być i Marlena - mruknęłam i pokiwałam twierdząco głową.

- To co robimy?

- Lekko podciąć i na rudo - powiedziałam szybko. - Tylko ma być seksownie!

- Seksownie - powtórzyła przeciągle fryzjerka i przyjrzała mi się krytycznie. - Zobaczymy, co się da zrobić.

Potem posadziła mnie w fotelu i zaczęła mi myć włosy, a ja pogrążałam się w nicości. Zamknęłam oczy. Gdy je otworzę, będę już swoim seksownym rudym alter ego. I nikt mi się nie oprze, marzyłam. Moje sensne myśli przerwało czyjeś wejście.

- Zamknięte - usłyszałam obojętny głos fryzjerki.

- Byłam umówiona.

- Na którą?

- Na trzynastą.

- Nie mam pani w zeszycie.

- Jak to nie? Marlena.

- Marlena? Na trzynastą?

Zamarłam. Jeszcze chwila, a wyrzucą mnie z fotela na ulicę. I to z tym bałaganem na głowie!

- A tak właśnie. Marlena. Na trzynastą - usłyszałam zirytowany głos klientki.

Nastała cisza. Czułam, że wszystkie oczy zwrócone są na mnie. Postanowiłam udawać głuchą, niemą i sparaliżowaną. Nie otwierałam oczu.

- Marlena? - rozdarła się nagle fryzjerka. - Jak pani nie wstyd podszywać się pod inne klientki, podbierać komuś kolejkę! Proszę wyjść!

- Ale...

- I nigdy tutaj nie wracać!

Obsługująca mnie fryzjerka zarechotała.

- Dobrze jej tak, cwaniara. Jacy ludzie są bezczelni, prawda, pani Marleno?

- Tak - potwierdziłam gorliwie i wreszcie odważyłam się otworzyć oczy. - Aż nie chce się wierzyć.

Fryzjerka masowała mi głowę, plotąc trzy po trzy, ale nie słyszałam z tego ani słowa. Starłam się zrelaksować, poddając tak niezbędnym każdej kobiecie zabiegom. Dość! Nadszedł dla Matek Polek czas odwetu. Zaczęła się era nowoczesnych kobiet. Ruda alternatywa dla szarości dnia powszedniego. A Matkom Polkom już dziękujemy.

Kiedy ze zgrozą patrzyłam, jak moje włosy spadają na podłogę, zobaczyłam w odbiciu okna w lustrze przemykającą znaną twarz. Odwróciłam się gwałtownie.

- Proszę się nie ruszać, bo jeszcze coś zetnę nie tak - krzyknęła ostrzegawczo fryzjerka, wymachując wielkimi nożycami.

Nie zwróciłam na nią uwagi. Szybko zerwałam się z fotela i podbiegłam do okna, w którym przed chwilą mignęła mi anielska twarz siostry Perpetui. Spojrzałam w prawo.

Zakonnica zniknęła właśnie za zakrętem, a torebka ze skóry aligatora dyndała jej elegancko na ramieniu.

- Ach! - krzyknęłam podekscytowana do fryzjerki. - Zraz wracam!

Nie przejmując się wcale jej głośnym protestem i zupełnie zapominając o klipsach na głowie i o fartuchu ochronnym, z rozmachem otworzyłam drzwi. Przy okazji przestraszyłam panią z pieskiem, który zaczął ujadać niemiłosiernie, dzieciaka w wózku, który rozpoczął diabelską arię, i mężczyznę w butach na rzepy (który wciąż za mną łąził). Facet był w najgorszej sytuacji, bo stojąc zbyt blisko drzwi, oberwał nimi solidnie. Chwycił się za głowę i jęknął. Nie miałam jednak czasu, żeby go przeprosić i dowiedzieć się wreszcie, dlaczego mnie śledzi, bo siostra Perpetua zniknęła mi właśnie z pola widzenia. Pobiegłam do zakrętu i stanęłam na rogu, rozglądając się gorączkowo. Po dłuższej chwili wypatrzyłam zakonnice znikającą w bocznej uliczce. Starając się nie zwracać uwagi na uśmieški mijających mnie ludzi, pędziłam, jakby od tego zależało moje życie. Kiedy zobaczyłam, że Perpetua zatrzymała się przed bramą jakiejś kamienicy, nie wiedzieć czemu naszyły mnie wątpliwości. Zanurkowałam za zaparkowany w pobliżu samochód. Może lepiej, żeby mnie nie widziała? Przecież przestała się kontaktować z Rafałem. Coś chyba knuje. To nie moja sprawa. Tylko Rafała. A może kurii? Papieża? Albo jeszcze kogoś innego?

Ostrożnie wyjrzałam zza samochodu.

Przypatrywałam się przez chwilę, jak Perpetua szuka w torebce kluczy. Kiedy je znalazła, rozejrzała się uważnie dookoła i zniknęła w bramie.

A potem usłyszałam z tyłu delikatne chrząknięcie.

- Przepraszam, czy dobrze się pani czuje? - zapytał jakiś głos.

Odwrociłam się gwałtownie. Nade mną pochylał się jakiś starszy pan i uśmiechał się uroczo.

- Jak najbardziej - oświadczyłam, nie będąc tego do końca pewna.

Po chwili ciszy chrząknął.

- Czy mogłaby pani zachowywać się dziwnie gdzieś indziej? - zapytał uprzejmie, prawdziwie po dżentelmeńsku. - Ja muszę skorzystać z samochodu.

Zerwałam się gwałtownie.

- Przepraszam, i tak już sobie szłam... do fryzjera - odpowiedziałam czerwona jak piwonია.

Pokiwał głową.

- Tak. Fryzjer na pewno pani pomoże. Mojej żonie na wszystko pomagał. Miała zły dzień, do fryzjera, sobota, do fryzjera, głowa boli, do fryzjera, kupiła płaszcz nie w tym kolorze, do fryzjera. Swojego czasu zastanawiałem się, jak fryzjer w kwestii płaszcza może pomóc? A on zafarbował włosy na kolor, który pasował do płaszcza, na wszystko radę znalazł. Tak. Wy kobiety to taka skomplikowana pleć... - zamyslił się i dodał jeszcze: - A potem z nim odeszła. Bo to on jej pomagał na wszystko. Gdybym to wiedział, kiedy byłem miody, to zostałbym fryzjerem, a nie aktorem, proszę pani.

Starszy pan wszedł do samochodu, a ja odwróciłam się jeszcze, rzucając ostatnie spojrzenie na bramę kamienicy, w której zniknęła Perpetua. Po drodze do salonu fryzjerskiego zadzwoniłam do Rafała. Obiecał zjawić się zaraz po mszy. Zadowolona wróciłam do fryzjerki, a ta dokończyła dzieło. I to z jakim efektem! Ognistowłosa bogini, zmysłowa kusicielka, *femme fatale* - to ja!

- Coś ty z włosami zrobiła? - zapytał Rafał, wpatrując się we mnie z prawdziwym przerażeniem. Staliśmy pod bramą kamienicy, w której ukrywała się Perpetua. - Ledwie cię poznałem - dodał.

- Podoba ci się? - zapytałam, poprawiając włosy. Na pewno rozświetliłyby swą barwą ciemność najczarniejszej nocy.

- Podobno rude są fałszywe.
- A ja myślałam, że dobre w łóżku - odwarknęłam, pożałowawszy zmiany. To wszystko przez tę stukniętą wróżkę.
I Pawła.

Rafał spojrział na mnie z naganą i zmienił temat:

- Które mieszkanie? - zapytał, podnosząc palec do domofonu.

- Wszystko mam wiedzieć? Sam musisz wykombinować.
Ja cię przyprowadziłam we właściwe miejsce.

Rafał zadzwonił pod jedynekę.

- Słucham - odezwał się z domofonu jakiś kobiecy głos.

- Dzień dobry pani - powiedział Rafał, nieco spięty. - Jestem księdzem. Czy byłaby pani taka uprzejma i otworzyła drzwi?

- Ależ oczywiście, proszę księdza, proszę wejść - głos rozentuzjazmował się nieco, i usłyszeliśmy dźwięk otwierania drzwi. Szarpnęłam za klamkę i już po chwili powitał nas chłód panujący w środku.

Rafał spojrział na mnie z widocznym zadowoleniem.

- Moja praca robi wrażenie na ludziach - powiedział, uśmiechając się nie do końca skromnie.

- Wiesz, jak to jest, za mundurem panny sznurem, za sułtaną babcie suną. - Zaśmiałam się, a Rafał spojrział na mnie z politowaniem. Nie odezwał się jednak.

W drzwiach stała już uczynna staruszka. Mrugnęłam do Rafała porozumiewawczo, ale udawał, że mnie nie widzi. Spojrział na babcię z profesjonalnym uśmiechem, a ona zapytała:

- Jak mogę księdzu pomóc?

- Szukam pewnej zakonnicy... - nie zdążył nawet skończyć zdania, bo drzwi zamknęły się z trzaskiem.

Spojrzeliliśmy po sobie, nie wiedząc, co o tym myśleć.

- Najwidoczniej twoja praca nie jest już tak popularna jak kiedyś - skwitowałam lekkim wzruszeniem ramion, ale miałam wrażenie, że go nie przekonałam.

Już mieliśmy zapukać do drzwi z numerem dwa, kiedy spod trójki wyjrzała kobieta w walkach na głowie. Ze swoją wydłużoną twarzą przypomniła mi panią Helę, sąsiadkę babci. Widocznie w każdym bloku czy kamienicy mieszka taka osoba, której uszy są wyjątkowo wrażliwe na szepty, i nic co cudze nie jest im obce.

- Pani Zawistowska boi się nawet odgłosu własnych kroków - powiedziała kąśliwie, przypatrując się z uwagą moim włosom. - A w mediach trąbią ostatnio o „wampirach”, które napadają na bezbronne kobiety, udając, że szukają zakonnicy, rozumie ksiądz...

- Tak, naturalnie. - Rafał uśmiechnął się przyjaźnie. - Ja żadnych złych intencji nie mam. Szukam tylko pewnej misjonarki z Kolumbii.

Kobieta wskazała palcem drzwi.

- Tam żadna zakonnica nie mieszka. To mieszkanie mojej córki. Pod czwórką mieszka jej były mąż, a pod piątką mój młodszy syn z drugą żoną i babcią pierwszej żony. Mój syn to taki dobry chłopiec - rozczuliła się nagle. - Serce ma wielkie. Czeka z żoną na miejsce w domu opieki dla babci. Gdyby nie on, musiałaby się chyba biedulka na ulicę wyprowadzić. Wcześniej mieszkała we własnym mieszkaniu, ale jej córka je sprzedała, żeby kupić to, w którym teraz mieszka mój syn. Mieli tam wszyscy z babcią mieszkać, ale uciekła z jakimś Irlandczykiem.

- Kto? Babcia? - nie zrozumiał Rafał.

- Nie. Jego pierwsza żona - oświadczyła sąsiadka, patrząc na Rafała, jakby nie rozumiał, ile jest dwa plus dwa.

- A pod szóstką? - weszłam jej w słowo. Bardzo uprzejmie, aczkolwiek stanowczo.

Zmierzyła mnie podejrzliwym wzrokiem i machinalnie poprawiła walki.

- Pod szóstką mieszka Staszek Piecha. Ale on żadnych zakonnicy nie przyjmuje, proszę pani. To heretyk. Z tych najtwardszych.

Spojrzałam wymownie na Rafała. Uśmiechnął się uroczo do babsztyla.

- Pani chyba wszystkich tutaj zna! - schlebił jej Rafał - W którym mieszkaniu mogłaby ewentualnie mieszkać, czasowo oczywiście, zakonnica?

Pani zastanowiła się przez chwilę.

- Wie ksiądz, ja tu naprawdę wszystkich znam. No może z wyjątkiem tych spod piętnastki. To jakieś młode małżeństwo. Ale czy zakonnice tam goszczą, to nic mi nie wiadomo. A pod szesnastką, na samej górze, mieszkała pani Korcz. Zmarła jakiś miesiąc temu. Z tego co wiem, mieszkanie stoi puste. Mogą państwo zastukać - powiedziała zezwalającym tonem.

Podziękowaliśmy, a potem rozpoczęliśmy wspinaczkę po stromych schodach.

Kiedy dotarliśmy do drzwi z numerem szesnastym, nabrałam dziwnego przekonania, że to mieszkanie, którego szukamy. Drzwi były czerwone.

Zapukałam ogarnięta irracjonalnym lękiem.

Odpowiedziała nam martwa cisza.

Rafał wzruszył ramionami.

- Nikogo nie ma.

Odwrócił się, chcąc odejść, ale ja byłam przekonana, że to właściwe drzwi, i nacisnęłam klamkę.

Drzwi otworzyły się z denerwującym zgrzytem.

- Co robisz? - syknął Rafał, rozglądając się, czy nikt nie widzi.

Wzruszyłam ramionami.

- No co? Przecież były otwarte - odpowiedziałam szeptem, po czym uchyliłam drzwi nieco szerzej.

Oboje wsadziliśmy głowy do środka, starając się wy badać teren. Naszym oczom ukazał się pomalowany na żółto ciasny korytarzyk i otwarte drzwi do pokoju, przez które widać było brązową kanapę w żółte kwiatki.

- Dzień dobry, czy jest ktoś w domu? Siostrze Perpetuo? - powiedziałam głośniej, wpatrując się z przejęciem w głębię korytarza. - *La hermana* Perpetua?

Odpowiedział mi jedynie cichy pogłos, tak charakterystyczny dla prawie pustych pomieszczeń.

Już miałam się wycofać, kiedy jeden mały szczegół przykuł mój wzrok i nieco mnie zaniepokoił.

Zza kanapy wystawała noga.

Ponieważ z reguły nogi tworzą zestaw z resztą kończyn i głową, ta noga też do jakiegoś musiała należeć. Chyba że była elementem zdekompletowanej całości, co wskazywałoby na opłakany stan jej zagubionego właściciela. Kiedy doszłam do tego wniosku, chwyciłam Rafała za rękę.

- Patrz - wyszeptalam, wskazując mu kanapę. - Noga.

Rafał podążył wzrokiem za moją ręką. Usłyszałam, jak głośno przetyka ślinę.

- No... noga - potwierdził słabym głosem.

Przypatrywaliśmy się przez chwilę nodze jak zahipnotyzowani. Skupiała na sobie niepodzielnie naszą uwagę.

Po chwili milczenia Rafał szepnął niepewnie:

- Jak myślisz, czyja ta noga?

Poderwałam się nerwowo, podbijając mu przy tym podbródek.

- Nie wiem, ale na pewno nie Perpetui. Wątpię, że chodzi w męskich butach - odpowiedziałam, masując sobie głowę. - Chyba ważniejsze jest to, czy jej właściciel jeszcze dycha, nie sądzisz?

Spojrzał na mnie ze zgrozą.

- Przestań - szepnął histerycznie. - Musimy zadzwonić na policję.

- Pewnie, że musimy, ale najpierw powinniśmy chyba wejść i zobaczyć, czy właściciel tej nogi nie potrzebuje pomocy medycznej. A poza tym jeśli żyje, to może powie nam co nieco o Perpetui.

- Myślisz, że ta noga ma coś wspólnego z Perpetua?

Nie odpowiedziałam. Weszłam niepewnie do środka. Rafał za mną. Powoli przeszliśmy przez żółty przedpokój. Zwisające z sufitu pajęczyny sprawiały nader przygnębiające wrażenie. Nie wspominając o pająkach wielkości aligatorów. W drzwiach do pokoju przystanęliśmy. Westchnęłam z ulgą. Koszmarne pająki zostały w tyle. Teraz już tylko potencjalny trup. Rozejrzałam się uważnie dookoła. Oprócz kanapy w pomieszczeniu nie było żadnego innego mebla. Za to pod oknem stały w równym rzędzie wielkie gliniane donice z zeschniętymi paprociami. Obok kanapy, na kwiecistym dywanie, na którym widać było ślady krwi, twarzą do dołu leżał mężczyzna. Wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi był martwy.

- Na pewno nie żyje - rzucił gorączkowym szeptem Rafał, wychylając się zza moich pleców.

Podeszłam do ciała i przykucnęłam. Wiedzioną jakąś niezdrową ciekawością, podniosłam delikatnie głowę i ułożyłam ją na boku. Potem wzdrygnęłam się, pomachałam gwałtownie rękami, jakby strzepując z nich niewidzialny brud śmierci, i przyjrzałam się znieruchomiałej twarzy. Od razu ją rozpoznałam.

- Wiesz co? - odezwał się przejętym głosem Rafał. - Ja go znam. To jeden z tych, co napadli na mnie w kościele.

- Tak? A ty wiesz, że ja też go znam? Łaził za mną przez cały dzień. I wiesz co? - Wpatrując się w stężałą twarz, doznałam olśnienia. - Ja go widziałam na lotnisku! Wtedy kiedy odbieraliśmy Perpetuę.

Rafał patrzył na mnie z dziwną miną, a potem kucnął tuż obok.

- Ja też miałem wrażenie, że ktoś mnie śledzi.

Przez chwilę wpatrywaliśmy się w trupa, ale ten nie mógł udzielić nam żadnych wyjaśnień.

- Hm... - zaczęłam się zastanawiać na głos. - Jeśli ten facet łaził za mną cały dzień, to musiałam go tu przyprowadzić, kiedy śledziłam Perpetuę. Potem już go nie widziałam. Wy-

gląda na to, że zostawił mnie w spokoju dopiero wtedy, kiedy znalazł naszą siostrzyczkę!

Spojrzałam triumfalnie na Rafała. Patrzył na mnie przerażonym wzrokiem.

- Myślisz, że to siostra Perpetua go tak urządziła? - wyjąkał, spoglądając na zwłoki.

- No a kto? Niezłe ziółka sobie z tej Kolumbii importujecie! - wyszeptałam z przejęciem. - Ale czekaj. - Chwyciłam Rafała za rękę. - Przecież ich było dwóch. Jeśli tutaj leży ten, który śledził mnie, to gdzie jest ten drugi? Drugi pewnie śledził ciebie.

Moje pytanie nie pozostało bez odpowiedzi.

- Ręce go góry - usłyszałam nagle za plecami chrapliwy głos. - Nie ruszać się, bo strzelam!

Znieruchomiałam. Tuż obok mnie znieruchomiał Rafał. Wymieniliśmy przerażone spojrzenia i równocześnie podnieśliśmy ręce do góry.

- Odwrócić się - rozkazał głos. - Tylko powoli. I bez żadnych sztuczek!

Odwróciłam się zatem. Bardzo powoli i bez żadnych sztuczek. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłam, był wymierzony we mnie pistolet. Wydawał mi się wielki niczym działo przeciwpancerne, choć mieścił się przecież w dłoniach mężczyzny z wytupiającymi oczami.

- Odsunąć się - zażądał mężczyzna chrapliwie, spoglądając co chwila na leżącego koło kanapy kolegę. - Pod ścianę, jazda!

Bez słowa przesunęliśmy się pod ścianę. Pistolet nie dawał żadnej alternatywy.

- Butcher, wstawaj! - zawołał mężczyzna do leżącego kolegi. Butcher nie wstawał.

Nie opuszczając broni, mężczyzna przykucnęła i wolną, jak zauważyłam, nieco drżącą ręką sprawdził nieboszczykowi puls. Nic nie wyczuł. Zaciśnął zęby i najwyraźniej postanowił wyładować swoją frustrację na nas.

- Wy... dlaczego zabiliście Butchera!?

- My nie! Przecież szedł pan za nami, prawda? - zaczęłam się bronić na wszelki wypadek.

Wyłupiastemu argument wydał się rozsądny. Na szczęście.

- To pewnie ta kurwa z Kolumbii. I co ja teraz szefowi powiem? Co?

Patrzył na nas, jakby oczekiwał jakiejś odpowiedzi. Niestety było to dla nas zadanie nieco zbyt ambitne. Rafał osłabił i w ogóle przestał reagować po tym, jak siostra Perpetua została chamsko zwyzywana. Ja może i bym coś z siebie wydusiła, ale nic na przywoitym poziomie nie przychodziło mi do głowy.

Wyłupiasty, nie doczekawszy się żadnej odpowiedzi, zaczął wściekle przeżuwać słowa. I wspominać pechowe wydarzenia ostatnich dni.

- Co za tydzień! Najpierw zwiąta nam na lotnisku. Nogales mówił: na pewno poznacie, to najpiękniejsza laska, jaką widzieliście w życiu - zaczął przedrzeźniać niejakiego Nogalesa. - No to patrzyliśmy, dużo było fajnych lasek, ale żadna latynoska z wyjątkiem zakonnicy, a przecież żadna zakonnica nie wchodziła w grę, broń Boże! W końcu na zakonnice nie patrzy się jak na kobietę. Mało brakło, a szef by nas zlikwidował telefonicznie, taki był wściekły - opowiadał wyłupiasty, a jego błyszczące oczy przypominały narządy jakiegoś wielkiego insekta. - Potem postraszyliśmy jednego staruszka, który najwyraźniej o niczym nie wiedział, a ja z reguły staruszków nie denerwuję, to takie niemoralne, wie pani. A wczoraj Iwan jakieś resztki ptactwa przytargał do szefa. Szef chciał go wypatroszyć! A teraz Butcher! Odszedł! Przecież szef zabije mnie bez mrugnięcia okiem. I też będę trup! Jak Butcher.

Kiedy już wszystko z siebie wyrzucił, spojrzął jeszcze raz na kolegę i przeżegnał się. Potem jego twarz stężała nagle. Prawie tak jak twarz Butchera. Jego oczy patrzyły na nas twardo i z wyrzutem. Jakby to wszystko była nasza wina. I znowu lufa pistoletu powędrowała w górę. Poczułam pieczenie w żołądku.

- A może ostatnia modlitwa za zmarłego kolegę? - wypaliłam nagle, chcąc zagrać na zwłokę. Wykorzystując do tego zwłoki. - W końcu ksiądz jest na miejscu. Nawet nie trzeba wzywać. Przecież to człowiek. To znaczy był - uściśliłam niemalże smutno. - Należy mu się szacunek. 1 szansa na życie wieczne, prawda? A nuż mu się uda. To nasz chrześcijański obowiązek.

Wyłupiasty namyślał się przez chwilę. Najwyraźniej się ze mną zgadzał, bo skinął na Rafała.

- Podejść i odprawiać, ale już!

Rafał rzucił mi wściekle spojrzenie, a potem, wymijając szerokim łukiem wyłupiastego, posłusznie podszedł do leżącego mężczyzny i uklękął. Zaczął się modlić. Wyłupiasty, przejęty nagłym zejściem kolegi, także uklękął, dysząc ciężko. Po chwili zaczął wachlować się pistoletem, pociągając przy tym nosem. A potem znieruchomiał.

- To straszne - usłyszałam nagle cichy spazm.

- Co jest straszne? - zapytałam łagodnie.

- Śmierć - wyszeptał z drżeniem w głosie. - Śmierć zabija. Na śmierć.

- Tak - potwierdziłam smutno. - Śmierci nie da się przeżyć. Nie widział pan jeszcze nieboszczyka?

Żachnął się.

- Że co!? Pewnie, że widziałem! W mojej profesji niejednemu się widzi, to brutalny świat, łaskawa pani - wyjęczał, drapiąc się łufą po głowie. - Tylko ja ich nigdy nie znalazłem bliżej! To były tylko obce twarze. Bo ja jak kogoś znam, to nie mogę znieść widoku trupa. A Butcher to był mój najlepszy kumpel! A poza tym to mogłem być ja! - wybuchnął żałośnie.

- To mógł być każdy z nas - starałam się go pocieszyć, bo sfrustrowany gangster zaczął zachowywać się co najmniej dziwnie. Podeszłam ostrożnie dwa kroki.

- Ale to ja miałem za panią chodzić! Tylko kolo kościoła jest taka piekarnia, w której pracuje moja dziewczyna, i się zamieniliśmy z Butcherem! Nie chciałem, żeby on się przy

niej kręcił, bo był taki przystojny - mężczyzna płakał już rzewnymi łzami.

Rafał wydawał się nie słyszeć i nie widzieć niczego. Modlił się nad zwłokami.

- A po co panowie za nami chodzili? - zapytałam łagodnie, przybliżywszy się o następne dwa kroczki do wylupiastego.

Rafał ani drgnął.

- Bo mieliśmy nadzieję, że doprowadzicie nas do niej. Że może się z wami skontaktuje. Jak już nikt jej nie zostanie. A poza tym szef powiedział, że bez niej nie mamy po co wracać. Nawet nie chciał nas widzieć. Przysłał tylko Iwana, żeby nam pomógł ją odnaleźć. Bo Iwan zdolności analityczne ma. A przecież robiliśmy wszystko co możliwe! Nawet poprosiłem naszych w Kolumbii, żeby włamali się do ambasady i znaleźli jej podanie o wizę. - Ryczał jak małe dziecko i osunął się na podłogę. Potem oparł się plecami o kanapę i wyciągnął z kieszeni wielką kraciatą chustkę. Położył pistolet na kanapie i zaczął smarkać.

Ostrożnie podeszłam do załamane go gangstera, zastanawiając się gorączkowo, jak przejąć broń. Nie wymyśliwszy nic lepszego, w poczuciu bezsilności, zrobiłam pierwszą rzecz, jaka mi przyszła do głowy. Usiadłam. Na pistolecie. Oczywiście zaraz potem naszły mnie poważne wątpliwości. A jeśli wypali? Patolog będzie miał niezłą rozrywkę, wyciągając kulę z moich czterech liter. Pewnie wszyscy będą się ze mnie śmiać. A najbardziej silikonowa Dorotka. Pistolet palił mnie żywym ogniem, ale przewyciężywszy panikę, uśmiechnęłam się niemalże współczująco i ostrożnie pogłaskałam wylupiastego po włosach. Spojrzał na mnie jak zranione zwierzę, a potem w ataku histerii przytulił się do moich kolan. Postanowiłam wykorzystać sytuację.

- Podanie o wizę? A po co? - spytałam łagodnym głosem, nie przestając gładzić go po włosach. Czekałam na właściwy moment, żeby sięgnąć po broń.

- A niby skąd wiedzieliśmy, że ta cała Perpetua na spotkania misyjne jedzie? Z jej podania o wizę, oczywiście. I tak po nitce do kłębka doszliśmy do tego, że to księżulek ją odebrał. - Spojrzał przelotnie na Rafała. - I jeszcze z panią się spiknął - dodał.

- Spiknął? - Nic z tego nie rozumiałam. A Rafał, zamiast mi pomagać w utrzymaniu nas przy życiu, cały czas eskortował duszę Butchera do wieczności.

- A tak! - zalił się wyłupiasty. - Ale szef i tak nie był zadowolony. Jak już raz daliśmy ciała na lotnisku, to ja wiedziałem, że nic nas nie uratuje. To znaczy Butchera śmierć uratowała, ale mnie szef jaja pourywa. A potem wszystko inne. I będę cierpiał.

- Wszystko? - Podniosłam się minimalnie i bardzo powoli wsadziłam rękę pod pośladek. W celu przejścia broni ma się rozumieć.

- I to w porządku alfabetycznym! Takie ma reguły. A dla mnie na pewno wyjątku nie zrobi!

- A dlaczego pan jej szuka? - zapytałam głosem matki, która tylko znając prawdę, wszystko wybaczy. Moje dzieci wiedziały jednak, że pozory mylą. Gangster najwyraźniej też. Zamilkł nagle i znieruchomiał. Nie mając na co czekać, chwyciłam za pistolet, zerwałam się gwałtownie i odskoczyłam kilka kroków. Wyłupiasty łypnął okiem na kanapę. Broni nie było. Jego dłoń zacisnęła się w bardzo imponującą pięść, ale nie przejęłam się zbyt, wiedząc, że raczej z niej nie wypali.

- Proszę mi oddać broń - powiedział nadzwyczaj spokojnie i wstał z podłogi.

- Nie - powiedziałam niepewnie, podnosząc pistolet. - Rafał, rusz się!

- Nie przeszkadzaj mi. Jeszcze nie skończyłem - usłyszałam uroczysty ton głosu swojego brata. Nie spuszczałam wzroku z wyłupiastego.

Zacisnęłam zęby. Co za głupek! Gangster znów był sobą i patrzył na mnie wyzywająco.

- Ale mnie pani zrobiła - powiedział. Czyżbym usłyszała w jego głosie nutkę uznania? Otarł łzę, która wisiła mu pod powieką. - Nie wierz nigdy kobiecie. Co prawda, to prawda.

Rafał modlił się dalej, a wyłupiasty zrobił jeden mały kroczek w moją stronę. Jeden kroczek, a ja przestałam nadażać z przetykaniem śliny, która zaczęła się gromadzić w mojej jamie ustnej. Najwyraźniej się pociłam. I to od środka.

- A to nauki mamusi czy własne doświadczenia? - wyrzuciłam z siebie, starając się nie udławić.

Zdenerwował się lekko.

- Proszę nie poruszać tu tematu mojej mamusi. To nie w porządku.

Podszedł jeszcze krok.

- Proszę się nie ruszać! - krzyknęłam nieco piskliwie. - Bo strzelam!

Wtedy wyłupiasty zaczął się śmiać. Śmiał się straszliwie, a ja uświadomiłam sobie, że przecież nie byłabym w stanie do niego strzelić. I on to wiedział. I śmiał się dalej. Jakimś chorym śmiechem. Ułamek sekundy i zobaczyłam jego wyciągnięte mordercze ręce. Moje serce pulsowało jak szalone, a w głowie wyliczałam gorączkowo: strzelić, nie strzelić, strzelić, nie strzelić. A on się dalej śmiał. I jego ręce były coraz bliżej.

Nagle uśmiech zamarł na jego twarzy. Mężczyzna z potężnym hukiem runął tuż pod moje nogi. Odskoczyłam.

Na miejscu wyłupiastego stał Rafał, a w dłoniach trzymał donicę wypełnioną ziemią i resztkami paprotki.

- Skończyłem - powiedział, luzując koloratkę. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się, a jego oczy były nieco zamglone. - Jesteś mi winna przysługę!

- Tak? - zapytałam, starając się rozprostować zaciśnięte kurczowo na pistolecie ręce. - A niby za co?

- Uratowałem ci życie - powiedział, wznosząc oczy ku sufitowi. - Bogu niech będą dzięki.

Policja przyjechała wyjątkowo szybko. Wyłupiasty zdążył dobrać się do siebie i siedział ponury pod ścianą, prawą ręką trzymając się za głowę i obgryzając paznokcie u lewej. Nic nie mówił. Może dlatego że nie miał nic do powiedzenia. A może dlatego że obgryzał paznokcie.

- To co się, kurde jego mać, właściwie wydarzyło? - zapytał zupełnie zwyczajny policjant, który niczym się właściwie nie wyróżniał z całego tłumu zwyczajnych szarych policjantów. Z braku widocznych cech szczególnych posiadał natomiast stopień podkomisarza, którym zaskarbił sobie jako taki szacunek. - I skąd żeście się państwo tu wzięli?

Wymieniłam z Rafałem szybkie spojrzenia, podkomisarz przyglądał się nam nieufnie. Miałam wrażenie, że szczególnie uważnie przypatruje się mojej rudej czuprynie. W końcu rude są fałszywe.

- Szukaliśmy pewnej zakonnicy - odpowiedział Rafał.

- To zupełnie jak wampir. - Roześmiał się policjant, a ja zauważyłam jego znaki szczególne. Brak dolnej trójki. I górnej czwórki. - Wampir atakujący „na zakonnice”.

- Nie. Ja szukałem prawdziwej. Moja siostra Agata widziała ją wchodzącą do tej kamienicy - starał się wyjaśnić Rafał.

- Jak tu państwo, kurde jego mać, weszli?

- Drzwi były otwarte - odpowiedziałam nieśmiało.

- Aha! - ucieszył się policjant. - Wtargnięcie na teren prywatny bez pozwolenia?

- Nie! - zaprzeczyłam nerwowo, a mina Rafała nie wróżyła nic dobrego. - To znaczy niezupełnie. Zaglądaliśmy tylko do środka, bo baliśmy się o siostrę Perpetuę.

- Bo tych dwóch chciało ją dorwać - wytłumaczył Rafał i wszyscy przenieśliśmy wzrok najpierw na martwego mężczyznę leżącego na dywanie, przy którym uwijało się kilkunastu obojętnych policjantów, a zaraz potem na siedzącego pod ścianą wyłupiastego. Gangster na moment oderwał zęby od paznokci, tylko po to by odwzajemnić spojrzenie, w którym

dostrzegłam wyrzut i bezgraniczną rozpacz. Potem mina stę-
piała mu nagle i bardzo szybko znowu wsadził palec do ust.

Postanowiłam nie dać się ogarniającemu mnie współczu-
ciu. Mnie nikt nie współczuje.

- A ten, co obgryza paznokcie, siedł za nami i chciał nas
zabić - naskarżyłam.

Policjant spojrział na mnie podejrzliwie.

- A pani jest przekonana, że chciał zabić? A może tylko
postraszyć?

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem, ale wzruszył tyl-
ko ramionami.

- No bo wie pani, w dzisiejszych czasach, kurde jego mać,
ludzie są stanowczo przewrażliwieni. Za dużo filmów oglą-
dają.

Rozmowę przerwała nam apetyczna pani patolog.

- Kulka w klatkę, szefie - powiedziała niskim głosem, ściąga-
jąc z gracją gumowe rękawiczki. - Żadnych innych ran. Idę już.

- Aha. Super - pokiwał głową policjant. - Poczekaj na
mnie, Luśka, też się będę zbierać. - Mrugnął do niej okiem,
a potem przywołał jednego ze swoich ludzi. - Ktoś coś wi-
dział? Jacyś świadkowie może?

Pojawił się kolejny niczym niewyróżniający się policjant.
W ręku trzymał gruby notes.

- Lokatorka spod jedyńki potwierdziła, że wpuściła księ-
dza i tę panią pół godziny temu. Musieli nie domknąć bramy,
bo ten gagatek - wskazał na wyłupiastego, który obgryzł już
sobie chyba palce do kości - wszedł niezauważony.

- Aha, super. A nieboszczyk?

- Leży tu na pewno dłużej. Śmierć nastąpiła nie później niż
trzy godziny temu. Nikt nic nie wie. Nikt nic nie słyszał. Jak
zwykle, szefie. To społeczeństwo ma postępującą głuchotę.

- Zabójca musiał użyć tłumika. Ciekawe, kurde jego mać,
jaki miał motyw.

Spojrzeliśmy wszyscy na wylupiastego, który widząc nasz pytający wzrok, zadrżał nagle i chwycił się za głowę. Miałam wrażenie, że przegrzał mu się jakiś zwój.

- Hm - podkomisarz złapał minę Luśki, mówiącą, że nie ma zamiaru tracić więcej czasu w tym zatęchłym mieszkaniu pełnym pajaków. Szkoda niedzieli na trupy. Zaczął się zbierać do wyjścia. Na szczęście przypomniał sobie o nas. - Państwo też mogą już sobie iść - powiedział łaskawie. - Dziś jest niedziela, przypuszczam, że wy, osoby duchowne, jesteście zajęte w taki dzień, prawda? - zapytał Rafała, mrugając okiem, a Luśka zarechotała tym swoim niskim głosem.

- Jak wszyscy mundurowi - odparował zimno mój brat.

- Taak - zakrzuszył się policjant. - To do jutra. Będę czekać na państwa w komisariacie w samo, kurde jego mać, po-
łudnie. Tam sobie wszystko wyjaśnimy.

Do domu dotarłam straszliwie głodna. Dopiero kiedy wszystkie emocje dzisiejszego dnia opadły, uświadomiłam sobie, że zjadłam tylko cztery marchewki, jogurt i piłam wodę. Ze trzy litry.

Gdy przekroczyłam próg, ogarnęło mnie niejasne przeczucie, że coś jest nie tak. Zadrżałam mimowolnie i rozejrzałam się uważnie dookoła. Nie było nikogo z wyjątkiem siedzącej na swojej poduszce Księżniczki, która na mój widok zawar-
czała, po czym odwróciła się ostentacyjnie tyłem i podwinęła ogon. Żebym czasem nie myślała, że się cieszy z mojego przy-
ścia. Z góry dobiegał szum wody. Z niepokojem rozejrzałam się. Coś mi nie grało. Tylko co? Tłumiąc niepokój, spojrzałam w lustro i poprawiłam swoją nową fryzurę. Wyglądałam na zestresowaną, ale nadrabiałam miną. I fryzurą. Kiedy zaczęłam ściągać buty, wreszcie to do mnie dotarło. Ktoś posprzątał! Mój mąż nieproszony posprzątał dom! Bo Elżbietka nie brała się do prac domowych. Twierdziła, że ma alergię na detergenty.

- Małgosia! Antek! - zawołałam, przełykając ślinę. Przez chwilę wsłuchiwałam się w szum wody w łazience. Kiedy ucichł, zawołałam jeszcze raz: - Wróciłam!

Weszłam do kuchni. I oparłam się z wrażenia o ścianę. Na kuchence stał garnek pełen sosu do spaghetti! Własnoręcznie ugotowany przez mojego męża! Na pewno przez niego, bo Elżbietka nie gotowała. Miała alergię na przyprawy. Wszystkie.

I wtedy zrozumiałam. Poczucie winy! Gryzie go sumienie! Bo niby dlaczego to robi!? Momentalnie zapomniałam o wydarzeniach dzisiejszego dnia. W głowie pojawił się Paweł. Z tamtą. W ciemnym pokoju. Jedynym pocieszeniem był fakt, że co rusz spod łóżka wyskakiwała sztywna noga Butchera, wypłaszając z moich myśli piszczących kochanków.

Po chwili w kuchni pojawił się Paweł, niosąc Antka na plecach. Spojrzał na mnie uważnie, jakby oceniając dzieło fryzjerki, a potem ściągnął Antka i bez słowa zaczął nakładać makaron.

Antek rzucił się na mnie z piskiem. Był wykąpany i w nowej pidżamie. Tuż obok pojawiła się Małgosia w swojej ulubionej koszuli nocnej.

- Mamo, a co ci się stało w głowę? - zapytał Antek. Na szczęście nie ciągnął tematu, a Małgosi jak zwykle było wszystko jedno.

Usiedliśmy przy stole, Paweł podał mi talerz pełen pachnącego makaronu. Mój żołądek wył z wdzięczności. Jeść! Chciałam natychmiast połknąć całą porcję, a w międzyczasie opowiedzieć o wszystkim Pawiowi. O trupie Butchera, o tajemniczej siostrze Perpetui. O znalezionej w samochodzie prezerwatywie też. I domagać się wyjaśnień. Ale moja duma pozostała niewzruszona i rzuciłam mu tylko lodowate spojrzenie.

Dlaczego czasami tak trudno jest porozmawiać? Zamiast próby o wyjaśnienia serwujemy chłodne spojrzenia. Zamiast żartu - milczenie. Potrzebujemy rozmowy jak dobrego jedzenia, a dobrowolnie wybieramy emocjonalną anoreksję. W środku wszystko krzyczy: mów do mnie, obejmij mnie, Kochaj mnie,

a jedyne co wychodzi z naszych ust, to słowa niemające żadnego znaczenia:

- Nie wiem, czy wiesz, ale staramy się żyć zdrowo, więc nie używam już do gotowania żadnych olejów ani śmietany, ani, broń Boże, majonezu - powiedziałam.

Paweł spojrzał na mnie przeciągle.

- Wiem, Małgosia mnie oświeciła. Dlatego zamiast śmietany dodałem jogurtu zero procent i użyłem oliwy z oliwek.

- Ach tak? - wyrwało mi się. Chciałam uśmiechnąć się do niego, chcąc mu pokazać, że doceniam jego wysiłek. Doskonale pamiętałam rady Niny. Powinnam być zadowolona. Zjednać go sobie swoją dobrocią, serdecznością, wdzięcznością.

I wtedy zadławiłam się. Czemu mam być zadowolona? To przez niego cały czas jestem głodna. I nieszczęśliwa. I głodna.

- Jak Malwina? - zapytał.

- Przeżyła - oświadczyłam, naśladując jego poranne burknięcie.

Spojrzał na mnie dziwnie.

- Gdzie byłaś cały dzień? - zapytał nagle.

- A co? Tęskniłeś? - rzuciłam zaczepnie.

- Niedziela powinna być dla rodziny - dowiedziałam się.

Aż podskoczyłam z oburzenia, a litry wody w moim brzuchu zachlupotały ostrzegawczo.

- Tylko niedziela? - Zaśmiałam się jadownicie.

Nie odpowiedział. Za to wtrącił się Antek.

- Ja tęskniłem! Bo cię najbardziej kocham. Chociaż nie. Najbardziej to ja kocham Księżniczkę - oświadczył, a cały sos wykapał mu z otwartych ust na nową pidżamę. - Ojej, ale się pobrudziło - powiedział radośnie, zrzucając resztki sosu na podłogę.

Zacisnęłam zęby, a potem spojrzałam wrogo na Pawła.

- Trzeba było najpierw dać im obiad, a potem kąpać. Teraz i tak trzeba wszystko zrobić od początku. I jak ja to teraz dopiorę? - powiedziałam z pretensjami.

- Nic się nie martw, mama. - Antek wtarł sos w pidżamę. - Będziesz musiała tylko pooglądać sobie nowe reklamy. Widziałem jeden proszek, po którym bioto znika. 1 tłuste...

- Tata chciał na ciebie poczekać - przerwała mu niezadowolona Małgosia.

Potem jedliśmy już w milczeniu. Nie patrzyłam na Pawła, on też na mnie nie patrzył. Jakbym nie miała szalowej fryzury. A miałam.

- Wiesz, tata, tata Tomaszka ma wielką klątę piersiową, a tata Dominika ma mięśnie jak kamienie. A ty co masz? - wrogie milczenie przerwał Antek. I znowu wypłuł sos. Na moją bluzkę!

Spojrzałam na niego wściekła. Paweł przyglądał mu się z uśmiechem, ale nie zdążył nic powiedzieć.

- Tata ma brzuch - oświadczyła spokojnie Małgosia, a ja dostałam nagiego ataku kaszlu. A potem śmiechu. 1 humor mi się poprawił. Tego już ego Pawła nie było w stanie znieść.

- Bardzo śmieszne - rzucił do mnie.

Miałam wrażenie, że temperatura spadła o kilka stopni.

- Ale o co ci chodzi? - zapytałam, nadal chichocząc. Jego oczy wydawały się wyjątkowo wielkie. I wyraziste. Kipiące złością. Nagle uśmiech zamarł na mojej twarzy. Przyjrzałam mu się jakoś uważniej i zauważyłam pewną zmianę.

- A gdzie ty masz okulary? - zapytałam, udając, że mnie to w ogóle nie obchodzi.

Czy ja tak strasznie wyglądam, że nawet okularów nie zakładam!? Przecież bez nich nic nie widzi.

Wyraz twarzy Pawła gwałtownie się zmienił. Nie było już na niej złości. Tylko złośliwość. Okraszona nonszalanckim uśmieszkiem.

- Kupiłem sobie soczewki kontaktowe - powiedział nie-dbale. - Moja asystentka zwróciła mi uwagę, że okulary mnie postarzają.

Gwałtownie poczerwieniałam.

- Niby lak - opanowałam się. - Ale muszę ci powiedzieć, że wielkiej różnicy nie ma.

Zacisnął wargi.

- A tak w ogóle, to coś się stało? Jakaś rocznica, o której zapomniałam? - rzuciłam po chwili ponad mlaskaniem dzieci. Byłam rozdrażniona i spragniona świeżej krwi. Jego krwi. Cudzej krwi już się napatrzyłam. A może widziany nieboszczyk wywołał u mnie jakąś nieprzewidzianą reakcję?

- O co ci chodzi? - Paweł wyraźnie się spiął. Był to ostatni moment, żeby wycofać się przed jego wściekłością.

- No, posprzątałeś, obiad ugotowałeś - ciągnęłam, ignorując zupełnie zdrowy rozsądek. Mediacje mnie nie interesowały. Chciałam krwi.

- A czy to zawsze musi być jakaś okazja? - burknął Paweł. Zrobiło się nieprzyjemnie.

- Nie, ale jeśli po raz pierwszy od lat sam wpadasz na pomysł, żeby ugotować obiad dla całej rodziny, to chyba naturalne, że mnie tym zaskoczyłeś, prawda? Nie mówiąc już o tym, że kiedy ja mam urodziny albo imieniny, albo jeszcze coś innego, to romantyczną kolację sama muszę sobie ugotować, a ty ją co najwyżej łaskawie zjesz! - zawarczałam. I odłożyłam widelec. Żeby go nie użyć niezgodnie z przeznaczeniem.

- Wiesz co? - wybuchnął nagle nieprzyjemnym tonem. - Nie robię: źle, robię: też źle! Z tobą to w ogóle nie można dojść do porozumienia! Mam dość!

Rzucił widelcem i zerwał się z krzesła. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek miał tak wrogie spojrzenie.

- Ale ja... - zaczęłam już pokorniej, jednak przerwał mi machnięciem ręki.

- A tak naprawdę, to do sosu dodałam podwójną porcję tłustej śmietany, bo tak lubię! I... i kilo smalcu!

Na twarzy Małgosi pojawiła się zgroza.

Potem usłyszeliśmy trzaśnięcie drzwi i głośne beknięcie mojego męskiego potomka.

- Odbiło mi - stwierdził zadowolony Antek i nałożył sobie drugą porcję makaronu.

Małgosia spojrzała na niego z odrazą, a potem zapytała przerażona:

- Mamo, czy jest jakaś szansa, że ten smalec był słonecznikowy!?

Nie odpowiedziałam.

Wrzuciłam resztki niezjedzonego spaghetti do miski psa. Księżniczka spojrzała na miskę i z dziwnie ludzkim wyrazem obrzydzenia na swoim psim pysku odwróciła się tyłem.

Okolice Medellin, Kolumbia

Nogales był u kresu wytrzymałości. Stał przed masywnymi rzeźbionymi drzwiami z telefonem w rękę i zastanawiał się, czy tym razem też będzie musiał wyciągać go z akwarium pełnego piranii. Lekko poruszył zabandażowanym kikutem małego palca i westchnął. A potem przeżegnał się i zapukał.

Jefe siedział przy mahoniowym biurku i liczył pieniądze.

- Czego, *gonorrea*?

- Kraków - odpowiedział z drżeniem w głosie Nogales, wskazując na telefon, i odruchowo spojrzął na akwarium.

Carlos wyrwał mu słuchawkę i rozparł się na krześle.

- Carlos mówi - powiedział władczo do telefonu. - Macie ją?

Przez chwilę słuchał, a potem spojrzął ostępiały na Nogalesa. Nogales przełknął ślinę.

- Co mi ukradła, *puta vieja!*? Czego chce!? - Jego twarz z wściekłości zamieniła się w płonąca pochodnię. - Po moim trupie!

Plusk.

DZIEŃ PIĄTY

Ten sam ciemny pokój. Słabe światło stojącej na biurku lampki tworzy w mroku jaśniejszy krąg. Paweł leży na kanapie. Jego głowa spoczywa na kolanach czarnoskórej Dorotki odzianej tylko w koronkowe dessous.

- Ja wszystko dla niej robię - słyszę zbolaty głos Pawła. - Ciężko pracuję, żeby nam się dobrze żyło. Żeby ona była szczęśliwa. Obiady gotuję, dziećmi się zajmuję, żyły sobie wypruwam, a ona niezadowolona, bo czasami później do domu wracam. A przecież mnie się należy odrobina rozrywki, prawda? - Paweł unosi się lekko, podpierając się rękami, i spogląda żałośnie na Dorotkę.

Zaciskam pięści.

Dorotka pochyła się nad moim mężem.

- Tobie się wszystko należy, kochanie. Jesteś wspaniały, a ona nie potrafi tego docenić, jędzę masz za żonę - syczy mu do ucha słodko.

Czekam, aż Paweł oburzy się, powie, że przecież aż taka zła nie jestem, ale on zaczyna gładzić ją po silikonowym biuście!

- Daleko jej do ciebie. Dlaczego ja się z nią ożeniłem? Przecież ona nawet nie jest ładna. Nie to co ty...

Wpatruję się w nich ostupała i wyciągam broń. Znowu nie wiem, kogo zabić najpierw.

Zerwałam się przerażona z łóżka. Jezu kochany! Jak mnie to męczy. Muszę w końcu pociągnąć za spust, bo się wykończę!

Spojrzałam na Pawła. Odwrócił się plecami, ignorując mnie, jak co dzień ostatnio. Wyciągnęłam rękę z wymagowanym pistoletem. Pociągnęłam za spust. Paff. Zdmuchnęłam dym z lufy. I wcale nie poczułam się lepiej.

Wstałam z wysiłkiem. Włożyłam dres i zeszałam na dół. O dziwo, przydreptała do mnie Księżniczka, westchnęła wyjątkowo ludzkim westchnieniem. Kto wie, może tęskniła za swoim dalmatyńczykiem? Bo tak naprawdę my, kobiety, bez względu na klasyfikację biologiczną, wiek i charakter do szczęścia potrzebujemy tylko jednego - miłości. Księżniczka odwróciła się i podeszła do miski. Zrozumiałam. I wyjątkowo się z nią zgodziłam - miłości i normalnego śniadania.

Kiedy obserwowałam Księżniczkę zajadającą się kiełbasą i zastanawiałam się, czy wykradzenie jednego plasterka psu byłoby bardzo niehumanitarne, zadzwoniła moja komórka. Numer nieznan.

- Agata, nie mogę dziś przyjść. Nie zwlokę się z łóżka - usłyszałam w słuchawce dziwnie podekscytowany głos Niny. A w przedpokoju głośny tupot i głosy moich dzieci zbiegających po schodach. Zaczęłam się zastanawiać, dlaczego Antek i Małgosia o tak pogańskiej porze gonią się po domu i krzyczą jak zarzynane prosiaki.

- Żle się czujesz? - zapytałam z wyraźną ulgą, ciesząc się niewypowiedzianym, że moje nogi nieco odpoczną. Pomysł, żeby biegać samotnie, wydał mi się niedorzeczny.

- Trochę na pewno. Do jutra powinno mi przejść - udała zbolaty ton. Nagle nie wiedzieć czemu ściszyła głos: - Słuchaj, mam dla ciebie wieści. Rozmawiałam z Grzesiem.

- Co się stało? - Zbladłam. Także dlatego że zobaczyłam Antka pędzącego w moim kierunku jak kula armatnia.

- Grześ mi powiedział, że wychodzą dzisiaj po pracy, żeby uczcić awans Pawła. Mam plan.

Poczułam nagle ukłucie w sercu i poranna bitwa moich dzieci wydała mi się nagle bez znaczenia.

- Żeby uczcić co?

- Jak to? - głos Niny zaciął się na chwilę. - Nie powiedział ci? W sobotę dostał awans. Wczoraj dzwonił do Grzesia, podobno coś pogryzło prezesa i wtedy prezes od razu powiedział, że Paweł jest niezastąpiony w każdej sytuacji...

- Prezesową pogryzło - przerwałam jej bezwiednie i zapytałam sama siebie: - Ale dlaczego Paweł nie powiedział mi, że dostał awans?

- Nie wiem. Ale nie przejmuj się tym teraz. Mam plan. Bo jeśli idą po pracy na drinki, to oznacza, że będzie tam całe towarzystwo, więc...

- Więc co? - zapytałam obojętnie i żeby zająć myśli czymś innym, obserwowałam Małgosię, która próbowała udusić Antka poduszką.

- Pewnie Dorotka z krainy Oz też tam będzie.

- Pewnie tak - potwierdziłam jej przypuszczenia, zastanawiając się, czy Antek sobie poradzi, czy muszę go bronić. Moje nogi były jak z ołowiu. - Ale mnie tam nie będzie.

Może i dobrze, bo mogłabym kogoś zastrzelić. A potem złożyć wniosek o stwierdzenie chwilowej niepoczytalności.

- Będziesz! - wyszczała do słuchawki podekscytowana Nina. - Będziemy ich śledzić!

- Zwariowałaś? - Małgosia tak wrzeszczała mi nad głową, że musiałam zatkać sobie jedno ucho. - Własnego męża mam śledzić?

- Co się u ciebie dzieje? Wojna jakaś? - zdziwiła się Nina, ale zaraz się opanowała. - Zresztą to twoja sprawa. Twoje dzieci. Zrobimy tak: ja będę śledzić Grzesia, a ty możesz mi dotrzymywać towarzystwa. Ale będzie fajnie!

- Czegoś tu nie rozumiem. Po co chcesz śledzić Grzesia? - zaczęłam, ale Nina przerwała mi od razu:

- Tu nie ma nic do rozumienia! Pooglądamy sobie, co i z kim panowie robią wieczorami. Nigdy nie miałaś ochoty się dowiedzieć?

- Ja zawsze wiedziałam. Paweł mi mówił.

Przynajmniej do wczoraj.

- Tobie się tak tylko wydaje, kobieto! - usłyszałam ostry głos Niny. Pewnie znowu pomyślała o swoich byłych. - Mnie już nie da się nabrać! Przyjadę po ciebie o piątej. Pa, muszę kończyć, bo... bo zaraz ogłuchnę.

Wyłączyła się, a ja, nie mogąc znieść szumu, krzyknęłam na całe gardło:

- Spokój! Albo się wyprowadzam! Co się tu dzieje!?

Spojrzałam na Antka. W jego oczach widać było wielkie lzy.

- Ha, ha, ha - śmiał się do rozpuku i nie mógł przestać. W ręku trzymał jakąś małą szmatkę.

- Co się dzieje? - powtórzyłam już nieco ciszej.

Antek pokładał się ze śmiechu, nie mógł wydusić z siebie ani słowa.

Wściekła Małgosia chwyciła go za ramię.

- Oddawaj! - ryknęła na niego i wyrwała mu to, co trzymał w ręku. Odwróciła się na pięcie obrażona i pobiegła na górę. Potem usłyszałam trzaśnięcie drzwi jej pokoju.

- Dlaczego się śmiejesz? - zapytałam Antka.

- Bo... ha, ha, ha... bo ona ma różowe majtki - dusił się ze śmiechu. - I to bez obrazków.

Postanowiłam dla odmiany poćwiczyć sobie mięśnie Kegla. Na kanapie.

- Ciężka noc? - z odrętwienia wyrwał mnie sarkastyczny głos mojego męża.

Czy oni wszyscy poszaleli? Po co tak wczesnie wstają? Dopiero minęła szósta.

Otworzyłam oczy. Paweł stał oparty o framugę z kubkiem kawy w ręku, już ubrany w kombinezon motocyklowy, a tuż przy drzwiach leżała jego sportowa torba. Na tyle otwarta, że zauważyłam wystające z niej nowe adidasy. I nowy dres.

- Słyszałam, że awansowałeś - wymknęło mi się.

Uśmiechnął się z zadowoleniem:

- Wieści szybko się rozchodzą.

- Właśnie - powiedziałam, czując ogarniającą mnie złość. - Gratulacje. Zasłużyłeś sobie.

- Bardzo ciężko na to pracowałem - odpowiedział i podniósł kubek do ust.

- Tak - gorliwie potwierdziłam. - Żyły sobie wypruwałeś. Nawet po godzinach.

Spojrzał na mnie podejrzliwie.

- O co ci znowu chodzi?

- Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej? - nie wytrzymałam. - O niczym mi już nie mówisz - dodałam z pretensjami.

Jego wargi uniosły się w dziwnym grymasie.

- O moim awansie chciałem ci powiedzieć wczoraj, ale byłaś zbyt zajęta. - Spojrzał na zegarek. - Ostatnio absorbują cię inne rzeczy. Ale cóż... To twoja sprawa. Ja w każdym razie wychodzę.

- Tak wczesnie? Dokąd? - zapytałam. Chociaż miałam go już o nic nie pytać. Cholera.

Uśmiechnął się rozbrajająco, jakby czekał na moje pytanie już od jakiegoś czasu. Mimo to nie poczułam się rozbrojona. Wręcz przeciwnie. Byłam podminowana.

- Zapisalem się na siłownię. Będę chodził przed pracą. A czasami i po... - zawiesił głos, odwrócił się na pięcie i zniknął w kuchni.

Krew we mnie zabulgotała. Dostownie. Zerwałam się z kanapy i wpadłam za nim do kuchni.

- Zapisałeś ssię na ssiłownię? - zasyczałam niczym jadowity gad.

- Dlaczego to cię tak denerwuje, kochanie? - zapytał słodko. - Przecież chyba mam prawo do odrobiny czasu tylko dla siebie, prawda? Ty biegasz - spojrzał na mnie ironicznie - kiedy tylko masz na to ochotę. Ja cały dzień spędzam w biurze. Muszę się relaksować.

- Tak mało czasu spędzasz z dziećmi - postanowiłam wejść mu na sumienie. - Myślałam, że my, rodzina, jesteśmy dla ciebie odskoczną.

- Nic nie rozumiesz - powiedział nagle. - Ty mnie stresujesz bardziej niż praca.

To był cios w samo serce.

A on obojętnie wstawił kubek do zlewu.

- Może być po sobie pozmywał? Zawsze ja mam po tobie sprzątać? - wybuchnęłam.

Spojrzał na mnie niemalże z nienawiścią. Potem bez słowa wziął kubek i wrzucił go do kosza. Byłam pewna, że rozprysnął się na tysiąc kawałków, tak jak moje serce.

Z osłupienia wyrwał mnie dopiero dźwięk silnika hondy, który przeciągłym rykiem wyśpiewywał piosenkę o męskich kryzysach wieku średniego, i pełen politowania głos Elżbietki, która obudzona przeraźliwymi krzykami zeszła na dół, żeby sprawdzić, co się dzieje.

- Faceci! Każdy jeden przechodzi przez to samo. Kryzys jelenia na rykowisku - rzuciła enigmatycznie.

- Słucham? - stłumiłam łzy.

- Tak. Na tym polega kryzys wieku średniego. Nie wie ciocia?

- Nie.

- To oczywiste. - Wzruszyła ramionami i poprawiła szlafrok. - Facetom się wydaje, że zawsze będą jak te jelenie na rykowisku, wie ciocia: będą ryczeć, walczyć, zarywać lanie i bzykać się bez zobowiązań, i że tak już zawsze będzie. W pewnym wieku jednakowoż - spojrzała wymownie przez okno - dociera do nich smutna prawda, że faktycznie są jeleniami na rykowisku. Wielkimi jeleniami. Tylko rykowisko już nie znaczy to samo co kiedyś...

Wpatrywałam się w jej niewinne błękitne oczy, zastanawiając się, skąd w jej młodej głowie znalazły się owe egzystencjalne przemyślenia.

- Mój dziadziuś, ten, co mnie wychował, był gajowym - powiedziała, jakby czytając w moich myślach. - Dużo mnie nauczył o jeleniach. O kobietach także. Może dlatego jestem taka tolerancyjna w stosunku do mężczyzn, wie ciocia? Bo muszę się cioci przyznać, że żal mi tych wszystkich udomowionych facetów. Bo kobiety są strasznie okrutne. - Pokiwała współczująco głową. - Może mnie ciocia nazwać idealistką, ale z miłości to ja tylko w wolnym związku żyć będę. Chyba że mi w ogóle nie będzie zależało, to wtedy wyjdę za mąż. Dla pieniędzy.

Znieruchomiałam. Dostrzegła moją zadumę.

- Ale ciocia nie ma co myśleć, dla cioci już jest za późno. Ciocia, jak te wszystkie poprzednie pokolenia, ma przestarszałą mentalność, a tego - rozłożyła ręce w geście niemocy - zmienić się nie da.

Cały poranek spędziłam nad tłumaczeniem dokumentów o przemyśle wypchanych niedźwiedzi, starając się zapomnieć o problemach, trupach i kochankach. 1 jeleniach na rykowisku. Elżbietkę z dziećmi wysiałam do kina, Księżniczka leżała na swojej poduszce, wpatrując się we mnie ze złością, jakbym to ja była winna temu, że ma okropną fryzurę. Miałam wrażenie, że przyglądanie się moim włosom w jakimś stopniu wpływa na nią kojąco.

Rafał przyjechał po mnie wcześniej, niż to było ustalone.

- Wpadniemy po drodze do Eryka - zakomunikował, kiedy wsiadałam do jego samochodu. - Na plebanii go nie ma, ale może jest w swoim prywatnym mieszkaniu. Coraz bardziej martwię się o niego. Nie odbiera moich telefonów. Nie odzwania. Nie wiem, co mu tam w tym Toruniu zrobili - marmotał jeszcze przez chwilę wyraźnie zaniepokojony, a potem zamilkł.

- Może jego też zaatakował wampir - zażartowałam, chociaż wcale nie było mi do śmiechu. Nienawiść, którą rano zobaczyłam w oczach Pawła, skutecznie stłumiła moje poczucie humoru. Do tego sztywna noga Butchera wierzgąta gdzieś w mojej podświadomości. - Mówili w *Wiadomościach*, że nikt nie może czuć się bezpieczny. A w szczególności księża i emeryci. I kobiety. Nie mówiąc o kaczkach.

Rafał nawet się nie uśmiechnął. Mięśnie jego twarzy lekko drżały. Widać było, że się martwi. Wcale się tym nie przejęłam, bo martwił się za wszystkich i o wszystko. Nazywałam to życiową hipochondrią.

Przez całą drogę milczeliśmy, każde pochłonięte własnymi problemami.

Rafał zaparkował tuż przed kamienicą, w której znajdowało się mieszkanie księdza Eryka. Kazał mi czekać, a sam wysiadł i szybkim krokiem wszedł do budynku.

Przeciągnęłam się leniwie. Temperatura powietrza w samochodzie zbliżała się do temperatury wrzenia, więc w trosce o swój mózg także wysiadłam. Oparta o maskę rozglądałam się dookoła, starając się przy okazji nieco opalić. I nagle zobaczyłam coś, co sprawiło, że dostałam wypieków. Po drugiej stronie ulicy na odrapanym murze kamienicy znajdował się wielki stary szyld. Trzymał się dosłownie na jednym gwoździu.

„Madame Klara Widząca, dyplomowana wróżka: seanse spirytystyczne, wróżenie z kart, wróżenie z dłoni, wróżenie z fusów”.

Na samym dole tablicy widniał przekreślony, ale nadal dobrze widoczny napis: „Do Państwa dyspozycji magiczna kryształowa kula”.

Przez chwilę wpatrywałam się z niedowierzaniem w szyld, a potem postanowiłam złożyć wizytę stukniętej wróżce.

Bo to nie mógł być przypadek, to musiało być przeznaczenie. Chociaż w gruncie rzeczy to jedno i to samo. Ci, co nie wierzą w przypadek, wierzą w przeznaczenie. Ci, co nie wierzą w przeznaczenie, wierzą w przypadek. A ci, co w nic nie wierzą, idą do piekła i sprawa załatwiona.

- *Madame* Klara Widząca, a niech mnie. Pewnie siedzi tam na swoim trójnogu i chrapie z braku klienteli - mruzczałam do siebie, przebiegając przez ulicę. - Ale może powie mi coś pozytywnego, jak jej dam zarobić.

Miałam straszną ochotę na coś pozytywnego. Zupełnie jak na coś czekoladowego.

Kiedy jednak znalazłam się na podwórku, pełnym gruzu, śmieci i Bóg wie czego jeszcze, od razu naszły mnie wątpliwości co do jakości otrzymywanych tutaj wróżb. Postanowiłam wszakże się nie zniechęcać. W końcu do Pytii też nie było łatwo się dostać.

- Obyś miała mi coś ciekawego do powiedzenia, *Madame* Klaro Widząca - mówiłam na głos, starając się nie wypuszczać z płuc cennego powietrza w nadziei, że uniosę się ponad tym śmietnikiem jak balon.

Kiedy, ledwie dotykając podeszwami ziemi, dotarłam do łuszczących się zielonych drzwi z numerem trzynastym, zapach moczu zrobił się tak intensywny, że musiałam zatkać sobie nos.

Niestety, mój trud okazał się daremny. Na drzwiach wisiała wyrwana z zeszytu w kratkę kartka z odręcznym pismem pełnym dziwnych zawijasów, informująca: „Zamknięte do odwołania z powodu choroby. W razie nagiego przypadku zgłoszenia przyjmuje wróżka Sybilla pod numerem

telefonu: 6 66 6 66 6 66. Za wszelkie niedogodności przepraszamy”.

Nie wiedzieć czemu poczułam się zawiedziona. Nawet odewrałam palce od nosa, żeby westchnąć ciężko, ale przy tej próbie uzewnętrznienia swoich uczuć zrobiło mi się niedobrze. Ponownie zatkałam nos, a potem zerknęłam jeszcze odruchowo na jakieś stare pożółkłe ogłoszenie, wiszące na murze tuż obok drzwi: „Administracja budynku informuje, że w dniu jutrzejszym od godziny ósmej odbędzie się dezynsekcja i deratyzacja”, „i defekacja” - dopisał jeszcze ktoś czerwonym długopisem, a potem zrobił dookoła ogłoszenia ciekawy brązowy szlaczek. Najwyraźniej defekacja już się odbyła. I wyglądało na to, że odbywa się tutaj regularnie. Co do dezynsekcji i deratyzacji nie byłam pewna, czy owo jutro kiedykolwiek nadejdzie. Postanowiłam zatem od razu opuścić ten zaszczany czyściec. Biegiem.

Kiedy znalazłam się na ulicy, zaciągając się czystym krakowskim powietrzem wprost spod rur wydechowych, jak rzucający palenie ostatnim papierosem, zauważyłam coś, co wydało mi się nieco podejrzanym.

Przy samochodzie Rafała kręciło się dwóch mężczyzn.

Przystanąłam za kontenerem na śmieci, którego zapach wydal mi się dziwnie świeży i ożywczy, po tym, co trafiło do moich płuc na śmietniku wróżki, i z ukrycia zaczęłam przyglądać się myszkującym mężczyznom. Jakież było moje zdumienie, kiedy rozpoznałam obu. Jednym z nich był ksiądz Eryk, nadal ubrany w obcisłą czarną koszulkę i designersko pościerane dżinsy. Drugim - złodziej kaczych resztek, nazywany przez wyłupiastego Iwanem ze zdolnościami analitycznymi. Szyja Iwana była zabandażowana, co jednoznacznie wskazywało na poważne starcie z naładowaną emocjonalnie Nataszą, uzbrojoną w moje szpilki.

Nagle Iwan, rozglądając się na wszystkie strony, wyciągnął z kieszeni kurtki niezidentyfikowany przeze mnie przedmiot.

Próbowałam dojrzeć, co to jest, ale nie zdążyłam, bo kucnął i zniknął mi z pola widzenia. Odniosłam wrażenie, że majstruje coś przy podwoziu samochodu. Kiedy się wyprostował, jego ręce były puste. Zagryzłam wargi i skanowałam moje myśli w poszukiwaniu odpowiedzi. Ale zaraz potem przestałam myśleć i skupiłam się tylko na obserwowaniu, bo jak to powszechnie wiadomo nie da się dobrze robić dwóch rzeczy naraz.

Wtedy Eryk krzyknął coś groźnym głosem do Iwana. Potem go odepchnął i gwałtownie się schylił.

Wystawiłam głowę zza kontenera, żeby niczego nie przegapić. I nie przegapiłam. Kiedy Eryk pojawił się znowu, w jego ręku zauważyłam małe pudełko. I już wiedziałam, co to było.

To była bomba.

Nie żebym kiedyś widziała bombę, ale jeśli z małego pudełka wystają druty i migają światełka, i w dodatku takie pudełko umieszcza się pod samochodem, to nawet dla takiego ignoranta w dziedzinie terroryzmu jak ja sprawa była oczywista. Zamarłam ze zgrozy, a Eryk, nie wiedząc czemu, zaczął wymachiwać tą bombą i wygrażać Iwanowi. Słyszałam fragmenty zdań przerywane stukotem przejeżdżających samochodów. Eryk krzyczał coś o dokumentach. Iwan o jakimś szefie. I gdyby nie to, że trzeci mężczyzna - który, jak się okazało, pilnował wejścia do budynku - zaczął im dawać histeryczne sygnały, pewnie by się pobili. Przestali się spierać. Iwan wyrwał Erykowi bombę i wsadził ją z powrotem do kieszeni. Potem wszyscy rzucili się za róg kamienicy. Ledwie zdążyli się schować, kiedy z budynku wyszedł zamyślony Rafał. Wsiadł do auta. I zdziwił się, odkrywszy, że mnie nie ma. Zaczął rozglądać się dookoła, a zza budynku wpatrywały się w niego trzy pary oczu. Poczułam ucisk w gardle.

Co jeśli Rafał wyjdzie i zacznie mnie wołać? I oni zorientują się, że ktoś mógł ich obserwować?

Szybko wyszarpnęłam telefon z kieszeni i sztywnymi palcami wybrałam numer. Komórka Rafała zaczęła dzwonić w momencie, kiedy wysiadał z samochodu. Spojrzał na numer. Potem zaczął rozglądać się dookoła, z wyraźnym zniecierpliwieniem. W końcu odebrał.

- Wsiądź do auta i jedź. Spotkamy się za rogiem. Tylko się nie rozglądaj - wyszeptałam do słuchawki.

Oczywiście dalej się rozglądał, ale potem wsiadł, zapalił silnik i wolno odjechał w umówione miejsce.

A ja znowu zaczęłam obserwować Eryka i jego dwóch kompanów, którzy z kolei obserwowali odjeżdżającego Rafała nieświadomi, że są obserwowani. Kiedy samochód mojego brata zniknął za zakrętem, wyszli z ukrycia. Iwan otrzepał kolana swojego niebieskiego dresu. Stwierdziwszy zapewne, że wejście do mieszkania Eryka stało się zbyt ryzykowne, wsiedli do białego mercedesa zaparkowanego kawałek dalej i odjechali w stronę dal. Zupełnie absurdalnie zaczęłam się zastanawiać, dlaczego nie jeżdżą, jak wszyscy szanujący się gangsterzy, czarnym bmw.

Kiedy odwróciłam się, by pobiec za Rafałem, doznałam kolejnego wstrząsu.

Okazuje się bowiem, że nie tylko my obserwujemy innych, którzy obserwują jeszcze innych, ale sami, nie wiedząc o tym, możemy być obserwowani.

Przedemną stała *Madame* Klara Widząca i trzymając w rękach wielkiego rudego kota, który bardziej przypominał swojego dzikiego kuzyna z zoo niż domowe zwierzątko, przypatrywała mi się w osłupieniu. Kot także wbił we mnie swoje niepokojące spojrzenie.

- Ale mnie pani przestraszyła! - otrząsnęłam się z ulgą. Uff, to nie bandyci, to tylko zwariowana wróżka.

Madame nie zareagowała, w przeciwieństwie do kota, który najeżył się nagle i zaczął z pasją miauczeć. Odsunęłam się odrobinę.

- Dzień dobry - przywitałam się nieco mniej pewnie, starając się nie zwracać uwagi na kota. - Czy pani mnie pamięta?

Wróżka z pewnym wahaniem pokiwiała twierdząco głową, ale się nie odezwała. Kot szalał. Gdyby nie zręczne palce jego właścicielki, mogłabym przyplącić to spotkanie zmasakrowaną twarzą.

- Czy mogłabym panią o coś zapytać? Zapłacę - dodałam z odpowiednio pewną siebie miną.

Brak reakcji.

- Bo widzi pani... Ja mam taki sen. Ten sen mnie prześladowuje i czuję się strasznie naładowana - zaczęłam ściszym głosem, biorąc jej milczenie za dobrą monetę. Nie wiem, dlaczego ściszyłam głos, bo przecież i tak nikt mnie nie słuchał. Oprócz kota.

Wróżka dalej wpatrywała się we mnie bez słowa.

- W tym śnie widzę mojego męża z inną kobietą. Przytąpuje ich, rozumie pani, *in flagranti* - mówiłam, nie przejmując się brakiem reakcji ze strony wróżki. Już opowiadając komuś ten okropny sen, czułam się lepiej. Tak. Jestem emocjonalną ekshibicjonistką. Ale to i tak lepsze od życiowej hipochondrii Rafała. - Wtedy, wie pani, wyciągam broń, mierzę i... i mam dylemat. Nie mogę się zdecydować, kogo zabić. Budzę się w strasznym stresie. Ten stres mnie wykańcza. Błagam panią, proszę mi powiedzieć, kogo ja mam zabić?

Ciałem wróżki wstrząsnął następny dreszcz.

- Trupy... wszędzie trupy - odezwała się z błyskiem szaleństwa w oczach.

- Słucham!? - Przełknęłam gulę, która nagle pojawiła się w moim gardle.

Wróżka zrobiła krok do tyłu.

- Proszę mnie zostawić! - wykrzyknęła niespodziewanie, a kot wczepił się w jej ramię, miaucząc straszliwie. - Powiedziałam pani wyraźnie, że nie chcę pani więcej widzieć. Ja na leczeniu jestem! Do psychiatri musiałam iść. A to dla

mnie zawodowe samobójstwo! Tracę wiarygodność. Ale już mi wszystko jedno. Żebym tylko trupów więcej nie widziała! Dlaczego to się zawsze mnie przytrafia!?! Sybilli zawsze trafiają się starsze mile panie, chcące wywróżyć sobie jakiegoś toyboya. Dlaczego te od trupów zawsze mnie się napatoczą!?! Mam dość! Proszę natychmiast odejść albo poszczuję panią kotem!

- Ależ proszę pani, ja chciałam tylko...! - wyjąkałam w osłupieniu, próbując nawiązać kontakt wzrokowy i słowny.

- Ostrzegałam panią! - wykrzyknęła wściekle i ku mojemu przerażeniu zdecydowanym ruchem postawiła na ziemi, tuż obok moich nóg, gigantycznego kota. - Bierz ją, Pechowiec - wycedziła bezlitośnie i odwróciła się na pięcie.

Wpatrzyłam się z przerażeniem w kota. Jego ślepie przypominały dwa rozżarzone węgle. Przyczał się i wydał bojowe miauknięcie. W ataku paniki zasłoniłam twarz rękoma i napięłam wszystkie mięśnie. Moje nogi zawiodły mnie zupełnie, pewnie z zemsty za biegi przełajowe, które im urządzałam. Nie mogłam się ruszyć. Czekałam na ból.

Nic.

Kiedy w końcu zdobyłam się na odwagę i wyjrzałam przez szparę między palcami, wróżki już nie było. Podejrzliwie spojrzałam w dół. I wtedy zrozumiałam. Tuż obok mojej nogi siedział bowiem Pechowiec i z kocią precyzją sikał na moje nowe sandały. Wróżka poszczuła mnie kotem, a ten poszczuwał mnie. Samo życie.

Rafał czekał w umówionym miejscu.

Ledwie wsiadłam do samochodu, spojrzął na mnie i chciał coś powiedzieć, ale zamiast tego zaczął wciągać podejrzliwie powietrze do nosa.

- Kotem śmierdzi, czujesz? - powiedział po chwili, ale potem machnął niecierpliwie ręką i wyrzucił z siebie drżącym głosem: - Zresztą, nieważne. Słuchaj! Byłem pod drzwia-

mi Eryka, ale go nie zastałem. Nadal pewnie siedzi w Toruniu...

- Właśnie... - chciałam mu przerwać, ale mi nie pozwolił.

- Daj mi skończyć! Wyobraź sobie, że wyszła do mnie jego sąsiadka i zaczęliśmy rozmawiać. Powiedziała mi w zaufaniu, że wczoraj był u niej jakiś policjant i wypytywał ją o Eryka. Chciał wiedzieć, czy Eryk nie zostawił jej czegoś na przechowanie. A w nocy podobno ktoś myszkował w jego mieszkaniu. - Wpatrzył się we mnie rozemocjonowany. - W co ten Eryk mógł się wpakować?

Uśmiechnęłam się cierpko.

- Nie wiem, ale mam dla ciebie prawdziwą bombę, drogi braciszku. Eryk wcale nie jest na konferencji w Toruniu, bo widziałam go przed chwilą w towarzystwie dwóch mężczyzn. Jeden z nich chciał wysadzić twój samochód. Prawdziwa bomba! To by potwierdziło słowa sąsiadki, że Eryka szuka policja. Wygląda na to, że ten twój ksiądz nie jest egzorcystą, tylko terrorystą.

Rafał chciał parsknąć śmiechem, ale widząc śmiertelną powagę na mojej twarzy, połknął uśmiech i zaczął wpatrywać się we mnie z przerażeniem. Wydawało mi się, że ów przerażony wyraz twarzy zostanie mu już na zawsze. Opowiedziałam mu, co widziałam, pomijając rzecz jasna wybuch zwariowanej wróżki, w końcu ta leczy się psychiatrycznie i nie jest osobą, którą można traktować poważnie.

- Mówili coś o jakichś dokumentach i szefie.

Rafał zamyślił się, a zmarszczka na jego czole wskazywała na bardzo intensywny proces chemiczny zachodzący w jego mózgu.

- Nic a nic z tego nie rozumiem - powiedział nagle. - Znam Eryka od seminarium. Zawsze był typem naukowca. Pisał referaty, poświęcał się studiom teologicznym. Konferencja w Toruniu wydawała się dla niego szczególnie ważna. Spędzał dużo czasu na poszukiwaniach materiałów. Teraz nie wiem,

co mam o tym wszystkim myśleć. Chociaż... - zmarszczył brwi - ostatnio odniosłem wrażenie, że się zmienił. Po powrocie z Kolumbii więcej czasu spędzał w swoim mieszkaniu niż na plebanii. Zauważyłem, że zaczął zadawać się z jakimś dziwnymi ludźmi, którzy wyglądali na potrzebujących nie tyle egzorcyzmów, ile resocjalizacji.

- To znaczy na kryminalistów? - uściśliłam.

- Ujmij to, jak chcesz, ale żeby bomba? Niby dlaczego chcieliby mnie zabić?

- Niekoniecznie zabić. - Wzruszyłam ramionami. - Może tylko chcieli wysadzić twój samochód? Sądzę, że chcieli cię postraszyć.

- Ale dlaczego? Co ja takiego robię?

- Wtykasz nos w nie swoje sprawy - wyjaśniłam. - Chcieli cię postraszyć, ale Eryk im nie pozwolił, bo jednak jesteś jego kumplem, nie?

- Przede wszystkim to nie po chrześcijańsku - oświadczył! uroczycie Rafała, a potem w jego oczach zobaczyłam przekorę. - A z tą bombą to ci nie wierzę.

- Chcesz mi powiedzieć, że zmyślam? - obruszyłam się.

- Nie, ale masz pewną tendencję do interpretowania wydarzeń w dosyć kreatywny sposób. Może oni wcale nie wsadzali tam bomby, tylko coś innego.

No nie! Ja mam tendencję do nadinterpretacji faktów!? Ja!?

- To znaczy co to mogło być za pudełko, które wyglądało jak bomba i które oni umieszczali pod samochodem!?

Rozłożył ręce w geście niewiedzy. Tak to jest z facetami. Sami nie wiedzą, ale kobiecie nie uwierzą. Pewnie bym go pobiła, gdyby nie to, że zadzwonił jego telefon. Sięgnął po komórkę, spojrzął na numer i zbaraniał.

- Eryk! - wyszeptał.

- Eryk!?

Wpatrywaliśmy się intensywnie w dzwoniący telefon.

- Odbierz! - krzyknęłam po piątym dzwonku. - Przecież zaraz się wyłączysz!

- Halo? - szybko odebrał i przełączył na zestaw głośnomówiący, żebym mogła słyszeć.

Przez chwilę nikt się nie odzywał.

- Eryk, czy to ty? - zapytał.

- Tak, to ja - usłyszeliśmy w końcu twardo brzmiący głos księdza Eryka.

Patrzyliśmy na komórkę w skupieniu godnym najlepszego szachisty, jakbyśmy za pomocą fali radiowych chcieli usłyszeć transmisję myśli z głowy Eryka.

Nie usłyszeliśmy. Rafał zaczął zatem rozmowę:

- Gdzie jesteś?

- Nieważne - głos stwardniał jeszcze bardziej. - Posłuchaj mnie teraz uważnie, Rafał. Znamy się tyle lat, chcę, żebyś coś dla mnie zrobił. Chcę, żebyś na jakiś czas o mnie zapomniał.

- Zapomniał? - Rafał zbliżył twarz do głośnika. - Ale co ty mówisz? A spotkania misyjne? Kto się zajmie twoimi gośćmi!?

- Ksiądz Wacek - usłyszeliśmy po chwili ciszy.

- Wacek? - Rafał spojrzał na mnie w osłupieniu, jakbym to ja doradziła Erykowi Wacka. - Ale on o niczym nie wie...

- Zawsze możesz być tym, który mu to powie.

- A konferencja w Toruniu?

- Referat wystąpiłem pocztą.

- Poczta! Nie wygłupiaj się. Powiedz mi, gdzie jesteś, a zaraz po ciebie przyjadę. Porozmawiajmy - gorączkował się Rafał.

- Nie - usłyszeliśmy opanowany głos Eryka. - Potrzebuję teraz trochę czasu dla siebie. Przestań mnie szukać, bo to się źle skończy. Dla nas wszystkich. Jeśli nie chcesz myśleć o sobie, pomyśl chociaż o swojej siostrze. Mówiłeś, że ma takie

mile dzieci. - Zamarłam ze zgrozy i wpatrzyłam się w telefon. - Mówię to teraz jako stary przyjaciel.

- Przyjaciel? - Jeszcze nie widziałam mojego brata tak rozżalonego. - Przyjaciel? Jak możesz w ogóle używać takiego słowa. - Nagle dotarło do niego, co tak naprawdę powiedział Eryk, bo zapytał: - Czy ty nam grozisz?

- Nie - głos nagle zmiękł. - Tylko cię proszę. Dla dobra nas wszystkich. Trzymaj się od tego z daleka.

- To znaczy od czego?

- Lepiej, żebyś nie wiedział.

- Czy coś się stało? Czy ci egzorcyści z Torunia ci grożą? Spojrzałam na Rafała i popukałam się w czoło, ale nawet się nie spieszył.

- Pamiętaj o swoich bliskich, Rafał - usłyszeliśmy jeszcze żarliwą prośbę-groźbę, a potem nastąpiła cisza.

Rafał odłożył telefon i oparł głowę o fotel. Przez chwilę przeżywaliśmy w milczeniu słowa Eryka.

- Grożą nam - odezwałam się pierwsza i zawiesiłam złowieszczo głos.

- Ale kto? I dlaczego? - zapytał Rafał, rzucając mi zbolące spojrzenie.

Zaczęłam analizować fakty i doszłam do pewnej konkluzji.

- Wiesz, wydaje mi się, że kluczem do wszystkiego jest Perpetua.

- Myślisz? - Rafał zapalił wreszcie silnik i samochód powoli włączył się do ruchu.

- Tak. Problemy się zaczęły, kiedy się pojawiła. Tych dwóch wczoraj chciało ją dorwać, ale im zwiąta. Nam zresztą też - do-dałam z przekazem. - Eryk najwyraźniej współpracuje z jakimś kryminalistami, choć jest na tyle przyzwoity, że ostrzega nas przed niebezpieczeństwem.

- Przyzwoity? - zdenerwował się Rafał. - On księdza Wacka do misjonarzy wysyła! Wacek się jąka, nie zna żadnego języka i jest głuchawy. To ma być przyzwoitość!? Szkoda, że

nie wysiał go po Perpetuę! - Niepokój Rafała zamienił się w straszną złość.

- Właśnie - zaintrygowała mnie pewna rzecz. - Dlaczego właściwie sam nie odebrał Perpetui z lotniska?

Rafał wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Twierdził, że jest strasznie zajęty. Zależało mu tylko i wyłącznie na materiałach o egzorcystach, które Perpetua...

- To jest to! - przerwałam mu, bo spłynęło na mnie olśnienie. - Chodzi im o materiały, które przywozła!

- Myślisz, że to jakaś mafia egzorcystów z Torunia?

Postukałam się po głowie.

- Chyba nie jesteś tak naiwny, żeby wierzyć, że tu chodzi o egzorcystów?

Rafał poddał się.

- Ale przecież dałaś te dokumenty Erykowi, prawda?

- Tak. - Opadłam na siedzenie, starając się połączyć wszystkie elementy układanki, która nijak nie dawała się złożyć. - Ale może bez Perpetui te dokumenty są bezwartościowe?

- Uważasz, że powinniśmy powiedzieć o wszystkim policji? - zapytał słabym głosem.

- Sądzisz, że to bezpieczne? - odpowiedziałam pytaniem na pytanie. - Ja mam małe dzieci. A poza tym przecież my nic tak naprawdę nie wiemy.

Siedziałam w poczekalni komisariatu z wyjątkowo ponurą miną. Obok mnie tkwił Rafał i próbował skontaktować się z matką przełożoną. Może zapamiętała z rozmowy z Perpetua coś podejrzanego, co choć w niewielkim stopniu rozjaśniłoby naszą niewiedzę? Może oprócz dwóch bandziorów, z których jeden nie żył, a drugi siedział za kratkami, jeszcze ktoś szukał kolumbijskiej zakonnicy?

W chwili kiedy Rafałowi udało się dodzwonić do matki przełożonej, usłyszałam znajomy pisk i zobaczyłam babcię

Malwinę. W skórzanych spodniach! Dopadła mnie i docisnęła do piersi.

- Co wy tu robicie, kochani!? - wykrzyknęła, skrzypiąc z radości swoim nowym strojem.

Rafa! wskazał na telefon i z przepraszającym uśmiechem zniknął za rogiem.

- Musimy złożyć zeznania. - Udało mi się złapać oddech. Babcia bardzo teatralnie otworzyła oczy.

- Ale co się stało!? - wykrzyknęła.

- Powiedzmy, że byliśmy świadkami nieprzyjemnego zdarzenia.

- Och! To zupełnie tak jak ja! - Nie interesowało jej już nic więcej. Usiadła tuż obok mnie i rzuciła mi spojrzenie zaryznanego koguta. - Edward został aresztowany!

- Aha? - Zerknęłam na nią dziwnie. - A za co?

- Nie zatrzymał się do kontroli drogowej - zaczęła tłumaczyć. - Bo przecież nic nie zrobił! A oni go dogonili! 1 skuli jak jakiegoś przestępcę! Chciałam, żeby mnie zamknęli razem z nim, ale nikt tutaj nie traktuje mnie poważnie. Ale zobaczmy, kto tu się będzie śmiał ostatni.

Zagryzła z wściekłości wargi i momentalnie zapominając o mojej osobie, rzuciła się w stronę okienka, żeby domagać się widzenia z Edwardem.

Dopiero kiedy babcia Malwina odeszła na bezpieczną odległość, Rafał wyszedł z ukrycia i usiadł kolo mnie. Oboje odprowadziliśmy babcię wzrokiem, mając nadzieję, że widzenie z Edwardem dojdzie do skutku.

- Rozmawiałeś z matką przełożoną? - zapytałam, patrząc na Rafała. Był podekscytowany. - Co się stało?

Spojrzał na mnie z przejęciem i kiwając potakująco głową powiedział ściszym głosem:

- Skontaktowała się z nią siostra Perpetua! Próbowała się dozwonić do Eryka, ale nie mogła.

- No, w końcu się odezwała! Gdzie jest!? Wróciła do klasztoru?

- Właśnie nie! - wyszczał przejęty, po czym zawiesił głos, chcąc spotęgować wrażenie. - Jest w Kolumbii - dodał, patrząc na mnie triumfalnie.

- W Kolumbii? Jak to możliwe? - zdziwiłam się. - Już wróciła?

- Nie! - wykrzyknął i znowu ściszył głos. - Nigdy z niej nie wyjechała. Wyobraź sobie, że ktoś ją napadł, ukraść jej paszport, a potem zamknął ją w jakiejś szopie na odludziu. Dopiero wczoraj ją znaleźli. Cale szczęście, że nic jej się nie stało.

Spojrzałam na Rafała z dziwną ekscytacją.

- To znaczy, że ... - zawałam się. - Co to w ogóle znaczy? Kim w takim razie była kobieta, którą odbieraliśmy z lotniska?

Rafał nie zdążył się odezwać, bo został wezwany do podkomisarza.

Po piętnastu minutach przyszła moja kolej.

Wszystko odbywało się szybko, sprawnie, bezpłciowo, jakby trup Butchera dawno się już rozłożył. Siedziałam na przeraźliwie twardym i siermiężnym krześle zrobionym jeszcze w Polsce Ludowej. Przede mną za biurkiem, także pamiętającym stare czasy, siedział podkomisarz, a z boku, przy starym komputerze wyprodukowanym w Chinach, także Ludowych, tkwił drugi policjant. Ten był wyjątkowo sympatyczny. Odpowiadałam na pytania podkomisarza, niższy rangą wklepywał moje zeznanie, a potem je wydrukował, podsunął mi pod rękę i podał długopis.

- A co się stanie z tym gangsterem? - zapytałam, czytając swoje zeznania. Skąd u mnie ta troska o wyłupiastego?

- Zagórski zostanie oskarżony o morderstwo. Będzie siedział, kurde jego mać - oświadczył obojętnie podkomisarz.

- Ale... przecież on tego nie zrobił - zdumiona oderwałam wzrok od pisma.

- A skąd pani wie?

- To logiczne - oświadczyłam, patrząc na niego inspirująco. - Jeśli śledził mojego brata, to dotarł na miejsce zbrodni tuż po nas. Nie mógł być tam wcześniej.

Niestety, podkomisarz nie był podatny na inspiracje zewnętrzne.

- Przyznał się - rzucił jakby od niechcienia.

- Jak to: przyznał się? - Wybałuszyłam oczy. - Przecież Butcher był jego kumplem. Razem szukali zakonnicy. Tak mi powiedział.

Policjant przerwał mi z pobłażliwym uśmiechem.

- Właśnie. Tylko nie szukali zakonnicy, kurde jego mać, ale ograbiali „na zakonnicę”. Mały szczegół, a jaki istotny, prawda? Zagórski sam nam o wszystkim opowiedział. Razem z denatem i jeszcze kilkoma kolesiami, których nadal poszukujemy, dokonywali rozbojów na drodze lub ograbiali mieszkania „na zakonnicę”. Jego własne słowa, kurde jego mać! Mamy nawet świadka - spojrzał w notes - pan Jagiełło ze Starowiślniej został napadnięty. I pani brat również, prawda? I pani Natasza Rzycka. Wszystko się zgadza, kurde jego mać. Zostali napadnięci przez tę samą szajkę. Ja to wszystko tu mam - wskazał na komputer. - A pani? Ma pani jakiś dowód? - zapytał ironicznie, a potem dodał głosem nieznośnym sprzeciwu: - Nie ma innej możliwości. Podczas plądrowania mieszkania Zagórski zabił Butchera, bo się pokłócili o dziewczynę Zagórskiego. A potem zabójca wrócił na miejsce zbrodni, bo czegoś zapomniał, i was tam zastał. Telewizji pani nie ogląda? A dzisiaj w gazecie widziałem: „Grupa wampirów atakuje »na zakonnicę«! Jeden schwyty w bravurowej akcji”. Nasza najlepsza akcja od dwóch lat, kurde jego mać! - huknął.

Uśmiechnęłam się uprzejmie.

- Tylko że Zagórski naprawdę nie wiedział, że Butcher nie żyje - nie przestawałam drążyć, ku wyraźnemu niezadowoleniu podkomisarza. - Rozmawiałam z nim! Strasznie się przejął śmiercią kolegi.

- Przejął się? - Podkomisarz spojrzał na mnie tym razem wyraźnie rozbawiony. - Ja wiem, że szanowna pani chce pomóc, ale to zatwardziały kryminalista. Siedział już za rozbój z bronią w ręku i napad. Przejął się! - powtórzył jeszcze raz ironicznie i parsknął śmiechem.

-Ale... - zaczęłam mówić, czując, że ogarnia mnie złość.

- Nie ma żadnego ale, proszę pani - uciął krótko podkomisarz.

Spojrzałam bezradnie na siedzącego przed komputerem policjanta. Uśmiechnął się sympatycznie, a potem spojrzał porozumiewawczo na podkomisarza i zapytał:

- A państwo szukali prawdziwej zakonnicy, tak?

- Tak. Pewnej misjonarki, która przyleciała z Kolumbii - powiedziałam, zdecydowana poruszyć kwestię Perpetui czy jak tej fałszywej zakonnicy było na imię. - I ci kryminaliści też jej szukali. Wcale nie plądrowali tamtego mieszkania, zresztą prócz pajaków nic ciekawego tam nie było. I wątpię, żeby jeden drugiego tak po prostu zabił. Niech panowie zbadają broń tego całego Zagórskiego, jestem pewna, że z niej nie strzelał! - oświadczyłam z pewną siebie miną.

Podkomisarz spojrzał ośupiąły na kolegę, a potem przeniósł wzrok na mnie. Dostrzegłam w nim urazę i gniew.

- Proszę pani, policji się nie instruuje! - oświadczył z niejaką dumą i z naganą. - Policja to ja i ja tu wiem najlepiej, rozumiano!? I proszę mi tu nie motać, dobrze? Tylko przeszkadza pani w śledztwie - ofuknął mnie. - Podejrzany się przyznał. Powiedział, że chce zasłużoną karę dostać, i to w trybie przyspieszonym. Proszę mi powiedzieć dlaczego? - zadał mi podchwytliwe pytanie.

- Ze strachu - wymyśliłam. - Bo zgubił zakonnice, nie upił-
nował kolegi, a za popełnione błędy jego szef członki obcina.
Wszystkie. Tak mi mówił. Pewnie woli iść do więzienia.

- Ależ sobie pani teorię, kurde jego mać, wymyśliła. - Spoj-
rzał na mnie z ukosa. - Czyli sugeruje pani, że oni szukali tej
samej zakonnicy, co państwo?

- Tak mi się wydaje - powiedziałam ostrożnie.

- I że ta zakonnica zabiła Butchera, tak?

- Nie wiem, czy zabiła Butchera, ale na pewno nikt nie
wie, gdzie ona jest - odpowiedziałam.

- Powinniście zatem państwo zgłosić zaginięcie - zasuge-
rował policjant.

- Tak - potwierdziłam, ale potem ogarnęły mnie wątpli-
wości. - Ale właściwie to nie. Bo okazało się, że ta zakonni-
ca dzwoniła z Kolumbii.

- Czyli wróciła do Kolumbii?

- Nie. Nie przyleciała.

- Co pani mówi? Jak mogła zaginać w Polsce, skoro nie
przyleciała?

Zaczynałam podejrzewać, że uważają mnie za wariatkę.

- Okazało się, że nie ona przyleciała, tylko ktoś inny -
oświadczyłam z przekonaniem. Już miałam wyrzucić z sie-
bie całą wiedzę, zakończoną rewelacjami na temat bomby,
kiedy drzwi do pokoju otworzyły się gwałtownie i wtargnęła
do niego babcia Malwina, a zaraz za nią dwóch policjantów.

- Żądam widzenia z moim narzeczonym! - oświadczyła
dramatycznie, a policjanci, cali czerwoni, zaczęli bez słowa
wyciągać ją z pokoju. Nie stawiała szczególnego oporu.

Podkomisarz spojrział nagannie na funkcjonariuszy, jesz-
cze gorzej na babcię, która pomimo że trwało to wszystko nie
więcej niż dziesięć sekund, zdążyła zepsuć mi reputację.

- Żądaj, a w końcu będzie ci dane, Agatko - powiedziała
do mnie, mrugając okiem, i została wyprowadzona.

Podkomisarz rzucił mi podejrzliwe spojrzenie.

- Pani zna tę kobietę? - zapytał.

- To moja babcia - przyznałam się niechętnie.

Wtedy na jego twarzy pojawiła się wyraźna ulga i coś, co można określić tylko i wyłącznie mianem olśnienia.

- Zaraz, zaraz, ja już wszystko rozumiem - powiedział podekscytowanym głosem i rozparł się wygodnie w fotelu, z beztróskim uśmiechem. - Pani nazywa się Majewska?

- Tak - potwierdziłam zaskoczona. Przecież nazwisko podałam na samym początku przesłuchania. Idiota!

- Tym razem zgubiła pani zakonnicę, co? - Uśmiechnął się szyderczo.

Spojrzałam na niego przeciągle.

- Co pan ma na myśli?

- Nic takiego, kurde jego mać. Skojarzyłem pani nazwisko. Wczoraj kolega, kurde jego mać, nam przy piwku opowiadał, że zgłosiła pani zaginięcie psa. I powiedziała, że teściowa chce panią zabić.

O mało nie udławił się ze śmiechu. Stłumiłam w sobie wściekłość.

- Bo pies zaginął - oświadczyłam z godnością. - A poza tym byłam w hysterii. Problemy osobiste. A tak w ogóle, to gdyby pan znalazł moją teściową, to na pewno by się pan nie śmiał.

- Nie zależy mi, kurde jego mać, na jej poznaniu. - Podkomisarz przestał się śmiać. - Wystarczy, że poznałem panią i pani babcię - zdenerwował się. Potem odchrząknął, spojrzał na mnie trochę łagodniej i dodał: - A jeśli jeszcze kiedyś zaginie pani zakonnica, proszę to zgłosić, a nie zawracać mi głowy. Ma pani bujną wyobraźnię i tyle. Niedługo przyjdzie mi pani powiedzieć, że ktoś chce pani samochód wysadzić, kurde jego mać. Już mieliśmy takich wcześniej. To się nazywa obsesja, proszę pani. Następnym dowód na to, że normalni obywatele nie powinni wtrącać się do spraw policji.

- Czyli tylko nienormalni mają do tego prawo? - zapytałam ironicznie.

- Tak. To znaczy nie - zreflektował się szybko, a z jego głosu wyparowała momentalnie cała łagodność.

Postanowiłam nic nie mówić na temat bomby. Na przymusowe badania psychiatryczne w tym nawale spraw nie miałam czasu.

Poza tym zostałam wyproszona.

Babcia Malwina czekała na mnie przed komisariatem w towarzystwie milczącego ponuro Rafała. Postanowiła dotrzymać mi towarzystwa, bo niestety nie dostała pozwolenia na widzenie z Edwardem i miała wolne popołudnie. Rafał podwiózł nas do domu i wymówiwszy się spotkaniami misyjnymi, zostawił pod bramką. Przed odjazdem mruknął jeszcze, że będziemy w kontakcie. Nie wątpiłam w to. Problem Perpetui, a raczej fałszywej Perpetui, pozostał nierozwiązany. Dalej nikt nie wiedział, gdzie ona jest.

Kiedy weszliśmy z babcią do domu, zastałyśmy Małgosię paradującą w moich nowych szpilkach.

- Małgosiu, wiesz, że nie możesz grzebać w moich rzeczach! - upomniałam ją, patrząc wymownie na Elżbietkę.

- Nie grzebałam - oświadczyła Małgosia, wzruszając ramionami. - Leżały na wierzchu.

Prawda. Zapomniałam, że specjalnie postawiłam je tuż obok wycieraczki, żeby Paweł je zobaczył. Cena dalej była przyklejona do podeszwy.

- Zaraz, a gdzie czerwone? - zapytałam, kompletując obuwie.

- Antek przymierza - oświadczyła Elżbietka. - Jest w sypialni.

Weszłam do sypialni i zamarłam. Przed lustrem w czerwonych szpilkach stał Antek i malował sobie usta. Na czerwono.

- Cześć, mama - powiedział, nie przejmując się zupełnie moją miną. - Jestem Jessica Rabbit. Ona ma czerwone usta i czerwone szpilki. Tomaszek mówi, że jak zapytał taty, co

to znaczy seksowny, to tata mu powiedział, że Jessica Rabbit jest seksowna. Sprawdziliśmy w internecie, jak wygląda taka Jessica, i teraz już wiemy, że jak ktoś ma czerwone buty i czerwone usta, to jest seksowny. I teraz ja jestem seksowny. Prawda?

- Żeby to było takie proste, synku - westchnęłam. - Oddaj mi buty.

- A co? Teraz ty będziesz udawać, że jesteś seksowna? - zapytał niewinnie.

Postanowiłam pojechać do supermarketu. Korzystając z okazji, że mam pod ręką babcię, która w razie mojego upadku może przejąć opiekę nad dziećmi, założyłam szpilki. Te czerwone.

Zaparkowałam tuż przy wózkach. Ostrożnie wysiadłam z samochodu i wsparłam się na uchwycie wózka. Od razu poczułam się dużo pewniej. Wyprostowałam się i spojrzałam na świat z zupełnie nowej perspektywy.

- Idziemy - rzuciłam władczo.

Weszliśmy do środka.

W sklepie stąpałam niezwykle ostrożnie, bo, jak się okazało, posadzki nie były gładkie, lecz śliskie. Próbowałam się wyprostować i sunąć jak modelka po wybiegu, ale moja gracia mogłaby zachwycić co najwyżej brodzące po bagnie czaple.

- Coś ty taka smutna, dziecko? - zaskoczyło mnie pytanie babci. Szła tuż kolo mnie, łowiąc z przyjemnością spojrzenia innych.

- Ja? Ależ skąd! - wyparłam się.

Spojrzała na mnie kątem oka.

- Dziecko, ja cię dobrze znam, wyglądasz jak żywa reklama firmy pogrzebowej. A wyobraź sobie, jak taka żywa reklama może wyglądać - zachichotała, a potem ponowiła pytanie: - Co się dzieje?

Cóż, mam wrażenie, że... że Paweł mnie zdradza - wyznałam wbrew sobie i od razu pożałowałam.

Tak. Cierpię na emocjonalny ekshibicjonizm. Muszę się leczyć.

Babcia Malwina wcale się nie roześmiała. Rzuciła mi poważne spojrzenie, a potem pokiwała z zadumą głową.

- Każdą z nas to spotyka od czasu do czasu - powiedziała, poklepując mnie pocieszycielsko po ramieniu.

- Zdrada?

- Ależ skąd! - zaprzeczyła energicznie. - Kryzys małżeński. A z biegiem lat jest coraz trudniej.

- Właśnie - jęknęłam, ani na moment nie puszczając wózka. Patrzyłam za Antkiem, który znalazł gdzieś jakiś samochódzik i jeździł nim po opakowaniach z mięsem, zostawiając na nich ślady kół. - Pojawiają się coraz młodsze i coraz ładniejsze, którym nie przeszkadza to, że facet jest żonaty i ma dzieci. A mężczyźni zawsze lecą na takie...

- Bzdura, moja kochana! Totalna bzdura! - oświadczyła dobitnie babcia.

- Jak to bzdura? - nie zrozumiałam.

- Dziecko - babcia Malwina westchnęła pobłażliwie - czy ty naprawdę myślisz, że Paweł ożenił się i żył z tobą przez te wszystkie lata, bo jesteś i zawsze będziesz najpiękniejsza na świecie? - zapytała nauczycielskim tonem.

- Pewnie, że nie! - wybuchnęłam rozeźlona.

Jak to nie!? Jak to nie!? Przecież mi mówi! tyle razy! To jak, kłamał, do cholery, czy co? Ha! Kłamał! A ja mu we wszystkim wierzyłam, idiotka jedna!

- No właśnie - powiedziała spokojnie babcia. - Paweł się z tobą ożenił, bo jesteś właśnie taka, a nie inna. Ożenił się z tobą, bo cię kocha. A dlaczego cię kocha? Bo jesteś właśnie taka, jaka jesteś. Nie ma drugiej takiej jak ty, rozumiesz? I dlatego właśnie z tobą jest, a nie dlatego że wyglądasz jak modelka. Bo nie wyglądasz.

- Dzięki, że mi o tym przypomniałaś, babciu! - powiedziałam, zagryzając wargi. - A jak stwierdzi, że jednak chce modelkę?

- Dziecko, z mojego doświadczenia wynika, że mężczyźni rozróżniają dwie kategorie kobiet: takie, które się tylko ogląda, i takie, z którymi się żyje.

- Ale tamta... - zacięłam się na wspomnienie Dorotki - ona mi nie pasuje do żadnej z tych kategorii.

- Hm... - Babcia spojrzała na mnie spod oka. - To znaczy, że należy do kategorii trzeciej.

- To jest i trzecia? - zdziwiłam się naiwnie.

Babcia pokiwała głową.

- Tak. To te, z którymi się tylko sypia.

Utkwiłam w niej przerażone spojrzenie. Zauważyła.

- No, co? - Wzruszyła ramionami. - Przecież mówię wyraźnie, że z nimi się tylko sypia, dla tych się rodziny nie zostawia.

- I to ma być pocieszające!?

Babcia Malwina westchnęła z pobłażliwością.

- Agatko, porozmawiaj z Pawiem, jesteście przecież dorosłymi ludźmi, a zachowujecie się gorzej niż małe dzieci.

- Ale on mi już o niczym nie mówi - rozkleiłam się nagle. - Ja już mu do niczego nie jestem potrzebna - wyjęczałam, czując ogromny ból w sercu. I w nogach.

- Jesteś mu potrzebna - usłyszałam głos Antka.

- Słucham? - wyjąkałam zdumiona, starając się dociec, skąd dobiega.

- Tomaszek mówi, że żony zawsze będą potrzebne mężom. Ktoś musi po nich sprzątać. - Antek wynurzył się z góry chrupek. - Ha! Jestem chrupkowym potworem i zaraz was wszystkich zjem!

- Antek, wyłaż stamtąd natychmiast! I nie podsłuchuj, gdy dorośli rozmawiają!

Mój syn obrażony, że mu się przerywa taką zabawę, wylazł z kosza wypełnionego workami chrupek i pobiegł do Małgosi,

która oglądała stroje kąpielowe. Rozejrzał się uważnie dookoła i rozpiął manekinowi stanik. A potem wybuchnął śmiechem.

Odwróciłam się z powrotem do babci i powiedziałam rozgoryczona:

- Widzisz, babciu, zawsze się znajdują takie, z którymi wszystko można...

- Ależ dziecko, uspokój się, wpadłaś w jakąś obsesję - powiedziała stanowczo babcia. - Przecież ludzie są ze sobą całe życie, pomimo problemów, pomimo tego, że obok są ładniejsi, młodszy, inteligentniejsi. Nie o to chodzi.

- A o co?

- Według mnie cała sztuka polega na tym, żeby go utrzymać.

- No, ale ja właśnie o tym mówię!! - krzyknęłam ze łzami w oczach, starając się nie widzieć Antka, który pojawił się nagle z nocnikiem na głowie. - Cała sztuka w tym, żeby go zatrzymać.

- Nie, dziecko, cała sztuka, żeby go utrzymać. Przy życiu utrzymać! Jakby ci trzeci mąż umarł, też byś się zaczęła zastanawiać, czy wszystko z tobą w porządku. Jeśli mąż żyje, to jest wiele sposobów na to, żeby nawet nie pomyślał o skoku w bok. A wierz mi, jak zatrzymać mężczyznę, to ja wiem, w końcu trzech do grobowej deski zatrzymałam, nie? I powiem ci, że absolutnie nie powinnaś się tym wszystkim tak przejmować. Oni nie są warci nawet malej ilości tych hektolitrów łez, które przez nich wylewamy. Emocje, uczucia, ból wewnętrzny? Oni tego nie rozumieją. Im chodzi tylko o seks.

- A ty wiesz, babciu, że on to nawet już pocałować mnie nie chce...

- Pewnie byłaś niegrzeczna. - Podskoczyłam, słysząc tuż obok głos Antka. Siedział na nocniku i udawał, że prowadzi samochód. - A poza tym nikogo nie wolno do niczego zmuszać, nasza pani tak mówi. A ona jest bardzo mądra, ciągle mi to powtarzasz.

Zazgrzytałam zębami z oburzenia i już mój najukochańszy synek był krok od spędzenia najbliższego roku w swoim pokoju, kiedy zobaczyłam coś, co skierowało moją złość na inne tory. Tuż obok kosmetyków stał nie kto inny, tylko silikonowa Dorotka, w jakiejś marnej imitacji sukienki, wybierająca sobie tusz do rzęs. Zesztywniałam. Moje palce kurczowo zacisnęły się na uchwycie wózka. Przez ułamek sekundy byłam pewna, że zaciskam palce na jej szyi. Niestety ból przypomniał mi, że jedyne co mogę zrobić, to złamać sobie paznokcie. Schowałam się za wózkiem i zamknęłam oczy.

- Agatko, czy ty się dobrze czujesz? - usłyszałam tuż nad sobą zaniepokojony głos babci.

Po chwili otworzyłam oczy i podniosłam głowę.

- Ależ ja się świetnie czuję! - wypaliłam. Moje policzki miały ten sam kolor co szpilki.

Babcia rozejrzała się dookoła, po czym przykucnęła tuż obok mnie.

- Dlaczego się chowasz? - zapytała konspiracyjnym szeptem.

Mój wzrok powędrował w stronę niczego niepodważającej Dorotki. Jej zniesmaczona mina mówiła wyraźnie, że jak na jej wymagania, kosmetyki dostępne w tym supermarkecie nie są wystarczająco dobre.

- To ona - wyszeptałam do babci.

Wychyliłyśmy się obie zza wózka i obserwowałyśmy przez chwilę, jak Dorotka przechadza się z gracją wzdłuż sklepowej alejki. Z niezadowoleniem zauważyłam, że jej chód wcale nie przypomina brodzenia czapli na łąkach. Chociaż miała szpilki równie wysokie jak moje.

Dzieci buszowały w dziale ze sprzętem AGD. Bardzo wyraźnie słyszałam porykiwania Antka, który koniecznie chciał wypróbować przyrząd do masażu stóp i wymasować nim stopę Małgosi, wobec czego starał się ściągnąć jej sandałki.

- Kto? - nie zrozumiała babcia.

- Tamta.

- Tamta? - powtórzyła cicho, przypatrując się Dorotce jak myśliwy ofierze.

- Tak - jęknęłam, zastanawiając się, dlaczego oczy babci zrobiły się nagle takie błyszczące.

- Hm... - zazgrzytała zębami babcia i zaraz sprawdziła, czy szczęka jej czasem nie wypada. Zęby były na miejscu. - Zdecydowanie ta trzecia kategoria. Tylko i wyłącznie - dodała pocieszająco.

- Pewnie przystali ją po tusz do drukarki i myśli, że znajdzie go obok tuszu do rzęs - rzuciłam złośliwie.

A Dorotka, nie podejrzewając nawet, że wzbudza tak żywe emocje, weszła w alejkę ze sprzętem AGD. Wolnym krokiem i z bardzo znudzoną miną spacerowała wokół przyrządów do masażu, które rozstawiły sobie na podłodze buszujące wokół moje dzieci.

I nagle babcia, pod wpływem jakiegoś wewnętrznego impulsu, chwyciła mnie mocno za ramię i z najdalszych zakamarków swoich płuc wydała okrzyk, którego nie powstydziliby się żaden zagrzewający innych do boju żołnierz. Podskoczyłam ze strachu. Obezwładniona zdziwieniem, patrzyłam, jak babcia zrywa się, a potem biegnie niczym najlepsza atletka w zawodach o mistrzostwo świata, i wszelkie słowa zamarty mi na ustach. To, co zdarzyło się później, było jak zwolniony film.

Babcia Malwina z rozwianym włosom zbliża się do silikonowej Dorotki. Antek puszcza nogę Małgosi. Małgosia przestaje wierzczać. Jakiś młody mężczyzna odskakuje, usuwając się babci z drogi. Babcia zatrzymuje się na ułamek sekundy. Rozpaczliwie trzymam się koszyka i myślę, że to tylko mały atak psychiczny i zaraz jej przejdzie. Ale babcia chwyta coś z półki i biegnie dalej. Jest coraz bliżej celu - Dorotki. Dobiega. Zatrzymuje się przed Dorotką. Ona patrzy na nią, nie rozumiejąc. Ku zdumieniu wszystkich babcia zdecydowanie wymierza w dziewczynę trzymaną w ręku przedmiot. Znudzenie

na twarzy Dorotki ustępuje nagle miejsca przerażeniu, bo babcia zaczyna przyskać ją po biuście jakąś substancją.

Boże! - modłę się - żeby była żrąca! To znaczy, nie! Żeby nie była żrąca!

Dorotka ryczy, jakby jej żywcem silikon z piersi wyciągali.

Po sekundzie dochodzę do siebie i rzucam się w ich stronę, żeby ratować, jeśli nie Dorotkę, to chociaż sytuację. Moje szpilki ślizgają się po gładkiej powierzchni jak po lodzie. Widzę, że z naprzeciwka biegnie dwóch ochroniarzy, a Antek z Małgosią leżą na ziemi i płaczą ze śmiechu.

Nie dobiegam. Potykam się o leżący na podłodze przyrząd do masażu stóp. Tracę równowagę i z olbrzymim impetem wpadam na obserwującego całą scenę młodego mężczyznę tak nieszczęśliwie, że wbijam mu czerwoną szpiłkę w stopę. Jego skowyt zagłusza nawet rozpaczliwe wycie silikonowej Dorotki.

- Zatem podsumujmy - powiedział wąsaty policjant, wspomagając się spisany wcześniej raportem. Siedziałam z babcią po jednej stronie stołu w pokoju zatrzymań (w gumowych klapkach, które kupiłam po okazjnej cenie na stoisku letnim), a po drugiej stronie siedziała silikonowa Dorotka. Żywa. Choć pianka zaschnięta na biuście ograniczała nieco jej ruchy. Dzieci znajdowały się pod opieką jednej z pań na stoisku z zabawkami. - Pani Malwina Słowik zaatakowała panią Dorotę Kopaczkę...

- Kopaczka - wtrąciła, siedząc sztywno, Dorotka.

- Słucham? - nie zrozumiał policjant.

- Kopaczka.

- No więc właśnie, zatem pani Słowik zaatakowała panią Dorotę Kopaczkę...

- Nie! - przerwała mu ponownie Dorotka. - Nie lubię odmieniać swojego nazwiska, bo wtedy nie brzmi jak trzeba - oświadczyła.

- A nieodmieniane brzmi jak trzeba? - zapytał zdziwiony policjant.

- Właśnie - powiedziała Dorotka z miną kogoś, kto całe życie powtarza ludziom oczywiste rzeczy.

Policjant spojrzał na nią i chrząknął, a potem czytał dalej:

- Pani Słowik... zaatakowała panią... Kopaczka pianką silikonową.

- Właśnie! - wyrwała się wściekła Dorotka. - O! Jak ja wyglądam! Moja nowa sukienka! Nawet nie mają państwo pojęcia, ile kosztowała!

- Taki skrawek materiału? - wtrąciłam niewinnie.

Dorotka obrzuciła mnie nienawistnym spojrzeniem.

- To Dolce i Gabona - wycodziła.

- Dolce i co? - Musiałam zdusić śmiech.

- Dolce i Gabona - powtórzyła niezrażona Dorotka. - A o Gabonie to się ostatnio bardzo dużo mówi w mediach. Bardzo modny. A to zasadniczo wpływa na cenę.

Nikt nie śmiał tego skomentować, więc zadowolona opadła sztywno na oparcie.

- Pianka silikonowa... Przepraszam, dlaczego akurat pianka? - policjant najwyraźniej miał problem ze zrozumieniem wyboru broni.

Babcia Malwina rzuciła Dorotce wyzywające spojrzenie.

- Ale ta pani przecież lubi silikon. A ja jestem bojowniczką o prawa kobiet do naturalności. To, co ta pani ma pod stanikiem, to jest sztuczne, niezdrowe, poniżające i w dodatku nieekologiczne! - wypaliła. - Ja protestuję!

Policjant westchnął ze zrozumieniem i pokiwał flegmatycznie głową. Pewnie widział już wszystko.

- Następna aktywistka...

- A pan się lepiej nie odzywa - przerwała mu babcia. - Wy mężczyźni powinniście się wstydzić! To wszystko przez

was! Przez was kobiety głupieją - oświadczyła i odwróciła się obrażona, a jej skórzane spodnie zaskrzypiały, potwierdzając w pełni tę tezę.

Policjant spojrzął na mnie zdumiony. Upewniając się, że babcia mnie nie widzi, postukałam się po czole. Po to żeby jej pomóc, ma się rozumieć. Policjant pokiwał domyślnie głową, a potem dopisał coś w swoim raporcie.

- Pani Słowik, musimy zabrać panią w pewne miejsce - powiedział łagodnie, uśmiechając się dobrotliwie.

- A będzie tam Edek? - zapytała podejrzliwie babcia.

- Oczywiście. I inni też - potwierdził gorliwie policjant. Babcia mrugnęła do mnie okiem i wstała.

- Proszę mnie tam zaprowadzić - oświadczyła z godnością i zabręczała srebrnymi bransoletkami. Swoimi i tymi założonymi przez policjanta. A potem dała się wyprowadzić.

Kiedy żegnałam się z nią przed radiowozem, mrugnęła do mnie okiem.

- Widzisz? Kiedy aresztowali Edka, mówiłam im, że się jeszcze spotkamy, a oni tylko się śmiali. I co? I kto się teraz będzie śmiał?

- Ja na pewno nie - powiedziałam, kiwając głową z dezaprobatą.

- Ty też się jeszcze będziesz śmiać, dziecko - umilkła i rozejrzała się dookoła. Policjant zajęty był jeszcze rozmową z ochroniarzem. Nachyliła się i szepnęła mi do ucha: - Wiem, co z nią trzeba zrobić.

Jej usta ułożyły się w drapieżny uśmiech.

Spojrzałam na nią zaintrygowana. W końcu ma doświadczenie z mężczyznami, a poza tym mądrość życiowa przychodzi przecież z wiekiem. Trzeba słuchać starszych, korzystać z ich doświadczenia i uczyć się na ich błędach.

- Tak? - zapytałam, poddając się tajemniczemu głosowi babci.

- Zlikwidujemy ją, a ciało podzucimy Edkowi! - wypląliła mi podekscytowana do ucha. - Tylko muszą go najpierw wypuścić.

Odskokczyłam od niej jak oparzona i spojrzałam na nią strasznym wzrokiem, ale się tym nie przejęła.

- Co tak na mnie patrzysz? On hoduje świnię, a świnię wszystko zjedzą. Edek wie, jak to się robi. - Zaśmiała się diabolicznie, a jej niebieskie oczy błysnęły niebezpiecznie. - Daj mi tylko znać.

Starając się nie myśleć o doświadczeniu życiowym babci Malwiny, a już szczególnie o umiejętnościach jej nowego chłopaka, odebrałam dzieci od uczynnej pani ze stoiska z zabawkami. Była wykończona i patrzyła na mnie ze współczuciem, a nawet podziwem. Zapakowałam swoje słodkie aniołki do samochodu i pojechałam za radiowozem na komisariat. Jadąc, zadzwoniłam do Pawła i wyjaśniłam mu całą sytuację, dodając złośliwie, że raczej nie powinien oczekiwać, że Dorotka wróci dzisiaj do pracy, a na tusz do drukarki na pewno nie ma co liczyć. Kiedy zapytał, jaki tusz, zagryzłam wargi i poradziłam, żeby to sam załatwił. Przez telefon oczywiście.

Na komisariacie powitała mnie ta sama miła pani policjant, która była tutaj rano.

- Znowu pani? - zdziwiła się.

- Problemy z babcią - wyjaśniłam, patrząc wykończona na moje pociechy. Podążyła za moim wzrokiem. Antek właśnie udawał wampira i wgrzyzał się Małgosi w szyję. Małgosia nie reagowała. Udawała trupa.

Policjantka uśmiechnęła się ze zrozumieniem i powiedziała:

- Dzieciaki, chodźcie, pokażę wam celę.

Westchnęłam z wdzięcznością.

- Strasznie pani dziękuję. Zaraz po nie przyjdę, tylko babcię odbiorę.

A ona szepnęła do mnie:

- Nie ma za co. Mam pięcioletnie bliźniaki z ADHD... To dopiero jest jazda. - A potem dodała głośniejszym głosem: - Ale jak będą niegrzeczne, to zamknę na klucz. - I pogroziła żartobliwie palcem.

- W prawdziwej celi? - krzyknął Antek, podskakując jak mała na gałęzi.

Małgosia nie okazywała emocji. Damy tak nie robią. Ale w jej oczach widziałam podekscytowanie.

Pobiegłam szukać babci, która, jak się okazało, została umieszczona w małym okratowanym pomieszczeniu. Miły policjant wyjaśnił mi, że babcia miała wielkie szczęście, bo poszkodowana wycofała oskarżenie. Westchnęłam z ulgą, aczkolwiek podejrzewałam, że na litościwe serce Dorotki wpłynął Paweł. Pewnie obiecał jej nową sukienkę. Pociągnęłam nosem. Tym razem na pewno oryginalną Dolce i Gabbana. A nie podróbkę z Gabonu.

- Gdzie Edek? Edek Salomon? - zapytała nagle babcia.

- Pan Salomon został zwolniony za kaucją - wyjaśnił spokojnie policjant.

- To ja też chcę! - wrzasnęła babcia. - I to już! Proszę mnie zwolnić.

- Wszystko w swoim czasie, proszę pani. Porządek w papierach musi być.

Wyszłam na korytarz. Kiedy, dziękując Bogu, że dzieci siedzą w celi, czekałam, aż wszystkie formalności zostaną załatwione, zauważyłam, że korytarzem idą dwaj policjanci, z którymi miałam już dzisiaj przyjemność rozmawiać.

- Dziwna sprawa z tym zabójstwem Butchera, szefie - mówił ten sympatyczniejszy, wyraźnie zafrasowany.

Rozejrzałam się dookoła i wiedziona ciekawością, automatycznie chwyciłam plastikową butelkę stojącą na parapacie i weszłam za wielki fikus, który stał przy oknie. Żeby go podlać, naturalnie, a przy okazji tylko podsłuchać rozmowę mężczyzn, którzy zatrzymali się tuż obok, nie zwracając na mnie uwagi.

- Gdy przeczytałem raport, nie mogłem uwierzyć. Może Butchera nie zabił Zagórski, tylko ktoś inny? W końcu nie znaleźliśmy przy facecie żadnej innej broni, a łuski wskazują wyraźnie...

- Pewnie wyniósł broń, z której zabił Butchera, i wrócił do mieszkania już bez niej - podkomisarz najwyraźniej się zirytował.

- Może - odparł powątpiewająco młodszy policjant. - Ale skąd Butcher wzięby policyjną broń?

Znieruchomiałam. W dodatku zabrakło mi wody.

- To nie nasza sprawa - uciął ostro podkomisarz. - Pamiętaj, kolego, że my już swoje zrobiliśmy. Rozbiliśmy gang wampirów. A sprawę Butchera przekazujemy dalej. Naszym wspomniał, kurde jego mać, specjalnym - ironia w jego głosie była bardzo wyraźna. - Niech pokażą, jacy genialni są. Nie dają nam dostępu do danych, to niech się sami, kurde jego mać, męczą. Jak ja ich nienawidzę. Wydaje im się, że każdy jeden Kojak. Proponuję jeszcze zamotać z tą, jak jej tam... z tą misjonarką. Niezły numer, nie? He, he, he! Powiemy im, w końcu na piśmie to mamy, że taka jedna zakonnica sobie przyleciała do Krakowa, a potem zaginęła i znowu się pojawiła, tyle że w Kolumbii. Zresztą, tu nie ma się z czego śmiać. - Przez liście zobaczyłam jego błazeńsko poważną minę. - Może ta siostrzyczka naprawdę jest morderczynią? - Spojrzał srogo na kolegę, a potem nie wytrzymał i zaczął rechotać jak żaba w ciepły wieczór. - Tylko... kurde jego mać, co jest? Przecież ona nigdy z Kolumbii nie wyjechała! Co jeszcze dodamy?

- Że zaginął pies. Rodowodowy - dołączył się do zabawy ten sympatyczny, który już wcale sympatyczny mi się nie wydawał. - Ta sama osoba zgłosiła. Na pewno jakoś się to łączy. I teściowa chce zabić.

Z oburzenia zazgrzytałam zębami, bo bynajmniej nie widziałam w tym wszystkim nic śmiesznego. Kiedy znienacka wyszłam na nich z za kwiatka, też przestali się śmiać.

Zbliżyłam się do ośupiatego podkomisarza i rzuciłam w niego pustą butelką. Zasłonił głowę.

- Panowie śmiechy-chichy, a przestępcy na wolności się panoszą. Wstyd! - wycodziłam przez zęby. - I jeszcze normalni obywatele muszą społecznie pracować. Kwiatka proszę podać, bo sam się nie obsłuży.

Nie ruszali się przez chwilę. Zapewne bali się jakiegoś ataku z mojej strony.

A ja poszłam prosto do celi odebrać dzieci. Jakież było moje zdziwienie, kiedy spotkałam je przed celą! W środku za to siedziała miła pani policjant z dosyć niewyraźną miną, sama nie wiedząc, jak tam trafiła. Antek w jej czapce i Małgosia w jej służbowej marynarce pełnili wartę. Antek krzyczał, że nie ma prawa się z nikim kontaktować, a wszystko, co powie, może być zużyte przeciwko niej.

Kiedy wreszcie wróciłam do domu, Elżbietka spała w najlepsze na kanapie, a Księżniczka czuwała przy lodówce. Szybko zamówiłam pizzę. Dla dzieci i dla Elżbietki, oczywiście. Sama piłam na obiad wodę mineralną i jadłam marchewki, które litościwie obrała dla mnie Małgosia. Księżniczka zadowolila się krakowską suchą. I czekoladowym herbatnikiem.

Nie zdążyłam dojeść trzeciej marchewki, kiedy w drzwiach pojawiła się Nina.

- Jeszcze nie gotowa? Wychodzimy! - rzuciła, patrząc niecierpliwie na zegarek.

Zagryzłam zęby.

- Nie denerwuj mnie - wycodziłam, wymachując napoczętym warzywem. - Jestem dzisiaj na trzech marchewkach.

Nina błyskawicznie wyrwała mi z ręki tę część marchewki, która dzieliła mnie od śmierci głodowej, i zjadła ją bez skrępułów.

- Dwóch i pół - powiedziała prowokacyjnie. Potem zlustrowała mnie z góry na dół. - Z głodu nie umrzesz. Idziemy.

- Nigdzie nie idę! - oświadczyłam twardo, zakładając ręce w geście oporu. - Jestem wykończona. Dwa razy byłam dziesiąj na komisariacie!

- No i? - Spojrzała na mnie, jakby bywała tam nie dwa, tylko co najmniej cztery razy dziennie. - A ty wiesz, co się stało?

Że też ona zawsze znajdzie coś bardziej godnego uwagi. A mogłaby choć przez chwilę skupić się na moich problemach!

- Nie wiem - rzuciłam poirytowana.

Ciekawe, co pobije trupa Butchera, uciekającą zakonnicę i zakochaną babcię?

- Wysłałam mojego asystenta do supermarketu po tusz do drukarki i wyobraź sobie, że był świadkiem ataku terrorystycznego!

- Co!?! - zakrzusiałam się trzymaną w ustach resztką marchewki, którą starałam się jeść jak najdłużej, gdyż kolejny posiłek planowałam dopiero następnego dnia. Nina pomocnie walnęła mnie kilka razy w plecy, a potem nie przejmując się niczym, zaczęła opowiadać:

- Podobno było jak w filmie! Jakaś kobieta napadła na drugą za to, że tamta miała silikonowy biust! Wyobrażasz sobie? Opryskała ją pianką, taką do uszczelniania okien!

- Naprawdę? - zdziwiłam się nieszczerze i umilkłam. Ale podekscytowana Nina nie zwróciła na to uwagi.

- Atak terrorystyczny! Podobno cała brygada antyterrorystyczna przyjechała. A w dodatku w tym całym zamieszaniu mój asystent chciał pomóc napadniętej dziewczynie, bo on taki rycerski jest, ale jakaś siksa w czerwonych szpilkach rzuciła się na niego. I wyobraź sobie, wbiła mu jedną w stopę!

- Naprawdę?

Moje dzieci wystawiły głowy z kuchni i słuchały w skupieniu opowieści Niny.

- No! Przecież to straszne! Teraz to można nawet za wygląd oberwać. Starsz się dobrze wyglądać, a tu staruchy

napadają na ciebie w supermarkecie. Przecież to niemoralne. I proszę, ile ofiar. Mój asystent ma zmasakrowaną stopę i jest w szoku pourazowym. Dobrze, że tylko tyle. Ta siksa podobno chciała mu szpilkę w gardło wbić. Teraz cały tydzień będzie na zwolnieniu lekarskim. A potem ma rehabilitację. I sama zostałam w pracy. Jakbym dorwała tę sikse w czerwonych szpilkach... - zawiesiła złowrogo głós.

- Ciociu... - zaczął mówić Antek, ale szybko weszłam mu w słowo.

- To idziemy, Nina? - spojrzałam wymownie na synka.

- Idziemy - powiedziała Nina, pomachała ręką niepocieszonemu Antkowi, który nie miał okazji się wypowiedzieć, i otworzyła drzwi. - A ty? Co robiłaś na komisariacie? - zapytała, kiedy już wsiadałyśmy do jej samochodu.

- Nic ciekawego - odpowiedziałam, patrząc w okno. - Podlewałam kwiatki.

Tereska, ubrana w szary dres pamiętający zapewne cztery ostatnie sezony, stałą pod jednym z najmodniejszych ostatnio klubów o wymownej nazwie Explicit Content i udawała, że czyta gazetę. Wyglądało to co najmniej podejrzanie.

Kiedy nas zobaczyła, zaczęła machać gazetą i piszczeć, jakby nie znała podstawowych zasad niezwracania na siebie uwagi. Nina uciszyła ją głośnym „ciiiiichooo, bo jeszcze ktoś zwróci na nas uwagę”. Niepotrzebnie, każdy, kto przechodził, patrzył na nas dziwnie. Nina rozejrzała się dookoła, a potem utkwiała przenikliwe spojrzenie w drzwiach klubu, jakby chciała przez nie zobaczyć, co się dzieje w środku.

- Co tam? - zapytała Tereskę.

- W porządku. Dzwoniłam do mamy, Franio już śpi, a Tazio poszedł z kolegą na piwo. On tak rzadko wychodzi - powiedziała Tereska i uśmiechnęła się do mnie.

Nina ciężko westchnęła, a potem zapytała spokojnie:

- Pytam o Pawła i resztę.

- Przed chwilą weszli.

- To idiemy - zdecydowała podekscytowana. - W środku jest dużo zakamarków, gdzie można się schować. Małe salki, korytarzyki, wnęki. Zobaczymy na własne oczy, jak bawią się panowie z koleżankami z pracy - w jej głosie zabrzmiała groźba. Pociągnęła nas w stronę wejścia.

Tuż przed drzwiami drogę zagroził nam jednak dziwnie rozrośnięty mężczyzna w bliżej nieokreślonym wieku, który już od jakiegoś czasu przyglądał się nam podejrzliwie.

- To impreza zamknięta - powiedział nagle robotycznym głosem i znieruchomiał.

Nina osłupiała.

- Słucham?

- To impreza zamknięta - powtórzył osiłek tym samym metalicznym głosem co przedtem. Tylko tym razem bardziej zaakcentował słowo „zamknięta”.

- Jak to: zamknięta? - Nina nie była w stanie zrozumieć. W geście oburzenia przyłożyła sobie dłoń do falującej ze zdenerwowania piersi. - Byłam tu już tyle razy i jeszcze nigdy nikt mi tak nie powiedział.

Osiłek podążył wzrokiem za falującą pierś Niny, ale pozostał niewzruszony.

- Zawsze jest ten pierwszy raz - usłyszałyśmy.

To rozzłościło Ninę.

- Tylko bez takich, proszę pana. Chcę rozmawiać z kierownikiem - oświadczyła zdesperowana.

- Kierownika nie ma - poinformował bez żadnych emocji osiłek. - Będzie jutro między dziesiątą a drugą.

Niną wstrząsnęła fala spazmów, ale osiłek dalej stał i jak zahipnotyzowany patrzył na jej falującą pierś. Nie wydawał się chętny do ustąpienia nawet o krok. Mina Niny mówiła, że rozważa rozwiązanie siłowe, ale realna ocena sytuacji zmusiła ją do odstąpienia od tego zamiaru. W końcu nie była samobójczynią.

Odeszliśmy parę kroków i stanęliśmy pod murem. Nina raz po raz rzucała osiłkowi mordercze spojrzenia. Ten odpię-
rał je godnie, jak przystało na profesjonalnego selekcjonera.

- I co teraz!? - Nina nie mogła dojść do siebie.

Tereska uśmiechnęła się pogodnie.

- Przecież nic się nie stało.

- Właśnie - wzruszyłam ramionami. - A poza tym i tak nie chciałam tam iść.

- Ale ja chciałam - wyrwało się Ninie. Nerwowo poprawiała włosy. - I co teraz? Co ja teraz zrobię?

Wymieniłam z Tereską zaskoczone spojrzenia.

- Wrócisz do domu i przestaniesz się tym przejmować. W końcu to mój problem - powiedziałam, patrząc na nią przeciągle.

- Wcale nie! Nie będę wiedzieć, czy Grześ mówi prawdę! - wyrwało się jej.

- Grześ! - wykrzyknęliśmy z Tereską jednym głosem. - Grześ!?!

- Czy łączy cię coś z Grzesiem? Och! - Wciągnęłam powietrze do płuc. Wstrząśnięta nagłym podejrzeniem, wycelowałam w nią palec i wydyszałam tonem iście prokuratorskim: - A skąd to koleżanka do mnie rano dzwoniła!?

- Z telefonu - oświadczyła Nina nieco zmieszana i usiadła na murku.

Osiłek stal na straży, cały czas przypatrując się nam nieufnie.

Popatrzyłam na Tereskę ponad głową Niny.

- Tylko prawda może cię teraz uratować! - zagroziła Tereska, siadając obok Niny.

- Odpowiadaj! - Klapnęłam z drugiej strony.

Nina westchnęła ciężko. I nagle poczerwieniła.

- Spałam u Grzesia - wyznała.

Poderwałyśmy się z Tereską na równe nogi.

- Spałaś z Grzesiem!? - wykrzyknęliśmy jednym głosem, a przechodzący obok mężczyzna spojrzał na Ninę i uśmiechnął się do niej.

- Szczęściarz z tego Grzesia - powiedział i zniknął za rogiem.

Nina zdławiła śmiech, ale nie potrafiła ukryć satysfakcji. Odwróciła się jednak do nas z udanym oburzeniem.

- Nie! Nie spałam z nim, tylko u niego. On jest... inny niż wszyscy.

- To znaczy!?

- On jest taki przyzwyczajony. Nigdy nie wykorzystałby sytuacji. Nawet jeśli sytuacja chciałaby być wykorzystana - mruknęła do siebie pod nosem.

- Ale dlaczego u niego spałaś? Nie miałam pojęcia, że weszłaś z nim w taką zażyłość. Jak to się zaczęło!?

Nina uśmiechnęła się na wspomnienie tamtej chwili.

- Och! - Westchnęła błogo. - W piątek umówiłam się z nim na drinka. Spóźniłam się dobre czterdzieści minut, bo byliśmy na warsztatach tańca. Wchodzę do klubu i widzę go, ofiarę losu, jak siedzi sam przy stoliku i czeka na mnie. Dokładnie tak jak myślałam. Obserwował tańczących. Kiedy podeszłam do niego, miał w oczach coś takiego... Sama nie wiem, jak to opisać. Podchodzę, chcę coś powiedzieć, uprzejmie go przepaszam, a on nie słucha, tylko łapie mnie za rękę i pyta, czy lubię tańczyć. Staram się wyrwać rękę, mówię, że owszem, ale że chciałam tylko porozmawiać, a on, że się dobrze składa, bo uwielbia tańczyć. A potem bez pytania, rozumiecie, bez pytania mnie! odbiera mi torbę, kładzie ją na stoliku, prosząc jakiegoś faceta siedzącego przy stole obok, żeby jej popilnował, ściąga sweter, wręcz zrywa go z siebie i wciąga mnie na parkiet. I zaczyna tańczyć. Wtedy... - odetchnęła głęboko i wniebowzięta zapatrzyła się w jakiś punkt na horyzoncie - już wtedy mnie miał. Wy nawet nie wiecie, jak on mnie wytańczył. Ja... ja chciałam tak do rana.

- I co?

- I nic. - Machnęła ręką i wróciła do rzeczywistości. - Po tem wróciliśmy na miejsca i się okazało, że facet ze stolika

obok ulotnił się z moją torebką. Całe szczęście, że telefon miałam w kieszeni.

- I co!?

- Jak to co? Następnego dnia Grześ kupił mi największy kosz czerwonych róż, jaki w życiu widziałam! - trąkotała dalej, to wstając, to siadając na murku, a osiłek wpatrywał się w nas, będąc zapewne pod wrażeniem swoich umiejętności rozpoznania elementu wywrotowego. Z takimi jak my same problemy. I miał rację. - Te róże to mi Grześ kupił, żeby mnie przeprosić za torebkę - chwaliła się - a potem zaprosił mnie jeszcze na randkę. Pomyślałam, że może mi coś powie na temat no... - spojrzała niechętnie na mnie - Pawła, ale naprawdę nie miałam głowy do twojego męża, rozumiesz mnie chyba, Agata.

- Rozumiem - odpowiedziałam sucho, a potem dodałam z przekąsem: - Bardzo cię przepraszam za kłopot.

Machnęła wybacząco ręką.

- Nie trzeba. Nie twoja wina. W każdym razie wczoraj znowu byliśmy na tańcach, a potem chciałam zobaczyć jego kolekcję motyli, bo on jest z niej bardzo dumny. Ale byłam strasznie zmęczona i zasnęłam. Na jego łóżku. Rano się okazało, że on spał na kanapie. Prawdziwy dżentelmen.

Pozostawiłam to bez komentarza. Wstałam i otrzepałam spodnie.

- Chodźmy już. Nic tu po nas.

Nina też wstała.

- Podwieźć cię? - zapytała. Miałam wrażenie, że chce mi jeszcze trochę poopowiadać o Grzesiu.

- Chętnie skorzystam.

Zrobiliśmy kilka kroków do przodu.

- A ciebie, Tereska? - zapytała Nina, oglądając się do tyłu. - Tereska?

Tereski nie było.

Rozejrzałyśmy się dookoła. Dopiero po chwili dostrzegłyśmy ją tuż obok wejścia do klubu. Stała przyciśnięta do ściany

budynku i zupełnie zlewała się z szarością muru. Przyglądała się bardzo wysokiej kobiecie, która właśnie wyszła z klubu (ku mojej zazdrości znakomicie balansowała na niewiarygodnie wysokich szpilkach), wyciągnęła z torebki puderniczkę i zaczęła pudrować sobie nos. Po chwili wahania podeszłyśmy bliżej. I zaparło nam dech w piersiach.

W kobiecie stojącej na rogu ulicy z niejakim trudem rozpoznałam... Tadzia. Ubrany był w ołówkową spódnicę, szalową fioletową bluzkę na ramiączkach, a przez ramię przerzucone miał, hit wieczoru, czarne boa z piór. W jego srebrnych szpilkach odbijały się ostatnie promienie zachodzącego słońca. I jakby tego było mało, wyglądał całkiem dobrze. Jak na faceta przebranego w damskie ciuchy, oczywiście. Bałam się spojrzeć na Tereskę. Nina chyba też, bo ścisnęła moją rękę tak mocno, że zdrętwiały mi palce. Nie wiedziałyśmy, co powiedzieć. Kiedy po kilku sekundach trwających wieczność spoglądałam na Tereskę, zobaczyłam w jej oczach bezgraniczne zdumienie pomieszane z przerażeniem.

- Chodź - powiedziałam cicho, chwytając ją za rękę.

Tereska nie była w stanie się ruszyć. Wpatrywała się osłupiała w stojącego nieopodal męża.

- Nie patrz na niego - przyszła mi z pomocą Nina, przyglądając się dyskretnie Tadziewi, który, muszę przyznać, z wielką gracją zarzucił sobie na ramię czarne boa. Nasze intensywne spojrzenia przyciągnęły jednak jego uwagę. Odwrócił głowę. Znieruchomiał. Przez chwilę wgapiłyśmy się w niego jak trzej muszkietierowie w złą Milady, a potem Tadzio, czując się obnażony w swej tożsamości, ruszył powoli w naszym kierunku. Wpatrywał się w Tereskę, nie zwracając na nas żadnej uwagi.

Tereska uwolniła się delikatnie z mojego uścisku. Spojrzała na nas podejrzanie czerwonymi oczami, a z jej zaciśniętego gardła wyrwał się cichy szepot:

- Idźcie już, muszę z nim porozmawiać.

- Zostaniemy z tobą... - zaczęłam mówić, ale przerwała mi nagle stanowczym ruchem ręki.

- Nie. Muszę to załatwić sama. Idźcie już. Proszę.

Bez słowa sprzeciwu wycofałyśmy się. Zduszony szept Tereski popychał nas jak huraganowy wiatr. W milczeniu dotarliśmy do samochodu Niny i przez całą drogę do domu nie otworzyłyśmy ust. Kiedy żegnałyśmy się przed moim domem, w oczach przyjaciółki zobaczyłam swoje myśli. Obie wiedziałyśmy, że już w żadnym razie nie będziemy śledzić naszych mężczyzn. Bo nic nie jest w stanie przygotować nas na nagą prawdę. Na nagiego faceta w łóżku z inną - może. Ale na męża przebranego w kobiece ciuszki - nie. A nigdy nie wiadomo, jaka prawda czai się za rogiem.

Okolice Medellin, Kolumbia

- Niech jej będzie - zawarczał Carlos do słuchawki. - Jak znowu zadzwoni, *pata vieja*, powiedzcie jej, że się zgadzam. Ja daję połowę kasy, ale drugą dajecie wy, w końcu to wam zwiąta, *imbeciles*. Mogę jej jeszcze dorzucić gwarancję nieetykalności na moim terenie. - Ledwie mu to przeszło przez gardło. Splunął na ziemię, a na koniec dodał: - Ale ma tylko dwadzieścia cztery godziny. I chcę wszystko z powrotem.

Zmiażdżył trzymany w dłoni telefon. Nawet nie poczuł.

- *Pata vieja!* - w paroksyzmie wściekłości sparaliżowało mu nerw twarzowy. - Tak mnie zrobić! Mnie!? Niech tu tylko wróci, już ja jej pokażę, albo nie nazywam się Carlos Antonio Oveja y Barran - przysiągł uroczystym tonem i zamachnął się do tyłu. Znieruchomiał. Przypomniał sobie, że Nogales ma dzień wolny. Westchnął i wyrzucił zmiażdżony telefon do kosza.

DZIEŃ SZÓSTY

Ciemny pokój. Słabe światło stojącej na biurku lampki tworzy w mroku jaśniejszy krąg. Przy biurku siedzi mężczyzna. Przyglądam się jego pochylonej sylwetce. To Paweł. Przerzuca jakieś papiery. Potem odkłada je na bok. Ściąga okulary, przeciera oczy. Biedaczek. Ciężko pracuje, żeby się nam lepiej żyło. Ale... co to? Nagle na jego twarzy pojawia się uśmiech. Ten zarezerwowany tylko dla mnie. Ale przecież mnie nie widzi. Do kogo się więc tak uśmiecha? Z mroku wylania się postać. Podchodzi do biurka, a ja znowu zamieram. Tym razem ze zdziwienia, bo przy Pawle zatrzymuje się nie Beyonce, nie silikonowa Dorotka, tylko piękny nagi mężczyzna. Naprawdę piękny. I naprawdę nagi. Nie licząc czarnego boa z piór. I szpilek.

- *Hola, preciososo* - mówi mężczyzna z egzotycznym akcentem, mrugając okiem do Pawła, i zarzuca sobie na ramię boa. - Jestem twoim ukrytym pragnieniem.

Wpatruję się w pięknego mężczyznę i po raz pierwszy czerpę przyjemność z obecności w tym pokoju. I z miny Pawła. I nawet nie mam ochoty do nikogo strzelać.

Obudził mnie trzask zamykanych drzwi, a zaraz potem usłyszałam dźwięk odpalanego motocykla. Przetarłam oczy i machinalnie spojrzałam w bok. Pawła nie było. Wyszedł dziś wyjątkowo wcześniej. Pewnie pojechał na siłownię. W końcu uwaga Małgosi o mięśniach brzucha musiała wywołać w nim panikę. Wyobraziłam sobie całą scenę: Paweł staje przed lustrem, unosi koszulkę i wciąga brzuch. Skąd my to znamy?

Ale przecież dla mnie ważny jest on, a nie rozmiar jego bicepsa. Pociągnęłam nosem.

Wstałam. Z westchnieniem otworzyłam szafę i zaczęłam się ubierać. Znalazłam tylko jedną czystą skarpetkę. Do prania, przyznaję, ostatnio nie miałam głowy. Przeszukiwałam komódę, by znaleźć parę dla tej jedynej czystej skarpety, w końcu zerknęłam do szuflady Pawła. I... o mało nie dostałam apopleksji. Na samym wierzchu jego szuflady leżały stringi! Męskie stringi! Jego stringi! Skórzane! To była kropla goryczy, która przelała kielich. Choć z niejaką ulgą przyjęłam fakt, że bez żadnych wątpliwości stringi były męskie.

Ze zdenerwowania przygryzłam sobie wargę. Zaczęła krwawić. Tak. Postanowiłam wykrwawić się na śmierć. Niestety nie zdążyłam, bo Nina zjawiła się w samą porę, by mnie uratować. Usłyszałam pukanie do drzwi i wiedząc, że nigdy nie odejdzie bez tego, po co przyszła, zatamowałam krwotok językiem i otworzyłam, dalej trzymając w ręku skórzane wdzianko.

Nina nie zapytała, co to. Od razu wiedziała.

- A biczyka do kompletu nie znalazłaś?

- Nie. Ale wierz mi, to będzie pierwsza rzecz, jaką mu wręcę. Razem z pozwem rozwodowym - odpowiedziałam ze śmiertelną powagą. W życiu nie byłam bardziej poważna.

- Chcesz o tym porozmawiać? - zapytała Nina, przypatrując się intensywnie skórzanym majtkom.

- A wyglądam, jakbym chciała? - burknęłam wściekle. Spojrzałam na nią z nienawiścią. Ubrana była w dżinsy i obcisłą koszulkę na ramiączkach. Bez makijażu i z włosami

gładko zaczesanymi w kucyk wyglądała wyjątkowo sympatycznie. Inaczej niż zwykle.

- Tak przypuszczałam - miauknęła. Miałam wrażenie, że dusi się ze śmiechu. - Ubierz się, poczekam na ciebie na zewnątrz.

Szybko wyszła, a ja, ignorując podejrzane dźwięki, które zaczęła wydawać za drzwiami, z ciężkim westchnieniem odłożyłam skórzane majtki na miejsce, wcisnęłam się w dres i obudziłam Elżbietkę, prosząc, żeby miała oko na dzieci, kiedy wstaną. Starłam się nie myśleć o tym, że do tego wszystkiego dzisiaj wraca teściowa.

Kiedy wyszłam, powitał mnie przyjemny chłód letniego poranka i Nina siedząca w samochodzie.

- Chyba żartujesz!? - zapytałam z niedowierzaniem, wsadzając głowę przez okno. - Może jeszcze mam za tobą biec!?

- Wskakuj do środka - roześmiała się pogodnie. - Jedźmy do Tereski. Dzwoniła do mnie, najwyraźniej potrzebuje naszego wsparcia.

- Nie dziwię się - powiedziałam, wsiadając do samochodu. Ale zaraz przypomniałam sobie o skórzanych majtkach. - A ja!? Też jestem w strasznym stanie - oświadczyłam żałośnie.

- Niby tak, ale to nic nowego. A poza tym Paweł przynajmniej nie udaje kobiety - powiedziała obojętnie i zapaliła silnik.

Racja. Zdradzane żony wszędzie można spotkać. Nie to, co żony transwestytów. Te występują tylko w limitowanych seriach.

- Pamiętaj - instruowała mnie Nina - Tereska jest w bardzo złym stanie. Musimy użyć wszelkich środków, żeby ją wspomóc.

- To znaczy?

- Ty będziesz cały czas narzekać, że przynajmniej mąż jej nie zdradza z silikonową lalą, bo to już najgorsze, co może się w życiu przytrafić...

- Słucham!?

- Tylko ci tłumaczę, jak ją mamy pocieszać - powiedziała przymilnie. Też mi pocieszenie! - Co jeszcze możemy jej powiedzieć?

- Może, że puściłaś się z żonatym facetem i jesteś jedną z tych zdzir, które zawsze obgadujemy - oświadczyłam nieprzyjemnie.

Pomyślała chwilę, marszcząc czoło.

- Nie - oznajmiła, machając lekceważąco ręką. - To zupełnie nie będzie przydatne w jej sytuacji. Ja mówię o nieprzyjemnych rzeczach, które się nam przydarzają, a nie o rzeczach, które są nieprzyjemne dla innych.

Zabrakło mi słów.

Kiedy Tereska otworzyła drzwi, oniemiałam. Nina też. Podeszła do Tereski i oglądając ją z góry na dół i z dołu do góry, chwyciła za rękę i wyszeptwała podekscytowana:

- Dziecko, ty jesteś moją najdoskonalszą uczennicą.

Niemalże zapłakała ze szczęścia i dumy, potem kazała mi patrzeć.

Patrzyłam. Tereska, zupełnie odmieniona, stała przed nami, uśmiechając się blado. Jej oczy, wciąż zaczerwienione od niewyspania i wylanych łez, były efektownie pomalowane. Makijaż podkreślał jej urodę, wyglądała świeżo i dziewczęco pomimo twardego spojrzenia. Zazwyczaj nosiła praktyczne do prac domowych podkoszulki i dresowe spodnie. Nie tym razem. Ołówkowa spódnica, na moje oko identyczna z tą, w której widziałyśmy Tadzia, czarna obcisła bluzka z dekoltem i szpilki. Te zabójcze.

- Nie nosiłam ich chyba od czasu studiów - powiedziała, wpuszczając nas do środka. Wyciągnęła zgrabną nogę i pokazała bucik. - Boże, jak dobrze mieć je znowu na nogach! Od razu mam wrażenie, że kontroluję sytuację.

Usiadłyśmy w salonie.

- Gdzie jest Tadeusz? - zapytałam, żeby coś powiedzieć.

- U swojej mamy - odpowiedziała krótko.

Zapadła cisza. Nie wiedziałam, jak poprowadzić rozmowę. W końcu mąż w makijażu i sukience nie należał do zestawu moich codziennych problemów. Na szczęście Nina nie miała żadnych trudności z wystowieniem się. Chwyciła Tereskę za rękę i zaczęła się popisywać swoją elokwencją.

- Kochana! Widzę, że się nie poddałaś! Wzięłaś sobie do serca moje rady i teraz na pewno znajdziesz sobie innego, prawdziwego mężczyznę - zaczęła płomienną mowę, ale Tereska, zamiast dać się pocieszać, jak przystało na poniżoną żonę, wyrwała rękę i spojrzała na Ninę ze zdziwieniem.

- Ależ skąd! - oświadczyła zdecydowanie.

- Jak to? - Oczy Niny zrobiły się okrągłe. - Myślałam, że zaczynasz nowe życie.

- Życie mam tylko jedno - powiedziała Tereska z wielką godnością. - I na razie nic się w nim nie zmieniło.

- Ale, ale... - jękała się Nina i wskazała palcem na szpilki.

Tereska wzruszyła ramionami i spojrzała na nas, jakby należała do innego, niedostępnego dla takich jak my świata.

- Cóż... - zawahała się, ale dokończyła z przekonaniem: - mam pozwolić, żeby mój mąż w sukience i makijażu wyglądał lepiej ode mnie? Jego wpuszczają do modnego klubu, a mnie nie!? Niedoczekanie! - wycodziła. Najwyraźniej Tadzio wszedł jej na ambicję. - Ja mu pokażę, kto w tej rodzinie powinien nosić spódnicę. Bo na pewno nie on!

- Tego nigdy nie wiesz - wymknęło się Ninie, ale zaraz zaczęła kaszleć i dodała: - Ale przecież musisz go rzucić...

Tereska uciszyła ją niecierpliwym ruchem ręki.

- Nie. Nie mogę go tak po prostu zostawić.

- Słucham!? Kochana, w głowie ci się od tego nieszczęścia pomieszało.

Tereska wyprostowała się gwałtownie. W jej ciemnych oczach zabłyśło groźne światło.

- Zrozumcie, to wszystko nie jest takie proste.

- Jak to... - Nina zbaraniała i spojrzała na mnie, szukając oparcia. - Jak to nie jest proste? To bardzo proste! Agata, powiedz jej!

Wzruszyłam ramionami, ale się nie odezwałam. Bo nic nie jest proste. Ani czarne. Ani białe. Życie jest jak stary telewizor marki Rubin. Przekłamuje kolory, dodaje cieni i szarości. A do tego wszystkiego czasami niespodziewanie wybucha.

Nie otrzymawszy ode mnie wsparcia, Nina znowu atakowała Tereskę.

- Kochana, ale co ty pleciesz? Facet jest transwestytą! - wypaliła w końcu.

Przez chwilę panowała cisza. Straszne słowo „transwestyta” kołowało nad naszymi głowami jak sęp, by nagle zostać zestrzelone przez nowe słowo:

- *Crossdresser* - usłyszałyśmy w odpowiedzi.

- Słucham? - Głos Niny nie wróżył nic dobrego, ale Teresa nie dała się onieśmielić.

- Tadzio woli określenie *crossdresser*. A poza tym to przecież nie jego wina, że jest trochę inny - powiedziała.

Nina ze złości dostała drzączki.

- No nie, ja nie mogę! *Crossdresser!*? A czyja to wina? Może twoja!? Nie mogę dłużej tego słuchać. Jeszcze mi powiedz, kochana, że widzisz światełko w tunelu! Zaraz mnie szlag trafi! Ja nie mogę tego słuchać, idę zrobić kawę! - I trzęsąc się cała, wyszła do kuchni.

Odprowadziłyśmy ją spojrzeniem, a potem Teresa powiedziała ściszym głosem:

- Jakaś nerwowa się zrobiła ostatnio, nie uważasz? Czy ona myślała, że ja zostawię męża, bo ma nietypowe hobby?

Patrzyła na mnie wzrokiem, mówiącym, że postawa Niny dziwi ją przeogromnie. Ja odwzajemniłam jej spojrzenie pełne niezrozumienia, ale moje niezrozumienie miało nieco inne podstawy niż jej.

- Doszłam do wniosku, że cokolwiek zrobię i tak będę żałować - kontynuowała. - A Tadzio o wszystkim mi opowiedział. On to robi, bo czuje taką potrzebę. Przecież to artysta, a artyści mają nieco przesuniętą granicę normalności. I nie puszcza się ani z innymi kobietami, ani z facetami. Z innymi crossdresserami też nie - wyliczała, starając się zapewne przekonać samą siebie, że zachowanie męża mieści się w normie. Jakkolwiek by na to spojrzeć, przynajmniej ucha sobie nie oderzwał, jak niektórzy. - Wiesz, Agata, wszyscy jesteśmy trochę zbzikowani, a on nic złego przecież nie zrobił. To takie hobby. Jak znaczki. Albo sporty ekstremalne. Jakby się nad tym zastanowić, to nie wiem, co jest bardziej normalne: to że niektórzy mężczyźni lubią przebrać się czasami w kobiece szmaty, czy to, że niektórzy ludzie dają sobie przywiązać do nogi linę i rzucają się z mostu. I jeszcze za to płacą.

Znieruchomiałam, bo właśnie dotarł do mnie sens jej rozumowania. Kiedy już niewiele brakowało, żeby mnie przekonała co do słuszności swoich racji, weszła Nina, niosąc na tacy trzy filiżanki z kawą i dzbanuszek mleka.

Rozłożyła wszystko na stole, dołączyła sobie mleka i napiła się.

- Wracając do Tadeusza... brr, nie lubię beztłuszczowego mleka... - skrzywiła się, przełykając kawę, ale kontynuowała - to co zamierzasz?

Tereska wpatrywała się w nią intensywnie, aż Nina spojrzała na mnie niepewnie.

- Co się stało? - zapytała podejrzliwie.

Wtedy Tereska odezwała się wyjątkowo radośnie:

- Miałaś rację, Nina. Ja tak zakopałam się w tym wszystkim, obiady, pranie, pieluchy, że niczego innego nie dostrzegłam. Ale się skończyło! Wszystko się skończyło! Tadzio miał stanowczo za dużo czasu na głupoty, wiesz? Jak facetowi się nudzi, to głupoty wymyśla. Już ja go teraz będę pilnować. Postawiłam mu ultimatum. Pełne partnerstwo w domu...

- I w szafie - przerwała jej Nina z zadowolonym uśmiechem i upiła łyk kawy.

- Nie. Moje ubrania są tylko moje - odpowiedziała Teresa spokojnie. - Dzielimy się jedynie dodatkami. Uzgodniłam z nim też, że ja wracam do pracy, a on zajmie się Franiem. Żadnej niani. Może malować przy dziecku. Jeśli ma tak silną kobiecą stronę, niech zobaczy, jak to jest być matką na pełen etat.

- Właśnie! - pokiwałam głową. - Każdy facet powinien mieć obowiązkowy rok przy dziecku. Każdy powinien się przekonać, jakie to frustrujące pracować z dziećmi pod stołem.

- Nie przesadzajcie - powiedziała nagle Nina. - Dzieci są absorbujące, ale frustrujące? Nie...

W ustach Niny zabrzmiało to co najmniej zaskakująco. Coś się na pewno zmieniło. Sięgnęłam po kawę, a Teresa, nie wiedząc czemu, odsunęła ode mnie dzbanek z mlekiem.

- Co się stało? Dobrze się czujesz? - zapytałam Ninę.

Nina wyprostowała się. Potem spojrzała na nas i nie wytrzymała.

- Ostatnio doszłam do wniosku, że mężczyźni nie są tacy źli. Przynajmniej nie wszyscy. Wiecie, mówię o Grzesiu... - Spuściła głowę.

To tak!? Mamy pocieszać Tereskę naszymi problemami, a ona co robi? Teresa ubrała w słowa moje myśli:

- I ty teraz takie teksty wygłaszasz? Jak ty nam możesz to robić!

- Przepraszam. Ale ja go kocham - wypaliła nagle Nina w widocznym popłochu. - I już nic na to nie poradzę.

- Co? - ostępiałam.

Nawet twarz Tereski okraślił słaby uśmiech.

- I on też mnie kocha! - odparła rozanielona Nina. - Czyż to nie brzmi fantastycznie? Kocha... - Wpatrzyła się w okno, a jej uśmiech można by zaliczyć do tych najbardziej cielejących.

- Wygłupiasz się! - Nie mogłam w to uwierzyć. - Ale... on cię przecież nigdy nie pociągał. Śmiałaś się, że ma takie wielkie odstające uszy!

- Wcale nie ma. Ma najstodsze uszka, jakie widziałam. Tylko wyraziste, z charakterem.

Pokiwałam głową, a ona rzuciła nagle, jakby musiała pozbyć się swojej słodkiej tajemnicy:

- I wczoraj...

- Tak? - zainteresowałyśmy się obie. Sprawa Tadzia zeszła na dalszy plan.

Nina spojrzała na nas i przybrała zboląłą minę.

- Nie mogłam wczoraj zasnąć po tym wszystkim, co się przydarzyło Teresce, bo ja jestem bardzo wrażliwa na czyjąś krzywdę - zaczęła się skarżyć. - Poszłam na spacer. Wyobraźcie sobie, że wtedy zupełnie przypadkiem spotkałam Grzesia. To przeznaczenie chyba...

- Przypadkiem? Gdzie? - zapytałam zdumiona.

- Przypadkiem pod jego blokiem. Wracał z tej imprezy.

- A która była? - zapytałam zaciekawiona.

- Kolo północy. I spacerowaliśmy wspólnie. Bo musiałam z kimś porozmawiać. Jakoś mi tak smutno było... - mówiła niemalże ze łzami.

Tereska spojrzała na nią spod oka, ale się nie odezwała.

- A potem Grześ odprowadził mnie do domu, bo to niebezpiecznie tak samej chodzić po nocach. Jaki szlachetny, prawda!? - zapiszczała nagle, a potem zarumieniła się i powiedziała: - I z wdzięczności zaprosiłam go na kawę...

- Na kawę!? Ty bezwstydnico!

- Ale on powiedział, że nie pije kawy wieczorami, bo potem nie może spać.

Parsknęłam śmiechem, a Nina rzuciła we mnie serwetką.

- Jak to załatwiłaś? - zapytała Tereska.

Nina uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Twardziel z niego straszny, ale powiedziałam mu, że czasami warto w nocy nie spać. On spytał czemu, a ja wtedy, żeby wszedł i napił się tej kawy, to mu pokażę...

Zapiszczałyśmy wszystkie jednocześnie.

- I co!?

Nina zaczęła chichotać.

- I pokazałam - przyznała się otwarcie. - Wiecie, że uszy idą w parze z...

- A dowiedziałas się czegoś? - przerwałam jej.

Tereska sączyła swoją czarną kawę, obserwując z zadowoleniem podekscytowaną Ninę.

- Dowiedziałam się, że mnie kocha! Grześ mnie kocha! - powtarzała jak pensjonarka. - Ach! I wiecie, co!/? - Przez chwilę wpatrywała się w nas z podekscytowaniem, a potem rzuciła: - Wyobraźcie sobie, że on mnie kocha, nawet jak jestem bez makijażu!

- Bez koronkowych majtek też cię pewnie kocha - mruknęłam, ciesząc się w głębi duszy jej szczęściem. W końcu do tej pory żadnego z jej związków nie można było nazwać udanym. Dziwnym trafem zawsze, jak jakiś zepsuty magnes, przyciągała nieodpowiednich facetów. A Grześ był wyjątkowo przyzwoity. I wyjątkowo lojalny.

- A tak! - powtórzyła gorliwie. - Bez majtek też mnie kocha! I nie muszę być przy nim wygadana ani inteligentna, ani modna. Nie muszę mieć idealnej fryzury. On mnie kocha, bo jestem fajna! Czy to nie piękne!/? - Śmiała się radośnie, a rozanielenie nie zniknęło z jej twarzy.

Patrzyłam na nią z daleko posuniętą pobłażliwością, ale nagle przypomniało mi się, że przecież miała do spełnienia bardzo ważną misję szpiegowską.

- To świetnie, ale nie o to mi chodzi. Czy dowiedziałas się czegoś na temat Pawła i silikonowej Dorotki?

Uśmiech zamarł na jej twarzy.

- No wiesz!?! - powiedziała, patrząc na mnie ze świętym oburzeniem. Nawet trochę niepewnie się poczułam. - W sytuacji intymnej miałam go wykorzystać? Wiesz, na kogo bym wyszła!? A co to ja jestem? Mata Hari? - Westchnęła pełna oburzenia. I zaraz potem zapytała, zmieniając ton na konfidencjonalny: - A Paweł? Mówił może coś o Grzesiu i o mnie?

- Zacznę z nim flirtować, to może się czegoś dowiem - odezwała się jadownicie.

Nina pokazała mi język i dołała sobie kawy.

- Masz więcej mleka? - zapytała Tereskę, pokazując pusty dzbanek.

Tereska jakby czekała na to pytanie.

- Nie. Ale zawsze mogę ci jeszcze trochę wydoić.

- Świetnie! - Parsknęła śmiechem zupełnie już wyluzowana Nina. - To gdzie tu trzymasz krowę?

- A kto ci powiedział, że to krowie mleko?

Zrozumiałam wyrachowaną zemstę Tereski. Nina spojrzała na nas z przerażeniem.

- Kozie? - zagadnęła błagalnym tonem.

Tereska pokręciła przecząco głową.

- Owcze? - wyjąkała biała jak chusta Nina.

Tereska z okrutnym uśmiechem kręciła głową.

- Kocie?

- Moje - skończyła wreszcie agonię Niny i wskazała na stojącą na półce pompkę.

Nina bez słowa zerwała się z krzesła i popędziła do łazienki. Trzaśnięcie drzwi obudziło Frania, który zaczął krzyczeć. W końcu ktoś wypił jego mleko.

Wróciłam do domu i poczułam, że ogarnia mnie straszna niemoc. Na górze słyszałam tupoty i krzyki dzieci, które bały się z Elżbietką w ciuciubabkę. Księżniczka najwyraźniej chciała pomóc, pewnie zagryźć tego, co nie widział. Z ciężkim westchnieniem usiadłam na schodach. Miałam dość. Było

mi już wszystko jedno, ile ważę, ile mierzę i ile mam zmarszczek. Było mi nawet wszystko jedno, czy Paweł zdążył już założyć swoje skórzane majtki. Zrozumiałam jedno. Nadszedł czas, żeby skończyć tę farsę.

I znowu zacząć jeść.

Wtedy usłyszałam dźwięk przekręcanego w zamku klucza. Poderwałam się ze schodów, w drzwiach pojawił się Paweł. W rękę trzymał kask.

- Coś się stało? - zapytałam zaskoczona jego niespodziewanym pojawieniem się. - Co robisz w domu o tej porze?

Odwrócił oczy i odłożył kask na krzesło.

- Mama do mnie dzwoniła - powiedział, ściągając kurtkę i buty. Minął mnie obojętnie i podszedł do okna. - Zaraz przyjedzie po psa i pomyślałem, że lepiej, jak tu będę. - Rzucił mi kłujące spojrzenie. - A co? Nie pasuje ci to? - dodał, nie wiem po co.

Wydałam z siebie cichy pomruk.

- Wszystko mi jedno - odparłam. - Zresztą... - zawahałam się nagle. W głowie pojawił się obraz skórzanych majtek, które na pewno pasowały do czarnych *dessous* na foremnej pupie Dorotki. Słowa wezbrały we mnie i żeby się nimi nie zadławić, musiałam je w końcu z siebie wyrzucić. - Nawet lepiej, że jesteś. Musimy porozmawiać.

Czekałam. On też. Staliśmy naprzeciwko siebie, przypatrywaliśmy się sobie przez krótką, acz niezwykle intensywną chwilę. Dałabym sobie głowę uciąć, że wymianie naszych spojrzeń towarzyszyły jakieś elektryczne spięcia i gdyby ktoś niespodzianie znalazł się pomiędzy nami, ta niezwykła siła poraziłaby go. Na śmierć.

- Też tak myślę - powiedział w końcu ponuro, a intensywne światło w jego spojrzeniu zgaśło. Na twarzy wypisaną miał winę. Pewnie chce rozgrzeszenia. Spuściłam wzrok, a on dodał jeszcze: - Już od jakiegoś czasu chciałem ci coś powiedzieć.

Poczułam łomot w piersiach. Serce podeszło mi do gardła i zamierzało wyskoczyć na zewnątrz w próbie samobójczej. Przełknęłam ślinę. Serce wróciło na miejsce, ale nie biło już tak mocno jak wcześniej. Najwyraźniej traciło motywację. Chciałam poprosić Pawła, żeby powiedział to od razu, bo najgorsza prawda jest lepsza od niepewności, ale właśnie wtedy usłyszeliśmy dźwięk dzwonka. Teściowa jak zwykle zjawiła się nie w porę, jakby miała wszczepiony jakiś chip wykrywający potrzebę innych do prywatności. Dzwonek zabrzmiał jak warkot mechanicznej piły. Nigdy wcześniej nie miałam takiego skojarzenia. Ale z drugiej strony nigdy wcześniej moja teściowa nie miała pretekstu, żeby oderznąć mi głowę. Druga seria. Zadrżałam i odsunęłam się od drzwi. W jednej minucie w całym domu zapanowała cisza. Po chwili usłyszałam tupot na schodach. Na dole pojawiły się dzieci razem z Elżbietką i psem. Małgosia podeszła do drzwi i spojrzała przez wizjer. Potem odwróciła się podekscytowana.

- Babcia przysłała - oświadczyła, zacierając ręce i odbierając nam resztki nadziei. Zerknęła złośliwie na Antka. Ten, przestraszony, wziął na ręce Księżniczkę i schował się szybko w kuchni.

Staliśmy w przedpokoju, wpatrując się w drzwi z takim lękiem, jakby za nimi stała zakrwawiona seryjna morderczyni z pilą mechaniczną - narzędziem mordu w ręku.

Zebrałam wszystkie siły, a potem z godnością otworzyłam drzwi. I od razu pożałowałam.

Teściowa zmierzyła mnie wzrokiem z góry na dół, potem weszła do środka i dopiero wtedy, widząc całe oczekujące na nią towarzystwo, wykrzyknęła entuzjastycznie:

- Wreszcie wróciłam! Jak ja się stęskniłam za moją Księżniczką! No i za wami wszystkimi, oczywiście - trajkotała, uśmiechając się do Małgosi. - Popatrz, co przywiozłam dla mojej pupuni!

Wyciągnęła z torby różowe wełniane wdzianko i kokardkę na głowę do kompletu.

- To na wystawę! Ładne, prawda? Zmusiłam kuzynkę, żeby wydziergała na miarę.

- To ona jeszcze była w stanie? - wyrwało mi się.

Zapanowała cisza.

Teściowa odwróciła się w moją stronę i spojrzała na mnie krzywo.

- Rękami ruszała - oświadczyła. Najwyraźniej nie miała żadnych wyrzutów sumienia i chciała, żeby tak zostało. - A coś ty z włosami zrobiła? Przecież to woła o pomstę do nieba!

Miałam za swoje. Było się odzywać bez pytania? Potem teściowa spojrzała na Małgosię i Pawła i nagle mi odpuściła. Musiała być w wyjątkowo dobrym humorze. Jak wtedy, kiedy wreszcie przestała udawać, że jest umierająca, i zgodziła się na nasz ślub.

- Dla was też coś przywiozłam, kochani! O! Świeżutka kaszanka domowej roboty. Wczoraj ubili świnie. Pytałam nawet kuzynkę, czy już na stypę, ale akurat wtedy zrobiło się jej słabo, więc nie wiem. Tak czy inaczej kaszanka jest przepyszna - opowiadała dalej, przeszukując swoje torby.

- Mama jest na diecie - wdrożyła ją Małgosia.

No nie! Jak nie teściowa, to własna córka. Oszaleć można. I jak tu być normalnym?

Teściowa nic nie powiedziała, tylko spojrzała na mnie ironicznie i prychnęła. Ale zaraz potem coś się jej przypomniało.

- Wiecie co!? - zawiesiła głos, chcąc spotęgować wrażenie. Zachowywała się, jakby za chwilę miała nam wyjawić największą tajemnicę wszechświata. - Mleko wam też przywiozłam. Prosto od krowy! Dziś rano Staszek doił! - obwieściła triumfalnie.

Z tyłu usłyszałam udawany kaszel i powietrze przeszył wyzywający głos Elżbietki:

- Rany, ale cuda! Krowie mleko! Od krowy!

Teściowa zamarła, a potem odwróciła się powoli. Stała twarzą w twarz z Elżbietką, która uzbrojona w cięty język najwyraźniej postanowiła odwdziżyć mi się za gościnę.

- Czy to mleko jest pasteryzowane? - Małgosia starała się odwrócić uwagę babci od Elżbietki. Nie udało się. Teściowa wpatrywała się w hardą twarz mojej niani.

- A ty kim jesteś, dziecko? - Głos teściowej miał moc paralizatora. Ale po Elżbietce wszystko spływało. Była z tych, co to je nazywają gruboskórnymi.

- Elżbieta Nowak, babciu - powiedziała wyzywająco, wypinając swój push-up.

Teściowa znieruchomiła.

- Nie jestem twoją babcią, dziecko - powiedziała spokojnie, ale w jej oczach dostrzegłam żądzę mordy.

- A ja nie jestem twoim dzieckiem, babciu - odpowiedziała bardzo grzecznie Elżbietka.

Teściowa zachowała zimną krew, jednak zauważyłam, że jej dolna warga wpadła w jakieś dziwne wibracje.

- I całe szczęście, dziecko, bo to twoja matka puściła się przecież z listonoszem, prawda? - zapytała słodkim głosem teściowa.

Spojrzałam na nią z oburzeniem. Jak ona śmie mówić moim gościom takie rzeczy? I to jeszcze przy moich dzieciach!? Nie zdążyłam się odezwać, bo Elżbietka była szybsza.

- Ależ nie, babciu. Z kurierem, a to duża różnica - oświadczyła przytomnie. I bez urazy. - Ale za to suka babci puściła się z dalmatyńczykiem. A to już naprawdę nie uchodzi. I trzeba ją będzie uśpić, bo jest agresywna i pogryzła kobietę. Do krwi - dodała, oblizując wargi jak wampirzyca po krwawej uczcie.

Poczułam, że temperatura spada, i dostałam gęsiej skórki. Czekałam na burzę.

Nastąpiła cisza, którą przerwał nerwowy chichot Małgosi. Teściowa nie odrywała wzroku od Elżbietki.

- Pawełku, co ta osóbką sugeruje? Co się stało mojej pupuni?

- Przejrzała na oczy - oświadczyła jeszcze Elżbietka.

- Pawełku, ona mnie obraża - powiedziała nagle teściowa. - Zrób coś.

Paweł spojrział najpierw na mnie, potem na Elżbietkę, w końcu na matkę i pod wpływem jakiegoś impulsu powiedział spokojnie, ale wyjątkowo stanowczo:

- Czego ty ode mnie oczekujesz, mamó? Przychodzisz tutaj, obrażasz moją żonę, mojego gościa, a potem chcesz, żebym coś zrobił?

Stałam i patrzyłam na Pawła. W mojej głowie pojawiła się myśl, że może wrócił do domu nie po to, żeby wesprzeć matkę, ale po to, żeby wesprzeć mnie. Zrobiło mi się miło. Ale tylko na chwilę.

Teściowa zbladła z oburzenia.

- I ty przeciwko mnie!? Nastawili moje dziecko przeciwko mnie! Wiedziałam, że tak będzie! Że też ja takiego dnia dożyłam! Ale na pewno niedługo będę to oglądać. Już mam zgarę. Pewnie zawał! - Chwyciła się za serce, a potem nagle przypomniała sobie o czymś: - A gdzie mój pies!? Pupuniu, gdzie jesteś? Wychodzimy stąd!

Nikt się nie odezwał, nikt nie ruszył się z miejsca.

Teściowa zaczęła przywoływać Księżniczkę. W końcu Antek nie wytrzymał i wyskoczył zza kuchennych drzwi.

- Nie denerwuj się, babciu. Przecież tu jest, razem ze mną, o!

Księżniczka wyrwała się Antkowi, wskoczyła radośnie na swoją panią i zaczęła ją żarliwie lizać po twarzy.

I nie mogła zrozumieć, dlaczego pani wpatruje się w nią z przerażeniem, a potem pada jak długa na podłogę.

Po dłuższej chwili, w której główną rolę odegrały kropki walerianowe, zimna woda i policzki, najzwawiej aplikowane przez Elżbietkę, teściowa doszła do siebie. Nie chcąc

przeszkadzać Elżbietce w jej wyjątkowo udanej próbie ocucenia omdlałej, podziękowałam jej cicho za wsparcie i z odległości obserwowałam razem z Pawiem jej poczynania. W pewnym momencie Paweł dotknął mojej ręki. Wzdrygnęłam się i spojrzałam na niego.

- Musimy porozmawiać - powiedział cicho. - Chciałem ci o czymś powiedzieć. To... to dla mnie bardzo trudne.

I wtedy oczywiście teściowa otworzyła oczy. Przez chwilę wpatrywała się tępo w Elżbietkę, która uśmiechała się do niej nadzwyczaj uprzejmie. Potem zaczęła jęczeć. Paweł westchnął cicho i podszedł do niej.

- Co się jej stało, Pawełku? - jęczała teściowa, wpatrując się podejrzliwie w Księżniczkę. - Jak to możliwe, że jej włosy wypadły? To pewnie przez tego dalmatyńczyka. A czy on przynajmniej był szczepiony?

- Chodź, mamó - powiedział chłodno Paweł. - Odwiozę cię do domu i opowiem ci wszystko po drodze.

Pomógł jej się podnieść i wyprowadził na zewnątrz. Wyszłam za nimi, trzymając na rękach Księżniczkę. Paweł cierpliwie zapakował matkę i psa do samochodu, a potem, kiedy już zamknął drzwi auta, spojrzał na mnie.

- Odwiozę mamę, a kiedy wrócę, pójdziemy gdzieś porozmawiać, dobrze? - zapytał śmiertelnie poważnie. A ja nagle uświadomiłam sobie, jak bardzo go kocham.

Długo jeszcze stałam przy ulicy, wpatrując się w zakręt, za którym zniknął samochód.

A potem wpadłam w panikę. Odwróciłam się na pięcie i w ciągu kilku sekund znalazłam się przed szafą. Zaczęłam przerzucać ubrania w poszukiwaniu tej jedynej kreacji, dzięki której mój mąż będzie bardzo żałował. Wszystkiego.

Elżbietka wetknęła głowę do sypialni i obserwowała mnie przez chwilę. Potem powiedziała:

- To ja zabiorę dzieciaki na plac zabaw, a ciocia niech się koniecznie zrobi na bóstwo. Opcję seksowną proponuję.

To kobietom zawsze pomaga. Tutaj pomaga - popukała się w głowę. - Facetom to też oczywiście pomaga. Ale im na co innego. - Potem uśmiechnęła się słodko i wychodząc, dodała jeszcze: - Zanim zapomnę, rano dzwoniła babcia Malwina.

- Czego chciała? - zapytałam, wyciągając sukienkę. Seksowną.

- Kazała przekazać, że jedzie na Mazury.

- Na Mazury? - ostępiałam.

- Aha. Z jakimś Edkiem. Nie zostawiła adresu, żeby jej w razie czego policja nie mogła namierzyć.

Elżbietka zniknęła w korytarzu, a ja wzruszyłam ramionami. Najwyżej będę babci paczki do więzienia przywozić. Każdy żyje przecież na własny rachunek. I na własny rachunek popełnia błędy. Miałam tylko nadzieję, że babcia Malwina nie zapomniła, iż kiedyś z tych błędów trzeba się będzie rozliczyć, a ich skutki mogą się okazać nieodwracalne. Zaczęłam myśleć o Pawle. Co zrobię, kiedy powie mi wreszcie o swoim roman-sie? Nie wiem. Pozostawała mi improwizacja. A improwizacja stanowczo wymaga starannych przygotowań. Tak więc założyłam nową bieliznę w zestawie z seksownym pasem do pończoch. Do tego czarną sukienkę. I czarne szpilki. Jedyne, które mi zostały. Wstałam. I już wiedziałam, że cokolwiek by mi powiedział, dam sobie radę. Bo kontroluję sytuację.

- Jak to jesteś w biurze!? - wrzasnęłam do słuchawki. - Przecież czekam na ciebie już dwie godziny.

W żadnym wypadku nie kontrolowałam sytuacji.

- Wiem. Przyjadę, kiedy tylko będę mógł - usłyszałam jego opanowany głos. - Musiałem wrócić do biura. Mamy sytuację kryzysową. Dorota się pogubiła w wysyłkach i błagała mnie o pomoc. Okazało się, że wrócili nam z granicy dwa kontenery stołów operacyjnych, zrozum...

Rzuciłam słuchawką. Czemu to ja zawsze muszę rozumieć? Ani mi się śni! Nie rozumiem!

Wściekła i bezsilna wpatrywałam się w zegar. Była siódma. Dzieciaki dawno już wrócili z placu zabaw. Elżbietka, wyczuwając mój rozstrój emocjonalny, zrobiła im kolację i przetrzymywała na górze w charakterze zakładników. Chodziłam przez chwilę po pokoju w tę i we w tę, ale nic nie wymyśliłam.

Potem szukając porady u mojego wymyślanego psychiatry, położyłam się na kanapie.

- Mam pecha - zaczęłam się żalić. - Nawet wróżki nie chcą mieć ze mną nic wspólnego. Mąż mnie zdradza...

- Przynajmniej wieczorami nie zakłada boa z piór - usłyszałam głos wymyślanego psychiatry.

- Może i nie, ale za to wkłada skórzane stringi. - To był żelazny argument. Po chwili dodałam żałośnie: - Nawet babcia Malwina łądaczy się z jakimś podstarzałym adonisem na Mazurach. A ja co mam z życia? Tylko gorycz i zbędne kalorie. Tak, moje życie jest bardzo kaloryczne i nieznośna lekkość bytu na pewno mi nie grozi.

- Zemsta - podsunął mi nieśmiało mój wymyślony psychiatra. - Wynagrodzi straty moralne i może być całkiem satysfakcjonująca.

- Zemsta - powtórzyłam na głos. Spodobał mi się już sam dźwięk tego słowa. - Tylko jak można się zemścić na wiarygodnym mężu i jego kochance?

I wtedy do mnie dotarło. Przecież to takie oczywiste!

Powoli podeszłam do krzesła, na którym wisiła moja torebka. Przez chwilę bawiłam się sprzączką. Potem niepewnie wsadziłam rękę do przepastnego wnętrza i wyczulam zimno metalu. Znalazłam to, czego szukałam. Minęła dobra chwila, zanim zdecydowałam się wyciągnąć rewolwer. Wpatrując się w niego ze skupieniem, zaczęłam się zastanawiać, co stolarz miał na myśli, mówiąc, że na pewno zrobię z tego colta dobry użytek. Obracałam go w rękach. Był zardzewiały i oblepiony gumą do żucia, którą Antek wrzucił mi pewnie do torebki,

ale poza tym wyglądał całkiem poważnie. Wręcz porażająco śmiertelnie. Zupełnie nieistotne dla mnie było to, że jakieś sto lat temu się zaciął i od tamtej pory nie wystrzelił.

Zaczęło nurtować mnie pytanie: czy powinnam go użyć?

Minęła dziewiąta. Siedziałam na kanapie i wciąż intensywnie wpatrywałam się w rewolwer. Paweł dzwonił jeszcze trzy razy, ale nie odbierałam. Po czwartym telefonie przestał dzwonić.

A ja zdecydowałam się działać. Najpierw łyknęłam trochę wina, a potem obciążyłam nieco lewą nogę, umieszczając za pasem do pończoch rewolwer, który pasował tam jak ulał. Jakbym się urodziła do noszenia broni pod spódnicą. Zimno metalu wywołało we mnie nagły dreszcz i poczułam się tak naładowana, że nie byłam już w stanie dłużej czekać. Chwycałam torebkę i wybiegłam na zewnątrz, a ślepa furia zatrzasnęła za mną drzwi. Zbiegłam po schodach i... zatrzymałam się na podjeździe.

Samochodu nie było.

Uświadomiłam sobie, że przecież Paweł wziął auto. Na ułamek sekundy pociemniało mi w oczach, ale zaraz potem doszłam do siebie i zaczęłam myśleć logicznie.

- Taksówka - mruknęłam całkiem spokojnie jak na stan emocjonalny, w jakim się znalazłam, i odwróciłam się na pięcie. Przez moment stałam jeszcze bez ruchu na podjeździe, ogarnięta nagłym uczuciem niepokoju. Przypomniało mi się, że nie wolno wracać się do domu, bo to przynosi pecha. Ale zaraz parsknęłam śmiechem. Bo czy może mnie spotkać coś gorszego? Już chciałam na głos wyzwąć los, kiedy mój wzrok padł na stojący przed garażem ukochany motocykl Pawła. I wtedy spłynęło na mnie olśnienie. Takie z najbardziej olśniewających. I oślepiających. Bo nic już nie mogło wybić mi z głowy mojej wendety. Wiedziałam, co go zaboli najmocniej.

Weszłam z powrotem do domu i nie zaświecając nawet światła, usiadłam przed komputerem. Pchana jakimś złym impulsem weszłam na stronę aukcji internetowych. Potem w odpowiednie miejsce wpisałam hasło „honda hornet”. Pokazało się dwadzieścia rezultatów. Wpatrzyłam się w ekran komputera.

Wtedy znowu zadzwonił telefon. Spojrzałam na wyświetlacz. Tym razem dzwonił Rafał.

Nie zamierzałam odbierać. Kiedy jednak zadzwonił po raz czwarty, z westchnieniem oderwałam palce od klawiatury (właśnie tworzyłam idealny opis motocykla Pawła) i niechętnie odebrałam.

- Tak? - zapytałam zniechęcająco.

Na jednym z ogłoszeń zobaczyłam motocykl, który wygląda! zupełnie tak samo jak skarb Pawła. Też był czarny.

- Błagam cię, Agata, choć raz w życiu bądź dobrą siostrą i pomóż mi!

- Ostatnio ci pomogłam i nic dobrego z tego dla mnie nie wynikło.

- No wiesz! - usłyszałam wyrzut, a potem głos mu złagodniał. - Słuchaj, ja cię strasznie proszę, jedź ze mną!

- Absolutnie nie. Mam problemy osobiste... - oświadczyłam.

Wkleiłam zdjęcie do ogłoszenia i *voilà* - gotowe. Jeszcze cena.

- Nie! - w telefonie zbulgotało. - Nie wciskaj mi tego kitu! Nie tym razem. Posłuchaj, przed chwilą, i to z jakiegoś hotelu, o którym pierwszy raz słyszę, dzwoniła do mnie fałszywa Perpetua. Cały czas jęczała do słuchawki: *Ayudame, por favor. Me muero...* Sprawdziłem w słowniku, co to znaczy, i wcale mi się to nie podoba.

Mnie też się to nie spodobało.

- To zadzwoń na policję - zasugerowałam rozsądnie, zastanawiając się nad ceną motocykli.

- Zwariowałaś? A jak mi wybuchnie samochód?

Ile może być wart taki okropny motocykl? Może złotówkę?

- A nie możesz jechać sam?

Cisza. Po chwili jęknienie.

- Po pierwsze, dobrze wiesz, że nie znam hiszpańskiego, a po drugie, to bardzo delikatna sprawa. Nie mogę jechać sam w nocy do obcej kobiety. To mogłoby zostać źle odebrane przez moich przełożonych. - Westchnęłam ciężko. Rafał martwił się nawet o swoich przełożonych, cóż za wielkoduszność! Cemu nie martwił się o mnie! Obudził jednak moją ciekawość.

- Ale potem dasz mi spokój? - zapytałam i postanowiłam wystawić motocykl na „kup teraz” za złotówkę.

- Tak. Morze spokoju. Tyle spokoju, ile tylko będziesz chciała - zapewnił mnie gorliwie.

- No dobra, przyjadę - powiedziałam wbrew sobie, czytając jeszcze raz ogłoszenie. - Który hotel?

Wyłączyłam telefon i uśmiechnęłam się wyjątkowo radośnie - zaraz po tym jak w oceanie innych ofert umieściłam swoje ogłoszenie. Wyglądało wyjątkowo profesjonalnie. Może powinnam bawić się w to częściej? Obiecałam sobie, że po powrocie do domu sprzedam jeszcze skórzane majtki Pawła. 1 jego nowe szkła kontaktowe. 1 kochankę. Jeśli ją będzie ktoś chciał. Rozważałam nawet sprzedaż za dopłatą, gdy nagle usłyszałam huk, dochodzący z mroku korytarza.

Podsłoczyłam gwałtownie. Rozbłysło światło i tuż przede mną pojawiła się Elżbietka.

- Cholera, ale się uderzyłam!

- Cholera, ale mnie przestraszyłaś! - wyjąkałam, jak złapaną na gorącym uczynku. Nawet rumieńców dostałam.

- Myślałam, że cioci nie ma - powiedziała Elżbietka, mäsując sobie kolano.

Przełknęłam ślinę.

- Zaraz wychodzę. Muszę tylko zamówić taksówkę. Znowu brat mnie prosił o przysługę.

- Całe szczęście, że ja nie wyświadczam przysług. Już od dawna wiem, że jak się raz coś dla kogoś zrobi, to potem nie

można się opędzić. Ale jak to? - przypomniała sobie nagle. - A wujek gdzie?

- Paweł jeszcze nie wrócił - wyjaśniłam, zamawiając jednocześnie taksówkę. - Kiedy przyjdzie, powiedz mu, proszę, że musiałam zobaczyć się z bratem i nie wiem, kiedy będę z powrotem. I jakby chciał wiedzieć, dokąd pojechałam - przypomniły mi się nagle jego złośliwości - to jestem w hotelu Janusz. Zapamiętasz? Hotel Janusz.

Wyjątkowo długo czekałam na taksówkę. Kiedy stałam na chodniku przed bramką, odniosłam wrażenie, że ktoś patrzy na mnie z mroku. Odwróciłam się gwałtownie. Nikogo nie było. Tylko jakiś samochód stał na światłach postojowych w sporej odległości ode mnie, najwidoczniej na kogoś czekając. Było strasznie pusto, a księżyc odbijał się rdzawym światłem w ciemnych oknach pobliskich budynków. Poczułam się nieswojo. Krzaki w ogrodzie sąsiada poruszyły się. Już chciałam wrócić do domu, kiedy wreszcie pojawiła się taksówka. Dostownie znikąd. Reflektory rozdarły mrok. I wtedy niespodziewanie z krzaków wypadł wielki kot. Sparaliżowana wpaływałam się w jego dzikie oczy. Trwało to ułamek sekundy, kot jednym zwinnym ruchem przeskoczył przez płotek i zniknął gdzieś w ciemnościach nocy. Szybko wskoczyłam do taksówki. Opałam na siedzenie.

- Hotel Janusz - wyjąkałam, próbując odzyskać spokój.

Odwróciłam się na wszelki wypadek, ale kot zniknął już w ciemnościach nocy. Samochód na światłach postojowych doczekał się wreszcie na tego, na kogo czekał, i ruszył wolno przed siebie. Rozsiadłam się wygodnie i patrząc na światła ulicy, wpadłam w dziwny stan otępienia, przerywany jedynie atakami złości, kiedy w moje myśli wdzierał się obraz Pawła i Dorotki. Razem. A obok dwa kontenery stołów operacyjnych.

- To tu - wyrwał mnie z zamyślenia głos taksówkarza.

Wyrzałam nieprzytomnie przez okno i uświadomiłam sobie, że nie mam zielonego pojęcia, gdzie jestem. Taksówkarz podejżdzał wyboistą dróżką pod wejście do hotelu, a ja rozglądałam się podejrzliwie dookoła, starając się zwalczyć niepokój, który rozpierał mnie od środka. Jak niestrawność.

Kryjówka, którą wybrała sobie Perpetua, była strzałem w dziesiątkę. Hotel znajdował się z dala od wszelkich uczęszczanych tras, w jakimś zagajniku. Budynek wyglądał jak miniblok przeniesiony na to odludzie z jednego z gierkowskich osiedli. Nie mogąc powstrzymać ogarniającego mnie ziewania, zakryłam dłonią usta. Przeczytałam napis nad drzwiami budynku. I zakrzusiłam się własnym ziewnięciem. Dusząc w sobie resztki kaszlu, zamknęłam oczy. Otworzyłam jeszcze raz.

- Czy jest pan pewien, że to jest hotel Janusz? - wykaszlałam, patrząc nieco osłupiała na taksówkarza.

Mężczyzna zerknął w stronę drzwi, a na jego pełnej twarzy pojawił się mały uśmiech, który szybko zamienił się w pełną gamę rechotów.

- Widocznie chłopaki powybijali pierwszą i ostatnią lampę, proszę szanownej pani - ryczał pomiędzy atakami śmiechu. - Hotel _ANUS_, a niech mnie! Sam bym powybił!

Zapłaciłam i wysiadłam. Taksówkarz nawracał, nadal zanosząc się przeraźliwym śmiechem. Mnie wcale nie było do śmiechu. Przez chwilę miałam wielką ochotę rzucić się biegiem za taksówkarzem i błagać go, żeby na mnie czekał, ale było już za późno. Zostałam sama. Z biciem serca obserwowałam tylko, jak taksówka odjeżdża, odbijając się raz od jednego krawężnika, raz od drugiego, w zależności od strony, na którą taksówkarz znosił się śmiechem, o mały włos nie zdezrając się z samochodem, który stał zaparkowany w pewnej odległości od hotelu, na środku dróżki.

Taksówkarz zatrzymał się gwałtownie i usłyszałam tylko, jak jego atak śmiechu zamienia się w atak wściekłości:

- Światła postojowe włącz, baranie!

Kierowca pojazdu nie zareagował. Miałam wątpliwości, czy w ogóle siedzi tam ktoś żywy. A może to jakieś nawiedzone miejsce? Przeszedł mnie dreszcz strachu. Chciałam zwać. Niestety nie miałam jak. Po krótkiej chwili obciągnęłam swoją seksowną sukienkę i na obolałych nogach skierowałam się w stronę wejścia, przeklinając w duchu moment, w którym odebrałam telefon od Rafała. I założyłam szpilki.

Hotel Janusz powitał mnie niewybrednymi wulgaryzmi powypisywanymi na murze tuż obok odrapanych drzwi wejściowych. Ktoś ćwiczył kaligrafię. W końcu Kali mówić, Kali pisać. Jedyna lampka oświetlająca wejście świeciła tak słabo, że trudno było zobaczyć własne buty. Najwidoczniej właściciel oszczędzał na elektryczności.

Z niepokojem obejrzałam się za siebie. W oddali słychać było szum autostrady, który nie zdołał jednak stłumić wdzierającej się do mojego umysłu niepokojącej ciszy mroku. Zarys samochodu stojącego w ciemnościach nabrał ponadnaturalnych kształtów. Komary atakowały. Bez ostrzeżenia.

Z owego niepokojącego mroku wyłonił się nagle Rafał.

- Ale mnie wystraszyłeś! Skąd się tu wzięłeś? - wydyszałam, chwytając się za serce.

- Zaparkowałem z drugiej strony hotelu - powiedział tylko i szybko otworzył drzwi wejściowe.

- A gdzie twoja sukienka? - zapytałam, zauważywszy, że jest ubrany po cywilnemu. Uspokoiliam oddech i starałam się nie poddawać atmosferze grozy, która wisiała w powietrzu.

Przepuścił mnie w drzwiach.

- Nauczę cię nowego słowa: sutanna, siostrzyczko. Został w domu. To nie jest właściwe miejsce dla księdza. Mogłbym stracić reputację.

Weszliśmy. W recepcji świeciła tylko mała lampka stojąca na ladzie. Reszta pomieszczenia tonęła w mroku. Zbliżyliśmy się zatem do światła. Jak i wszystkie zgromadzone tu owady.

- W czym mogę pomóc? - zapytała zmęczonym głosem młoda recepcjonistka. Jej długa szyja rzucała cień w kształcie węża, zakończony wielką paszczą. Wzdrygnęłam się mimowolnie.

- Czy zatrzymała się może u państwa... kolumbijska zakonnica? - odezwał się niepewnym głosem Rafał.

- Siostra Perpetua Cadena? - upewniła się recepcjonistka i wskazała ręką windę. - Trzecie piętro, drugie drzwi na lewo - powiedziała zupełnie bez emocji i wróciła do tępego wpatrywania się w ekran telewizora.

Bez słowa podeszliśmy do windy, a Rafał, wyraźnie zdemotywany, nacisnął guzik. Po dłuższej chwili spróbował jeszcze kilka razy. Bezskutecznie. Kiedy już mieliśmy ruszyć schodami, drzwi windy otworzyły się niespodziewanie, a z jej wnętrza wytoczyło się dwóch pijanych Anglików. Podeszli do recepcjonistki. Pomiedzy wyraźnymi *fuck man* i mniej wyraźnymi *bat darling* zaczęli domagać się klucza do bufetu. Rafał bez zastanowienia wszedł do odrapanego wnętrza windy i wciągnął mnie za sobą. Nacisnął guzik oznaczony numerem trzy i drzwi zamknęły się za nami ze złowrogim zgrzytem, odgradzając nas od rzeczywistości. Winda ruszyła, wydając piski jak gumowa świnka i zacinając się co chwila, jakby rozważała, czy spaść teraz, czy dopiero następnym razem. Obiecałam sobie w duchu, że dla mnie następnego razu nie będzie. Następnym razem pójde schodami.

Rafał odwrócił się do mnie, panikował.

- Mam nadzieję, że nie jest za późno - wyszeptał rozgoryczkowany. - W co ona się mogła wpakować?

Nie miałam czasu na odpowiedź, bo winda zatrzymała się tak gwałtownie, że straciłam równowagę. A kiedy drzwi się w końcu otworzyły, Rafał wypadł na korytarz i galopem ruszył w lewo. Gdy go dogoniłam, stał nieruchomo przed drzwiami i myślał.

- A może powinniśmy jednak iść na policję? - wybąkał. Krew mnie zalała.

- Rafał, ja nie mam dzisiaj czasu na głupoty - oświadczyłam i ominąwszy go zgrabnym lukiem, podniosłam rękę, żeby zapukać. I zastygłam z podniesioną dłońią. Drzwi miały kolor krwistoczerwony. W ułamku sekundy powróciła do mnie noga Butchera, ale zaraz potem zobaczyłam koniec całej tej historii. Bo wiedziałam, że to są właśnie te drugie drzwi. Ostatnie.

Nie tracąc już więcej czasu, zamknęłam oczy i zapukałam głośno. Cisza. Moje serce zaczęło kołatać. Zapukałam znowu. I znowu nic. Spojrzałam na Rafała. Widząc przerażenie na jego twarzy, postanowiłam przerwać jego męczarnię. Swoją zresztą też.

- Skończmy z tym, do cholery - wycodziłam przez zęby, myśląc o Pawle. - Przecież tak się nie da żyć!

Rafał tylko pokiwał głową. Szarpnęłam za klamkę.

- Perpetua... - zaczęłam mówić, nie bardzo wiedząc, jak ją nazwać.

Wetknęłam głowę przez szparę w drzwiach i zamilkłam. Zabrakło mi słów.

Na podłodze, tuż obok zasianego burym kocem łóżka, leżała piękna Kolumbijka. W świetle księżyca wpadającego przez rozsunięte zasłony widać było jej dziwnie nabrzmiałe, trupioblade ciało, powykręcane w jakimś straszliwym ataku konwulsji. Na odsłoniętym udzie oprócz znaku nieskończoności zobaczyłam cały wytatuowany napis. *El amor es mi religión*. Miłość jest moją religią.

Oniemiałam. A potem na zaskakująco ciężkich nogach udało mi się dotrzeć do bezwładnego ciała. Rafał był przy nim pierwszy.

Nagle trzask. Odwróciłam się. W drzwiach stali pijani Anglicy, których minęliśmy w windzie. Najwidoczniej zdążyli już wytrzeźwieć, bo ich ręce trzymające pistolety nawet nie drgnęły.

Zesztywniałam. Nie śmiałam nawet mrugnąć powieką. Po chwili zastanawiającej ciszy starszy mężczyzna rzucił

młodszeemu wymowne spojrzenie i kiwnął ponagląco głową. Ten zaskoczył i wykrzyknął głosem drżącym z podekscytowania:

- *Fuck man*, policja, ręce do góry, bo strzelam!

Nie namyślając się długo, podniosłam ręce do góry. Rafał zrobił dokładnie tak samo.

- Nieźle było - pochwalił młodego starszy policjant. - Tylko nad wysokimi dźwiękami jeszcze musisz popracować - instruował.

Przyjrzałam się im uważniej. Policja. Na pewno? Skąd mam wiedzieć, że to nie gangsterzy?

- Przepraszam, ale czy ja mogłabym zobaczyć panów legitymacje? - zapytałam z głupia frant.

- Morda w kubek i nie odzywać się bez pytania, bo jak przyłożę... - wrzasnął młodszy, unosząc lekko pistolet. Zesztywniałam ponownie. Jego kolega westchnął ciężko i poklepał go po ramieniu.

- Słuchaj, Miody, nie wiem, jak was na szkoleniu uczyli, ale u nas tak nie wolno - zaczął wykład, nie zwracając na mnie żadnej uwagi. - Jak klient chce zobaczyć legitymację, ma do tego zakichane prawo, rozumiesz? A poza tym musisz trochę grzeczniej, bo teraz to i pozwać mogą.

Miody spojrzał na nas z ciężką urazą, a potem zapytał kolegę ściszym głosem:

- Jak to pozwać? Nas? A niby za co?

- A bo ja wiem? Za cokolwiek. Teraz prawo i sprawiedliwość społeczna jest. Dla wszystkich, nawet dla tych, co nie zasłużyli.

- Dla wszystkich? No nie, w to, to ja już nie uwierzę, żeby kryminaliści mieli prawo do prawa.

- Przepraszam... - ponownie odważyłam się odezwać.

- Czego? - warknął młody, po czym spojrzał na swojego kolegę i uśmiechnął się do mnie nieszczercze. - Sobie życzy?

- Czy ja mogłabym opuścić ręce? Strasznie mnie bolą.

Po chwili konsternacji starszy pokiwał przyzwalająco głową. Opuściliśmy ręce, a Rafał, którego bladawa twarz miała odcień dojrzewającego sera pleśniowego, bez jednego słowa podszedł do leżącego ciała i zaczął się modlić. Było mu wszystko jedno, co się dzieje, a przynajmniej takie sprawiało wrażenie. Aż zaczęłam się o niego martwić. Biedak.

Starszy policjant obserwował przez chwilę Rafała, a potem zapytał:

- Czy to czasem nie ksiądz Rafał? A pani to Agata Majewska? - Potwierdziłam zdziwiona głową, a on dodał: - Znaleźliście swoją zakonnice, co? - Westchnął i przedstawił się: - Jestem Bronek, a to mój partner, Młody.

- Ale to tylko pseudonimy - dodał uczynnie Młody. - Bo my działamy pod przykrywką.

- Pod przykrywką? - powtórzyłam niepewnie. - Ale skąd panowie wiedzą, jak się nazywam i że szukaliśmy zakonnicy?

- Domyśliłem się, że to państwo. Całkiem niedawno dostałem barwny raport od jednego podkomisarza, w którym pani nazwisko pojawia się wielokrotnie. A poza tym mamy jeszcze inne źródła - dokończył tajemniczo Bronek.

- A skąd panowie wiedzieli, że ona tu jest? - Spojrzałam na zwłoki.

Przez chwilę panowała cisza. Potem Bronek zapytał, jakby nie usłyszał mojego pytania:

- Co państwo wiecie o denatce?

- Niewiele, jeśli mam być szczerą - odpowiedziałam. - Przyleciała w piątek. Mój brat - wskazałam na modlącego się Rafała - miał odebrać ją z lotniska i poprosił mnie o pomoc, bo nie zna hiszpańskiego. Ona twierdziła, że jest siostrą Perpetuą Cadeną i przyleciała na spotkania misyjne. Rafał odwiózł ją do sióstr na kwaterę, ale się wyprowadziła. Przed godziną zadzwoniła do niego, żeby tutaj do niej przyjechał.

Zamilkłam. Przez chwilę wszyscy wpatrywaliśmy się w czarny lok Kolumbijki, który jak zakrzywiony nóż wbijał się w podłogę.

- Ale to nie była prawdziwa siostra Perpetua - Rafał przebudził się na chwilę i smutnym głosem przedstawił sytuację.

Bronek przechadzał się w milczeniu po pokoju. Nagle zatrzymał się.

- Czyli nic państwo nie wiedzą.

- A co mamy wiedzieć? - zapytałam, czując pieczenie w żołądku.

- Mają państwo przed sobą podręcznikowy przykład „muła” - powiedział nagle, decydując się zagrać w otwarte karty. - Czy raczej powinienem powiedzieć „mulicy”.

- I bynajmniej w tym przypadku nie chodzi o skrzyżowanie osła z koniem - wtrącił z uśmiechem pełnym wyższości Miody.

Tak na wszelki wypadek, gdyby któreś z nas miało wątpliwości.

- Co pan przez to rozumie? - zapytał Rafał cichym głosem.

- No, że to nie zwierzę... - chciał dokończyć za Bronka Młody, ale został uciszony przez swojego kolegę jednym ruchem ręki.

- Ta nieszczęsna kobieta - kontynuował Bronek - zdecydowała się wwieźć do naszego kraju prawie kilogram kokainy, i to... - zawiesił na chwilę głos, a potem dodał wyjątkowo ponuro: - we własnym żołądku.

Przełknęłam ślinę. Rafał oparł się o ścianę.

- Ale jak to? - wyjąkałam.

Bronek przybrał fachowy wyraz twarzy.

- Teoretycznie bardzo prosta rzecz. Do prezerwatyw - zahwał się nagle i spojrzał na bladego Rafała. - Ja przepraszam

księdza, że o takich grzesznych rzeczach tu mówię - powiedział, a potem ciągnął dalej: - Do prezerwatyw kurierzy pakują działki, a potem je połykają. Nawet i po kilkadziesiąt. Smutne jest to, że czasami po prostu nie mają wyboru. - Westchnął ciężko. - Chociaż ta kobieta to nieco inny przypadek.

Zdziwiłam się.

- To znaczy?

- Ta kobieta to Nemezis - powiedział bardzo poetycko i nawet mina zrobiła mu się jakaś uduchowiona. Młody wpastrywał się z uwielbieniem w swojego starszego kolegę.

- Nemezis? - zbaraniałam.

- Tak. Bo ona to zrobiła z zemsty. A dopiero potem dla pieniędzy.

- Ale skąd pan to wie?

Tu Broniek uśmiechnął się z wyższością.

- Na imię miała Maria. Skontaktowała się z nami jakiś czas temu przez znajomego księdza, który zresztą pośredniczył w nawiązywaniu stosunków handlowych między polską mafią a niejakim Carlosem, szefem kartelu narkotykowego w Medellin. W każdym razie Maria, ekskochanka Carlosa, zaproponowała nam układ. Ona przewozi narkotyki i daje nam jak na tacy polską mafię, a my gwarantujemy jej i temu księdzu, co do nas przyszedł, nietykalność i program ochronny świadków.

Wymieniłam z Rafałem zaskoczone spojrzenia.

- To dlaczego po pięciu dniach od jej przylotu do Krakowa zamiast udawać kelnerkę, leży tutaj martwa? - zapytałam całkiem logicznie.

Zapadła niezręczna cisza. Broniek zacisnął usta, a na jego twarzy pojawił się jakiś cień.

- Kolumbijka okazała się szczerą sztuką. Wszystkich zrobiła na szaro, i mafię, i nas. Załatwiła sobie drugą tożsamość, o której nikt z wyjątkiem tego jej księdza nie wiedział. Na liście pasażerów odlatujących z Medellin widniało jej prawdziwe

nazwisko, zresztą pewnie Carlos kupił jej bilet i wsadził ją do samolotu, nie mając zupełnie pojęcia o tym, że Maria posługuje się już nowym paszportem pewnej zakonnicy, którą, jak się okazało, zaprosił pod pretekstem spotkań misyjnych do Krakowa nasz księżulek. Dograli się w czasie i, jak państwo wiedzą, jedynie Maria wylądowała w Krakowie. Perpetua utknęła w Kolumbii. Carlos wpadł w szal, że narkotyki wyparowały. Mafia zaczęła drażnić. W każdym razie całe szczęście, że ten ksiądz...

- Ksiądz Eryk, prawda? - Rafał z głębokim smutkiem.

- Tak. Ksiądz Eryk zgodził się wcześniej na założenie podsłuchu w swojej komórce, żeby nie musiał się z nami bezpośrednio kontaktować, bo to groziło wpadką. Ustaliliśmy, że Kolumbijka zadzwoni do niego, podając termin przekazania narkotyków. Podsłuch się przydał, bo księżulka przejęła mafia. Carlos rzecz jasna szybko się dowiedział, kto zaprosił do Krakowa prawdziwą siostrę Perpetuę, i skojarzył fakty. Na szczęście Maria, chcąc się zabezpieczyć, przywozła z Kolumbii dokumenty obciążające mafię: transakcje, konta, adresy, telefony, odciski palców, wszystko, czego tylko sobie można zamarzyć. I tylko dzięki tym papierom księżulka nie zabili. Bo kiedy zadzwoniła do Eryka i okazało się, że ten jest w rękach mafii, zagroziła im, że odda dokumenty policji, i postawiła nowe, twarde warunki. Wszystko mamy na taśmie - cieszył się. - W końcu Carlos ustąpił i zgodził się na jej żądania.

Nagle przypomniała mi się rozmowa podsłuchana w komisie i paczka, którą Rafał przekazał Kolumbijce od Eryka. Pewnie była w niej broń. I klucze od mieszkania.

- Daliście jej broń, prawda? - zapytałam, chcąc potwierdzić swoje domysły.

Bronek spojrzał na mnie z uznaniem.

- Domyślna pani jest - powiedział. - Kolumbijka grała na dwa fronty, potrzebowała naszej pomocy, żeby się zemścić, ale równocześnie chciała wyciągnąć od mafii jak najwięcej. Forsy jej się zachciało. Zabiła Butchera, bo stanął jej na drodze.

A do tego wszystkiego wypięta się na nasz program ochrony świadków.

- Pewnie dlatego że jest do dupy, szefie - wtrącił się Młody, ale został zgaszony jednym spojrzeniem.

- I tak po prostu pozwoliliście jej umrzeć? - Rafał był wstrząśnięty całą sprawą. - Nawet jeśli popełniła przestępstwo, to była przecież człowiekiem.

Bronek spojrzał na niego z wyrzutem.

- To był jej wybór. Zamiast korzystać z naszej profesjonalnej pomocy, wybrała niezależność finansową i decydowanie o własnym życiu. A my staraliśmy się to uszanować.

- Bo nie mogliście jej znaleźć - wtrąciłam. Ale on jakby mnie nie słyszał.

- Dopiero dzisiaj umówiła się na odbiór towaru - powiedział.

- Ale sprawy się skomplikowały - dorzucił Młody.

- Właśnie - potwierdził Bronek. - Zjawiliśmy się tutaj zaraz po jej telefonie, ale niestety za późno. Wygląda na to, że jedna z prezerwatyw pękła i nasza fałszywa siostrzyczka zmarła z przedawkowania.

- Ale dlaczego wcześniej... Jak by to powiedzieć... nie... wydalila towaru? Przecież chodziła z tym wszystkim w żołądku przez tydzień - zapytałam, patrząc ze współczuciem na ciało Marii.

Bronek wzruszył ramionami.

- Moim zdaniem chodziło o bezpieczeństwo. Było to jedyne bezpieczne miejsce, jakie znała.

Zapadło krótkie milczenie, aż w końcu Bronek westchnął i przybrał profesjonalny ton:

- Kto ich widział?

- Tylko recepcjonistka - odpowiedział Młody. Równie profesjonalnie a do tego jeszcze z entuzjazmem.

- Hm... - Czoło Bronka przecięła gruba zmarszczka. Jego oczy znieruchomiały i zapatrzyły się w nicość. Myślał. - Dobra - otrząsnął się w końcu. - To ile mamy czasu?

Zacęłam zastanawiać się na co.

Młody spojrzał na zegarek.

- Piętnaście, może dwadzieścia minut - powiedział z nerwowym błyskiem w oku. - Co teraz?

Bronek udowodnił, że ostatni awans w pełni mu się należał.

- Dopasowujemy się.

- Słucham? - nie zrozumiał Miody.

Ten spojrzał na niego z pewną wyższością.

- Jeszcze musisz się wiele nauczyć. U nas liczą się nie tylko mięśnie, ale i myślenie. U nas nie wystarczy liczyć do dwóch. Dopasowanie to słowo klucz.

- A co otwiera? - wymknęło się Młodemu.

- Co otwiera? Otwiera całą masę możliwości, daje nam wreszcie szansę na wykazanie się w sytuacji nieprzewidzianej. Sprawdza myślenie kreatywne.

Młody nie odzywał się. Na jego twarzy pojawiły się krople potu. Najwidoczniej nie był fanem kreatywnego myślenia.

- Dobra. - Bronek zatarł ręce i zwrócił się w końcu bezpośrednio do mnie. - Pani Agatko... - zawiesił głos. Nie zabrzmiało to optymistycznie. - Pani Agatko... - powtórzył z większym entuzjazmem.

- Tak? - moim głosem można by było wbijać gwoździe do trumny.

- Potrzebujemy pani pomocy.

Spojrzałam dramatycznie na Rafała, zebrząc o wsparcie. Nic z tego. Modlił się, ignorując sprawy doczesne.

- A na czym ta pomoc miałaby polegać? - zapytałam bardzo ostrożnie, nie chcąc, by moje milczenie zostało uznane za zgodę.

- Za kilkanaście minut zjawi się tu nabywca. Nie mamy czasu, żeby ściągnąć policjantkę, i to jeszcze ze znajomością hiszpańskiego, a żeby przyskrzynić drania, który pośrednio załatwił tę... tę biedną kobietę, musimy złapać go na gorącym uczynku. Będzie pani udawać Perpetuę. To znaczy Marię.

To zajmie tylko chwilę. Zna pani hiszpański, będzie pani świetną Kolumbijką.

Już miałam się roześmiać, bo przecież to był żart, ale Miody zaczął gwałtownie potakiwać. Spojrzałam na niego w osłupieniu.

- Ale znać hiszpański, a być Kolumbijką to jest jednak różnica - próbowałam im wytłumaczyć.

Na twarzy Bronka pojawiło się zrozumienie. Mrugnął do mnie okiem.

- Proszę się nie martwić. Proponuję przebrać się za zakonnicę. Wszyscy wiedzą, że Kolumbijka tylko udawała misjonarkę. Proszę założyć jej habit. Wiadomo, że coś będzie nie tak, ale wszyscy skupią się na habicie.

- Ja... nie wiem... - Spojrzałam z rozpaczą na leżącą na podłodze martwą kobietę. - Czy to bezpieczne?

- Bułka z masłem - oświadczył Bronek, po czym uśmiechnął się zachęcająco i zaślonił mi Marię swoim dorodnym ciałem. - Poradzi sobie pani! Zacznie pani tylko z nimi rozmawiać, a my natychmiast wkroczymy do akcji.

- Bo wie pan, ja mam dwoje małych dzieci - próbowałam odwołać się do jego sumienia.

- Tym lepiej. W razie czego do końca życia nie będą się musiały martwić o pieniądze... - wtrącił Młody, ale nie dokończył, bo Bronek zakrył mu usta. Spojrzał na moją zeszywniałą twarz i powiedział z przekonaniem:

- Proszę się w ogóle nie martwić. Co może pójść nie tak?

Cóż miałam zrobić? Chcąc nie chcąc, dałam się wciągnąć w całą tę historię, może dlatego, że i tak już w niej tkwiłam, a może tylko i wyłącznie po to, żeby zrobić na złość Pawłowi? Bo jak mnie zastrzelą, to do końca życia nie będzie mógł sobie wybaczyć zdrady bohaterskiej żony.

Stałam kolo okna i spoglądałam bezradnie to na jednego, to na drugiego policjanta.

- Dobra - mówił Bronek, który jak się okazało, miał już wszystko zaplanowane - pani tu zostaje, my szybko skoczmy na dół. Musimy dogadać się z recepcjonistką. Zabieramy księdza, schowamy go w recepcji, będzie do zwrotu po akcji. - Wskazał na Rafała, który blady i z półprzymkniętymi oczami wydawał charczące dźwięki jak jakiś homo chrapiens. - Będziemy obserwować wszystko z zewnątrz i jak tylko nabywcy się zjawią, wyważymy drzwi i zrobimy taką demolkę, że hej! Pani Agatko, proszę się niczym nie przejmować! - oświadczył sztucznie rozradowany Bronek. - I proszę się przebrać! - mówił szybko, chwytając Rafała pod jedno ramię i nakazując Młodemu chwycić za drugie.

- A ona? - zapytałam przytomnie, wskazując policjantom leżącą obok łóżka Perpetuę-Marię. - Gangsterzy zaczną chyba coś podejrzewać, jeśli znajdą tu trupa.

Zatrzymali się i jednocześnie puścili Rafała, który w otępieniu spowodowanym szokiem opadł na kolana.

Zaczęli myśleć.

- Wiem! - wyrwał się Młody. - Może po prostu wsadzimy ją do szafy?

Wszyscy przenieśliśmy nasze spojrzenia z trupa na szafę. Była wąska i chwiejna, ale od biedy mogła pomieścić zeszytniałe już ciało Kolumbijki.

- Trup w szafie, to takie oklepane - mruknął Bronek z niesmakiem. - Ale na kreatywność nie ma czasu.

- Wiesz, Bronek, mnie na szkoleniu powtarzali, że nie liczy się jakaś tam kretyńska kreatywność, tylko skuteczność. - Miody zagryzł wargi i wpatrzył się wyczekująco w partnera.

Bronek skapitulował. Westchnął głośno i chwycił bezwładną Perpetuę za ramiona.

Młody aż podskoczył z radości, że jego pomysł okazał się tym właściwym, i otworzył szafę. Potem schylił się, by pomóc koledze przenieść ciało. Kiedy zapakowali zwłoki do środka, starannie zamknęli szafę, podnieśli Rafała i nie przejmując się

zupełnie paniką, jaką musiałam mieć wymalowaną na twarzy, zaczęli wychodzić z pokoju. Podążałam za nimi, nie bardzo wiedząc, co robić. Stałam w drzwiach i obserwowałam, jak wsiedli do windy, wciągając za sobą Rafała. Bronek, dostrzegając w końcu moją przerażoną minę, wydał instrukcje:

- Proszę ich wpuścić i zacząć z nimi rozmawiać. Chłopcy czekają tylko na mój sygnał. Gdy usłyszysz pani pukanie i słowa *room service*, to będzie dla pani znak, żeby się schować.

- To tu mają *room service*? - zapytałam zdumiona, rozglądając się po odrapanych ścianach.

- A czy to ważne? Brzmi wiarygodnie. A gdyby cokolwiek zaczęło się dziać wcześniej, proszę śpiewać. Wtedy przyspieszymy akcję.

Spojrzałam na niego w osłupieniu.

Myślałam, że to Młody jest tym od głupich pomysłów.

- Śpiewać? A niby co mam śpiewać?

- Wszystko jedno - powiedział, przytrzymując drzwi windy. - Nawet nie musi pani tego robić głośno, my i tak usłyszymy. Będziemy za drzwiami. I za oknami. I za ścianą. Wszędzie. My, chłopcy z brygady specjalnej, nie takie rzeczy robiliśmy. Mamy takie specjalne słuchawki i wszystko słyszymy...

Wyobraziłam sobie antyterrorystów ze stetoskopami za ścianą. I chciałam uciekać.

Niestety było już za późno.

- I proszę pilnować trupa - usłyszałam jeszcze z windy. - Po cenie rynkowej to, co ma w brzuchu, warte jest... - Nie dowiedziałam się, ile warte były wnętrzności Marii, bo drzwi zamknęły się i winda ze zgrzytem ruszyła w dół.

Zostałam sama.

Rozejrzałam się przerażona po korytarzu, wróciłam do pokoju i szybko zamknęłam drzwi. Zaczęły mnie dusić wątpliwości. Kiedy spostrzegłam wystający z szafy palec, gwałtownie nasiliły ucisk na moje gardło.

Podeszłam do szafy i otworzyłam drzwi. Przez ułamek sekundy przyglądałam się z uwagą zeszytniałym zwłokom, a potem zwłoki runęły prosto na mnie. Z obrzydzeniem zaczęłam odpychać od siebie martwe ciało, dysząc straszliwie. Kiedy wreszcie udało mi się zapakować je z powrotem do owej pionowej trumny, uspokoiłam się nieco. Niemal z sympatią spoglądałam na jedyną towarzyszkę mojej niedoli.

- Użycie prezerwatywy zawsze wiąże się z pewnym ryzykiem - mówiłam obojętnie, przypatrując się z uwagą woskowej twarzy otoczonej strąkami zmatowiałych włosów. Agonalny ból pozostawił na niej wyraźny ślad. - Przecież to tylko cienka gumka. Jeśli pęknie, konsekwencje mogą być fatalne, prawda? Trzeba sobie wszystko dobrze przemyśleć, zanim... - przerwałam. Moją uwagę zwróciły jej sztywne dłonie. Miała nienaturalnie powykęcane palce. - Taak... Ale właściwie po co ja ci to wszystko mówię? - zapytałam.

Nie odpowiedziała.

Wepchnęłam ją głębiej do szafy i starannie domknęłam drzwi. Poddawała się wszystkiemu z milczącym posłuszeństwem trupa.

Potem ściągnęłam z siebie szafową sukienkę, schowałam ją do torebki i wpatrując się z wściekłością w rewolwer tkwiący za pasem do pończoch, włożyłam habit. Na szczęście był na tyle długi, że zakrył rewolwer. Za to stanowczo za luźny w biuście, a moje szpilki nie do końca współgrały z całością. Ale przecież byłam podwójnie fałszywą zakonnica. I było to widać na pierwszy rzut oka. Bardziej martwił mnie fakt, że nie wyglądałam na Kolumbijkę. Kogo ja chciałam nabrać?

Moje rozważania przerwało energiczne pukanie do drzwi. Wciągnęłam powietrze do płuc i zachłysnęłam się własnym strachem. Zupełnie jak wtedy, kiedy moja przyszła jeszcze teściowa wzięła mnie przed ślubem na poważną rozmowę o... kynologii.

Znowu pukanie. Opanowałam się i podeszłam do drzwi. Pukanie powtórzyło się ze zdwojoną siłą. Na wszelki wypadek

sprawdziłam jeszcze, czy szafa kryjąca zwłoki pięknej Marii jest szczelnie zamknięta. W myślach przywołałam całą drużynę antyterrorystów chroniącą moje plecy. Tak. Chłopcy są gotowi na jeden mój krzyk. Czy raczej śpiew.

- *Si?* - zapytałam drżącym głosem, starając się brzmieć jak najbardziej naturalnie.

- Perpetua Cadena? - usłyszałam męski głos.

- *Si* - potwierdziłam niepewnie, wiedząc już, że popełniłam błąd. - *Quien es?*

Cisza. Westchnęłam głęboko i uchyliłam drzwi.

Zostałam wepchnięta do środka przez dryblasza w ciemnych okularach, trzymającego w dłoniach pudełko. Odskoczyłam pod okno i w narastającym stresie, który objawił się niespodziewaną zgagą, obserwowałam rozwój wydarzeń. Osiłek ściągnął okulary i rozejrzał się uważnie po pokoju. Potem, nie spuszczając mnie z oka, wszedł szybko do łazienki i wrócił pod drzwi.

- Czysto - rzucił w powietrze, a potem stanął w rozkroku i znieruchomiał.

Wtedy do pokoju wszedł blondyn marnej postury w granatowej marynarce i wielkim słomkowym kapeluszu. Za blondynkiem wtoczył się jeszcze jeden gangster w niebieskim dresie i z zabandażowaną na sztywno szyją. Przez ramię przewieszony miał ciało mężczyzny w czarnej koszulce. Gangster zamknął drzwi na korytarz, skąd dochodziły jakieś stłumione krzyki, a potem zrzucił ciężar pod ścianę. Z zaciśniętych rąk nieprzytomnego mężczyzny wypadła pusta butelka po wódcę i ze złowrogim brzękiem potoczyła się w kierunku szafy.

Poczułam, jak krew napływa mi do twarzy, i ogarnęło mnie podwójne przerażenie, bo w mężczyźnie w niebieskim dresie rozpoznałam Iwana od kaczych resztek, a w bezwładnym ciele - Eryka.

- Co to za hałasy? - zapytał nieprzyjemnie ten w kapeluszu.

- Jakiś palant zatrzasnął się w windzie - odpowiedział rzeczowo Iwan i obrzucił mnie ciekawskim spojrzeniem. Najwyraźniej mnie nie poznał.

Ten w kapeluszu zauważył przerażenie na mojej twarzy.

- Proszę się nie przejmować, Eryk tylko pijany - powiedział i zaczął mi się przyglądać. Zauważyłam zresztą, że wszyscy mężczyźni wpatrywali się we mnie badawczo. I, ciężko to przyznać, miałam wrażenie pewnego rozczarowania.

- Szefie - szepnął ten w ciemnych okularach na tyle głośno, że nie miałam żadnych problemów ze zrozumieniem - ona miała być seksbombą, latynoską pięknoscią, jak Shakira... - Zadumał się, widząc najpewniej oczyma wyobraźni Shakirę taplającą się w błocie. Pewnie w duecie z Beyonce. Tak. Temu najwyraźniej też zachciewa się egzotyki.

Wymoczek szybko przywołał go do porządku. W końcu w akcji nie można się rozpraszać. To takie nieprofesjonalne.

- A skąd ty wiesz, jak teraz wyglądają latynoskie piękności, co? Byłeś ostatnio w Kolumbii? Nie? To się nie odzywaj! - syknął, ale jego mina wskazywała, że i jemu coś nie pasowało. Ciekawe co?

- *Senorita Cadena?* To znaczy Maria? - zapytał z niedowierzaniem i pstryknął palcami.

Wzdrygnęłam się. Ten w ciemnych okularach otworzył wieczko pudełka, które wyglądało na futerał na jakąś bardzo zaawansowaną technologicznie broń dla skrytobójców, a wymoczek, nie odrywając ode mnie wzroku, wyciągnął cygaro. Odgryzł koniec i wypluł go na leżącego pod ścianą Eryka. Potem uśmiechnął się oślizgłym uśmiechem.

- *Hables una poquita* polski? - zapytał, straszliwie kalejąc hiszpański, i zapalił cygaro.

Wpatrywałam się w niego dobrą chwilę, zanim dotarło do mnie, co powiedział.

- Taak - odpowiedziałam nieswoim głosem, przeżykając ślinę - po polsku mówię *una poquita* jak najbardziej.

Rozpromienił się, a wraz z nim jego chłopcy.

- Mówi po polsku! Jak dobrze! Zatem przejdźmy do sedna. Przeprowadziłem księżulka, jak to było w umowie. - Wskazał palcem na leżącego pod ścianą Eryka. - Niestety uległ sile nałogu, a nowego tłumacza nie zdążyłem znaleźć. Urznął się do nieprzytomności, bałwan. Ale może to i dobrze? Przynajmniej mniej kłopotów. - Westchnął teatralnie, a potem spojrział na mnie spod oka. - Jak się pani udało tak go omotać, że zdradził nie tylko nas, ale jeszcze i tego na górze?

Spojrzał wymownie na sufit, a gangsterzy za nim. Potem wszyscy popatrzyli na mnie z niesmakiem, jakbym to ja, będąc Marią, popełniła w tym towarzystwie największą zbrodnię.

- Ma się swoje sposoby - powiedziałam, wypychając do przodu biust. Nie wydałam się jednak zbyt przekonująca wpatrującym się we mnie panom, bo ten w okularach zapytał szeptem:

- To znaczy jakie, szefie? - ale został potraktowany cygarem, aż poczułam swąd spalonej skóry. Musiał być przyzwyczajony, bo nawet nie pisnął.

Cóż, najwyraźniej moje sposoby nie były aż tak oczywiste jak sposoby pięknej Kolumbijki.

- Dwóch ludzi straciłem, szukając pani - mruknął wymoczek. - Jeden dał się zabić, a drugi wolał iść do więzienia, niż mnie zdradzić. Strach to jest wielka siła, proszę pani. Nie rozumiem tego Eryka...

- Si - siliłam się na akcenty hiszpańskie, żeby nie wzbudzać podejrzeń. - Strach to wielka siła, ale *amor* jeszcze większa - zawiesiłam głos, a jeden z gangsterów pociągnął nosem.

- Jestem *señor* Zrazik - wymoczek postanowił się wreszcie przedstawić, cały czas przyglądał mi się jednak podejrzliwie. - Musi pani zrozumieć naszą ostrożność, ale *señor* Nogales trochę inaczej panią opisywał. I nie wspominał, że mówi pani po polsku.

Miałam wrażenie, że chłopcy zastygli i gotowali się do walki.

- To są bardzo poważne sprawy, chodzi o grubą kasę. Musimy być absolutnie pewni, że wszystko jest jak trzeba i wszyscy są tymi, za kogo się podają. Rozumie pani?

Przełknęłam ślinę.

- Tak? A rozmawiał *señor* z *señor* Nogales osobiście?

- Oczywiście - oświadczył Zrazik, delektując się cygarem.

- Ale przecież nie mówi *señor* po hiszpańsku...

- Trochę mówię! *Una poquita*, ale mówię! - oburzył się i spojrzał na chłopców. - Prawda, chłopcy?

- Tak jest, szefie - oświadczyli jednomyślnie. - A jak profesjonalnie etykiety cygar z hiszpańskiego szef tłumaczy, normalnie poezja!

- Cisza. - Podniósł rękę. Coraz głośniej przełykałam ślinę, a on wypuszczał powoli kółka dymu z ust. Potem dodał: - Pani w ogóle nie wygląda na Kolumbijkę.

- *Mia* babcia była Polką.

- Nogales nie wspominał.

- Jeśli nie jestem Marią, to co ja tu robię!?! - zaczynały mi puszczać nerwy. - Może uważa *señor*, że zabiłam Marię i wsadziłam do szafy, hę!?

Cisza. Chłopcy spojrzeli po sobie, a potem na szafę.

Świetnie. Co mi strzeliło do głowy z tą szafą!?! Idiotka.

Blondyn nie przejął się w ogóle moim wybuchem. Uśmiechnął się nawet przyjacielsko i powiedział spokojnie, wypuszczając z ust kolejne kółko dymu:

- Skąd te nerwy, *señorita*!

- Skąd!?! - wrzasnęłam. - Gdyby *señor* miał w żołądku trzydzieści *preservativas*, które w każdej chwili mogą pęknąć, też by miał *señor* nerwy w strzępach! Przecież ja w każdej chwili mogę *morir*. - Wywaliłam język i przewróciłam oczami. Żeby nie musiała powtarzać.

Gangsterzy trochę się nawet zasmucili, ale Zrazik ostro trzymał fason.

- *Senorita*, nas śmierć nie emocjonuje - powiedział męt-
nym głosem. - To dla przedszkolaków.
- Nie? A co panów emocjonuje? - zapytałam zdumiona.
- Piękna kobieta - powiedział. - I jeszcze niezawodna broń.
- I udana akcja - dodał ten w okularach. - I dobry mecz.
- I piersi mojej żony - wyrwało się Iwanowi.
- Eee, Iwan! - zbeształ go ten od okularów.
- No co? - rozwścieczył się Iwan. - A może nie? Może nie?

A w mordę chcesz?

- Cisza - zaprowadził porządek blondyn. - W obecnej sy-
tuacji emocjonuje nas tylko towar. Już chyba jest, nie? - za-
pytał rzeczowo, prześwietlając mnie wzrokiem, jakby chciał
sprawdzić, czy nadal mam w żołądku prezerwatywy wypeł-
nione białym proszkiem.

- Zaraz może być - oświadczyłam z pewną siebie miną. -
A... *dinero*?

- Taak - pokiwał głową - pieniądze są na koncie, proszę so-
bie do banku zadzwonić. Księżulek dycha, wszystko jest, jak
miało być. Teraz towar. I dokumenty, oczywiście - głos mu
stwardniał, ale na jego twarzy dalej tkwił uprzejmy uśmiech.

Usiadł przy szafie i machinalnie postukał w nią swoim cy-
garem. Niebezpiecznie zaskrzypiała.

- Trup w szafie, co? Zabawna *senorita* jest... A z jakiego
miasta?

Zamarłam. Z jakiego jestem miasta? Cholera. Szybko, szyb-
ko! Kolumbia, miasto w Kolumbii...

- Macondo - wypaliłam, niemalże mdlejąc. - Bardzo ma-
lutkie - dodałam szybko ze sztucznym uśmiechem.

- Macondo? - Skrzywił się Zrazik. - Nogales mówił coś
o Medellin.

- Chyba lepiej wiem? - warknęłam.

- Ależ oczywiście - zgodził się szybko. - To mi nawet
brzmi znajomo jakoś tak...

Siedział, kołysał się na krześle i lustrował mnie z góry na dół.

- Nogales mówił też, że *senorita* zawsze chętna, żeby się trochę zabawić - powiedział nagle i przestał się huścić.

Poczerwieniałam.

Zreflektowałam się.

- Za pieniądze oczywiście. Tutaj nikt nie chce nikogo wykorzystywać.

Uśmiechnął się lubieżnie.

- To jak będzie? - Pogładził ręką cygaro. Chłopcy rzucili się do drzwi.

- Ależ *senores*, ja zawsze chętnie, ale dziś nieszczególnie. To przejdźmy może do interesów. Panowie poczekają, a ja pójdę po towar. Tylko to może trochę potrwać. - Zerwałam się z łóżka, gubiąc buty, i wskazałam na drzwi łazienki.

Matko jedyna, w łazience jest okno, to wyskoczę! Na pewno mam większe szanse na przeżycie, wyskakując z trzeciego piętra, niż pozostając tutaj.

- A dokumenty? - zapytał Zrazik.

- Dokumenty? - Zerknęłam w panice na księdza Eryka. Nie odwzajemnił mojego spojrzenia, wciąż był nieprzytomny. - Też się chyba gdzieś znajdują.

- Byle nie tam gdzie towar. - Blondyn zarechotał z własnego dowcipu i wstał, chcąc zapewne odprowadzić mnie do łazienki. Niestety. Potknął się o leżącą butelkę, która na moje nieszczęście wypadła wcześniej z rąk Eryka i potoczyła się blisko szafy. Zrazik, chcąc utrzymać równowagę, podparł się gwałtownie o szafę. Ta zaskrzypiała. Przełknęłam ślinę. Zrazik wyprostował się i kopnął! butelkę.

- Ten... pijaczyna! Przecież mogłem się zabić! - powiedział z oburzeniem, a potem kopnął w szafę. I stało się.

Drzwi szafy otworzyły się ze zgrzytem, a na dywan z głośnym łomotem wypadło sztywne ciało Perpetui-Marii. Zmarwiałam. Zrazik odskoczył. Eryk przebudził się na chwilę ze swojego pijackiego snu, wytrzeszczył oczy, jęknął straszliwym głosem, a potem zamilkł. I znowu odplynął w nicość.

- Co jest, kurwa? - wyjął ostupiały Zrazik, wpatrując się w martwą zakonnice.

- Trup - oświadczył przytomnie Iwan, zaglądając zza jego pleców.

- To widzę, matole - wysyczał zniecierpliwiony Zrazik. - Ale czyj? I co on robi w szafie?

Powoli podszedł do ciała i przykucnął. Potem zmrzył oczy w zamyśleniu i postukał jej w głowę cygarem.

- Macie swoją Shakirę - rzucił do gangsterów. - Wsadzić z powrotem do szafy.

Gangsterzy rzucili się, żeby wypełnić polecenie.

Chciałam śpiewać. Wyc! Zamiast tego moje struny głosowe zaplątały się w jakiś straszny węzeł gordyjski i straciłam głos. Miałam tylko nadzieję, że chwilowo i że Zrazik znajdzie nieco inny pomysł na rozwiązanie owego węzła niż Aleksander Wielki.

Zamglonymi ze strachu oczyma obserwowałam całą scenę opartą o ścianę. Wszyscy byli bardzo rozemocjonowani. Nie śmiercią, tylko piękną kobietą, oczywiście.

- Taka strata! - Kiwał głową wyraźnie zasmucony Iwan, upychając ciało do ciasnej szafy. - Ona wygląda dokładnie jak moja pierwsza żona zaraz po śmierci.

Zrazik zamienił cygareto na pistolet i podszedł do mnie. Powoli. Jakby licząc się z tym, że gołymi rękami sprawnie zabijam fałszywe zakonnice. Podszedł tak blisko, że dotknął rondem mojego czoła. Zauważyłam, że próbuje opanować drganie oka. Bez rezultatu. Nawet mnie to rozśmieszyło. Ale tylko na chwilę, bo zaraz przystawił mi do piersi pistolet i powiedział głosem nieznośnym sprzeciwu:

- Zaraz nam tu pani wszystko wyśpiewa.

Tak. Zaraz będę śpiewać.

- Panie Zrazik - wyjęczałam, obiecując sobie w duchu, że już nigdy nie dam się tak wrobić. - Ja wszystko wytłumaczę! - To ostatnie słowo wyśpiewałam sopranem.

Nic.

Nikt nie zapukał do drzwi.

- Co pani? - zapytał osłupiały Zrazik i odsunął się ode mnie na bezpieczną odległość.

- Miałam śpiewać, to będę śpiewać - oświadczyłam zgodnie z prawdą.

- Na to właśnie liczę - powiedział, patrząc na mnie podejrzliwie. - Proszę usiąść.

Usiadłam na brzegu łóżku i wpatrywałam się z przerażeniem w wymierzoną we mnie lufę pistoletu.

Co ja mam im powiedzieć!? Że w hotelu jest policja? Przecież wtedy zostanę zakładniczką! I na pewno mnie wykorzystają, żeby uciec, a potem rozwalą mi głowę. Już wiem! Powiem im, że chciałam okraść Perpetuę. I umarła. Z żalości. Albo prawdę - że zadzwoniła, bo gumka jej pękła.

- Jestem płatną morderczynią! - wypaliłam. Nie widząc jednak żadnej reakcji (podejrzewałam, że płatne morderczynie spotykali co najmniej raz w tygodniu), dodałam żałośnie: - Ale tak naprawdę uderzyłam się w głowę i nic nie pamiętam!

Tym razem reakcja była natychmiastowa. Choć nie taka, jakiej się spodziewałam. A spodziewałam się kulki. Iwan podszedł kilka kroków w moją stronę i zaczął mi się przypatrywać z szeroko otwartymi oczami.

- Przecież ja panią znam! Pani jest siostrą tego księdza, prawda!?! Mieliśmy raz przyjemność zamienić parę słów - dotknął zabandażowanej szyi. - Tylko co pani z włosami zrobiła? Nie poznałem pani!

- Cisza - głos Zrazika stwardniał nagle, a po jego sztucznej uprzejmości nie został nawet ślad. - Teraz to ja już wszystko rozumiem.

- Tak? - zapytałam cichutko.

- Tak - oświadczył z przekonaniem Zrazik. - Maria przyznała się pani do wszystkiego. Chciała pomocy, a pani wykorzystała

sytuację. Zabiła ją pani i chciała zgarnąć towar. A te włosy to kamuflaż. Pani nie chciała być rozpoznana!

Na skroni poczułam zimną lufę pistoletu. Okazuje się, że dziwne rzeczy przychodzą człowiekowi do głowy przed śmiercią. Ja na przykład z żalem doszłam do wniosku, że mój nowy dezodorant nie jest wart pieniędzy, jakie za niego dałam. W sytuacji stresowej w ogóle się nie sprawdza.

Zamknęłam oczy.

Lufa wcisnęła się w moją skroń.

Usłyszałam chichot Zrazika, który urwał się nagle jak hejnał mariacki, bo rozległo się pukanie do drzwi. Wszyscy zniechęceni. Ja też. Ze szczęścia.

W końcu! Policja! *Room service*. Otwierać! Krzyczałam w myślach, ale moich myśli nie było słychać. Uniosłam powieki i rozejrzałam się histerycznie dookoła. Niestety, nikt nie wyważył drzwi, nikt nie wpadł przez okno. Ściana też pozostała nienaruszona.

- Ani słowa - rzucił Zrazik i na wypadek, gdybym nie zrozumiała, przyłożył palec do ust.

Pokiwałam posłusznie głową. Policja! Prędeży!

Wśluchiwałam się w delikatne pukanie. Po chwili pukanie zamieniło się w uporczywy łomot. Coś było nie tak. Z niepokojem zaczęłam wpatrywać się w drzwi.

- Agata! - usłyszałam nagle zdenerwowany głos swojego męża, a walenie w drzwi stało się na tyle głośne, że nie dało się go zignorować. - Otwórz! Wiem, że tam jesteś! Recepcjonistka cię rozpoznała i powiedziała mi, że jesteś w tym pokoju - dochodził do nas wściekły głos. - Otwórz natychmiast!

Spojrzałam oniemiała na Zrazika.

- To mój mąż - powiedziałam słabo, widząc jego pytające spojrzenie.

- Do stu tysięcy kolumbijskich dziwek! - sapnął wściekłe. - A skąd on się tutaj wziął?

Rozłożyłam ręce. Sama byłam ciekawa.

- Wie? - zapytał tylko.

- Ależ skąd! Nikt nie wie. Nawet ja nie wiem.

Westchnął ciężko.

- Szefie, likwidować? - zapytał ten w okularach.

- Za dużo trupów. Trzeba go spławić żywego, i to zaraz, bo inaczej ktoś zadzwoni na policję. - Zrazik spojrział na mnie zamyślony, a ja o mało nie udławiłam się swoją wdzięcznością. Litościwy kryminalista. Paweł na pewno na to nie zasługiwał, ale gdybym jednak nie wyszła z tego cało, moje dzieci będą potrzebowały ojca.

- Proszę go przekonać, żeby odszedł. Dobrze pani radzę. Jeśli w jakikolwiek sposób da mu pani do zrozumienia, że tu jesteśmy, zginiecie oboje, zrozumiano?

- Tak jest - gorączkowo pokiwałam głową, zastanawiając się, co mam powiedzieć mojemu mężowi, żeby spokojnie pojechał do domu.

Gangsterzy schowali się w łazience, zza drzwi wystawała złowrogo lufa pistoletu. Z ciężkim sercem otworzyłam. Paweł spojrział na mnie nieprzytomnie. Jakże się ucieszyłam, że go widzę! Chciałam go objąć, ale minął mnie i wszedł bez pytania do środka. Przymknęłam drzwi. A on zmierzył mnie nienawistnym spojrzeniem. Obciągnęłam kusy habit.

- Co tu robisz? - zapytałam, żeby coś powiedzieć.

- Widziałem, jak wystrojona czekasz na kogoś przed domem. Założyłem, że nie na mnie, i postanowiłem dowiedzieć się na kogo. Pojechałem za twoją taksówką - powiedział bez owijania w bawełnę. Bila od niego ślepa furia. A potem dodał: - Widzę, że zdążyłaś już wskoczyć w coś bardziej wy-

Chyba zamierzał rzucić coś niemiłego, ale ugryzł się w język i przeszedł do sedna.

- Nie. Chciałem wreszcie skończyć ten cyrk między nami - powiedział, a jego głos drgał dziwnie. - 1 chciałem ci oznajmić, że ci wybaczam.

Zamurowało mnie.

- Wybaczasz mi? - Nie rozumiałam. - Co mi wybaczasz!?

- Wszystko - powiedział, nie spuszczać ze mnie wzroku. - Może nie jest jeszcze dla nas za późno? Może w tym wszystkim jest trochę mojej winy? Pogubiliśmy się gdzieś po drodze. Przestaliśmy rozmawiać. Ale chcę ci dać drugą szansę.

Zaczęłam zgrzytać zębami ze złości. I to zupełnie nieświadomie.

- Ty mi chcesz dać drugą szansę!? Chyba ci na mózg padło! - wrzasnęłam, przestając się kontrolować. - Ale wiesz co? W jednym się z tobą zgodzę. To wszystko twoja wina! I tak. Jest dla nas za późno!

Przez chwilę panowała zupełna cisza. Przypomniałam sobie o zagrożeniu.

- Słyszysz? Już późno! Wracaj do domu! - powiedziałam dobitnie, bo oczyma wyobraźni zobaczyłam ściśniętych na małej powierzchni łazienki dwóch gangsterów, wymocзка i bezwładnego księdza.

Twarz Pawła poczerwieniała, a potem gwałtownie zbladła. Jej kolor przypominał trupi odcień, który widziałam na twarzy siostry Perpetui.

I nastąpił wybuch.

- To ja ci chciałem dać jeszcze jedną szansę, nawet nie wiesz, ile mnie to kosztowało, żeby tu przyjść, a ty...!

Roześmiał się z niedowierzaniem, a ja zauważyłam nagle, że ze źle domkniętej szafy wystaje sztywny palec. Zamarłam i zaczęłam przesuwając się w kierunku drzwi.

- Nie będziemy teraz rozmawiać. Idź już sobie! - przetknęłam ślinę, starając się nie patrzeć na szafę.

- Nie - powiedział zdecydowanie.

Spojrzałam na niego zdumiona, a on, nie ruszając się z miejsca, zapytał:

- Gdzie on jest?

- Kto? - nie zrozumiałam.

- On - powtórzył zimno, a w jego oczach zobaczyłam lodową górę. Zupełnie jak u jego matki. Pewnie genetycznie uwarunkowana oziębłość emocjonalna, która dopiero teraz się ujawniła. Jak łysienie. Łysienie emocjonalne. Nawet brzmia odpowiednio.

- Jaki on?

Nieświadomie znowu spojrzałam na szafę. Zaczęłam nagle drżeć z zimna.

- Dobrze wiesz! Widziałem, jak wchodziłaś do tego hotelu z jakimś mężczyzną. - Paweł złapał moje spojrzenie i na jego twarzy pojawił się triumfalny uśmiech. - Aha! Jest w szafie!

- Nie! - krzyknęłam nagle przerażona. - Gwarantuję ci, że w szafie nie ma żywego ducha!

- To w takim razie gdzie jest?

- Nie wiem, o czym mówisz - oświadczyłam histerycznie, czując, że wszystko idzie w złą stronę. Rzuciłam się ku niemu i chwyciłam go za rękę. Była napięta i spocona. - Proszę, idź do domu, jutro porozmawiamy, jesteś zdenerwowany! - prosiłam błagalnym tonem.

Wyrwał się i zrobił kilka kroków w tył.

- Jestem zdenerwowany! - wrzasnął. - Oczywiście, że jestem! I nie wyjdę stąd, dopóki nie dam mu w pysk!

Jednym susem znalazł się przy szafie. Szarpnął za drzwi. Te zaskrzybiały złowrogo... na szarą poplamioną wykładzinę po raz kolejny wypadło ciało Marii.

Paweł oniemiał. Ja złapałam się za głowę.

- Coś ty najlepszego zrobił! Dlaczego ty nigdy nie robisz tego, o co cię proszę!?

- Nie ruszać się! - usłyszałam głos wydobywający się z łazienki. Chwilę później wpatrywałam się w swojego męża, który przywalony ciałem osiłka w okularach, próbował złapać oddech. Iwan chwycił mnie brutalnie za rękę i przystawił mi pistolet do głowy. Paweł oniemiał. Zabawa najwyraźniej się skończyła.

Ale przecież mogło być gorzej! Mogliśmy wpaść w małżeńską rutynę!

Nie wiedzieć czemu, zaczęłam się śmiać. Chyba z radości, że na razie rutyna nam nie zagraża. Śmiałam się najpierw cicho, starając się nie denerwować tych, którzy trzymali pistolety. Potem głośniejsze, a w końcu stwierdziłam, że nikt nie będzie musiał mnie zabijać, bo sama umrę z tej radości.

Dopiero wtedy z łazienki wyłonił się Zrazik, zostawiwszy w niej samopas Eryka pogrążonego w głębokim pijackim śnie. Nie miał zadowolonej miny.

- Agata... - szczęki Pawła wreszcie poluzowały się na tyle, że mógł wystarczająco słyszalnym szeptem coś powiedzieć. Ale jak na złość nie zdążył. Nie dlatego że stracił głos, ale dlatego że ponownie rozległo się głośne pukanie do drzwi i usłyszeliśmy zdyszane wołania:

- Agata! Agata!

Zrazik zgłupiał. Ja przestałam się śmiać. Reszta gangsterów pootwieriała z zaskoczenia usta. Nikt nie zdążył zareagować. Przez drzwi, których, jak się okazało, nie zamknęłam na klucz, wpadła, nie, jak się tego można było spodziewać, policja, nie brygada antyterrorystyczna, ani nawet nie prawdziwy *room service*, tylko Nina, trzymająca w dłoni nie karabin, nie granat, lecz dłoń Grzesia Musiała. Wpadli do środka. Nina, widząc mnie, rozjaśniła się w uśmiechu, który zgasi w tym samym momencie, w którym zobaczyła zwłoki. I broń.

Rozejrzała się dokoła z przerażeniem, przytulając Grzesia matczynym gestem. Gangster w okularach, trzymający Pawła, zdążył przytomnie zamknąć drzwi. I znaleźliśmy się

w potrzasku. Wszyscy. A o *room service* mogłam sobie co najwyżej pomarzyć. Nina i Grześ wycofali się pod okno, kierowani lufą wymoczka. Stanęli tuż koło mnie.

- Nina, co ty tu robisz? - zapytałam zrezygnowana.

- Elżbietka powiedziała mi, że tu jesteś - wybuchnęła, obserwując podejrzliwie panów z bronią. - Nie odbierałaś komórki, a musiałam ci powiedzieć coś strasznie ważnego, i przyjechaliśmy. W końcu jestem twoją najlepszą przyjaciółką, prawda? Recepcjonistka zapytała tylko, czy my też do Perpetui. Skojarzyłam imię, bo mi o niej opowiadałaś, i...

- Cisza! - koleżeńską wymianę zdań przerwał Zrazik wyjątkowo strasznym głosem, ale jego groźna mina nie zrobiła na nikim wrażenia. Wszyscy bowiem skupili się moim mężu, który doszedłszy w końcu do siebie, wyrwał się facetowi w czarnych okularach i rzucił się w moją stronę. Gangster złapał go jednak w samą porę i trzymał za koszulę, co jednak nie przeszkadzało Pawłowi wykrzykiwać z pasją zdradzonego męża:

- Jak mogłaś!? Moja żona dziwką!

Nie wytrzymałam.

- Ja!? A ty? Jak mogłeś mi to zrobić!?

- Ja!? Ja!!? Jak ty mogłaś! Jak w ogóle cokolwiek możesz mówić! Tylko spójrz, jak ty wyglądasz, jak... jak... - Jego nieprzytomne spojrzenie biegało po mnie jak mrówka po kiju wsadzonym w mrowisko. - Jak jakaś... - przez gardło mu nie przeszło. Zawsze miał wyczucie.

- To twoja wina! - oświadczyłam i odepchnęłam stojącego pomiędzy nami lwana.

- Nie ruszać się - warknął do mnie i chwycił mnie mocniej za łokieć.

- Bo co!? Bo mnie zabijesz, ty złodzieju kaczych resztek!? - moje hormony harcowały.

- Pewnie tak - odpowiedział, ruszając mimowolnie szyją, a lufa jego pistoletu wbiła się w mój kark. Bolało.

- Jak śmiesz jej grozić! Puść ją! - warknął wściekle Paweł.
- Jak śmiesz mnie bronić! - odwarknęłam do Pawła, a potem jeszcze mocniej przycisnęłam się do gangstera. - Pan mnie trzyma mocniej, bo się wyrwę. I mu przyłożę!

Gangster zgłupiał.

- Szeffie, ja muszę wyjść. Takie sytuacje działają na mnie moczopędnie...

Zrazik uciszył go ruchem ręki. Utkwił we mnie swoje świdrujące spojrzenie i zaczął się do mnie zbliżać. Zapanowała cisza. Słysząc było tylko skrzywienie podłogi pod naporem jego eleganckich mokasyń.

- To za co mężulka tak nienawidzimy? - zapytał, kiedy już się zatrzymał przede mną.

Wzruszyłam ramionami.

- Zdradza mnie - odpowiedziałam, patrząc wyzywająco na Pawła.

Pawiowi nie spodobała się naga prawda, która przeszła mi w końcu przez gardło.

- Co proszę!? - wykrzyknął nagle, a jego oczy zrobiły się jeszcze większe.

Gangsterzy, zwłaszcza Iwan, spojrzeli na niego z niesmakiem. Paweł, widząc ich nieprzychylność, przybrał minę niewiniątka i zaczął się bronić zbulwersowanym głosem:

- Ja!? Ja cię zdradzam!? Chyba ci słońce zaszkodziło! I jeszcze śmiesz mówić takie rzeczy ubrana w filuterny kostium zakonnicy w pokoju hotelowym z trzema facetami!

- Nie odwracaj od siebie uwagi! - odwarknęłam. - A ty!? Kto niby patrzy maślanym wzrokiem na tę... asystentkę ze sztucznym biustem?

Spojrzałam zboląta na otaczających mnie mężczyzn, szukając zrozumienia, ale twarze gangsterów nie zmieniły się. Widocznie według każdego faceta gapienie się w sztuczny biust asystentek jest jednym z przywilejów jej posiadania. Próbowałam więc dalej:

- Dlaczego ją zatrudniłeś, przecież żadnych kwalifikacji nie ma? Nawet prezesową to uderzyło, choć w ogóle się na tym nie zna.

- Zatrudniłem Doroatkę, bo prezes mnie o to prosił - odpowiedział Paweł opanowanym głosem. - Czy myślisz, że gdyby nie była jego... znajomą, to pozwoliłbym jej przesiadywać przy swoim biurku?

- Jasne! - wykrzyknęłam zirytowana, doskonale wiedząc, co sugeruje. - Ale to do ciebie dzwoniła, żebyś jej pomógł znaleźć czarne majtki, tak czy nie!? Prezesa w to nie wciągaj!

Wszyscy utkwili oczy w Pawle, którego zacięta mina zmieniła się nieco. Na jego twarzy pojawił się bardzo mały uśmiech.

Zazgrzytałam zębami.

- Uważasz, że to jest śmieszne? - obraziłam się.

- Tak - oświadczył z przekonaniem. - Nawet bardzo. To, że odsłuchujesz moją pocztę głosową, niekoniecznie, ale twoja interpretacja wiadomości od Doroty jak najbardziej.

- A co jest takiego śmiesznego w telefonie kochanki w sprawie zgubionej bielizny? - zapytałam wściekła, ignorując jego uwagę o odsłuchaniu wiadomości. - „Panie Pawełku - zaczęłam przedrzeźniać silikonową Doroatkę - gdzie mogliśmy zgubić czarne *dessous*? Ja stracę reputację!”

- Dorota wcale nie szukała majtek - powiedział, chrząkając z pewnym zawstydzeniem, jakby temat majtek asystentki był dla niego nowością.

Tak, ona pewnie zakłada majtki tylko od święta.

- A czego niby szukała!?

- Czarnej teczki - powiedział Paweł zupełnie poważnie.

Spojrzałam na niego jak na idiotę.

- Czy ty mnie masz za kompletną kretynkę? - zapytałam.

- Ona szukała czarnego *dossier* - odpowiedział z lekkim uśmiechem. Nie zaprzeczył ani nie potwierdził, czy jestem kretynką, a ja na wszelki wypadek postanowiłam nie drążyć. -

Szukała jednej z tych teczek, które leżały u mnie na biurku, tych, które podrzuciłaś mi do biura. Ma problemy z francuskim. A *dossier* i *dessous* brzmią nieco podobnie.

Zapadła cisza. Czułam, że sprawy przybierają zły obrót.

- A... a... dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Bo nie pytałaś. Poza tym nie wiedziałem, że tak cię to interesuje. Wręcz przeciwnie. Miałem wrażenie, że moja osoba w ogóle przestała cię interesować. Zaczęłaś znikać wieczorami, biegać rano i dziwnie się zachowywać. I te wszystkie buty i kremy. Spanikowałem.

- Przynajmniej nie znalazłaś u mnie skórzanych strin-gów! - wypaliłam.

Ha! Teraz to ja jestem górą!

Widziałam już wyraz obrzydzenia malujący się na twarzach bandytów. Paweł zaczerwienił się, matko jedyna, spąsował i odwrócił wściekłą twarz w kierunku Grzesia.

- Ty to masz świetne pomysły, kapuściana głowo!

Stojący pod oknem Grześ się nie odezwał, tylko spojrzął na Pawła spod oka. Za to Nina, której długie paznokcie pomalowane na krwistoczerwono nieco onieśmiały stojącego obok Iwana, spojrzała z uwielbieniem na swoją zdobycz i zamruczała z lubością:

- Hm, uwielbiam mężczyzn, którzy potrafią się odważnie ubrać.

Ale Paweł jeszcze nie skończył. Po chwili znowu zaczął mówić cichym głosem, w którym od czasu do czasu dało się słyszeć bolesne drgania:

- Ty znalazłaś skórzane stringi, które w przypływie desperacji kupiłem, za to ja znalazłem w twojej torebce hotelową wizytówkę z jakimś wstrętnym tekstem od kochanka!

Po raz pierwszy dotarło do mnie, że w tym całym zamieszaniu i skupianiu się na własnej krzywdzie przeoczyłam tak istotną rzecz jak komunikacja.

Paweł już się nie uśmiechał.

- Potem Grzesz mi powiedział, że widział, jak się obściskujesz na Rynku z jakimś facetem - mówił, a ja wpatrywałam się w niego oniemiała. I nie liczyli się już gangsterzy ani broń, tylko on. - Najpierw się wkurzyłem, ale potem przemyślałem sobie wszystko i doszedłem do wniosku, że faktycznie ostatnio dużo pracowałem i zaniedbywałem cię. Chciałem to wszystko zmienić. Nie przyjąłem awansu. Bo jesteś dla mnie najważniejsza - powiedział po prostu. - Nie chciałem cię stracić. W swojej naiwności wierzyłem, że wszystko jakoś się ułoży. Grzesz mi doradził, co powinienem zrobić, żebyś przestała myśleć o głupotach.

Grzesz mu doradził!? Boże, jacy ci faceci są naiwni! - pomyślałam z dziwną czułością.

- Jaki mój Grzesz inteligentny! Jaki kreatywny - śliniła się Nina.

Paweł spojrział jeszcze na mnie i dodał złośliwie:

- A Dorotki było mi żal. Wbrew pozorom jest bardzo inteligentną osobą.

Rzuciłam mu ostrzegawcze spojrzenie.

- Trzeba mnie było zapytać! - oświadczyłam, jakbym sama nie miała żadnych problemów z komunikacją. - Facet na Rynku był księdzem i miał załamanie, a wizytówka nie była moja, tylko Niny.

- Nie była twoja? - powiedział, spoglądając przelotnie na Ninę, która zaczerwieniła się jak pensjonarka. - Nie spędzasz z nikim czasu w hotelach, prawda? To wyjaśnij mi, co tu robisz!? I to w takim przebraniu! Z tymi ludźmi? I zwłokami!

- Słucham!? - ryknęłam. Nikt tu nie będzie robił ze mnie zdradzającej żony. Ani idiotki...

Zrazik odruchowo odbezpieczył pistolet. W końcu kobiety na skraju załamania nerwowego bywają niebezpieczne.

W ataku furii, niezatrzymywana przez nikogo, podeszłam do Pawła. Przez chwilę wpatrywałam się w jego oczy, a potem wyciągnęłam asa z rękawa.

- To w takim razie wyjaśnij mi jeszcze jedną rzecz. Czyją prezerwatywę znalazłam pod siedzeniem twojego samochodu? - wyrzuciłam wreszcie z siebie od tak dawna tłumione słowa.

Zapanowała cisza. Wszyscy w skupieniu wpatrywali się w Pawła. Ale mój mąż milczał.

- No? - naciskałam. Cisza stała się nie do zniesienia. - Twoją? A może twojej kochanki?

Paweł milczał.

Patrzyłam na niego z wściekłością i zastanawiałam się, czy mu nie przyłożyć. Rękoczynom przeszkodził jednak piskliwy głos Grzesia:

- Tak prawdę mówiąc, to... ja chyba wiem, czyja ta gumka...

Oniemiałam. Odwróciłam się w jego stronę, a on, jakby przerażony swoją odwagą powiedzenia czegokolwiek w tak stresującej sytuacji, próbował schować się cały za swoimi dużymi uszami. Bez powodzenia.

- Słucham!?! - wykrzyknęliśmy z Pawłem równocześnie. Wymieniliśmy wściekle spojrzenia, a Grześ aż drżał ze strachu. Bandyci z pistoletami to nic przy zdenerwowanym szefie i jego rozwścieczonej żonie.

- No, jak by to... Pamiętasz, Paweł... dwa tygodnie temu pojechałem twoim samochodem, żeby przywieźć jakiś *take away*, bo pracowaliśmy do późna. I Alinka ze mną pojechała, ta od rynków wschodnich.

- Wiem która - przerwał mu zniecierpliwiony Paweł. - No i?

- No i ona chciała...

- Co chciała!?

- Mnie wykorzystać! - wypalił nagle Grześ i zapłonął się straszliwie.

- Uwielbiam nieśmiałych mężczyzn - zamiauczała Nina.

Grześ docenił jej gest i wróciła mu odwaga.

- Tak! Ale ja się nie dałem! To znaczy, pewnie bym się dał, ale trochę mi się zrobiło słabo - przyznał niechętnie, obgryzając dolną wargę. - Alinka teraz mnie nienawidzi i uważa za frajera. I opowiada koleżankom, że ja nawet prezerwatywy nie potrafię odpakować, a co dopiero... No, ale to nieważne - chrząknął nerwowo, ale potem dodał z ulgą: - A ta gumka to jej była.

- No właśnie! - wykrzyknęła Nina podekscytowana. - I to przyjechaliśmy ci powiedzieć, Agata. Byłoby dużo prościej, gdybyś włączyła komórkę.

Zapanowała cisza. Paweł stał spokojnie i patrzył na mnie. Ale nie ze złością, tylko ze smutkiem.

Boże, ale ze mnie idiotka! Ale i on nie lepszy! Jesteśmy siebie warci.

Ciszę przerwał Zrazik.

- A ja chciałem tylko towar odzyskać! I co ja mam teraz z wami wszystkimi zrobić? - zapytał, a potem z głośnym sapnięciem zaczął rytmicznie uderzać głową w ścianę.

Przez chwilę w ciszy obserwowaliśmy chwilowe załamanie gangstera, zastanawiając się nad wyjściem z sytuacji.

Pomysł na rozwiązanie przynajmniej połowy problemu miała Nina. Czy też tylko jej się tak wydawało.

- To my z Grzegorzem już pójdziemy, żeby nie sprawiać więcej problemów - zaświergotała nagle i uśmiechnęła się zalotnie, jak to tylko ona potrafiła. - Taksówka na nas czeka - dodała niewinnie.

Zrazik znieruchomiał. Powoli podniósł głowę. Rzucił Ninie nienawistne spojrzenie i otarł sobie pianę z ust. Potem bez słowa wymierzył w nią swój pistolet. W głowie słyszałam tylko kołącą się przerażoną myśl „co teraz!?”. Nina wtuliła się w Grzesia, a Grześ w Ninę. Bez zastanowienia, ze śpiewem-krzykiem na ustach, rzuciłam się w stronę Niny. Paweł był tuż za mną. Na widok jego troski o mnie poczułam tkliwość,

ale tylko na ułamek sekundy. Zaraz potem nabrałam ochoty, by szarpnąć go za ramię i zapytać, od kiedy to jest kulo-odporny, i poprosić jadowicie, żeby się przesunął, bo chcę zginąć pierwsza. A on chwycił mnie mocno za rękę. I poczułam w gardle łzy. Płakałam nad własną głupotą. I nad osieroconymi dziećmi. I nad tymi wszystkimi pięknymi chwilami, które mogłam jeszcze przeżyć. Z nim.

- Co to, bunt!? - ryknął Zrazik, a jego ręka przesuwawała się to w jedną, to w drugą stronę. Nie mógł się zdecydować, kogo zastrzelić najpierw. Doskonale go rozumiałam.

Nagle przez moje łzy i zawodzenia Grzesia, przez tę całą szamotaninę przedarł się cichy, ale zdecydowany głos:

- Jeśli ktoś zginie, wszystkie dokumenty dotyczące waszych intratnych interesów trafią w ręce policji.

Wzrok wszystkich powędrował w kierunku głosu.

Obok drzwi łazienki stał ksiądz Eryk. Błady, wymięty i z martwym spojrzeniem błękitnych oczu, ale bez wątplenia trzeźwy.

- O! To z nim się obściskowała, Paweł! - wyrwało się jeszcze Grzesiowi, ale Nina zatkała mu usta i uśmiechnęła się przepraszająco.

Zrazik westchnął z żalem, jakby przeszła mu koło nosa jakaś wspaniała okazja, i niechętnie opuścił pistolet. Odetchnęłam. Paweł nadal ścisnął moją dłoń, a we mnie, wbrew wszystkiemu, zapaliła się iskierka nadziei na jutro.

I z tą nadzieją spojrzałam na księdza Eryka. Jego wypalone oczy utkwione były w leżącym na dywanie ciele.

- Gdzie dokumenty? - zapytał Zrazik.

- W bezpiecznym miejscu - odpowiedział Eryk bezbarwnym głosem. Chwiejnym krokiem podszedł do ciała Marii i przyklęknął. - Maria nie chciała ryzykować. Na wypadek gdybyście ją złapali, przekazała je mnie.

- Błefujesz. - Zrazik machnął lekceważąco ręką.

Eryk nie odpowiedział.

- Książd Eryk wcale nie blefuje - odważyłam się rzucić zza pleców Pawła. - Sama zaniósłam mu te dokumenty. I wszystko tam jest, łącznie z odciskami palców - dodałam pomocnie. Zrazik, czując zapewne nagle swędzenie w dłoni, pstryknął palcami. Potem spojrzał na mnie straszonym wzrokiem, a czoło przecięła mu głęboka zmarszczka. Myślał.

- Wypuść ich wszystkich, to oddam ci te dokumenty - powiedział z wysiłkiem Eryk.

Wstrzymałam oddech. Miałam wrażenie, że wszyscy w pokoju zrobili to samo. Nawet z korytarza nie słychać już było żadnych odgłosów. Okrzyki z windy ucichły. Zastanawiałam się, czy to efekt braku tlenu, czy wreszcie wszyscy się wydostali i zaraz przyślą mi tutaj obiecany *room service*.

- Nie. Zrobimy inaczej: najpierw ty mi oddasz dokumenty, a potem ja ich wypuszczę. - Zrazik był wyjątkowo odporny na negocjacje. - W tej właśnie kolejności. Jeśli coś pójdzie nie tak, to zabiję wszystkich, ciebie też, a wtedy dokumenty i tak przepadną na zawsze - powiedział, jak dla mnie nieco zbyt obojętnie jak na groźby, którymi rzucał. Potem spojrzał na nas z obrzydzeniem. - Zamknąć wszystkich w łazience - nakazał ositkowi w okularach. - Na wszelki wypadek, gdybym się za wcześniej zdenerwował.

Osiłek skierował na nas lufę pistoletu. Wszyscy zaczęliśmy wycofywać się do wspomnianego pomieszczenia, ale wtedy Zrazik przypomniał sobie o czymś. Obrzucił mnie brzydkim spojrzeniem i powiedział:

- Pani zostaje. Musimy jeszcze wyjaśnić sobie parę rzeczy. Bo nie wszystko rozumiem.

Jakbym ja rozumiała.

Paweł próbował protestować, ale Iwan nie był w nastroju do dyskusji. Przystawił mu pistolet do skroni. Ścisnęłam rękę Pawła i popchnęłam go lekko. Wszedł do łazienki, a osiłek w okularach zamknął drzwi na klucz.

- To jak będzie? - zapytał Zrazik Eryka. - Chcesz zginąć?

- Wszystko mi jedno - powiedział obojętnie Eryk. - Ona nie żyje. Mój świat się skończył.

Zrazik spojrział na niego nerwowo i wyraźnie zwiotczały mu ręce.

- Tylko nie to! Kolejny desperat. I jak ja mam tu z ludźmi negocjować, kiedy im na własnym życiu nie zależy? Eryk, nie rozumiem. Przecież poważanie w organizacji miałeś, doświadczenie w przemyśle, praktyki w Kolumbii, języki znasz, mogłeś daleko zajść. W dodatku księdzem jesteś, ludzie cię szanują, a ty... Co ci odbiło!? Kobiety ci się zachciało? Nie wiesz, że to niemoralne!?

Jakby handlowanie narkotykami, zmuszanie ludzi do przemytu i straszenie śmiercią było.

- Kochałem ją - powiedział Eryk, wyrzucając wreszcie z siebie długo skrywaną tajemnicę. Potem delikatnie pogładził stężoną twarz swojej ukochanej. - Od pierwszego momentu kiedy zobaczyłem ją przy konfesjonale. - Chwila ciszy i gwałtowny skowyt. - Bałem się, że to się może tak skończyć!

Jego rozpacz i żal były tak ogromne, że nietrudno było wyobrazić sobie dramat zakazanej miłości rozgrywający się gdzieś na końcu świata.

Oczywiście wyobraźni widziałam sceny jak z kolumbijskiej telenoweli. Romantyczna sceneria z obowiązkowym białym kolonialnym kościółkiem. W tle porywająca piosenka *Amor Gitano* w wykonaniu Beyonce i Alejandro Fernandez, a w rolach głównych niewiarygodnie piękna Maria, kochanka mafijnego szefa, i zabójczo przystojny ksiądz z dalekiego kraju, którzy pomimo różnic odnajdują wspólny język. I miłość, dla której ksiądz łamie śluby celibatu, a dziewczyna poświęca życie.

Patrzyłam na zwłoki pięknej Kolumbijki, ale w głowie widziałam żywą, namiętną dziewczynę, która pełnym temperamentu głosem wyśpiewuje swojemu kochankowi obietnice miłości:

*Soy tu gitana, tu companera,
la que te sigue, la que te espera
voy a quererte aunque me saquen el corazón.*

A ksiądz Eryk wpatruje się w nią aksamitnymi oczyma i głębokim, seksownym głosem pana z filmów dokumentalnych o przyrodzie zapewnia ją o swoim gorącym uczuciu:

*Soy tu gitano, tu peregrino
la unica llave de tu destino
el que te cuida mas que a su vida
soy tu ladrón.*

- Kiedy wyjeżdżałem z Kolumbii - opowiadał cichym głosem Eryk - zapewniała mnie, że wkrótce się spotkamy. Powiedziała, że znajdzie sposób, by się uwolnić. Ale ja doskonale znalazłem reguły gry. Sposób na odzyskanie wolności był tylko jeden: zostać kurierem. Odwdzińczyć się tym Carlosowi za dotychczasową opiekę. Prosiłem, żeby tego nie robiła. Ale ona tylko się roześmiała. „Nie śmierci się boję - powiedziała. - Boję się życia bez ciebie”. Teraz dobrze wiem, o co jej chodziło.

Nagle rozpętuje się tropikalna burza, rozwiewa włosy pięknej Marii i podnosi jej kwiecistą sukienkę. Nadchodzi moment pożegnania. Ksiądz Eryk przyciąga ukochaną do siebie po raz ostatni. Ona spogląda na niego boleśnie, z jej niewiarygodnie pięknych oczu spływają łzy.

I obiecują sobie wieczną miłość.

*Y aunque nos cueste la vida
Y aunque duela lo que duela
Esta guerra la ha ganado nuestro amor.*

Wszyscy zdawali się widzieć tę porywającą scenę, rozgrywającą się wśród dzikiej scenerii kolumbijskiej przyrody.

- Co to za bzdury, jakaś beznadziejna telenowela, czy co? - uroczyście ciszę przerwał wściekły głos Zrazika.

I wróciliśmy do rzeczywistości.

- Dość tych głupot, Eryk. Pytam ostatni raz: oddajesz dokumenty czy chcesz połączyć się w piekle ze swoją kolumbijską dziwką? - rzucił zaczepnie.

Eryk nie wytrzymał. Wezbrały w nim wszelkie skrywane dotąd namiętności i rozpacz. W ataku pasji rzucił się na Zrazika i zaczął go dusić. Gangster wywalił oczy, jęknął i zwałił się pod niespodziewanym ciężarem. Jego ludzie rzucili się mu na ratunek. Iwan chwycił Eryka za włosy i uderzył go pistoletem po głowie tak mocno, że ten potoczył się bezwładnie na podłogę.

Odgłosom walki towarzyszyło głucho walenie w drzwi łazienki, z której ktoś, najpewniej Paweł, próbował się uwolnić. A potem wszystko potoczyło się błyskawicznie.

Widząc, że Zrazik wymierza w bezwładnego Eryka broń, wsunęłam rękę pod habit.

- Nie ruszać się!

Miałam wrażenie, że głosu użył mi jakaś beznamiętna dublerka. W dłoniach trzymałam rewolwer. Oblepiony gumą do żucia.

Na chwilę wszyscy zastygli. A potem usłyszałam głośny śmiech. Odgłosy bębnienia w drzwi ucichły.

Zrazik opuścił broń, ze śmiechu dostał czkawki.

- Tym chce mnie pani sterroryzować? Tym!? Proszę to do muzeum zanieść, a nie na poważne akcje przynosić, droga pani. Co to jest? Weź jej to, Iwan, bo sobie dziewczyna krzywdę zrobi, paluszek przytrzaśnie i odbierze mi przyjemność! - ryczał.

- Nie ruszać się - powtórzyłam. Wcale nie było mi do śmiechu.

Iwan patrzył na mnie przez chwilę, a Zrazik przestał się śmiać. Nastąpiła cisza. Przerwana jedynie czkawką Zrazika.

- Niech pani nie będzie głupia, ja naprawdę nie chcę pani zabijać - powiedział Iwan. Nieśmiało wyciągnął rękę. - Proszę mi wierzyć, to i tak nie wystrzeli. A my to mamy taką broń, że potrafi zabić motylka z odległości kilometra. - Na dowód pokiwał swoim pistoletem.

- Proszę się odsunąć! - warknęłam. Już nie czułam się aktorką. Czułam się sobą i nie było mi z tym dobrze.

Wtedy Iwan złapał za trzymany przeze mnie rewolwer. Mój palec zaklinował się między spustem a dłońią osiłka. Poczulałam straszliwy ból, próbowałam gorączkowo uwolnić palec, krzyczałam jak opętana.

I nagle rewolwer wypalił. Znieruchomiałam, a palec sam wyślizgnął się z potrzasku. Przez ułamek sekundy panowała przeraźliwa cisza. Nawet Zrazikowi przeszła czkawka. Czekaliśmy na śmiertelny ból. Kiedy ten się nie zjawił, spojrzałam w oczy Iwana, ale tam też go nie dostrzegłam. Za to osiłek w okularach zwałił się jak kłoda na ziemię, przywalając swoim ciałem bezwładnego Eryka.

- Trafiła mnie - wył przeraźliwie, trzymając się za nogę, a potem jeszcze i za głowę, bo drzwi łazienki wyważone z impetem zatrzymały się na jego czole.

Na wyważonych drzwiach stanął rozgorączkowany Paweł. Widząc mnie żywą, odetchnął, chyba z ulgą, a potem, ujrawszy broń w ręku Zrazika albo po to, że bym nie mogła mu dogadywać, że nic nie zrobił, by mnie ratować, rzucił się Zrazikowi na plecy i zaczął go dusić. Iwan zbaraniał. Ja ryczałam jak Antek, kiedy nie chce się kąpać. Grześ i Nina dalej siedzieli w łazience. Najwidoczniej chcieli się wykąpać.

I wtedy rozległo się głośne pukanie do drzwi.

Znowu.

Wszyscy zamarli. Paweł przestał dusić Zrazika, który czerwony z wysiłku i zgięty wpół pod ciężarem mojego męża, rzucił mi spojrzenie pełne nienawiści.

- A tym razem to kto? - zdążył jeszcze jadownicę zapytać gangster. - Teściowa?

Wtedy Paweł zeskoczył mu zwinnie z pleców i jednym ruchem ręki otworzył drzwi.

W drzwiach stał Młody przebrany za kelnera. Uśmiechnął się czarująco i nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka, elegancko wciągając za sobą wózek z wielkim naczyniem przykrytym srebrną pokrywą. Wszyscy wpatrywali się w niego w osłupieniu. A on mrugnął do mnie okiem, potem z gracją podniósł pokrywę i wyciągnął z wazy wielki pistolet.

- *Room service* - powiedział, a potem spojrzał jeszcze na Zrazika i dodał uprzejmie: - *Fuck man.*

- Kryć się - krzyknęłam.

Wyciągnęłam drżącą rękę do Pawła, a on w ułamku sekundy był przy mnie. Zdecydowanym ruchem rzucił mnie na podłogę, wcisnął pod stół, i na wszelki wypadek przykrył własnym ciałem.

Tak, bliskość czasami ratuje życie.

I stało się.

Huk pękających szyb. Dźwięk walących się ścian. I twarz Pawła tuż obok mojej.

- Kocham cię - dobiegi mnie jego szept, ledwie słyszalny w huku policyjnej zabawy.

- Z wzajemnością, ty brutalu - wyszeptałam w odpowiedzi i wielce zadowolona startłam mu z policzka tynk. A on mnie pocałował. Mocno i namiętnie. I już wiedziałam, że *happy end* zawsze będzie należał do nas.

Kiedy opadł kurz i bojowa wrzawa, a Paweł zadecydował, że jest już na tyle bezpiecznie, że może ze mnie zejść, wygramoliliśmy się spod stołu. Naszym oczom ukazała się gromadka ludzi w kominiarkach, którą dyrygował Młody. Wstałam i zaczęłam nonszalancko otrząpywać habit.

- Pani Agatko! - Dopadł mnie Broniek z widoczną ulgą na twarzy. - Czy wszystko w porządku!? Ja strasznie przepraszam, że to tak długo trwało, ale utknęliśmy w windzie i radiostacja przestała działać! Co za pech! Ale jesteśmy z pani tacy dumni! Medal pani dostanie - mówił, a ja bynajmniej nie myślałam o medalach. Byłam szczęśliwa. Patrzyłam na Pawła. Uśmiechał się do mnie z czułością, jakiej nie widziałam na jego twarzy co najmniej od... tygodnia. Potem dotknął lekko mojego ramienia i podszedł do Grzesia, który ze łzami w oczach, ale za to w objęciach Niny, przeżywał wydarzenia ostatniej godziny, dmuchając w papierową torebkę podaną mu przez jednego z miłosiernych antyterrorystów.

Rozejrzałam się po pokoju.

Zrazik stał skuty tuż obok swoich pokiereszowanych osiłeków i patrzył na mnie spode łba, zastanawiając się zapewne, jak to się mogło tak skończyć. Przecież wszystko było perfekcyjnie zaplanowane.

Ksiądz Eryk z obandażowaną głową delikatnie układał ciało ukochanej na łóżku. Zrobiło mi się niezmiernie żal owej tragicznej miłości, ale w życiu tak to już jest, że niektóre historie po prostu nie mają szczęśliwego zakończenia. Historia Eryka i Marii do takich właśnie należała.

- Mam tylko jedno pytanie, pani Agatko - wyrwał mnie z zamyślenia Broniek. - Skąd oni wszyscy się tu wzięli?

- Nie mam zielonego pojęcia, panie Bronku - odpowiedziałam, rozkładając ręce w geście niewiedzy.

Wtedy złapałam wzrok Pawła. Przypatrywał mi się przez krótką acz bardzo intensywną chwilę, a potem podszedł do mnie zdecydowanym krokiem i chwycił mocno moją dłoń.

- Czy możemy już iść? - zapytał Bronka. Widząc jego zdziwienie, dodał szybko tonem wyjaśnienia: - Wie pan, dzieci w domu czekają.

Ukryłam uśmiech.

- Ależ oczywiście, tylko proszę jutro na komisariat. Zeznania... - zaczął Broniek, ale Paweł ciągnął mnie już do wyjścia, w ogóle go nie słuchając. Po drodze, omijając gruz i szkło, zdążyłam jeszcze chwycić torebkę. I zgarnąć z podłogi szpilki. Po chwili namysłu odrzuciłam je jednak z powrotem.

Jedno jest pewne, szpilki przynoszą mi niewyobrażalnego pecha.

- A co z księdzem Rafałem? - wołał jeszcze za nami Broniek. - Czeka w recepcji...

- Proszę odesłać na adres parafii - rzucił do tyłu Paweł i wyciągnął mnie za drzwi.

Korytarz tonął w mroku i ciszy, którą przerywały jedynie pojedyncze głosy dochodzące z pokoju Perpetui-Marii i coraz głośniejsze syreny policyjnych samochodów zbliżających się do hotelu. Nie było nigdzie żywej duszy. Paweł zatrzymał się nagle i przyciągnął mnie do siebie niecierpliwym gestem, a potem mocno przytulił. I momentalnie zapomniałam o całym świecie.

Po chwili jednak odsunął się ode mnie i obrzucił mnie kpiarskim spojrzeniem.

- Przez ciebie mam same problemy - powiedział, mrużąc oczy.

- Czyżby? - zapytałam przekornie. - Na przykład jakie?

- Muszę dźwigać na rękach dobre sześćdziesiąt kilo żywej wagi - powiedział i poderwał mnie do góry jak piórko.

Pisnęłam z oburzenia. I zachwytu.

- Siłownia dobrze ci zrobiła - powiedziałam kpiąco, a potem z radością przytuliłam się do jego szorstkiego policzka.

- A tobie dieta - usłyszałam w odpowiedzi.

Otworzyłam usta, żeby zareagować na tę złośliwość, ale zanim się odezwałam, zdążył już zamknąć mi je pocałunkiem. Potem spojrzął mi czule w oczy, a ja zapomniałam, co chciałam powiedzieć.

- A teraz zabieram cię gdzieś, gdzie mogę bez żadnych przeszkód wytłumaczyć ci, dlaczego jesteś jedyną kobietą, którą kocham - wyszeptał i zawiesił obiecująco głos.

Samochód z piskiem opon zatrzymał się przed szarym, wysokim budynkiem. Paweł wyskoczył z auta, a potem szybkim, ale delikatnym ruchem wyciągnął mnie na chodnik. Jedno jego spojrzenie i gwiazdy spłonęły czerwienią. Świeciły zresztą wyjątkowo jasno, w ogóle nie przejmując się naszą potrzebą intymności. Pobiegliśmy do wejścia, a potem schodami na górę. Paweł otworzył kodowane drzwi i wypadliśmy na pusty korytarz, obściskując się po drodze jak jakieś małolaty. W końcu dotarliśmy do drzwi jego gabinetu, a on uśmiechnął się tym uśmiechem zarezerwowanym tylko dla mnie. Zrobiło mi się bardzo gorąco.

To wszystko przez ten habit. Muszę go szybko zdjąć.

Paweł otworzył drzwi.

- Dobry wieczór - usłyszałam znajomy głos.

Za biurkiem Pawła siedziała silikonowa Dorotka przywalona stertą papierów.

Zabiłam ją spojrzeniem. A ona nic.

- Co pani tu jeszcze robi? - wykrztusił Paweł.

- Przecież kazał mi pan siedzieć w biurze, dopóki tego nie skończę.

- Przecież nie mówiłem, że do rana, prawda? Na litość boską, proszę już iść do domu.

Dorotka obrzuciła uważnym spojrzeniem mój habit.

- My, kobiety, najwyraźniej mamy zbawienny wpływ na mężczyzn - powiedziała filozoficznie i zaczęła zbierać swoje rzeczy.

Staliśmy przy drzwiach, czekając, aż skończy. Zlustrowała mnie jeszcze dokładnie, jakby bojąc się, że spod habitu wyciągnę piankę do uszczelniania okien, i powiedziała do Pawła:

- Aha, wysłałam oferty handlowe do wszystkich klientów z listy, którą znalazłam w czarnym *dessous*. Do tych podkreślonych na czerwono dodałam jeszcze promocyjne CD.

- Podkreślonych na czerwono? - zdziwił się Paweł, ale widząc moje spojrzenie, zreflektował się. - To bardzo ładnie, dobranoc - powiedział i wypchnął Dorotkę na korytarz. A potem zamknął drzwi.

I odwrócił się do mnie.

Ten sam ciemny pokój. Słabe światło stojącej na biurku lampki tworzy w mroku jaśniejszy krąg. Paweł przygląda mi się intensywnie. Po chwili przyciąga mnie do siebie i zaczyna całować. Jak wtedy, kiedy robił to pierwszy raz. Czując ciepło rozchodzące się po całym ciele, pytam nagle, bo muszę wiedzieć:

- Dlaczego ty właściwie jesteś ze mną?

- Bo jesteś najpiękniejsza na świecie - mamrocze, nie odrywając ust od mojej szyi.

Tak właśnie ma być. I jeszcze na wszelki wypadek pytam:

- I zawsze mi wszystko wybaczysz?

- Tak. - Odrywa się na chwilę od mojej szyi i patrzy na mnie z niepokojem. - A chcesz mi jeszcze o czymś powiedzieć?

- Nie, skądże.

- To przestań mówić, kobieto. Ja płonę!

Gwałtownym ruchem ręki zrzuca z biurka sterty dokumentów, a ja zanurzam się w jego ramiona. Z nadzieją, że z tego snu nigdy się nie obudzę.

Okolice Medellin, Kolumbia

- *Jefe*, przesyłka z Krakowa - powiedział Nogales, niezdarnie wręczając Carlosowi swoją obandażowaną ręką dużą szarą kopertę.

Na twarzy Carlosa zagościł od dawna niewidziany uśmiech.

- Pewnie odzyskali moje dokumenty - oznajmił zadowolony, otwierając niecierpliwie kopertę.

Nagle uśmiech zastygł na jego twarzy. Rozrzucił po biurku wyjęte z koperty papiery i chwycił dołączone CD. Spojrzał w osłupieniu na Nogalesa.

- Co to ma być, *gonorrea!*? Żarty jakieś? Stół operacyjny mam sobie kupić!? A może fotel ginekologiczny za pół ceny? - wymachiwał płytą. - A gdzie moja własność? Gdzie moje faktury!?

Zmiażdżył z wściekłością plastikowe opakowanie i rzucił za siebie.

Plusk.

EPILOG

Po nocy pełnej wrażeń doceniliśmy spokojny, rodzinny wieczór przed telewizorem. Dzieci były wyjątkowo niewidoczne, jakby wyczuwały korzystną zmianę. Elżbietka nocowała u koleżanki, ciesząc się zapewne, że mój jeleń doszedł już do ładu ze swoim rykowiskiem.

Siedzieliśmy z Pawiem przytuleni jak za dawnych lat, każde z lampką wina w ręku, a jedyną pamiątką wczorajszego wieczoru była opuchlizna na moim palcu. Oglądaliśmy *Wiedomości*. Właściwie Paweł oglądał, bo ja nie chciałam rozpraszać odzyskanej harmonii wewnętrznej jakimiś bzdurami na temat wampira atakującego „na zakonnicę” czy nie daj Boże, rytualnie spalonego drobiu. Delektując się winem, pomyślałam, że *Madame Klara Widząca* mogłaby dorabiać sobie, służąc policji. Kto wie, może z ptasich szczątków też potrafi czytać jak z fusów?

Z błogim uśmiechem na twarzy wsłuchiwałam się w bicie serca swojego mężczyzny i kiedy już ogarnął mnie, wydawałoby się, niezachwiany spokój, Paweł poruszył się gwałtownie.

- Co u licha? - wyjąkał, wpatrując się w ekran telewizora.

Spojrzałam na niego ze zdziwieniem.

- W *Wiadomościach* właśnie podali, że Centralne Biuro Śledcze we współpracy z Interpolem rozbiło międzynarodowy gang szmuglujący narkotyki. Aresztowano odbiorców w kraju i dostawców z Kolumbii - powiedziała z niedowierzaniem.

- Pewnie Eryk przekazał policji te wszystkie dokumenty. To chyba dobrze, nie uważasz? - zapytałam, nie rozumiejąc jego reakcji.

- Tylko dlaczego aresztowano najlepszych klientów Kramedu? - Spojrzał na mnie, jakby oczekując wyjaśnień. - I współpracujących z nimi handlowców?

Zagryzłam wargi.

- I prezesa? - był zdezorientowany.

Zrobiło mi się duszno.

Teczki.

Czarne teczki zaczęły wirować w mojej głowie jak wielkie wrony. Czy ja aby nie pomyliłam...

Zerwałam się z kanapy.

I wtedy usłyszeliśmy dzwonek.

Zamarłam.

Boże jedyny, mafia! Na pewno mafia! Oni przecież wszystko wiedzą. Pewnie szukają dokumentów!

Wpatrywałam się z panicznym przerażeniem w Pawła.

- Mama, jakiś pan do ciebie - usłyszałam głos Małgosi dochodzący z przedpokoju.

Do pokoju wszedł nieznany mi mężczyzna w czarnej kurtce. Był miody i wysoki, jego twarz zawodowego mordercy budziła respekt, żeby nie powiedzieć strach, a wielkie jak młyńskie koła dłonie mogłyby z łatwością skrócić mi kark. Na ramieniu przewieszoną miał wielką torbę, w której tkwił jakiś okrągły przedmiot wielkości głowy. Ściętej głowy.

To na pewno jeden z nich! Już wiedzą, że pomyliłam teczki! Wiedzą, że ja wiem, gdzie jest właściwa teczka. Przyszli po mnie. Zabijają wszystkich!

Straszną ciszę przerwał Antek. Na niego zawsze można było liczyć. Wpadł do pokoju, wywijając lassem tak niefortunnie, że trafił nieznanego w nogę. Mężczyzna jęknął, spojrzał na Antka i sięgnął do torby.

Serce waliło mi tak, jakby chciało się wyrwać z piersi i dołączyć do latających w kółko w mojej głowie czarnych teczek.

- Antek - przez usta przeszedł mi zaledwie słaby szept. -
Przeproś pana.

- Nie jestem Antek - oświadczył Antek. - Jestem Indianin Jones.

Mężczyzna nie wytrzymał i uśmiechnął się szeroko i bardzo sympatycznie. Potem wyciągnął z torby kask motocyklowy i włożył go Antkowi na głowę.

- Dobry wieczór, państwu - odezwał się w końcu, a jego twarz zawodowego mordercy rozświetliła się podekscytowana. - Wiesław jestem. - Widząc totalne niezrozumienie na naszych twarzach, położył na stole złotówkę i dodał radośnie: - Przyszedłem po hondę!